Chris Bunch
Impet Burzy
III Tom cyklu
Ostatni legion
Przekład Radosław Kot

Dla „The Langnes”
Czyli Stacy, Glena, Michaeli i Annalee

1

Cumbre/Cumbre D

Urzędniczka opuściła modne okulary w stylu retro i spojrzała na dość dziwną, stojącą przed nią parę. Dziwną nawet jak na to, co widuje się w centrum operacyjnym portu kosmicznego.

Jeden z tych dwóch był człowiekiem, tyle że wyrośniętym prawie na dwa i pół metra i zbudowanym jak zapaśnik. Głowę zdobiła mu przedwczesna łysina, a z naszywki sił Konfederacji na kombinezonie pilota można było wyczytać, że osobnik ów nosi stopień centa i nazywa się DILL.

Jego towarzysz był jeszcze wyższy, i należał do rasy musthów, którzy rok wcześniej, po nader okrutnej wojnie, zostali pokonani i wyrzuceni z układu. Porastała go sierść z pręgami w różnych odcieniach brązu, niemal czarna na łapach i ogonie. Miał długą szyję, lekko spiczastą głowę i postawione prosto zaokrąglone uszy. Co niezwykłe, nosił pas w niebiesko-białych barwach Konfederacji.

Kobieta przybrała służbowy wyraz twarzy.

- Czego chcecie?

- Cent Ben Dill - odezwał się człowiek, podając jej jakiś papier. - Mamy wziąć materiały kartograficzne zamówione przez Grupę. Nakaz rekwizycji YAG dziewięć trzy iks.

- Nie wiem nawet, gdzie czegoś takiego szukać - powiedziała urzędniczka. - Poza tym mój przełożony jest dziś na urlopie. Może wrócicie później i dacie mi trochę czasu? Do jutra na pewno znajdę.

- Jutro już mnie tu nie będzie - rzucił Dill. - A to, czego szukamy, jest tam, na półce. W teczce z szyfrowym zamkiem.

Kobieta prychnęła i położyła teczkę na biurku. Potem oddała Dillowi nakaz takim gestem, jakby wcale nie chciała mu go zwrócić, tylko upuścić na podłogę. Człowiek i musth niemal jednocześnie wyciągnęli ręce. Dill był pierwszy, wyposażona w dwa kciuki dłoń obcego złapała go za nadgarstek.

- Wciąż jestem szybszy, Alikhan - stwierdził ze śmiechem Dill. Wyjął z kieszeni pióro, podpisał pokwitowanie i wziął teczkę. - No i nie bolało - stwierdził i obaj wyszli.

Kobieta spojrzała za nimi, a potem wyciągnęła z torebki jakiś drobiazg i coś na nim przycisnęła.

- Mar jedenaście - powiedziała. - Na szyfrowym. - Ponownie dotknęła urządzenia.

- Potwierdzam szyfrowanie - odparł syntetyczny głos. - Melduj.

Siedząc już w ślizgaczu, Alikhan obejrzał się na biurowiec.

- Nie spodobałem się jej - stwierdził syn tragicznie zgasłego wodza musthów, Wlencinga. Młodzieniec trafił do niewoli prawie na samym początku wojny i odegrał istotną rolę w późniejszym zaprowadzeniu pokoju.

Ponieważ od jakiegoś czasu zwana potocznie Legionem Grupa Uderzeniowa używała świetnych myśliwców musthów, Alikhanowi zaproponowano, aby zaciągnął się jako pilot. Wraz z kilkunastoma innymi musthami, którzy nie bardzo wiedzieli, co z sobą począć, ale i nie mieli ochoty wkładać cywilnych ubrań, został najemnikiem Konfederacji.

- Całkiem możliwe - powiedział Dill. - Niektórzy dostają wysypki na widok munduru.

- Nie o to chodzi.

- Dobra. Powiedz to wprost. Nie lubi musthów. A może twoi pożarli jej kochanka albo coś w tym stylu?

- Nie jadamy przedstawicieli innych gatunków rozumnych, szczególnie takich, którzy mogą cuchnąć na talerzu podobnie jak ty.

- Już wierzę... To, że przewędrowaliśmy razem połowę tej planety, nie znaczy, że na pewno przestałem widzieć w tobie drapieżnika. Szczególnie wtedy, gdy jesz te swoje zgniłe ochłapy.

- Czy zawsze będziecie nas nienawidzić?

- Zapewne tak - mruknął Dill. Poderwał ślizgacz i ruszył w kierunku bazy Grupy na wyspie Chance. - Przynajmniej dopóki nie będziecie równie przystojni jak ja. Albo aż znajdziemy sobie nowy obiekt nienawiści.

- Ludzie są dziwni.

- Wy zaś jesteście wcieleniem rozsądku i kwintesencją logiki, co to na nikogo nawet krzywo nie spojrzy bez wyraźnego powodu.

Alikhan pokazał kły i syknął, co było u niego oznaką rozbawienia.

Wyspa Chance, na której mieściła się główna baza Grupy, leżała pośrodku wielkiej zatoki wyspy Dharma. Obóz Mahan został całkowicie zniszczony podczas wojny z musthami i ciężkie ślizgacze wciąż jeszcze zbierały gruz i wyrzucały go do morza. Co pewien czas trafiano przy tym na szczątki obrońców. Wówczas przerywano pracę, aby wydobyć zwłoki, które potem uroczyście chowano.

Grupa odbudowywała z wolna swój etatowy stan dziesięciu tysięcy ludzi, ale obecnie poszczególne jej oddziały stacjonowały na całej planecie Cumbre D, w Mahanie zaś mieściło się tylko dowództwo chronione przez czwarty pułk. Wszyscy mieszkali i pracowali w barakach z prefabrykatów.

Do leżącego na skraju imperium układu Cumbre zostali wysłani prawie dziewięć lat wcześniej jako przeciwwaga dla narastających ekspansjonistycznych zapędów musthów. Ponadto mieli pomóc utrzymać ład i prawo w naznaczonym silnymi podziałami klasowymi społeczeństwie Cumbre.

Jak można było oczekiwać, życie szybko zweryfikowało te plany. Ledwie cztery lata później Konfederacja zamilkła i jej siły zbrojne w układzie Cumbre, zwane już wtedy pompatycznie Grupą Szybka Lanca, były odtąd zdane tylko na siebie.

Nikt na Cumbre nie wiedział, co właściwie stało się z Konfederacją, szczególnie że ludzie dość mieli własnych kłopotów. Najpierw doszło do powstania zepchniętych na margines Raumów, a potem do wojny z musthami.

Wojna już się zakończyła, ale szykował się najpewniej nowy kłopot związany z „protektorem" Aleną Redruthem, tyranem władającym układami Larix i Kura, które najpewniej blokowały komunikację między Cumbre a imperium. Redruth już wcześniej próbował wziąć Cumbre w „opiekę" i tylko atak musthów powstrzymał go od opanowania również tego układu.

Konflikt z Redruthem wydawał się nieunikniony. Nowy dowódca Grupy, caud Grig Angara, tak zręcznie zmanipulował rząd planety, że też na fali ogólnej sympatii do sił zbrojnych nałożył dodatkowy podatek. Sporą część wpływów z niego przeznaczano na budowę nowych okrętów, aby Grupa miała wreszcie jakieś poważniejsze siły kosmiczne.

Był z tym spory problem, bo cumbriańskie stocznie nie miały większego doświadczenia z budową okrętów wojennych, toteż prace przebiegały bardzo powoli. Legion musiał więc zamówić nowe jednostki u niedawnego wroga.

Na rozległym lądowisku pośród ruin bazy stał już pierwszy dostarczony przez musthów velv sklasyfikowany w Grupie jako niszczyciel. Przyleciał w tym miesiącu po dokonaniu koniecznych przeróbek dostosowujących go dla ludzi. Stocznie obcych pracowały pełną parą, aby jak najszybciej dostarczyć następne jednostki.

Wyglądał i tak dość dziwnie, tym bardziej że obecnie miał na grzbiecie jeszcze dwa przymocowane łączami magnetycznymi aksaie, myśliwce o płacie w kształcie półksiężyca.

Wkoło kręcili się robotnicy zajęci ostatnim etapem załadunku. Dill wylądował, wziął teczkę z opisem nawigacyjnym potencjalnie wrogich układów i zaniósł ją na okręt. Alikhan szedł obok niczym ciekawski szczeniak.

Ab Yohns uznał, że nigdy nie przywyknie do składania meldunków maszynie.

- Nasz agent przekazał ponadto, że wspomniany oficer Konfederacji odleci z układu w ciągu dwóch dni. Nie zna jednak dokładnej daty ani szczegółów planowanej misji. Koniec.

Cały meldunek został poddany kompresji i wypluty jednym krótkim impulsem do odbiornika na Cumbre K, ostatniej planecie krążącej po regularnej orbicie. Stamtąd wiązką nadprzestrzenną pomknął dalej i przeszedł jeszcze przez trzy przekaźniki, nim trafił do odbiornika w układzie Larix.

Nadajnik pisnął na znak, że przekaz został odebrany, i Yohns wyłączył urządzenie. Wyszedł z piwnicy przez szafę, zamknął za sobą zamaskowane drzwi w podłodze i przepchnąwszy się pomiędzy płaszczami i marynarkami, wrócił do sypialni.

Właśnie dodał kolejną, nie znaną mu sumę kredytów do kapitału gromadzącego się na jego koncie założonym w banku Lariksa. Ciekaw był, ile milionów czeka tam na niego i na ten dzień, gdy uzna, że ogary podeszły za blisko albo że nerwy zaczynają mu puszczać, i zażąda ewakuacji z tej planety. Na razie uznał, że w nagrodę postawi sobie mocnego drinka. Ze szklanką w ręce wyszedł na werandę, z której miał widok na małą górską wioskę Tungi.

Yohns był mocno opalony i nie wyglądał wcale na swoje czterdzieści kilka lat. Odgrywał rolę bogatego przybysza spoza układu, kogoś lubiącego samotność, niezależnego i żyjącego z poczynionych kiedyś inwestycji. Oczywiście nie pasowało to do przeciętnych wyobrażeń o szpiegu.

Daleko po drugiej stronie zatoki leżała wyspa Chance. Yohns postanowił, że ustawi sprzężony z kamerą detektor ruchu i sfilmuje start okrętu Legionu. Jeśli stanie się to w czasie bardzo odbiegającym od terminu, który podał w meldunku, wyśle drugi raport, chociaż najpewniej dotrze on do Lariksa mniej więcej w tym samym czasie co ten okręt.

Podobnie jak jego pryncypał Redruth, Yohns też oczekiwał, że to Grupa wykona pierwszy ruch.

- Nie chcę żadnych bohaterów - szepnął haut Jon Hedley, obecnie zastępca dowódcy Grupy.

- Ani mi to w głowie - powiedziała fizyk Ann Heiser. Razem z matematykiem Danfinem Froudem była jedną z trojga osób obecnych na zalanym światłem reflektorów stanowisku postojowym velva. Tworzyli niedawno powołaną Sekcję Analiz Naukowych. To Froude przekonał dowódcę, że Grupa bardzo czegoś takiego potrzebuje. - Nigdy nie widziałam siebie w roli Horacjusza na moście - dodała Heiser.

- Mówię nie tyle do ciebie, ile do twojego szanownego kolegi, który wykazał się już samobójczą wręcz skłonnością do poświęceń - stwierdził Hedley. - Ale i tobie nie zaszkodzi przypomnienie. Cywilom starcza byle okazja, żeby dać się zabić.

- Zwykłem dbać o swoją skórę - powiedział Froude.

Hedley parsknął.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Jest po prostu zły, że nie pozwalam mu lecieć - rzekł z uśmiechem dowódca Legionu caud Angara, niewysoki mężczyzna nieco po pięćdziesiątce.

Hedley chciał coś dodać, ale zamknął usta, gdy stanęli przed nimi dwaj młodzi oficerowie. Jednym był mil Garvin Jaansma, dowódca sekcji wywiadu Grupy, drugim cent Njangu Yoshitaro, dowódca kompanii zwiadu. Obaj zasalutowali.

Garvin był muskularnie zbudowanym blondynem w wieku około dwudziestu pięciu lat i wyglądał jak postać z plakatu rekrutacyjnego.

Dwa lata młodszy Njangu miał ciemną skórę i był raczej szczupły. Jego imię pochodziło ze starożytnego ziemskiego języka suahili i znaczyło „zły" albo „niebezpieczny". Nikt nie próbował nigdy twierdzić, że jest inaczej.

- Wszystko już załadowane - zameldował Jaansma. - Zostaje tylko pozbierać ludzi.

- Żadnych problemów? - spytał Hedley.

- Tylko jeden.

Njangu spojrzał na niego zdziwiony.

- Oprócz tych dwóch zabieramy jeszcze jednego cywila - wyjaśnił Jaansma.

- Kogo niby? - spytał Njangu.

- A ciebie.

- Zebrało ci się na żarty...

- Żadne żarty - stwierdził Garvin. - Z twoich akt wynika, że właśnie zakończyłeś przewidzianą umową turę zaciągu. Cztery lata przeleciały jak jedna chwila i pora zapłacić ci odprawę, żebyś znalazł sobie godziwą pracę. Na przykład przy kopaniu rowów, bo przy innej cię nie widzę...

Njangu udało się w końcu domknąć szczękę.

- Szefie, zechce mu pan powiedzieć, że to nie pora na błazeństwa.

- W żadnym razie - powiedział Angara, opanowując chichot. - Raczej go pochwalę, że pamięta o detalach, co czyni go tym lepszym żołnierzem. Domyślam się, że wracasz do cywila?

Njangu zatkało. Hedley przyjrzał mu się uważniej.

- O co chodzi?

Yoshitaro nie odpowiedział od razu. Zaczynał dopiero pojmować, że naprawdę stał się w pełni, legalnym cywilem i może im kazać, by się wypchali, a potem wreszcie sobie odpocząć. Przez cztery lata groził, że tak właśnie zrobi. Nie trafił tu dobrowolnie, ale z wyroku sądu, przed którym stanął jako kryminalista. A teraz wreszcie odzyskał własne życie. I co dalej?

- Do diabła - mruknął - wolelibyście, żebym uniósł łapę i znowu wyklepał przysięgę?

- Tylko jeśli sam tego chcesz - powiedział Garvin. - Bo w ogóle to owszem, chyba będzie nam ciebie brakowało.

Hedley spojrzał na zegarek.

- Nie mamy wiele czasu. Pospiesz się zatem, jeśli masz jeszcze coś do załatwienia.

- Dobra, możesz przyjąć, że zgłosiłem się na ochotnika - powiedział Yoshitaro do Garvina. - A teraz idź się pożegnać z ukochaną.

- Można, sir? - Jaansma spojrzał na Hedleya.

- Już cię nie ma.

Garvin ruszył ku grupie cywili, a dokładniej - ku Jasith Mellusin, właścicielce Mellusin Mining, miliarderce, która swego czasu pozwoliła Grupie w każdej potrzebie korzystać ze swoich pieniędzy.

Jasith była o kilka lat młodsza od Garvina i wyglądała jak modelka. Efektu dopełniały długie czarne włosy. Kiedyś połączył ją z Garvinem przelotny romans, zerwany po tragicznej śmierci jej ojca z powodów, których żadne tak naprawdę nie pojmowało. Potem wyszła za

mąż za człowieka innej koszmarnie bogatej rodziny, ale ich szczęście małżeńskie skończyło się raptownie podczas wojny z musthami, ona zaś wróciła do Garvina. Ciągle nie wiedzieli, dokąd ich to zaprowadzi.

- Pora - powiedział niepewnym głosem.

- Na to wygląda - odparła Jasith. - Chyba powinnam być wdzięczna losowi za takiego faceta. Nie ma nałogów, nie jest zazdrosny, tylko czasem wypuści się na jakąś samobójczą misję.

- Nie będzie aż tak niebezpiecznie - stwierdził Garvin. - Polecimy, po cichu przyjrzymy się temu i owemu...

- Ale z ciebie łgarz. A teraz mnie pocałuj, żebym mogła sobie pójść, bo inaczej będę tu sterczała jak jakaś kretynka z trzeciorzędnego romansidła.

Garvin posłuchał. Objęli się mocno.

- Na pewno wrócisz?

Pokiwał głową.

Jasith pocałowała go raz jeszcze, wyzwoliła się z jego ramion i szybkim krokiem podeszła do swojego luksusowego ślizgacza. Kilka sekund później wystartowała i poleciała w kierunku swojej rezydencji w Leggett. Garvin długo patrzył na niknące w oddali światła pozycyjne jej maszyny.

Stojący kilka metrów dalej Yoshitaro zmierzył go spojrzeniem. Obok niego pojawiła się tweg Monique Lir, zawodowy podoficer z kompanii zwiadu.

- Widzisz, co się dzieje, gdy człowiek się zaangażuje? - spytał ją. - Za każdym razem coraz trudniej się żegnać.

Yoshitaro rozstał się ze swoją kochanką, Jo Poynton, dwa miesiące wcześniej. Po raz drugi i zapewne ostatni. Jo porzuciła politykę i wyjechała na inną wyspę, aby zająć się rzeźbiarstwem. Lir wiedziała o tym i wolała poruszyć inny temat.

- Czegoś tu nie rozumiem, szefie - powiedziała. - Hedley wysyła was obu. Co będzie z naszą kompanią, jeśli nie wrócicie?

- Chyba przyjdzie ci przejąć ten interes i jeszcze zostać oficerem. Da się zrobić, prawda?

Monique jęknęła przeciągle. Nie wyglądała na zachwyconą.

- Dalej, Njangu! - zawołał Garvin. - Już tylko na nas czekają! - Zasalutował Angarze i razem z naukowcami weszli po rampie.

Na pokładzie było czworo pilotów: Ben Dill, który zdobył właśnie licencję na pilotowanie velvow, Alikhan i jeszcze jeden obcy, Tvem, który został przydzielony do jednego z aksaiów. Drugi miała pilotować Jacqueline Boursier. Załogę velva stanowiło dziesięciu legionistów, wśród których był jeszcze jeden musth.

- Mocna drużyna - powiedział Angara.

- Miejmy nadzieję, że dość mocna, aby zrobić swoje i wrócić - mruknął Hedley.

Kilka minut później zawyły silniki velva i maszyna uniosła się ponad płytę lądowiska. Bez żadnych dodatkowych manewrów czy rozmów z wieżą nabrała wysokości i zniknęła w czerni nieba.

2

Nadprzestrzeń

- Wpadło mi do głowy, dlaczego Konfederacja o nas zapomniała - powiedział doktor Froude.

- Zakładasz więc, że cały ten interes jednak się nie rozsypał? - spytał Yoshitaro. - Pocieszające, bo jego władze w zasadzie są mi winne pieniądze.

Razem z Alikhanem i Heiser siedzieli w pomieszczeniu, które od biedy mogłoby ujść za odpowiednik mesy starszych oficerów. Dill i Jaansma trzymali wachtę.

- Naprawdę czy to tylko metafora? - zainteresował się Alikhan. - Istnieje ryzyko, że nam nie zapłacą?

- On tylko żartował - mruknęła Ann Heiser.

- Skoro tak, to dlaczego mielibyśmy przejmować się losem Konfederacji? - spytał musth.

- A to, że od dawna nie mamy od nich żadnej odpowiedzi, to giptel? - rzucił Njangu. - W ogóle cię nie intryguje, dlaczego tak się dzieje?

- Hm... gdyby wszystkie światy musthów nagle zamilkły... Zależy. To, o czym mówisz, odnosi się, jak rozumiem, do milczenia rządu, więc chyba średnio bym się przejął. My, musthowie, jesteśmy dumni ze swojej niezależności i samodzielnego myślenia. Ale z drugiej strony, nieco się oszukujemy i gdyby chodziło o los całych społeczności, to owszem, chciałbym wiedzieć, co się z nimi stało.

Froude miał już coś powiedzieć, lecz Alikhan uniósł łapę.

- Chwilę, nie dokończyłem. To byłoby coś więcej niż tylko ciekawość. Trudno przecież odrzucić całą przeszłość, dziedzictwo niezliczonych pokoleń, dzięki którym staliśmy się tym, kim jesteśmy. To samo dotyczy chyba każdej rasy, a inne podejście świadczyłoby o niedostatkach cywilizacyjnych.

Froude ze smutkiem pokiwał głową.

- Wciąż uważamy się za cywilizowanych, a to nakłada na nas powinność sprawdzenia, do jakiej to katastrofy doszło. I jeśli to tylko możliwe, powinniśmy podjąć próbę uzdrowienia sytuacji. Chociaż z drugiej strony przypuszczenie, że tylko my jedni w całej Galaktyce przejawiamy taką postawę, świadczyłoby o zbędnym egocentryzmie. Albo raczej solipsyzmie.

- Jak zwał, tak zwał - mruknął Yoshitaro. - Wróćmy do twojej obiecującej hipotezy, doktorze. Może urozmaici nam oczekiwanie na następny skok i pomoże zapomnieć, co wyrabia mój żołądek.

- Problem polega na tym, że nie tylko nie powrócił żaden z naszych statków wysłanych do portów Konfederacji, ale także nic nie przyleciało stamtąd. Ani z Centralnego ani z żadnego innego świata. I nie udaje się nawiązać łączności, prawda? Właśnie. A teraz wspomnijcie, że większość zazwyczaj wykorzystywanych szlaków do układu Cumbre biegnie przez bliźniacze systemy Lariksa i Kury. Wiemy też z całą pewnością, że protektor Redruth chętnie wziąłby Cumbre w lenno.

- Wnioski narzucają się same - powiedziała Heiser.

- Jak dotąd nic nowego - zauważył Yoshitaro.

- Rozważmy to jednak po kolei - ciągnął nie zrażony Froude. - Po pierwsze, transmisje nadprzestrzenne z naszych nadajników. Łatwo je zagłuszyć, ponieważ wszystkie sygnały muszą przebiegać obok Lariksa i Kury. Sprawdziłem. To załatwia sprawę. Larix i Kura przechwytują też statki wysyłane w kierunku Centralnego. To wiemy na pewno, bo mamy nagrania.

- Tak więc do wyjaśnienia zostaje tylko jedno. Bolesne jak wrzód na dupie - stwierdziła Heiser.

- Jesteś wulgarna, szanowna koleżanko - powiedział Froude. - Jednak łatwo tu o odpowiedź. Przypuśćmy, że Konfederacja ma obecnie dość własnych kłopotów.

- To akurat też wiemy - wtrącił Yoshitaro. - Razem z Garvinem widzieliśmy dość dziwnych rzeczy, gdy opuszczaliśmy Centralny jako rekruci.

- I jeśli teraz nasz przyjaciel Redruth poinformował Konfederację, że w układzie Cumbre zapanowały chaos i anarchia, to jak sądzicie? Czy Konfederacja wysłałaby kogoś, aby to sprawdził?

- Może tak. Może nie - mruknął Yoshitaro. - Ale chyba nie sprawdzałaby tego zbyt wytrwale.

- Właśnie - powiedział Alikhan. - Jeden czy drugi statek Redruth zniszczyłby z łatwością. Szczególnie że dla Konfederacji wciąż jest sojusznikiem.

- Racja - przytaknął naukowiec. - Czy to nie jest przekonujące wyjaśnienie naszej izolacji?

- A z tego wynika, że zanim dowiemy się czegokolwiek, będziemy musieli uporać się z Redruthem - zauważył Njangu. - Już dawno doszliśmy do podobnego wniosku.

- Niemniej zawsze miło jest znaleźć naukowe uzasadnienie - stwierdził Froude.

- Zapewne - odezwał się znowu Alikhan. - Niemniej przychodzi mi do głowy coś jeszcze. Coś o wiele bardziej niepokojącego, przynajmniej dla was, ludzi. Jeśli Konfederacja jest tak potężna, jak przywykliśmy wierzyć, czy nie oznacza to, że odpowiedzialni za jej obecne kłopoty wrogowie są jeszcze potężniejsi? Czy nie będzie tak, że uporawszy się z Redruthem, trafimy na coś, co przerośnie nasze siły? Jaka jest szansa, że jeden układ zdoła rozwiązać coś, co paraliżuje całe wielkie imperium?

Troje ludzi wymieniło poważne spojrzenia.

- Obawiam się, że Alikhan może mieć rację - stwierdził Froude.

- Może i ma - westchnął Yoshitaro. - Ale ja jestem prostym oficerem i zwykłem martwić się tylko jednym kłopotem naraz.

Coś zapiszczało w interkomie.

- Przygotować się do drugiego skoku - usłyszeli.

- Dobra - powiedział Garvin, gdy Alikhan zmienił go na mostku. - Teraz słucham, dlaczego zostałeś. Przecież nie możesz być jeszcze aż takim sklerotykiem, aby zapomnieć, kiedy zwalniają cię do cywila.

- A jednak zapomniałem - odparł Njangu. - I wolałbym, żebyś mi o tym nie przypominał.

- Przepraszam. To był żart.

- Bardzo śmieszne.

- Naprawdę przepraszam.

- W porządku. Wymazane.

- Dobra. Niemniej tak czy siak, zostałeś. A ja myślałem, że masz po dziurki w nosie ganiania w kamaszach.

- Na razie wydaje mi się, że to jedyne sensowne wyjście - powiedział Njangu takim tonem, jakby się tłumaczył. - Od czasu, gdy ostatni raz rozmawialiśmy o cichym zejściu ze sceny, nic się chyba nie zmieniło. Co mi o czymś przypomina. Twój termin jest tylko o dwa miesiące późniejszy od mojego. Co zamierzasz zrobić?

Garvin spojrzał na przyjaciela.

- Teraz rozumiem, dlaczego cię wzięło - stwierdził. - Cholernie niewygodne pytanie, co?

- Dla ciebie też? Dlaczego? Masz na podorędziu damę, która siedzi na kredytach. Jeśli to ryzyko tak cię pociąga, zawsze będziesz mógł zjechać do kopalni... albo zająć się eksploatacją bogactw któregoś z lodowych gigantów. I nie sądź, że się z ciebie śmieję.

- Wciąż jednak uważam to pytanie za krępujące.

- Więc zostaniesz?

- Zapewne.

- Dlaczego?

- Oczekujesz logicznej odpowiedzi od żołnierza?

- Przygotować się do trzeciego skoku - ponownie przerwał im głos z interkomu.

- Oto, jak wygląda sytuacja - powiedział Ben Dill. Razem z pozostałymi pilotami, Jaansmą, Yoshitarem i obojgiem naukowców patrzył na trójwymiarową projekcję

przedstawiającą bliski już układ. - Do Lariksa można wejść czterema zasadniczymi trajektoriami. Pierwsza prowadzi wprost do piątej planety, Prime, podobnie jak druga. Trzecia pozwala nam podejść ją „z flanki" i wyskoczyć jakby znikąd, a czwarta zakraść się „ponad" płaszczyzną ekliptyki. Proponuję tę ostatnią, a potem zaś powolne zejście na polarną orbitę synchroniczną. A tam zagonilibyśmy do roboty naszych elektronicznych szpicli.

- Podobnie widzieliśmy to jeszcze na Cumbre - stwierdził Jaansma. - Nie ma przeciwwskazań, prawda? - Rozejrzał się wkoło. - Dobra. Przystępujemy do ostatniego skoku.

- Wychodzimy z nadprzestrzeni - zameldował syntetyczny głos.

- I dobrze. Jesteśmy na miejscu - powiedział Ben. - Ulubiony syn pani Dill ma zaszczyt przedstawić wam szeroką panoramę planety Prime w układzie Lariksa... O kurwa! - Uderzył po sensorach i na ekranach znowu pojawiły się rozmazane smugi nadprzestrzeni. Garvin zdążył jednak dojrzeć pojedynczy impuls wskazujący na obecność jakiejś jednostki. Po chwili, w osobnym kadrze, została pokazana dokładniej. Kształt był znajomy. Kilka sekund później pojawiły się kolejne dwa rozbłyski. Strzelano do nich.

- No to wpadliśmy - wycedził Dill. - Alikhan, dawaj dwa przypadkowe skoki.

Garvin włączył laryngofon. Załoga obsadziła już stanowiska bojowe.

- Do wszystkich. Miejscowy patrolowiec czekał na nasze wyjście z nadprzestrzeni.

- Mam wstępną identyfikację drania - powiedział Yoshitaro że stanowiska ogniowego. - To chyba jeden z tych upiornie szybkich patrolowców klasy Nana, które Redruth ukradł razem z naszym transportowcem.

- Potwierdzam - odezwała się technik. - To klasa Nana.

Zawył alarm.

- Paskudztwo. Był dość szybki, żeby posłać za nami znacznik i też skoczyć - rzucił Dill. - Ale dobra. Trzymajcie się pędzli... Alikhan, daj mi punkt... albo nie, schowaj nas za którymś z księżyców piątej. Przyczaimy się tam i zastanowimy, co dalej.

- Wychodzimy... No nie!

- Mam odpalenie - powiedziała technik beznamiętnym głosem, tak jak ją wyszkolono. - Pocisk złapał namiar celu, dojdzie nas za jeden zero... Antyrakieta gotowa... odpalam. Na kursie... na kursie... trafiony! Pocisk zniszczony.

- Skok! - rozkazał Dill i velv zadrżał, przeskakując kawałek próżni. Na ekranie znowu pojawiła się skryta częściowo za księżycem Prime. - Dobra. Piloci aksaiów, obsadzić maszyny.

- Już siedzę - zaskrzypiało cicho z głośnika. - Tu Boursier. Węzły zwolnione, gotowa do startu.

- Tvem też na miejscu - dodał drugi pilot dużo niższym głosem z obcym akcentem. - W gotowości.

- Znowu nas podchodzą, tym razem dwa - oznajmił Dill. - Aksaie, startować.

Przebiegł palcami po kontrolkach, zwalniając ostatnie magnetyczne łącza. Maszyny oderwały się od velva i zaraz ostro ruszyły w stronę wrogich jednostek.

Jedna z nich odpaliła pocisk, który został zaraz zmylony przez układy zagłuszające velva.

- Czasem dobrze jest pracować na tych samych częstotliwościach - zauważył Yoshitaro.

Dill szarpnął velvem, zmieniając kurs, i oba aksaie ruszyły na jeden z patrolowców. Pierwszy zaatakował od czoła, drugi poprowadził pocisk z lekką „górką". Patrolowiec odpalił jedną antyrakietę, która poszła daleko w bok, i po chwili, dwukrotnie trafiony, zmienił się w kulę rozżarzonego gazu.

Drugi patrolowiec zanurkował w nadprzestrzeń, gdy kierujący się na niego pocisk wybuchł niegroźnie za jego rufą.

- Nie wiem, czy trafiłem - powiedział Tvem.

- Nie trafiłeś - odezwała się Boursier. - Ale na pewno śmiertelnie go wystraszyłeś.

- Alikhan, skaczemy tą samą drogą, którą przylecieliśmy. Jeden skok zwykły, potem jeden na ślepo i kładź nas na kurs powrotny.

- Tak jest.

- Mam jeszcze dwie jednostki na ekranie.

- Stanowiska ogniowe, przygotować się.

- Tak jest, sir.

- Aksaie, wracać.

- Ale szefie...

- To rozkaz - warknął Dill. - Nie chcę, żebyście plątali się gdzieś po drodze, gdy odpalimy goddardy. Jeszcze któryś się pomyli i was załatwi. Ruszać się, bo zostawię was tym sępom!

Oba aksaie posłusznie zawróciły i zbliżyły się do velva. Głuche stuki obwieściły, że maszyny zacumowały.

- Wyrzutnie, macie ich?

- Tak...

- Cele uchwycone, Ben.

- Odpalić jedynkę... odpalić dwójkę.

Goddardy, długie na sześć metrów pociski przeznaczone do niszczenia cięższych jednostek przeciwnika, zwykle znajdowały się na wyposażeniu zhukovów, chociaż zaprojektowano je do walki w próżni kosmicznej. Velv otrzymał ich wyrzutnie podczas przeróbek już po przybyciu na Cumbre, a układy naprowadzania dostosowano do śledzenia celów na większych dystansach, poprawiając tym samym zasięg pocisków.

- Naprowadzam... naprowadzam... naprowadzam... pudło!

- Przygotować się do skoku - rozkazał Dill.

- Chwilę - rzucił operator drugiego pocisku. - Już prawie...

- Skok! - zawołał Dill i piąta planeta Lariksa, jej księżyce, pocisk i patrolowce zniknęły z ekranów.

- Ech, Ben - jęknął technik. - A tak chciałem sobie namalować małą gwiazdkę na konsoli.

- Odliczanie do drugiego skoku. Za siedemdziesiąt cztery sekundy...

- Zajmij się tym - powiedział Dill do Alikhana, przesuwając się do stanowiska Garvina. - Chyba nam się nie powiodło.

- Łagodnie mówiąc - zgodził się Jaansma.

- Wiesz, co myślę?

- To samo co ja. Tyle że ja jestem tego pewien - stwierdził Garvin. - Drań czekał na nas.

- Sześćdziesiąt trzy sekundy do skoku.

- Ktoś nas wystawił, Njangu - dodał Garvin. - Ktoś z Cumbre D.

- No to wracamy do domu - powiedział Yoshitaro. - Będziemy im dłubać pod paznokciami tak długo, aż dowiemy się kto.

3

Jeden skok od układu Cumbre Yoshitaro wysłał Hedleyowi zakodowany przekaz „Do wyłącznej wiadomości". Zażądał w nim nastawienia wszystkich skanerów na śledzenie przekazów spoza układu. Miał nadzieję, że mu się poszczęści.

I wyłowiono taki sygnał. Odbiorca powtórzył go na innej częstotliwości i udało się go zapisać, lecz niewiele z tego wynikło. Kryptolodzy nie zdołali złamać kodu.

Zlokalizowano jednak pierwszy punkt retransmisji. Mieścił się na jednym z księżyców Cumbre J.

- Nie znam się na wywiadzie elektronicznym - westchnął Yoshitaro. - Nie wiem, jak przypala się pięty komputerowi.

- Nie szkodzi, i tak cię lubimy - pocieszył go Hedley. - Jesteś naszym najlepszym skrytobójcą, a to rzadsza specjalność.

- Wielkie dzięki. Pożyczę więc może paru techników i kilku ludzi do osłony i zajrzymy tam w drodze powrotnej.

- Dobrze - zgodził się Hedley. - Ale będziecie jeszcze potrzebowali Śmieciarza.

- Śmieciarza? A co to za imię?

- Nie gorsze niż Njangu.

- Doprawdy, sir?

Śmieciarz wystawił jedno oko nad skały i obejrzał przedpole. Nic się nie poruszało. Posunął się kawałek do przodu i znalazł kolejne schronienie za pagórkiem zestalonego tlenu.

- Jest, sir - powiedziała operatorka Śmieciarza. - Mamy wyskok na podczerwieni. Zapewne od fotoogniw albo baterii. - Operatorka miała na imię Tanya Felder, nosiła naszywki finfa i wyglądała raczej jak baletnica niż ktoś, kto zarabia na życie, sterując robotem.

Podobnie jak reszta żołnierzy, była w kombinezonie, który miał ich chronić przed nie nadającą się do oddychania i nieco żrącą atmosferą księżyca. Głowę i górną część ciała schowała w module sterowniczym Śmieciarza, który to moduł przypominał dziwnie odkrojoną połówkę trumny, pozwalał jednak operatorce odciąć się od otoczenia i skupić na tym, za co brała żołd. Miała tam sensory, ekrany i sterowniki połączone z odległym o kilkaset metrów robotem.

Śmieciarz był nowym nabytkiem Grupy. Na pól metra szeroki i wysoki, na metr długi poruszał się bezgłośnie na wyciszonych gąsienicach. Wyposażono go w rozmaite stereoskopowe kamery, tak z przodu, jak i z tyłu, oraz wszystkie rodzaje czujników, o jakich jego budowniczowie kiedykolwiek słyszeli. Miał teleskopowe manipulatory zdolne udźwignąć do dwustu kilogramów, zasięg około trzech kilometrów, a pod przednimi „oczami" zamontowano mu jeszcze blaster. Można go było zresztą wyposażać niemal we wszystko, co akurat było potrzebne do wypełnienia zadania.

- Mamy to stąd zabrać, szefie? - spytała Monique Lir. Wraz z pięcioma rozciągniętymi w luźnym szyku zwiadowcami leżała w pobliżu Felder. Wszyscy trzymali broń w pogotowiu.

- Żadne takie - mruknął Yoshitaro. - Za bardzo was lubię. To coś może być zaminowane. Czekajcie. Tanya, możesz podjechać Śmieciarzem nieco bliżej? Ciągle jeszcze niewiele widzimy.

- Tak jest, sir. - Felder nie przywykła do powszechnego w kompanii zwiadu zwracania się do podwładnych po imieniu, a do przełożonych „szefie".

Robot wysunął się zza ukrycia i ruszył wzdłuż niskiej grani.

- No - powiedziała Felder. - Teraz mamy lepszy widok. Na wprost. Przekazuję na ekran w hełmie, sir. Nadajnik jest około dwudziestu pięciu metrów od Śmieciarza.

Mały wyświetlacz poniżej wizjera hełmu Njangu zamigotał i pokazał kawałek monotonnej powierzchni księżyca. Coś przeskoczyło i obraz zaśnieżył, ale po chwili dało się dostrzec szary półcylinder skryty niemal całkowicie pod nawisem skały.

- Ani śladu obsługi czy ochrony - powiedziała Tanya.

Yoshitaro się zastanowił.

- Możesz mi powiedzieć, z której strony to urządzenie ma przód?

- Nie, sir.

- Trudno. Będzie, co ma być. Rusz Śmieciarza, ale powoli. I wszystko rejestruj.

- Cały czas rejestruję, sir.

- Przepraszam.

Cylinder rósł na ekranie.

- Masz ślady jakiejś aktywności? Nadaje coś? To chyba w pełni automatyczny przekaźnik.

- Nic, sir.

- Zatrzymaj go w odległości trzech metrów, to chyba akurat tyle, żeby do niego sięgnąć.

- Cztery metry i gotowy do...

Ekran pociemniał, a nogi Felder szarpnęły się konwulsyjnie. Daleko z przodu uniosła się kula ognia, a kilka sekund później grunt zadrżał wszystkim pod brzuchami.

- Spryciarze... - mruknął Yoshitaro. - Felder, jak tam robot?

- Brak sygnału, sir.

- Dobra, proszę wojska - powiedział Njangu i wstał. - Nie sądzę, aby było tu jeszcze co oglądać, ale dla porządku przejdziemy się i zabierzemy biedaka. Niczego nie dotykać. Takie pułapki mogą wybuchać więcej niż raz.

Felder wysunęła się z modułu sterowniczego. Njangu podał jej rękę i pomógł wstać, a potem odczepił przewód, który go z nią łączył.

- Przykro mi z powodu Śmieciarza.

Felder pociągnęła nosem. Yoshitaro zerknął na jej twarz i przez szybkę hełmu ujrzał płynące po policzkach łzy. Nic nie powiedział, tylko wraz z innymi podszedł ku zniszczonemu nadajnikowi.

- Wiemy więc, że transmisja pochodziła z Lariksa - powiedział Jaansma do Angary. - Nikt inny w całym wszechświecie nie interesuje się nami choćby na tyle, żeby przysłać kartkę na urodziny, a co dopiero takie zabawy. Ta maszynka na Cumbre J przechwytywała sygnał i przekazywała go gdzieś dalej. Nie zostało z niej wiele, ale i tak zebraliśmy szczątki do analizy. Założę się, że będą to elementy nie używane powszechnie w układzie Cumbre.

- I co dalej? - spytał Angara.

- Dalej jest gorzej - przyznał Hedley.

Garvin i Njangu ponuro pokiwali głowami.

- Zakładam, że powinniśmy szukać jednego głównego agenta i siatki jego pomocników, którzy mogą pracować na dwie strony, nie wiedząc tak naprawdę, dla kogo właściwie nas zdradzają - powiedział Garvin. - Założę się też, że ten nadajnik, który znaleźliśmy, przekazał agentowi wiadomość o naszej nieudanej wyprawie na Lariksa i wyrazy wdzięczności za wskazówki, dzięki którym udało się nas odeprzeć.

- Gdybym to ja był tym szpiegiem... nazwijmy go Natręt... zaszyłbym się teraz w jakiejś dziurze i poczekał, aż sprawa nieco przyschnie - dodał Njangu. - Jon posadził ludzi, żeby pilnowali tej częstotliwości, na której został nadany pierwszy przychodzący sygnał, ale na razie nic nie mają. Założę się, że tak będzie dalej.

- Jakieś pomysły? - spytał Angara.

- Jeden, ale chyba niezbyt genialny - odezwał się Garvin. - Problem polega tym, że nie mamy pojęcia, jak ani gdzie wyciekają ważne dla nas informacje. Przed wyprawą na Lariksa byliśmy jednak nieostrożni. Masa ludzi o niej wiedziała.

- Bardzo nieostrożni - zgodził się Hedley. - Już dawno powinniśmy byli dopaść Natręta. Załóżmy na razie, że chodzi tylko o jedną osobę, a nie o cały tuzin. Co zresztą najpewniej jest prawdą, bo mogę uwierzyć, że jeden superszpieg uszedł naszej uwagi, ale nie cała grupa. Na pewno rzuciliby się nam w oczy. Zapewne on też maczał palce w transporcie broni podczas powstania Raumów. Wtedy go nie znaleźliśmy i mieliśmy wiele szczęścia, że trafiliśmy na ten przemyt. Po drugie, o co się założycie, że ten sam człowiek był odpowiedzialny za eksplozję, która zabiła Aesca i doprowadziła do wybuchu wojny?

- Nie zakładam się - stwierdził Angara. - Szczególnie że dotąd nikt się do tej roboty nie przyznał. Możemy mu jednak przypisać dwie duże operacje, jedna została perfekcyjnie przeprowadzona, druga udaremniona czystym przypadkiem. No i zapewne od dawna składa Redruthowi meldunki o wszystkim, co tu się dzieje. Musimy go przyskrzynić, zanim

zaczniemy prowadzić jakiekolwiek większe działania przeciwko Lariksowi i Kurze. Wspomniałeś, że coś dziwnego wpadło ci do głowy, Jaansma.

- Moglibyśmy zorganizować kolejną wyprawę, tym razem na Kurę. Tak, żeby wszystko wyglądało przekonująco, aż do startu. Przez cały czas wytężalibyśmy oczy i uszy. Możliwe, że chłoptaś gdzieś się pojawi. Tyle że oczywiście obstawiliby Kurę, więc w najbliższej przyszłości musielibyśmy zaniechać penetracji tego układu. Poza tym, jeśli nie wpadlibyśmy przy tym na żaden ślad, to co dalej? Nie mam żadnej koncepcji.

- To już trzeci raz od wczorajszego wieczora, jak próbujesz sprzedać ten pomysł - powiedział Njangu. - Myślę o nim mniej więcej to samo co ty. Ale chyba moglibyśmy zrobić coś jeszcze. W sumie byłoby to dość paskudne, ale dzięki temu nasz przyjaciel zapewne niczego by nie podejrzewał. Niestety, wielu osobom namieszałoby to porządnie w życiu i nie wszyscy wyszliby potem na prostą. Musimy obwieścić wszem i wobec, że złapaliśmy Natręta, a być może prawdziwy agent poczuje się pewniej i przestanie się tak pilnować.

Hedley, zastanowiwszy się chwilę, potarł nos i stwierdził:

- To tak niegodziwy pomysł, że chyba musimy spróbować, Njangu. Ale nie z jednym marnym agentem. Złapiemy ich od razu pół tuzina.

„Matin”
Grupa demaskuje siatkę szpiegowską Skandal w szeregach Legionu
Zebrał Ron Prest’n

Leggett. Dziś wcześnie rano funkcjonariusze komórki kontrwywiadu wewnętrznego Grupy aresztowali sześciu wysokich oficerów oskarżanych o szpiegostwo oraz zdradę stanu.

Tych sześciu, noszących stopnie od hauta do alta, miało tworzyć głęboko zakonspirowaną siatkę szpiegowską pracującą na rzecz nie wymienionego pozaukładowego rządu.

Docierający zawsze do prawdy „Matin” zdołał się jednak dowiedzieć z pewnych źródeł, że chodzi o rząd Lariksa i Kury, uważany niegdyś na najbliższego sojusznika Cumbre, obecnie zdradzający imperialistyczne zakusy wobec naszego układu.

Mil Jon Headley, dowódca Sekcji Wywiadu Grupy, powiedział Loyowi Kuoro, wydawcy „Matin”, że siatka działała już dość długo. „Sądzimy, że uaktywnili się w okresie problemów z Raumami, jeśli nie wcześniej, a następnie dokonali zabójstwa wodza musthów Aesca, które to wydarzenie zapoczątkowało nieporozumienie pomiędzy naszymi cywilizacjami”.

„Już od jakiegoś czasu podejrzewaliśmy, że istnieje taka siatka”, dodał Headley. „Prowadziliśmy jednak śledztwo tak długo, aż uzyskaliśmy pewność, że wykryliśmy wszystkich jej członków. Dopiero wtedy dokonaliśmy aresztowań. Obecnie podejrzani przebywają w areszcie w miejscu, którego położenia nie ujawniamy. Tam zostaną poddani przesłuchaniom”.

Oczekuje się, że aresztowani ujawnią wiele ważnych informacji. Nie wiadomo jeszcze, czy ich proces nie zostanie utajniony, niemniej powinien rozpocząć się w ciągu trzech miesięcy od dzisiaj, gdy tylko sąd wojskowy zbierze wszystkie materiały niezbędne do wniesienia sprawy...

- Sukinsyn nie potrafi nawet poprawnie napisać mojego nazwiska - sapnął Hedley.

- Mogło być gorzej, szefie - powiedział Garvin. - Mógł zażądać zdjęć tych biedaków, których ukryliśmy.

- Dlaczego po prostu nie aresztowaliśmy Loya Kuoro? - spytał Njangu. - Nadawałby się na zdemaskowanego agenta.

Loy Kuoro, eks-mąż Jasith Mellusin, przez długi czas utrudniał życie Garvinowi. Wsławił się gorliwą kolaboracją z wrogiem podczas wojny z musthami, po jej zakończeniu trafił nawet na trochę do więzienia. Wprawdzie udało mu się wybronić przed sądem, wciąż jednak toczyło się przeciw niemu kilka spraw z powództwa cywilnego. Wszystkie o kolosalne pieniądze.

- I dlatego cię lubię, Njangu - powiedział Garvin. - Zawsze myślisz o przyjaciołach.

- Muszę. Jesteś mi winien zbyt wiele forsy.

- Dobra, wy dwaj - przerwał im Hedley. - Zaczęliśmy pierwszy etap operacji. Teraz musimy... o, cholera. Zapomniałem wam powiedzieć. O szesnastej macie zameldować się na placu apelowym. Strój galowy.

- Po co?

- Uroczystość ponownego włączenia w szeregi. Macie robić za przykład świeżej krwi.

Garvin i Njangu spojrzeli na siebie z przerażeniem.

- Nie da się tego ominąć?

- Żadną miarą - powiedział zdecydowanie Hedley. - To pomysł starego.

- Żeby to... A potem możemy się chociaż napić?

- Daję wam zgodę na przepicie całego wieczoru, i to na koszt Legionu. Tylko rano macie być na chodzie. Rano albo trochę później.

- Widzisz? - powiedział Garvin do przyjaciela. - Grupa jedną ręką zabiera, ale drugą daje. Zadzwonię do Jasith po transport.

- Pięknie wyglądaliście, chłopcy, maszerując tak w tę i nazad - powiedziała Jasith Mellusin, szybkim manewrem ratując się przed kraksą ze startującym promem. Nie zważając na sygnały ostrzegawcze, przemknęła tuż obok i posadziła limuzynę na parkingu hotelu Shelbourne. - I jeszcze to salutowanie wszystkiemu, co się rusza, z flagą włącznie. To naprawdę było piękne. Zresztą, wciąż nieźle się prezentujecie.

Garvin już miał się oburzyć, gdy zauważył ironiczny grymas na twarzy Jasith.

- No to dlaczego nie pozwoliłaś nam się przebrać? - spytał Njangu. - Myślisz, że dobrze nam w tych mundurkach? Za bardzo się w nich rzucamy w oczy, więc trudno nam wśliznąć się gdziekolwiek niepostrzeżenie.

- Bo jesteście ze mną - odparła dziewczyna. - A to znaczy, że macie nie tylko ładnie wyglądać, ale też dobrze się zachowywać. - Wysiadła z wozu i podała parkingowemu banknot. Jak przystało na osobę obrzydliwie wręcz bogatą, zrobiła to z niewymuszoną arogancją.

- Grzeczni malowani chłopcy? - spytał Njangu. - No to będzie nudno. Powinienem polecieć promem. Oszczędziłbym sobie gadania.

- Ale zabrakłoby ci towarzystwa kogoś tak uroczego jak ja - stwierdziła Jasith. - Poza tym spodziewam się spotkać tu pewną moją przyjaciółkę. Najpewniej samą i tęskniącą za kimś miłym.

- Wielce patriotyczna postawa - mruknął Garvin.

Kopnęła go w kostkę i skrzywiła się.

- Właśnie na takie okazje żołnierze noszą buty z cholewami - zauważył Jaansma.

- Chodźcie już - powiedział Njangu. - Napitki czekają.

Shelbourne, najbardziej ekskluzywny hotel na Cumbre D, był miejscem spotkań polityków i rentierów. Co dziwne, obsługa nie miała nic przeciwko obecności legionistów z kompanii zwiadu, a w każdym razie żadnego nigdy jeszcze mnie usunęła. O ile płacił rachunki, naturalnie.

Do głównego wejścia prowadził półokrągły podjazd, za którym wznosiły się niskie schody prowadzące do recepcji. Ściany były tu szklane, złożone z wielu małych paneli w stylu retro.

Gdy Garvin, Jasith i Jaansma ruszyli po stopniach, w drzwiach nagle pojawił się wyraźnie podpity Loy Kuoro. Za nim kroczyło dwóch osiłków. Cała trójka była w wieczorowych garniturach.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Kuoro zauważył Jasith i Garvina i poczerwieniał.

Jasith i Garvin udali, że go nie widzą.

Gdy obie grupy się mijały, Kuoro pochylił się w kierunku Jasith i powiedział coś do niej półgłosem.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, twarz pobladła. Uniosła rękę, aby spoliczkować byłego męża.

Kuoro odepchnął ją dość mocno. Musiała przyklęknąć, aby nie upaść.

Garvin złapał wyciągniętą rękę właściciela „Matin" i wykręcił ją gwałtownie. Dał się słyszeć trzask pękającej kości. Kuoro wrzasnął i złapał się za łokieć.

Jeden z ochroniarzy zamierzył się na Garvina, ale on już stał nieco z boku i obracał się ku drugiemu gorylowi Kuora. Osiłek uniósł przedramiona, ale Jaansma przemknął poniżej, uderzył tamtego głową w twarz i zaraz poprawił pięścią w żołądek. Mężczyzna upadł i zwymiotował.

Pierwszy tymczasem spróbował kopnąć Garvina, jednak Yoshitaro złapał oburącz uniesioną nogę i kopnął go w krocze. Goryl jęknął głucho i zatoczył się na Kuora, który kulił się, chroniąc złamaną rękę. Potrącony zaskrzeczał, stracił równowagę i odbił się od szklanej ściany.

Chwilę potem metr nad sobą ujrzał skrzywioną twarz Yoshitara, który kopnął go obunóż z wyskoku i posłał z im - petem do holu. Kuoro poleciał w brzęku szkła, Njangu natomiast zgrabnie wylądował na równych nogach. Wkoło zaroiło się od służby hotelowej.

- Sukinsyn - mruknął Garvin. - A swoją drogą, co ci powiedział? - zapytał Jasith.

- Nieważne - odparła.

- Teraz już tak - zgodził się Njangu i przyjrzał się zniszczeniom. - Chyba trochę popsuliśmy stosunki armii z prasą, nie sądzicie? Skąd on wziął tych dwóch?

- A co to ma za znaczenie? - spytał Garvin. - Może z agencji, a może z redakcji sportowej. - Kopnął kawałek szkła. - Dobrze, że Legion płaci dzisiaj nasze rachunki. Chyba zbierze się tego trochę.

- Może, ale na pewno bardziej mi ulżyło, niż gdybym się upił - zauważył z uśmiechem Njangu. - Szkoda tylko, że gnojek przeżył.

- Bijatyka w miejscu publicznym - warknął caud Angara. - W mundurach. Nie sprowokowany atak, po którym odwieziono do szpitala największego wydawcę na Cumbre. Oraz jego dwóch ochroniarzy.

- Tak jest, sir - powiedział Jaansma. Razem z Yoshitarem stał na baczność przed biurkiem dowódcy.

- Macie coś na swoje usprawiedliwienie?

- Nie, sir - odparł Yoshitaro.

Angara spojrzał na nich uważnie i wziął z biurka jakiś papier.

- Pan Kuoro postanowił nie wnosić przeciwko wam oskarżenia. Jego adwokat przekazał nam, że oczekuje, iż zajmie się wami wojskowy wymiar sprawiedliwości. Ma nadzieję, że dzięki temu kara będzie surowsza. - Angara chrząknął. - Nie lubię, gdy cywile próbują się nami wyręczać - dodał po chwili i westchnął. - Poza tym znam trochę pana Kuora i wiem co nieco o pewnych... tarciach pomiędzy nim a milem Jaansmą. Domyślam się zatem, jak naprawdę to wyglądało. - Przedarł kartkę na pół i cisnął ją do kosza. - Nie będę zajmował żadnego oficjalnego stanowiska w tej sprawie, nie zamierzam też wysuwać przeciwko wam żadnych zarzutów ani wpisywać niczego do akt. Oczekuję natomiast, że zapłacicie z własnej kieszeni za szkody, które spowodowaliście w hotelu. Tak będzie chyba uczciwie. Ponadto

umieszczę was na mojej prywatnej liście podpadniętych. Macie się pilnować do czasu, gdy wam powiem, że alarm odwołany. Rozumiecie?

- Tak jest, sir - odpowiedzieli chórem.

- Podpowiadam też, że najłatwiej będzie wam wrócić do łask, jeśli szybko złapiecie tego szpiega. To wszystko. Odmaszerować.

Garvin zasalutował. Sztywni niczym nakręcane żołnierzyki skierowali się do drzwi.

- Jaansma!

- Tak jest, sir?

- Czy po tym wszystkim poszliście się napić, jak zamierzaliście?

- Nie, sir. Uznaliśmy, że w tej sytuacji nie byłby to najlepszy pomysł.

Angara przytaknął, a gdy wyszli, uśmiechnął się, pokręcił głową i zajął się innymi sprawami.

- Dobra, według mnie to wygląda tak - powiedział Yoshitaro, spoglądając na ekrany. - Ponieważ Redruth nie bawił nigdy długo w Cumbre, musiał zwerbować tego swojego agenta gdzieś poza układem. Chodzi zatem albo o rodowitego mieszkańca Lariksa i Kury, albo o kogoś z Cumbre, kto spędził tam dość czasu, aby dać się urobić.

- Brzmi logicznie - stwierdził polegujący na kanapie Hedley.

- Byłoby znacznie prościej, gdyby wszyscy mieli u nas dowody tożsamości - powiedział Yoshitaro. - Sprawdzilibyśmy w zapisach, kto bywał u Redrutha, zgarnęli wszystkich podpadających i przykręcili im śrubę.

- I ty to mówisz? - zdumiał się Garvin. - Z twoją przeszłością...

Hedley spojrzał zaciekawiony na Njangu, ale Yoshitaro uznał, że nie pora opowiadać przełożonemu o swojej karierze kryminalisty.

- Nawet gdybyś wyłowił wszystkich, którzy tam byli, nie załatwiłoby to sprawy - powiedział Hedley. - Zanim tu przylecieliście, rentierzy często fundowali sobie wakacje na Lariksie. Połączone z zakupami. Gdybyśmy zaczęli ich indagować, wywołalibyśmy plotki, które na pewno dotarłyby i do naszego chłoptasia.

- Zatem wszystko musi poczekać do czasu, aż wpadniemy na jakiś ślad - stwierdził Garvin. - Cencie Yoshitaro, pora założyć przynętę na haczyk.

- Słusznie - przytaknął Njangu. - Możemy chyba przyjąć, że gość uwierzył w sztuczkę z fałszywymi szpiegami i nie będzie się przesadnie pilnował. Zaczynamy więc operację przeciwko układowi Kura.

Hedley zerknął na wydruk.

- Jesteście pewni... o ile można być czegokolwiek pewnym, naturalnie... że ta lista obejmuje wszystkich, którzy wiedzieli o naszej próbie spenetrowania układu Larix?

- Wiele brakuje nam do ideału, szefie - odparł ze znużeniem Njangu. - Jednak trochę potrafimy. Naprawdę przyłożyliśmy się do sprawy.

- I jesteście skłonni na tyle zaufać Grupie, aby szukać przecieku tylko wśród cywilów?

- Ja nie - powiedział Yoshitaro. - Ja nikomu nie wierzę. Ale Garvin uważa, że nie możemy za bardzo rozpraszać sił.

- Dobra - mruknął Hedley. - Ruszcie zatem tyłki i zorganizujcie co trzeba. I przypilnujcie, żeby nikogo nie pominięto.

- Znowu czarna robota - mruknął Yoshitaro, ale daleko mu było do zniechęcenia.

- Muszę ci coś powiedzieć, Njangu - odezwał się Ben Dill.

- Że to ty jesteś tym, kogo szukamy? - Dill brał udział w nieudanej operacji przeciwko Lariksowi, nie kryli więc przed nim prawdy o obecnej fałszywce.

- Tak, przekupili mnie dwoma drinkami i pieczonym felmetem.

- A, to dlatego tak ci jedzie z gęby. O co chodzi?

Dill powiedział. Gdy skończył, rozłożył ręce.

- Przepraszam, ale bardzo się wtedy spieszyliśmy.

- I dlatego nic nie wspomniałeś?

- Niezupełnie. Zapomniałem w rozgardiaszu. Alikhan mi przypomniał.

- Świetnie - warknął Njangu. - Gdybyś wpadł na coś jeszcze, nie zwlekaj tyle. Na przykład z wiadomością, że twoja ciotka jest szefem wywiadu Redrutha.

- To jeszcze o niej nie opowiedziałem?

- Cent Dill po odbiór materiałów kartograficznych - powiedział Ben. - Nakaz rekwizycji YAG jeden dziewięć osiem. - Stojący obok niego musth nie odzywał się, tylko kręcił głową na wszystkie strony.

Urzędniczka zdjęła okulary, spojrzała krzywo na obcego i wyjęła spod blatu teczkę z zamkiem szyfrowym. Nieco zbyt ciężko postawiła ją przed mundurowymi.

- Dzięki - powiedział Dill, podpisał kwit i obaj wyszli.

Urzędniczka rozejrzała się po biurze portu. Jej przełożona i jedna z koleżanek wciąż siedziały na swoich miejscach.

- Czy może pani zastąpić mnie na chwilę? - zapytała szefową.

Przełożona pokiwała głową, a urzędniczka wzięła torebkę i poszła do toalety.

- Bingo! - powiedziała technik. - Mamy sygnał. Odczytaliśmy tylko jedenaście" i „szyfruję", bo nie szło otwartym tekstem, reszta jest zakodowana.

- To wystarczy? - spytał Yoshitara przydzielony do zespołu podoficer.

- Aż nadto - odparł Njangu i spojrzał na czterech żandarmów, którzy czekali w griersonie zaparkowanym obok biur kosmoportu - Brać ją. Nie pozwólcie jej zażyć trucizny i dopilnujcie, aby wzięła wszystkie swoje rzeczy. Wyprowadźcie ją szybko i dyskretnie. Pamiętajcie, nie ma żadnych praw, ani do adwokata, ani do niczego innego.

- Mamy jedną osobę z siatki - meldował Hedley. - Nasi analitycy szukają pozostałych informatorów, na razie jednak nie wpadliśmy na nikogo poza tą Pon Wrathers.

- Sprężcie się - odparł Angara. - Czas ucieka.

Pomieszczenie było bardzo obszerne i wyglądało na część skrytego pod ziemią bunkra. Gdzieś z oddali dobiegał szum. Niezbyt głośny, ale dość, żeby zirytować. Pon Wrathers stała w kręgu światła. Przed sobą widziała biurko, za którym siedział skryty w cieniu mężczyzna. Na blacie leżało jakieś małe urządzenie.

- Chcę adwokata.

Cisza.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Njangu Yoshitaro.

- Pan jest z policji?

Znowu cisza.

- Dlaczego zostałam zatrzymana?

- Dla kogo szpiegujesz? - spytał Njangu.

- Nie jestem szpiegiem!

- To dlaczego zaraz po wyjściu z twojego biura oficerów floty kosmicznej nadałaś zakodowany sygnał?

- Niczego nie nadawałam! To coś podrzucili mi ci ludzie, którzy mnie aresztowali.

- Jesteś albo bystra, albo dobrze przeszkolona - powiedział Njangu. - Zdajesz sobie sprawę, że wysługujesz się rządowi innego układu?

Wrathers wzdrygnęła się lekko. Ledwo zauważalnie.

- Niczego takiego nie zrobiłam! Chcę adwokata!

- Pozwól, że ci coś uświadomię, Wrathers. Nie zamierzam ci mówić, kogo reprezentuję. Możesz się tylko domyślać, czy którąś z agend rządowych, czy... Pamiętasz, jak rentierzy stworzyli kiedyś własne oddziały paramilitarne?

Aresztowanej niespokojnie zadrgały powieki.

- Sama więc rozumiesz, że twoje dopominanie się o adwokata może być bezprzedmiotowe. Lepiej pomyśl o sobie. Co się z tobą stanie? Nikt nie wie, gdzie cię trzymamy...

- Kim jesteście? Co ze mną zrobicie?

Njangu odczekał chwilę. Chcąc nie chcąc, znalazł się po drugiej stronie barykady i teraz sam stosował to, co poznał kiedyś na planecie Waughtal.

- Nic. Na razie - stwierdził spokojnie. - Odpowiedz tylko na kilka pytań. Dlaczego szyfrowałaś wiadomość?

- Już mówiłam, że niczego nie wysyłałam!

- Kto kryje się pod kryptonimem Mar?

- Nie wiem, kim jest Mar jedenaście. - Wrathers zorientowała się poniewczasie, że jednak się wygadała, ale Yoshitaro jakby nie zwrócił na to uwagi.

- Nie szyfrowałaś?

- Po raz trzydziesty trzeci powtarzam, że niczego nie szyfrowałam. Jestem obywatelką Cumbre i czy jesteście z policji, czy z wojska, nie mieliście prawa mnie tak zabrać, nie przedstawiając żadnych zarzutów, i zamykać na wiele godzin w ciemnej celi, a teraz jeszcze dręczyć bez końca głupimi pytaniami!

Na urządzeniu zapaliło się czerwone światełko.

- Mamy już dość - dobiegło z niego.

- Dobrze - powiedział Njangu. - Na wszelki wypadek niech dalej działa. I przyślij kogoś, żeby ją wyprowadził.

Yoshitaro wstał.

- Co teraz ze mną zrobicie? Lepiej nie próbujcie mnie torturować ani nic, bo was zaskarżę, gdy już stąd wyjdę - rzuciła Wrathers, pojmując, że tylko krok dzieli ją od histerii.

- Co teraz? Jeśli wszystko pójdzie dobrze, potrzymamy cię jeszcze z dobę, a potem zwolnimy, nie przedstawiając żadnych zarzutów. Będziesz mogła wrócić do swoich spraw, chociaż przypuszczam, że nie popracujesz już długo na swoim stanowisku. Nawet biurokraci nie lubią szpiegów.

- Wzięliście mnie tutaj i zamknęliście... właściwie po co? Nie odpowiedziałam na żadne pytanie...

- Nie musisz - stwierdził Njangu.

- Proszę, panie Yoshitaro - powiedział caud Angara. - Nachodziłeś się wokół tego, więc zasłużyłeś.

Njangu zaczerpnął głęboko powietrza. To była największa operacja, za którą był dotąd odpowiedzialny, i jak dotąd mieli tylko Wrathers.

Tej nocy przestrzeń powietrzna wkoło wyspy Chance roiła się od griersonów, limuzyn na cywilnych numerach i ślizgaczy z uzbrojonymi żołnierzami na pokładach. Wszyscy nasłuchiwali na jednej i tej samej częstotliwości. Na orbicie robiły to samo satelity, podobnie jak wszystkie anteny, do których Grupa miała dostęp.

Technik wystukał kilka cyfr na komunikatorze. Urządzenie pisnęło dwa razy i uzyskał połączenie. Drugi technik włączył nagranie.

- Mar jedenaście, na szyfrowym - rozległ się zarejestrowany podczas przesłuchania i poddany cyfrowej obróbce głos Wrathers.

Za pierwszymi słowami popłynął cały ich potok. Były to przypadkowo dobrane słowa, wciąż jednak wypowiadane głosem Wrathers.

Pozostali technicy pracowali gorączkowo przy swoich konsolach. Jeden z nich uśmiechnął się nagle i uniósł kciuk.

- Nie tłumacz, powtórz - rozległ się po chwili obcy głos.

Odtworzyli nagranie raz jeszcze. Rozmówca przekonał się szybko, że nie chodziło o błąd w kodowaniu. Wiadomość rzeczywiście była zwykłym bełkotem. Njangu nie wiedział, czy logiczne zdanie nie wyzwoli jakichś zaprogramowanych ustawień komunikatora, i nie chciał przedobrzyć.

Nagle połączenie zostało zerwane.

- Mamy go - powiedział technik. - Przekaz poszedł gdzieś w kierunku wyspy Landbay, a potem wrócił ku głównej wyspie. Odpowiedź przyszła z... stąd. Pokazał palcem jakiś punkt na wielkiej mapie. - Tungi. Mamy dokładny namiar - dodał, wiedząc, że słyszą go wszystkie zaangażowane w akcję oddziały. Przełączył ekran na lotnicze zdjęcie wioski. - Chodzi o tę posiadłość.

Njangu włączył własny mikrofon.

- Garvin, widzisz. Bierzcie go. Ja zajmę się zabezpieczeniem okolic Tungi.

Rozległo się podwójne kliknięcie i zaciemnione griersony ruszyły pełną szybkością w kierunku górskiej wioski.

Ab Yohns wpatrywał się w odbiornik i czuł, jak jeżą mu się włoski na karku i ramionach. Zawahał się, ale po chwili sięgnął i obrócił klucz. Potem podszedł do schodów i odsunął pokrywkę z zamocowanej tam skrzynki z jednym dużym przełącznikiem. Wcisnął go i czym prędzej wyszedł z piwnicy, w której zaczynał się już rozchodzić swąd palonej instalacji.

Po chwili wybiegł z willi. Nad oceanem widać było czarne punkty nadlatujących maszyn, słyszał nawet coraz głośniejszy wizg ich turbin.

Uśmiechnął się pod nosem. Za późno, przyjaciele, pomyślał i pobiegł do dżungli, gdzie ukrył mały ślizgacz.

- Mam transmisję z Tungi - zameldował technik.

- Śledzić! - rozkazał Njangu.

Pierwszy grierson wylądował dziesięć metrów od wznoszącej się wysoko nad wioską willi. Inne pojazdy zablokowały wszystkie drogi na dół.

Garvin wyskoczył skulony z maszyny i razem z innymi, skokami, dobiegł do budynku. Na wszelki wypadek trzymał w rękach gotowy do strzału blaster, ale nikt na nich nie czekał.

- Sir, wyczuwam dym - odezwał się jeden z żołnierzy. - Coś się pali!

Garvin pociągnął nosem.

- Bez wątpienia. - Włączył komunikator. - Przyślijcie tu strażaków. Gość włączył machinę piekielną.

Njangu wcisnął się do szybkiego ślizgacza, niegdyś cywilnej limuzyny, i nadstawił ucha na to, co płynęło z przypiętego do pasa komunikatora. Poza nim zabrał jeszcze dwa pistolety.

- Baza Sybilla, macie już namiar tej ostatniej transmisji z Tungi? - spytał po chwili i spojrzał na pilota. - Startujemy, Niedźwiedź. Tak jak wczoraj.

Silnik zawył i limuzyna ostro wzniosła się w powietrze. Po paru sekundach Njangu otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

- Baza Sybilla, tu Janus Sześć - powiedział Garvin. - Cały dom płonie i jeszcze nie ma strażaków. Stracimy wszystko.

- Mówi Baza Sybilla. Straż w drodze, ale będzie na miejscu dopiero za dziesięć minut. Róbcie, co się da.

- Janus Sześć, tu Sybilla Sześć - rozległ się nowy głos. - Zostawcie ten dom i startujcie. Szybko. Zwierzyna nam ucieka.

Ab Yohns wprowadził ślizgacz w przecinkę, wcisnął go w zarośla i przyziemił. Do świtu zostały jakieś dwie godziny. Wysiadł, wyjął z kieszeni mały nadajnik i ponownie wcisnął guzik.

Poruszyła się ziemia i uniósł się wielki prostokątny kawał darni, który po chwili odsunął się na bok. Pod nim czekał w kryjówce ożywiony wcześniejszym sygnałem trzydziestotrzymetrowy jacht z rozgrzanym napędem i modułem nawigacyjnym nastawionym na jedną z asteroid krążących w pasie poza orbitą Cumbre G.

Gdy tam doleci, wezwie statek, który zabierze go z układu.

Yohns nie mógł się oprzeć i pogratulował sobie przebiegłości, dzięki której już wiele lat temu wynajął ekipę budowlaną z Leggett City, która wybudowała mu pod willą „piwnicę na wino". Jemu zostało tylko zainstalować elektronikę.

Podobnie, ale korzystając z usług innej firmy, która normalnie specjalizowała się w montowaniu basenów, zbudował tę kryjówkę na brzegu wyspy Mullion, nieco na wschód od Chance. Oficjalnie miał to być magazyn obozowiska myśliwskiego.

Lekka panika, która przydała mu wcześniej skrzydeł, zaczynała z wolna mijać. Za pół godziny znajdzie się poza zasięgiem Konfederacji, a trochę później rozpocznie życie naprawdę bogatego człowieka.

Kilka metrów za jego plecami rozchyliły się zarośla i pomiędzy listowiem zajaśniała twarz Njangu Yoshitaro, który uniósł pistolet z długą lufą i ściągnął język spustowy. Strzałka trafiła Yohnsa w szyję. Mężczyzna zdążył tylko unieść dłoń i klepnąć się w kark w przekonaniu, że ugryzł go jakiś owad, ale zaraz potem padł bezwładnie. Njangu schował wiatrówkę i sięgnął po blaster.

- Obróć go na plecy, Niedźwiedziu.

Wielki potomek Indian wstał i przeciągnął się.

- Fajnie, że nie służę w zwiadzie - powiedział. - Jeszcze trochę tego czekania i węże odgryzłyby mi jaja.

Podeszli przecinką do leżącego agenta.

- Teraz rozbierzemy go i sprawdzimy, czy niczego nie ukrył. W ustach albo gdziekolwiek - mruknął Njangu i wyjął kajdanki z tworzywa. - A potem zwiążemy go jak barana. I podobnie jak baran trafi na rożen...

4

Dwaj żandarmi wprowadzili Yohnsa do pokoju, wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Pomieszczenie było komfortowo wyposażone i mogłoby pełnić funkcję wygodnej kwatery, tyle że nie było w nim okien ani żadnych urządzeń łączności.

Byli za to Njangu Yoshitaro i Jon Hedley, obaj uśmiechnięci i rozluźnieni.

- Proszę usiąść - powiedział Hedley. - Tam znajdzie pan coś do picia. Bez alkoholu.

- Dziękuję, ale nie.

- Jak pan chce - powiedział Njangu. - Mogę wypić pierwszy. Nie są niczym zaprawione.

Yohns uśmiechnął się i usiadł.

- Mam nadzieję, że skutki działania środka oszałamiającego już przeszły - stwierdził Hedley. - Lekarz zapewniał mnie, że od paru godzin powinien pan czuć się normalnie.

- Tak też jest - przyznał Yohns. - Stosujecie panowie nader cywilizowane metody.

- A dlaczego by nie? - powiedział Hedley. - Jesteśmy zawodowcami i zakładamy, że pan też się do nich zalicza. Przy okazji, nazywam się Hancock, a to Dexter. Należał do ekipy, która wpadła na pomysł, jak pana pojmać.

- A? - Yohns skłonił lekko głowę. - Dobra robota.

Njangu odkłonił się.

Hedley wstał.

- Chcę pana zapewnić, że znajduje się pan w rękach przedstawicieli Konfederacji i będzie traktowany zgodnie ze wszystkimi traktatami. W takiej mierze, w jakiej sytuacja na to pozwoli, oczywiście.

- Dziękuję, milu Hedley - powiedział Yohns. - Poznaję, z kim mam przyjemność. Widziałem pana w holo.

- Ta przeklęta popularność - mruknął Hedley. - Dexter, możesz przejąć rozmowę - dodał i wyszedł.

- Pana jakoś nie kojarzę - powiedział Yohns.

- Jak powiedział mój szef, nazywam się Dexter.

- Dobrze, panie... Dexter.

- W Tungi był pan znany jako Ab Yohns - zaczął Njangu. - Jak się pan naprawdę nazywa?

- Szczerze mówiąc, chyba już nie pamiętam. Ludzie mojej profesji często zmieniają tożsamość. Zostańmy więc może przy nazwisku Yohns. Korzystałem z niego przez szereg ostatnich lat i było mi z tym dobrze. Czy mogę spytać, co dla mnie szykujecie?

- Jak powiedział mój szef, będziemy troszczyć się o pana. Jeśli otrzymamy od pana to, czego chcemy, naturalnie. Zapewne domyśla się pan, o co chodzi.

- To znaczy?

- Wszystko, co pan wie o Lariksie, Kurze, protektorze Redrucie i jego siłach.

- Obawiam się, że panów zaskoczę.

- Czyli?

- Spotkał pan kiedyś Redrutha?

- Miałem nawet okazję strzelać do niego - odparł Njangu. - Niestety, chybiłem.

- No to jest pan lepszy ode mnie. Nie wiem, czy mi pan uwierzy, ale nawet nie widziałem człowieka na oczy.

- Zgrabnie pan to ujął.

- Ale to prawda - stwierdził Yohns. - Zostałem zwerbowany przez cały łańcuszek pośredników. Stało się to wiele lat temu, gdy przebywałem na Centralnym. Dobrze służyłem Redruthowi i byłem za to godziwie opłacany. Gdy sytuacja zaczęła się zmieniać na gorsze, postanowiłem przeczekać w jakimś spokojnym zakątku, aż wszystko się unormuje. Poszukałem miejsca leżącego w pobliżu układów mojego mocodawcy. Jego siedzibę wolałem omijać, bo jak pan zapewne świetnie wie, władcy boją się zwykle swoich szpiegów. Pomyślałem, że bezpieczniej będzie zachować pewien dystans. W końcu sam Redruth podsunął mi pomysł emigracji na Cumbre, gdzie mógłbym dalej mu służyć, jako że bardzo pragnął przejąć władzę i nad tym układem. Jeśli można... napiłbym się wody.

Njangu nalał pełną szklankę, upił i podał ją Yohnsowi.

- Przyleciałem więc na Cumbre odległe od Lariksa ledwie o godzinę biegu sygnału nadprzestrzennego. Zapewne mógłbym opisać moje wspomnienia z portu kosmicznego, ale niewiele ponadto. O tamtych systemach wiem tyle, ile widziałem w holo. Z pewnością macie o wiele dokładniejsze informacje na temat sił zbrojnych protektora niż to, co można zobaczyć w wiadomościach. Ostatecznie zamierzałem uciec na Lariksa, bo czekają tam na mnie wpłacane przez lata pieniądze, starałem się więc ze wszystkich sił. Redruth przyjąłby mnie, chociażby po to, żebym nie zaczął pracować dla kogoś innego.

- Możemy zweryfikować pańskie zeznania za pomocą środków medycznych - powiedział Njangu, nie kryjąc sceptycyzmu.

Kącik ust Yohnsa drgnął lekko.

- Owszem - odparł nieco spięty. - Ale potwierdzicie w ten sposób jedynie to, co już powiedziałem. Obawiam się, że jestem jak puste naczynie. Nie oznacza to jednak, że nie boję się tortur, fizycznych czy psychicznych, które by mnie rozbiły. Boję się bólu. Wolałbym też nie trafić do ciemnego lochu ze szczurami. Jak wspomniał pana przełożony, jestem

zawodowcem. Poczuję się całkowicie usatysfakcjonowany, jeśli osadzicie mnie w jakimś wygodnym więzieniu na odległej wyspie. Ze swojej strony zrobię, co mogę, aby pomóc wam w walce z Redruthem. Mam nadzieję, że pozwolicie mi za to żyć, i to w godziwych warunkach. - Nagle stracił nieco pewności siebie. - Myśli pan, że dałoby się to zrobić? - spytał.

Njangu zachował kamienną twarz.

- Porozmawiam o tym z moimi przełożonymi - powiedział, wstając. - Obawiam się jednak, że nie może pan pozostać w tym pokoju, bo nie zapewnia on wystarczającego bezpieczeństwa. Za kilka minut zostanie pan odprowadzony tam, gdzie przebywał pan ostatnio. Jutro wrócimy do naszej rozmowy i mam nadzieję, że przypomni pan sobie coś więcej na temat Lariksa i Kury.

Yohns też wstał i wciągnął rękę.

- Jestem pewien, że będzie nam się dobrze współpracowało.

Yoshitaro wolałby nie ściskać mu dłoni, ale to zrobił.

Wyszedł i spojrzał na czekających żandarmów.

- Zabierzcie go z powrotem do celi. I jeszcze jedno... Macie cały czas pilnować, żeby sobie czegoś nie zrobił.

- Tak jest, sir.

Ktoś załomotał do drzwi. Njangu zerwał się z posłania i jednym ruchem wyciągnął spod poduszki pistolet.

- Tak?

- Cencie Yoshitaro! - rozległ się głos oficera dyżurnego. - Pilna sprawa!

Njangu natychmiast otworzył drzwi.

- Sir, dzwonili z Sekcji II, żeby zjawił się pan zaraz w areszcie.

- Niełatwy sposób wybrał - mruknął mil Hedley, patrząc na zakrwawione ciało. - Chyba nie miałbym tyle odwagi, żeby sobie odgryźć język i spokojnie wykrwawić się na śmierć.

- Nie rozumiem, dlaczego to zrobił - powiedział Njangu.

- Kto to może wiedzieć? Szpiedzy nie są szczególnie zrównoważeni. Może nie uwierzył, że naprawdę nie chcemy go zakuć w łańcuchy. Chociaż przypuszczam, że chodziło o jego zranioną dumę. Dumę wielkiego agenta, który dał się pojmać bandzie piechociarzy.

- Nakazałem pilnować go na okrągło - warknął Njangu, opanowując złość. - Ale poprosił o wodę i obaj strażnicy wyszli z celi. Dopilnuję, aby trafili na najmniejszą wysepkę, jaką uda się dla nich znaleźć. Będą tam mogli pilnować siebie nawzajem. - Postanowiwszy o losie niesumiennych strażników, spojrzał znowu na ciało Yohnsa. - Tyle roboty i taki koniec...

- A tak. Zostaliśmy z niczym - przyznał Hedley. - Tyle że nikt nie będzie nam już zaglądał przez ramię. Ale rzeczywiście, z nim moglibyśmy zrobić o wiele, wiele więcej.

Yoshitaro wspomniał, co usłyszał o domniemanej ignorancji szpiega.

- Może tak, a może nie - mruknął i nagle coś przyszło mu do głowy. - Chociaż niewykluczone, że jeszcze nam się to opłaci.

- Niby jak?

Njangu ustawił się do Hedleya profilem.

- Czy nie przypominam niejakiego Yohnsa?

5

Należący jeszcze niedawno do Aba Yohnsa jacht zrównał się z przypominającą sztangę asteroidą i powoli wylądował na jej powierzchni. Eskortujący go velv zawisł w odległości trzech kilometrów.

- No, udało się - powiedział Ben Dill.

Njangu Yoshitaro wstał z fotela drugiego pilota.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem, że nas tu doprowadzisz.

- Może, ale niestety, obawiam się, że nie umiesz docenić tego, iż znalazłeś się pod opieką największego geniusza pilotażu od czasu Orville'a i Wilbura Lillienthalów! Wszystko przez to, że sam nie potrafisz pilotować. Rany, ale jestem zarozumiały.

- Nie gadaj.

- A jednak. Ale chciałem o czym innym. Zgłosiłem się na ochotnika, żeby polecieć tu z tobą, i niedobrze, bo coś nam przez to umknęło. Odgrywasz Aba Yohnsa, który był szpiegiem, ale i pilotem, bo inaczej nie miałby jachtu.

- Nie przypominaj mi o brakach w moim przygotowaniu do roli.

- A co będzie, jeśli ktoś cię poprosi, żebyś wszedł na orbitę Lariksa?

- Dostanę najgorszego bólu głowy w historii ludzkości - powiedział Yoshitaro, po czym przeszedł do przedziału pasażerskiego i otworzył właz. - Dobra, kochani, do roboty. - Czterech techników w sterylnie czystych kombinezonach zrobiło z kokpitem to samo, co wcześniej w głębi statku. Dwa razy wytarli wszystkie powierzchnie, usuwając z nich odciski palców, po czym nanieśli na nie w strategicznych miejscach rozmazane ślady kilku przypadkowych osób, a potem odciski samego Yoshitara. Następnie powtórzyli te zabiegi ze sterami oraz konsolą sterowniczą i polecili Njangu pobawić się przez chwilę w pilota.

Dill pożegnał się tymczasem, wcisnął w kombinezon i odbił się od poszycia jachtu, aby dotrzeć do czekającego velva. Technicy upewnili się jeszcze, że w układach oczyszczania jachtu nie zostało nic niepożądanego w rodzaju cudzego włosa, plwociny czy resztek odchodów, i poszli w ślady Dilla.

Yoshitaro został sam w próżni. Prawie pół średnicy układu od najbliższego zamieszkanego świata.

- Muzycy już nastroili instrumenty i reflektor kieruje się na podium - mruknął.

Po raz nie wiadomo już który przeszedł do toalety i spojrzał na swoją nową twarz. Włosy miał lekko siwe na skroniach, skórę bardziej pomarszczoną, jednak trudno było mu dać więcej niż trzydzieści pięć lat, chociaż Yohns miał w chwili śmierci zapewne około pięciu krzyżyków na karku. Można było tylko żywić nadzieję, że Redruth nie ma świadectwa urodzenia swojego szpiega. No i że lekarze zgodnie z obietnicą zdołają kiedyś przywrócić mu dawny wygląd.

- Na scenę wychodzi dyrygent. Stuka batutą w pulpit. Na sali zapada cisza.

Yoshitaro musnął palcem odpowiedni sensor i wysłał w ten sposób ku Lariksowi sygnał o pomoc.

- Dyrygent unosi batutę... I wpada do kanału orkiestry, gdy pierwsze odzywa się kazoo... Cholera, muszę się napić. Mam nadzieję, że Yohns pijał coś, co lubię. I w ogóle zastanów się nad sobą, chłopie. Minęła dopiero godzina, a ty już gadasz do siebie.

Dill nie musiał wyszczególniać wszystkich zagrożeń związanych z odgrywaniem Yohnsa - i tak były dobrze znane. Z konieczności założono, że skoro agent nigdy nie spotkał Redrutha, nie było też nigdzie pod ręką fotografii Yohnsa, która z miejsca przyczyniłaby się do zguby Njangu. Po drugie, Yoshitaro nie wiedział niemal nic o życiu szpiega, zatem najprostsze nawet pytanie o jego przeszłość byłoby równie niebezpieczne.

Na dodatek samo utrzymanie tożsamości też jeszcze nie gwarantowało sukcesu. Nie był najlepiej wyposażonym szpiegiem w historii, i to poczynając od najważniejszego - sprzętu służącego do składania meldunków.

Angara zaaprobował pomysł tylko dzięki jednemu: założył, że Larix jest wyposażony w te same, typowe dla Konfederacji, moduły łączności co Cumbre. W zasadzie więc Njangu nie potrzebował własnych urządzeń, starczyłoby, aby zdobył jedno na miejscu

i zmodyfikował je za pomocą któregoś z czterech zabranych czipów. Przynajmniej tak to wyglądało w teorii.

Jednak snucie czarnych wizji nie mogło mu wiele dać, a Yoshitaro potrzebował jakiegoś dobrego sposobu na przepędzenie godzin oczekiwania. Znalazł kilkanaście holo, w większości świętych ksiąg rozmaitych religii, i zastanowił się przelotnie, jak Yohns godził te umoralniające treści, w których zdradę zawsze nazywano zdradą, a kłamstwo kłamstwem, ze swoją pracą.

Może po prostu był ciekaw, jak można żyć inaczej? Albo wierzył w jakieś życie po śmierci i starał się wkupić w łaski nieznanych mocy?

Tak czy owak, nie była to lektura w guście Njangu, chociaż ostatecznie przeczytał uważnie wszystko i nieźle się ubawił, tropiąc niezliczone sprzeczności.

Potem zaczął sobie przypominać wszystkie znane kata, a nawet wymyślił kilka własnych układów.

Na sztuki walki ci się zebrało, idioto? - pomyślał. Lepiej zajmij się medytacją zen.

Z obawy, że mógłby przegapić sygnał ekipy ratunkowej, nie zdecydował się na włożenie skafandra i spacer po asteroidzie. Wolał też nie ryzykować, że zatrzaśnie za sobą drzwi i zostanie jak głupi na skale pod statkiem.

W głębi ducha wciąż liczył, że Redruth porzuci swojego sługę na pastwę wroga, dzięki czemu on, Njangu, wróci niebawem do domu i będzie mógł się zająć czymś bezpieczniejszym.

Czas mijał powoli.

W końcu moduł łączności zdecydował się zapiszczeć.

Yoshitaro odpowiedział tym samym zaszyfrowanym przekazem, który wysłał, wzywając pomoc.

- Czekaj - usłyszał w odpowiedzi. Wiadomość przyszła zakodowana, ale komunikator rozszyfrował ją automatycznie. - Zostałeś zlokalizowany. Będziemy za dwadzieścia trzy standardowe godziny.

Potem urządzenie ucichło.

Zjawili się ledwie kilkanaście minut po terminie. Moduł katalogu flot, czyli poczciwego „Jane'sa", zidentyfikował okręt jako Corfe, należący niegdyś do Konfederacji niszczyciel przewodnik flotylli, który pojawił się kiedyś na Cumbre z usiłującym opanować układ Redruthem na pokładzie. Od „góry" osłaniały go dwa patrolowce klasy Nana. Pokrywy wyrzutni i działek bliskiego zasięgu były odsunięte, a uzbrojenie gotowe do akcji.

Uchyliły się wrota hangaru i wyłonił się zza nich mały ładownik, który po chwili przyziemił na asteroidzie. Wysiadło z niego pięciu ludzi w skafandrach, z których dwaj zajęli zaraz pozycje strzeleckie w pobliżu jachtu, a trzej pozostali podeszli do śluzy. Też z bronią gotową do strzału.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi, wpuściły gości, zamknęły się i zaszumiało wpuszczane do śluzy powietrze.

Yoshitaro włączył interkom.

- Wejdźcie.

- Trzymaj się na widoku z dala od drzwi śluzy - odpowiedział mu metaliczny głos. - I nie ruszaj się, gdy będziemy wchodzić.

Yoshitaro obrócił fotel i ułożył dłonie na kolanach. Drzwi śluzy uchyliły się. Pierwszy mężczyzna przekroczył próg, rozejrzał się uważnie i powiedział coś do zamontowanego w skafandrze mikrofonu. W kabinie pojawiła się druga osoba, tymczasem pierwszy z przybyłych zabrał się do penetrowania pozostałych pomieszczeń jachtu. Gdy wrócił, do środka wkroczył trzeci. Pozostali wycelowali broń w Njangu.

Ten ostatni uniósł w końcu osłonę hełmu i Yoshitaro zaraz go poznał.

- Ab Yohns, jak się domyślam - powiedział gość. - Nazywam się Celidon i dowodzę siłami zbrojnymi Lariksa i Kury.

Celidon był niegdyś oficerem Konfederacji i już wtedy słynął z wyjątkowej brutalności. Zwolniony ze służby, trafił do Redrutha jako najemnik. Był wysoki, miał pokryte bliznami czoło. Patrzył na Njangu z chłodnym zaciekawieniem.

- Miło mi was widzieć - powiedział Yoshitaro. - Zgotowałbym wam owacje, ale wolę nie ryzykować, że tych dwóch mnie postrzeli.

- Uznajmy zatem, że powitanie już mamy za sobą - stwierdził Celidon. - Zabierz, co twoje, i chodź ze mną. Jeszcze dziś chcemy opuścić ten układ.

- Nie mam wiele. Tylko tę torbę. Wyjeżdżałem nieco pośpiesznie.

- Włóż więc skafander i nastaw jego radiostację na kanał trzydziesty trzeci. Mój człowiek weźmie twoje rzeczy.

Yoshitaro posłuchał. Jeden z podwładnych Redrutha zdążył już starannie przeszukać jego skafander, a potem poprowadził Njangu do śluzy. Wyszli na zewnątrz. Chwilę później dołączył do nich drugi mężczyzna, na końcu zaś Celidon, który zamknął starannie za sobą drzwi śluzy.

- Zamierzacie zniszczyć mój jacht? - spytał Njangu.

- Nie - odparł Celidon. - Błysk mógłby przyciągnąć czyjąś uwagę, a już sama twoja ucieczka wzbudziła dość zamieszania. Zostawiłem prezent dla ciekawskich, którzy chcieliby tam wejść.

Njangu miał nadzieję, że w najbliższej przyszłości nikt tego nie spróbuje. Albo że nie będzie to przynajmniej nikt mu znany.

Przelecieli na Corfe, gdzie kazano Njangu zdjąć skafander, a potem zaprowadzono go do całkiem pozbawionego mebli pomieszczenia. Tam obszukano go i zostawiono samemu sobie.

Niszczyciel włączył napęd i chwilę później wykonał pierwszy skok. Nie mając nic innego do roboty, Njangu położył się na podłodze i spróbował zasnąć.

Jakiś czas później uzbrojona para, mężczyzna i kobieta, zaprowadziła go do wielkiej, ale po spartańsku urządzonej kabiny. Siedzący za biurkiem Celidon wskazał Njangu fotel. Na blacie leżała torba Yoshitara i ciężki, chociaż dość staromodny blaster.

- To jedyna broń, jaką ze sobą wziąłeś? - spytał Celidon.

- Nie... Czy mogę?

Celidon przytaknął.

Njangu wsunął dłoń za pas i sięgnąwszy na wysokość krocza, wyciągnął mały płaski pistolet na pociski eksplodujące.

- I moi ludzie go nie znaleźli...

- A jakoś nie.

- Protektor Redruth uważnie wybiera tych, którym pozwala nosić broń w swojej obecności. Jednak ponieważ niemal na pewno zostaniesz zaproszony do elity naszego rządu, nie powinno z tym być problemu. Dziękuję za szczerość.

Yoshitaro wyciągnął przed siebie ręce.

- Nie zapominam, dla kogo pracuję.

- Dobrze. Tych dwóch, którzy nie przeszukali cię dość dokładnie, ukarzę. Jeśli zaś mogę coś zasugerować: nie noś przy protektorze żadnej broni, nawet noża. Czasem bywa... nerwowy.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

Celidon podszedł do barku.

- Coś do picia?

- Chętnie. Cokolwiek pan zaproponuje.

- To jest herbata ziołowa - powiedział Celidon, nalewając płyn z metalowego czajniczka do szklanek. - Rozjaśnia mi umysł. - Podał jedną szklankę Njangu. - Bez wątpienia służy pan protektorowi... i jego światom już od wielu lat.

- I byłem za to wynagradzany.

- Pieniądze czekają na Lariksie zdeponowane w najbezpieczniejszym z banków - powiedział Celidon, upił herbaty i spojrzał z zaciekawieniem na Njangu. - Musiał pan bardzo wcześnie wejść do fachu. Nie spodziewałem się kogoś równie młodego.

- Niestety, jestem nieco starszy, niż może sugerować mój wygląd - odparł swobodnie Yoshitaro.

Celidon czekał przez chwilę na ciąg dalszy, ale w końcu pojął, że go nie usłyszy.

- Zdecydowałem się wziąć udział w tej misji w nadziei, że uda nam się porozmawiać, zanim staniesz przed Redruthem - stwierdził po chwili.

Njangu spojrzał na niego wyczekująco, ale nic nie powiedział.

- Bez wątpienia wiesz, jacy bywają autokratyczni władcy. Podejrzewają wszystkich wkoło, a szczególnie nieufni są wobec tajnych agentów, którzy sprawdzili się w konkretnych zadaniach.

- Oczywiście.

- Może cię zainteresuje, że jestem nie tylko naczelnym dowódcą sił zbrojnych, ale od sześciu miesięcy kieruję też wywiadem protektora. Nie mam jednak ochoty długo pełnić tej funkcji i przyjąłem ją tylko z konieczności. Ten, który sprawował ją wcześniej, uważał się za eksperta od makiawelicznych sztuczek, ale jak to czasem bywa: ludzie szczególnie dumni ze swoich intryg często kończą z ostrym żelastwem między szóstym i siódmym żebrem i wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy. W każdym razie z nim tak było. Człowiek ten spróbował rozegrać pewne sprawy z protektorem przeciwko mnie. Dlaczego tak postąpił, nie wiem, dość miałem własnych obowiązków, więc nie interesowałem się jego poczynaniami. Niemniej w pewnej chwili stał się dla mnie zagrożeniem, musiałem więc... coś z nim zrobić. W wyniku tego przejąłem jego obowiązki, a jego prochy uniósł wiatr. Zaraz wyjaśnię, co to ma wspólnego z tobą. Oczekuję wprawdzie, że protektor zaproponuje ci stanowisko w rządzie, zapewne w randze leitera. Zrobi cię specjalnym doradcą do spraw Cumbre i jeśli będziesz mu dobrze służył, z pewnością awansujesz. Możliwe, że z czasem zastąpisz mnie na stanowisku szefa służb bezpieczeństwa. Obecnie nie zamierzam ani rekomendować cię na to stanowisko, ani sprzeciwiać się podobnym planom. Jeśli jednak do tego dojdzie, sugeruję pamiętać, co się stało z tym, który uważał się za szczególnie przebiegłego, i dostosować plany i ambicje do możliwości. - Celidon uśmiechnął się chłodno. - Do Lariksa zostały nam jeszcze dwa skoki. Jedna z moich podwładnych zaprowadzi cię zaraz do wygodniejszej kabiny. Możesz swobodnie poruszać się po okręcie. Witaj na Lariksie, Yohns.

Yoshitaro wstał, skłonił się i ruszył za kobietą na korytarz.

Ale głupi drań, pomyślał. Najpierw mi opowiada, że każdy chytry zawsze pada w końcu ofiarą własnej przebiegłości, a potem sam próbuje mnie brać na stare sztuczki. Jakby nie miał dość podobnych idiotów u siebie. Lepiej jednak być ostrożnym.

6

Larix/Prime

W porcie kosmicznym wsiedli do limuzyny z wojskowymi oznaczeniami i po ceremoniale salutowania wystartowali w towarzystwie dwóch zhukovów. Yoshitaro spytał, przed kim ma chronić ich eskorta.

- Przed nikim - odparł najemnik. - Protektor dba o odpowiednią oprawę każdego pojawienia się przedstawiciela rządu. Robotnicy mają dzięki temu co podziwiać, a także o czym myśleć. Szczególnie ci, którym marzy się kariera dysydenta.

Agur było zgoła monolitycznym miastem pełnym wysokich i zwalistych gmachów zajmujących niekiedy cały kwartał. Wyglądały jak odlane z jednej bryły betonu, wszystkie brunatne albo jasnoniebieskie, bez dekoracji czy ozdób, chyba że uznałoby się za nie kolorowe tablice informujące o ich przeznaczeniu.

Limuzyna leciała dziesięć metrów nad ziemią, a jej syrena wyła niemiłosiernie. Njangu widział w dole wielu pieszych i liczne pojazdy, wszystkie zbudowane według tego samego wzoru. W powietrzu przemykały tylko nieliczne ślizgacze.

- Protektor zachęca ludność do korzystania z komunikacji naziemnej albo z naszej nader wydajnej sieci metra - powiedział Celidon takim tonem, jakby czytał rządową broszurę. - Ślizgacze są używane w zasadzie tylko przez instytucje państwowe i dla zapewnienia obywatelom komunikacji z wiejskimi obszarami rekreacyjnymi oraz centrami sportu i rozrywki.

Ludzie nosili jasne i często nie dopasowane kolorystycznie ubrania silnie kontrastujące z monotonnymi barwami budynków. Njangu nie potrafił orzec, czy wyglądają na szczęśliwych, smutnych, złych czy może przygnębionych.

- Z czystej ciekawości... jak sobie radzicie z kryminalistami i dysydentami? - spytał. - Stosujecie uwarunkowanie?

Celidon uśmiechnął się lodowato.

- Nie potrzebujemy uwarunkowania - stwierdził. - A co do ludzi sprawiających kłopoty, zwykle uznajemy ich za nie dostosowanych społecznie. Protektor nie widzi potrzeby, aby pozwalać takim indywiduom obrastać w tłuszcz na państwowym wikcie. Nie chce też ryzykować, że po opuszczeniu więzienia nadal będą szukać sposobów na nielegalne wzbogacenie się. Zamiast tego kierowani są do pracy fizycznej, ciężkiej i bardzo ryzykownej. Mamy tu podmorskie kopalnie i bazy na księżycu oraz jeszcze inne podobne miejsca. Ci z lżejszymi wyrokami przeżywają często czas odbywania kary, ale nie są już zwykle potem żadnym zagrożeniem dla społeczeństwa. A jeśli chodzi o dysydentów... W tym pokoleniu nie ma już prawdziwych. A inni... sam zobaczysz.

Njangu, który niewątpliwie stanowił niegdyś zagrożenie dla społeczeństwa, a obecnie mógłby uchodzić za dysydenta, zastanowił się głęboko nad słowami Celidona.

- A to jest pałac protektora - odezwał się najemnik kilka minut później.

W środku miasta został wydzielony obszar o średnicy trzech albo czterech kilometrów. W jego centrum wznosił się wielki gmach będący koszmarną mieszaniną stylów architektonicznych i niewątpliwie pasujący do marzeń przeciętnego dyktatora o pięknie i dostojeństwie. Cały był utkany barwnymi kopułami, iglicami i cudacznie przyozdobionymi wieżami.

Yoshitaro postanowił, że pewnego dnia, jeśli tylko uda mu się zdobyć wystarczającą ilość materiałów wybuchowych, zadba, aby miejscowi architekci mieli co odbudowywać.

- Czy domyślasz się może, jak zdołali cię zdemaskować? - spytał Redruth. Byli sami w wielkim gabinecie, a w każdym razie nikogo więcej nie było tu widać. Yoshitaro podejrzewał jednak, że protektor nie jest tak nieostrożny, aby spotykać się z kimkolwiek bez obstawy. Zapewne kryła się ona w przyległych pomieszczeniach.

Redruth był raczej niewysoki, miał czterdzieści kilka lat i początki łysiny. Robił wrażenie kogoś całkiem niegroźnego i tylko oczy lśniły mu dziwnie, wręcz niezdrowo.

- Istotnie, sir, wiem, jak do tego doszło - odparł Njangu. - Jedna z moich agentek, która jak się okazało, była pod obserwacją, skontaktowała się ze mną, aby przekazać informację o kolejnej planowanej przez Konfederację próbie infiltracji. Wykryli sygnał i mimo że

zastosowałem przekaźnik, zdołali dotrzeć do mojej siedziby. Ledwo zdążyłem uruchomić mechanizm autodestrukcji i uciec, z tym tylko, co miałem na grzbiecie.

Redruth pochylił się ku niemu.

- Gdzie chcą uderzyć, Yohns? Czy agentka zdołała ci to przekazać?

- Tylko po części - skłamał Njangu. - Wiem, że wzięli materiały kartograficzne pozwalające dotrzeć inną drogą do układu Larix. Będą próbowali powtórzyć to, co nie udało im się za pierwszym razem. Jednak nie usłyszałem nic na temat terminu planowanej operacji.

- Na czym będzie polegała ta operacja?

- Agentka przekazała jedynie, że jeden z mężczyzn odbierających te materiały wspomniał coś o „ekipie rozbiórkowej". Domyślam się więc, że może chodzić o sabotaż.

Redruth poruszył szczękami.

- Będziemy gotowi - powiedział stanowczo. - Zatrzymamy ich z dala od planety, jak ostatnio. Ale tym razem ich zniszczymy.

- I dobrze - stwierdził Njangu. - Jak przypuszczam, właśnie to, że nie udało się przechwycić wrogiego okrętu, było pierwszym z szeregu zdarzeń, które doprowadziły do mojej dekonspiracji.

- Ludzie, którzy zawalili tamtą robotę, zostali już ukarani - rzucił Redruth. - Nie przejmuj się.

- Tak.

- Przez te lata bardzo mi się przysłużyłeś. Zostałeś za to sowicie nagrodzony. Czy zależy ci na kolejnych... nagrodach? - Redruth zmierzył Njangu uważnym spojrzeniem.

Yoshitaro czuł, że nie ma wyboru.

- Oczywiście, sir. Zakładam, że otrzymam za swoją pracę taką samą zapłatę jak w przeszłości.

- Otrzymasz. Na początek zostajesz niezwłocznie awansowany na leitera. A co do moich oczekiwań... Chcę, abyś mi pomógł przewidzieć plany działań Cumbryjczyków wobec Lariksa i Kury. Po drugie, zajmiesz się koordynacją działań wywiadowczych na ich terenie. Działań poprzedzających nieuniknioną inwazję.

Njangu skinął głową.

- Gdy zaatakuję, będziesz w moim sztabie. Po zwycięstwie znajdę dla ciebie wysokie stanowisko w marionetkowym rządzie Cumbre. Będziesz miał dość okazji, aby powetować sobie wszystkie straty spowodowane koniecznością szybkiej ucieczki. Tak materialne, jak i moralne.

Njangu pozwolił sobie na mało życzliwy uśmiech.

- Na razie jednak będziesz służył mi tutaj jako ktoś, kto potrafi myśleć jak mieszkańcy Cumbre.

W głowie Njangu rozbrzmiał sygnał alarmowy.

- Muszę znać swoje słabe miejsca, wiedzieć, jak ich szpiedzy, zabójcy czy sabotażyści mogą przeniknąć na nasze światy. Chcę, abyś poleciał po kolei na wszystkie zamieszkane planety obu naszych układów i ocenił świeżym okiem stan naszej gotowości do obrony. Oczywiście nieoficjalnie, jako ktoś całkiem nie zwracający na siebie uwagi. O wszystkim, co zauważysz, będziesz meldował bez - pośrednio mnie. Ukażę leniwych i niedbałych, nagrodzę czujnych i pracowitych.

- Tak, sir. A co z Celidonem? Powiedział mi, że obecnie kieruje wywiadem. Nie chciałbym żadnych nieporozumień.

- Jeśli do nich dojdzie, sam wszystko wyjaśnię - powiedział Redruth. - Celidon usłyszy ode mnie tylko to, co powinien usłyszeć. Ostatecznie to ja rządzę Lariksem i Kurą.

Wstał i Yoshitaro zrozumiał, że audiencja dobiegła końca. Podniósł się więc i zasalutował niezgrabnie, jak mógłby to zrobić cywil.

- Ale czas wielkich nagród dopiero nadejdzie - zapowiedział protektor. - Nadejdzie wówczas, gdy po nieuniknionym włączeniu do mojego imperium układu Cumbre obrócę się ku obszarom byłej Konfederacji, gdzie miliony tonących w anarchii światów tylko czekają, abym je wyzwolił. Udzielenie im pomocy jest naszym obowiązkiem. I wtedy nagrodzę hojnie wszystkich, którzy będą ze mną. Niemniej surowo ukarzę każdego, kto mnie zawiedzie albo spróbuje służyć innym panom!

Majordomus Redrutha odprowadził Njangu do innego wyjścia, przed którym czekała kolejna wojskowa limuzyna.

- Kierowca wie, gdzie pana zawieźć - powiedział i zasalutował.

Yoshitaro wsiadł. W limuzynie czekał na niego Celidon.

- Spotkałeś się z protektorem... Ciekawie było, leiterze?

- Owszem.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem na okręcie? Chciałbyś mi coś przekazać na temat... powiedzmy, twoich przyszłych zadań?

Yoshitaro uśmiechnął się.

- Czy w pałacu protektora jest jakieś pomieszczenie, którego nie ma pan na podsłuchu?

Celidon spojrzał na niego ze zdumieniem, a potem głośno się roześmiał.

- Dobrze, Yohns. Bardzo dobrze. Potrafisz trafnie ocenić sytuację. Myślę, że jeśli zachowamy czujność i będziemy się wystrzegali arogancji, obaj możemy wynieść sporo korzyści z naszych kontaktów.

Miejski apartament Njangu zajmował trzy górne piętra jednego z długich na pół kwartału megalitycznych bloków. Na początek spróbował policzyć wszystkie pokoje, ale poddał się, gdy skorzystawszy z trzeciej z kolei windy, otrzymał trzeci, różniący się od obu poprzednich, wynik.

Na miejscu był już personel w liczbie dwudziestu czterech osób. Spytał, czy zostali sprowadzeni specjalnie dla niego. Szef obsługi, niejaki Kerman, osobnik ogólnie spokojny, ale o przebiegłych oczach, powiedział, że apartament zajmował wcześniej pewien dostojnik.

- Nie wolno mi wymieniać jego nazwiska, sir. Należał do cumbryjskiej siatki szpiegowskiej zdemaskowanej przez naszego wspaniałego protektora.

Cumbryjskiej siatki szpiegowskiej? - pomyślał zdziwiony Yoshitaro.

Oczywiście należało przyjąć, że Kerman i cała reszta służby meldują o wszystkim Celidonowi i Redruthowi. Ale to nie miało znaczenia. Njangu nie mówił przez sen, nie miał też z sobą niczego, co mogłoby go zdemaskować, oczywiście jeśli nie liczyć czterech ukrytych czipów.

Oglądał właśnie kuchnię, gdy ponownie pojawił się Kerman.

- Panie leiterze, przybyły kandydatki na pańskie prywatne towarzyszki. Przypuszczam, że chciałby się pan sam z nimi spotkać.

- Prywatne towarzyszki?

- Tak, sir.

- Czym różnią się od tych osób, które już tu są? Od pokojówek, kucharzy, piekarzy czy praczek?

- Zechce pan pójść ze mną?

Njangu ujrzał sześć młodych kobiet. Dwie blondynki, dwie brunetki i dwie rude. Wszystkie bardzo atrakcyjne, na oko dość inteligentne i bardzo nim zainteresowane. Odciągnął Kermana na bok.

- Chyba rozumiem. Te dziewczyny starają się o posadę w moim łóżku?

- Ależ oczywiście, sir. Tyle że nazywamy je prywatnymi towarzyszkami. Mamy też mężczyzn, którzy mogą pełnić tę samą funkcję. Gdyby pan sobie życzył.

Yoshitaro powiedział, że w tym tygodniu ma ochotę na płeć przeciwną, i wywołał jedną z kobiet z pokoju. Była to ognistooka brunetka imieniem Brythe.

- Chcesz zostać moją... towarzyszką?

- Ależ oczywiście.

- Dlaczego?

Brythe zamrugała.

- Ponieważ do tego zostałam wyszkolona.

- Jaką presję... przepraszam, jaką zachętę wykorzystano, abyś została tym, kim jesteś?

- Presję, sir? Pracowałam ciężko i uczyłam się wytrwale, aby mnie zaliczono do potencjalnych kandydatek na towarzyszki wysoko postawionych osób. To samo dotyczy pozostałych obecnych tu kobiet. - Uśmiechnęła się. - Chociaż muszę zaznaczyć, sir, że pod pewnymi względami nie mogą mi dorównać.

- Jeśli cię wybiorę, co z tego wyniknie?

- Wszystko, czego tylko pan sobie zażyczy.

- Nie o tym myślę. Jakie korzyści t y z tego wyniesiesz?

- No, będę mogła tu zamieszkać. To lepsza perspektywa, niż gdybym miała mieszkać tam gdzie dotąd. Tam jest tylko kilka pokoi. Jeśli pan pozwoli, bo mogę też przychodzić, kiedy tylko sobie tego pan zażyczy. Oczywiście wzrośnie mój status i będę mogła się lepiej ubierać oraz kupować w sklepach dostępnych tylko dla członków rządu i ich personelu. Na stadionie będzie mi wolno siadać w specjalnym sektorze. Moim rodzicom też się polepszy.

- Aha - mruknął Yoshitaro i coś przyszło mu do głowy. - Brythe, a co się stanie, jeśli wybiorę więcej niż jedną z was?

- Dowiedziesz, że jesteś normalnym mężczyzną, panie. I szczerze mówiąc... - dodała, nerwowo oblizując wargi. - Używając twoich słów, powiedziałabym, że zmaleje nieco wywierana na mnie presja.

Yoshitaro udał, że wcale się nie dziwi. Widać miejscowy reżim znał więcej sposobów „wychowywania" obywateli.

- Dobrze. Chodź ze mną.

Wrócił do pokoju i wskazał obie blondynki i jedną rudą.

- Wy trzy i Brythe możecie zostać. Jeśli chcecie. Pozostałym dziękuję. Miło było was poznać.

Obie odrzucone dziewczyny nie wyglądały na rozczarowane. Głośno wyraziły podziw dla mądrości leitera i nadzieję, że może kiedyś jeszcze się spotkają.

- Czy jeszcze kogoś brakuje mi w orszaku? - Njangu spytał Kermana.

- Tylko ochroniarza, sir.

- Dobrze. Wybierz go zatem dla mnie. Ma być rosłym mężczyzną. Z tych milczących. Powinien mieć doświadczenie wojskowe. Nie zaszkodzi, jeśli będzie bez ucha czy z widocznymi bliznami.

- Sir? - spytał skrajnie zdumiony Kerman.

- Chcę, aby każdy nie dostosowany, który chciałby zrobić mi krzywdę, z daleka widział, że jestem dobrze strzeżony. Szramy mówią same za siebie.

- Tak, sir. Rozumiem, sir.

Yoshitaro ziewnął ostentacyjnie.

- A teraz chciałbym zobaczyć sypialnię. Rozumiem, że te cztery dziewczyny będą miały własne pokoje?

- Oczywiście, sir, chociaż za chwilę. Najpierw muszę przeprowadzić dwie służące. Leiterzy, którym dotąd służyłem, życzyli sobie towarzystwa tylko jednej kobiety. Czasem dwóch.

- Pokaż im więc, gdzie będą mieszkać, a potem powiedz Brythe i... jak jest tej rudej?

- Pyder, sir.

- Spytaj, czy nie zechciałyby do mnie zajrzeć.

- Jak pan sobie życzy, sir.

Yoshitaro miał nadzieję, że odgrywając rolę maniaka seksualnego, zdoła na tyle stracić w oczach Celidona i Redrutha, aby przestali traktować go poważnie. Chociaż raz skłonność do rozpusty miała mu wyjść na dobre.

Następnego ranka, świeży i radosny jak rzadko, przyjął ochroniarzy. Obaj byli rośli, milkliwi i paskudni. Miał nadzieję, że okażą się też głupi. Wypytał ich o wcześniejsze zajęcia i dowiedział się, że znali się jedynie na sprawianiu innym łomotu i niczym więcej. W każdym razie tak twierdzili.

Jeden powiedział, że chętnie poszuka uzupełnienia ochrony. Njangu zdziwił się.

- Większość leiterów uważa, że dobrze jest mieć przy sobie kogoś, kto by się zajmował drobiazgami, na które my zwykle nie mamy czasu - wyjaśnił goryl. - Kogoś z armii i najlepiej w mundurze, bo to lepiej wygląda.

- Jakimi drobiazgami?

- Sprawdzanie wozów w poszukiwaniu bomb, zabezpieczanie przejścia podczas pojawiania się w miejscach publicznych i ogólna troska o to, aby każdy, kto pana spotka, wiedział, z jak ważną osobą ma do czynienia.

- Poczekam, aż trafię na kogoś właściwego - zbył go Njangu, dochodząc do wniosku, że czeka go trudna robota. Jak tu szpiegować, skoro cały czas miałby na karku taką bandę? Ani myślał jeszcze ją powiększać.

Załatwiwszy jednak wszystkie sprawy osobiste, był gotów do pracy. Tak dla siebie, jak i dla Redrutha.

- Czym się zajmujesz? - spytał Njangu.

- Pilnuję drzwi, sir.

- Wybacz, ale w tym budynku raczej nie ma czego pilnować. Nie mieszczą się chyba w nim żadne instytucje rządowe?

- Nie, sir. Wypatruję jednak nie dostosowanych, uważam, kto wchodzi i wychodzi, melduję o wszystkim podejrzanym.

- Lubisz swoją pracę?

Przysadzisty mężczyzna rozejrzał się wkoło. Njangu uśmiechnął się do niego zachęcająco.

- Jest całkiem w porządku, sir.

- Zdajesz się mówić z lekko obcym akcentem.

- Tak, sir, pewnie tak, sir. Pochodzę z Kury. Ale jeśli wolno mi coś zauważyć, wybaczy pan śmiałość, mój akcent nie jest gorszy niż pański.

Ochroniarze Yoshitara zmarszczyli czoło, ale widząc uśmiech szefa, udali, że nic się nie stało.

- Kura, hmmm... Nie byłem tam jeszcze, ale słyszałem, że to wiejska planeta. Gospodarstwa rolne i dżungle.

- Tak, sir.

- To musiała być dla ciebie duża zmiana, gdy przeprowadziłeś się na Prime.

- Tak, sir, była.

- Zamierzasz kiedyś tam wrócić?

Mężczyzna wyraźnie się wystraszył.

- Na Kurę? Ależ nie, sir.

- Dlaczego? Czy tam się gorzej żyje?

- Nie, sir. Ale to całkiem inny układ, niż Larix. Małe wioski, niewiele miast. Wielkie rody, w których wszyscy wszystkich znają i starają się zawsze we wszystkim pomagać. Ale...

- Słuchani.

- Jedno... Na Kurze straszy.

- Co? Straszy? - zdumiał się Njangu.

- Przepraszam, sir. Nie chciałem, aby tak to zabrzmiało, nawet jeśli... jeśli wszyscy w to wierzą. Wiem, że to nieprawda, bo łoniaki dawno już wymarły, a najpewniej nigdy ich nie było.

Yoshitaro chętnie spytałby o łoniaki, ale uznał, że lepiej będzie przeprowadzić w tej sprawie prywatne śledztwo.

- Prawda jest taka, że Larix jest najważniejszy, sir. I dlatego nie chcę wracać - wyznał strażnik. - Szczególnie że mieszkam w Agurze. Tutaj jest się kimś, sir.

- Jesteś dozorczynią?

- Tak, sir - powiedziała kobieta, dla której rozmowa z kimś tak wysoko postawionym jak leiter była najwyraźniej zaszczytem. - Od sześciu... siedmiu lat.

- A co stało się z osobą, po której przejęłaś dozorstwo?

- Nie wiem, sir. Podobno za mało zwracał uwagę na to, co ludzie mówią.

- Ale ty tego pilnujesz.

- Jasne, sir. Nie chcę się chwalić, ale myślę, że to właśnie tacy jak ja najlepiej chronią protektora Redrutha, niech błogosławione będzie jego imię, przed szpiegami z Cumbre.

- To nie ulega wątpliwości - stwierdził Njangu.

- Zatem dozorcy przekazują meldunki właśnie tobie? - spytał Yoshitaro.

- Tak, sir - odparł szczupły mężczyzna i zatoczył spojrzeniem po swoim maleńkim, ale idealnie uporządkowanym gabinecie. - Proszę zauważyć, że nie zalegamy nigdy z żadnymi papierami i natychmiast przekazujemy wszystkie meldunki wyżej. Zwykle zajmuje nam to tylko kilka godzin. Jeśli mój przełożony uzna, że trzeba z kimś porozmawiać albo... albo gorzej, to sam idę ze strażnikiem i pomagam wyszukać taką osobę, aby wykonać rozkaz. Zawsze dbam o to, aby wszyscy w kwartale wiedzieli, co się stało, a temu, kto pierwszy zameldował o nieprawidłowości, przekazuję nagrodę.

- Wszystkie meldunki z dzielnicy są analizowane, po czym sporządzamy zbiorczy raport, który przekazujemy... - Mężczyzna zawiesił głos.

- Możesz powiedzieć.

- Do wywiadu protektora. Oni sporządzają na tej podstawie własne analizy.

- Załóżmy, że gdzieś dojdzie do zdwojenia narzekań na przejawy nieprzystosowania. Co się dzieje w takich razach? - spytał Njangu.

- Sankcje dotykają całą dzielnicę. Obcina się przydziały żywności, a nawet odmawia się zgody na spędzanie letnich wakacji na obszarach rekreacyjnych. Niekiedy ogranicza się także dostęp do igrzysk. Nasza dzielnica należy do najważniejszych, bo u nas mieszczą się stocznie, pracujące teraz pełną parą. Szczególnie uważnie śledzimy więc wszelkie trendy.

- Rozumiem. A teraz przypuśćmy, że w jakiejś dzielnicy wyraźnie się poprawi?

- Możliwe jest przyznanie drobnych przywilejów - stwierdził urzędnik. - Albo co bardziej prawdopodobne, przekazanie listu gratulacyjnego od protektora Redrutha i odczytanie go w wiadomościach. Było kilka takich przypadków.

Sukinsyn, pomyślał Yoshitaro. Wszyscy tu kablują na wszystkich. Od góry do dołu, każdy na własną skalę bawi się w tyrana. To jak epidemia, przed którą nie ma obrony.

- Kilka osób, z którymi rozmawiałem, wspomniało o szpiegach z Cumbre - powiedział Njangu, spoglądając na

Celidona. Znajdowali się w mieszkaniu najemnika. Było urządzone równie oszczędnie jak jego kabina na pokładzie niszczyciela.

Celidon uśmiechnął się.

- A co w tym szczególnego?

- O ile wiem, Cumbre dopiero niedawno zaczęło się interesować Lariksem. Skąd wzięli się więc ci szpiedzy?

- Protektor Redruth ma talent do wyszukiwania intruzów z innych światów - powiedział Celidon. - Cumbryjskich szpiegów zaczął wykrywać jakieś trzy lata temu. Wcześniej niepokoili go anarchiści przybywający z dekadenckich światów Konfederacji. Szczęśliwie w porę dostrzegł zagrożenie i je zażegnał.

- Chyba rozumiem - mruknął Yoshitaro.

- Zdrajcy zdają się pojawiać w większej liczbie wtedy, gdy nasz protektor zaczyna się interesować jakimś obszarem, co nikogo nie dziwi, bo przyszły wróg zdolny jest do każdej podłości. W ten sposób późniejsze działania protektora znajdują pełne uzasadnienie.

- Oczywiście jest pan pewien, że tu nie ma podsłuchu - rzekł Njangu.

- Niczego nie jestem pewien. Nie muszę. Jako oddany sługa naszego protektora nie mam się czego bać.

- Znowu, kochany? - wyszeptała blondynka.

- Chcesz, żebym przestał, Enide?

- Och, nie... ja tylko... Nie jesteś zmęczony? Ja nie mam jeszcze dwudziestu lat, ale ty już chyba przekroczyłeś trzydziestkę?

- Nawet więcej, kochana.

- Skąd bierzesz tyle sił?

- To dzięki zdrowemu trybowi życia.

Enide zachichotała.

- Chyba nogi mi się zmęczyły. Zwiążesz je znowu?

Yoshitaro miał nadzieję, że Enide okaże się dość głupia i niczego nie zdoła z niego wyciągnąć. Wolałby nie wpaść, wygadawszy się przypadkiem.

- Znowu paskiem?

- Tak, poproszę.

- Oczywiście, że lubię sport - powiedział Njangu swojemu ochroniarzowi, którego ochrzcił Tępak Alfa. - Co uprawiacie na Lariksie?

- Mamy jesień, więc pora na igrzyska. To takie antyczne konkurencje z użyciem stępionych włóczni, łuków i strzał, szabel i tak dalej.

- Bardzo je lubię - dodał Tępak Beta. - Kiedyś sam brałem udział. Gdy uprawiałem boks.

- Prawdziwa walka jest w armii - powiedział Alfa. - Ale mnie nie rusza. Najwięcej pasjonują się tym na Kurze, bo tam ciągle latają za sobą z maczugami. A po igrzyskach przyjdzie pora na mistrzostwa szczurołapów.

Chodziło o grę zespołową rozgrywaną piłką o zmiennym środku ciężkości.

- Niezłe - przyznał Beta. - Na zimę akurat. Bo latem mamy pogoń. Bardzo lubię.

- Owszem, dobra zabawa - zgodził się Alfa. - Jeden ucieka i wszyscy za nim. Potem go łapią i ma za swoje.

Pogoń była rozgrywana systemem pucharowym. Spotykali się w niej reprezentanci najpierw dzielnic, potem miast, aż ocalały szczęśliwiec wygrywał doroczną nagrodę.

- Ale latem najlepsza jest totalka - stwierdził Beta i Alfa pokiwał energicznie głową. - Byłem w tym całkiem dobry, prawie dość dobry, aby przejść na zawodowstwo. Cała planeta zamiera, gdy są finały.

Długo trwało, nim zdołali wytłumaczyć Njangu, na czym polega totalka. Była to gra zespołowa z użyciem piłki. Na poziomie amatorskim grywano w nią w parkach, na boiskach z bramkami na obu końcach. Liczba uczestników była albo uzgadniana na bieżąco, albo

całkiem dowolna i wtedy kto tylko chciał, mógł wejść na boisko. Celem graczy było przemieszczenie piłki przez bramkę. Aby to osiągnąć, wolno było korzystać z każdego dostępnego środka, począwszy od noży, na broni masowej zagłady skończywszy.

Na poziomie bardziej profesjonalnym spotykały się zespoły reprezentujące miasta, prowincje, a na końcu planety. Przegrane faworytów albo błędy sędziowania prowadziły nierzadko do zamieszek, które wygasały dopiero po interwencji większych sił wojska.

Njangu odnotował w myślach kolejne spostrzeżenie: gdy ludziom brak swobód politycznych i bucior tyrana twardo przygina im karki do ziemi, najlepiej dać im dużo igrzysk, a zapomną. Najlepiej, żeby były to sporty pełne przemocy, sprzyjające werbunkowi do armii.

Głośno wyraził podziw dla mądrości Redrutha, chociaż ta kwestia została zapewne uregulowana jeszcze przez poprzedników protektora.

Potem spróbował wyszperać jakieś informacje dotyczące historii kolonizacji układu, ale dowiedział się tylko, że pierwsi osadnicy przybyli tu kilkaset lat wcześniej, uciekając przed bliżej nie sprecyzowanym zagrożeniem. Nie podawano, jak im się udało tak szybko zbudować tu zaawansowaną cywilizację. Niewiele znalazł też o trzech czy czterech dyktatorach rządzących przed Redruthem.

Dopiero w Encyklopedii planetarnej natrafił na coś ciekawego:

Łoniaki - potoczna nazwa nadana pierwotnym mieszkańcom układu Kura, którzy okazywali instynktowną wrogość wobec ludzi i sprzeciwiali się naszej nieuniknionej kolonizacji nie używanych przez nich ziem. Niewiele o nich wiadomo, ponieważ zostali zgładzeni jeszcze pod światłym przewodnictwem Pierwszego Protektora. Opisy wyglądu zewnętrznego różnią się tak bardzo, że nie można przeprowadzić żadnej naukowej analizy tych istot. W legendach przypisuje się im takie właściwości, jak: niewidzialność, zdolność wyczuwania obecności człowieka, a nawet jego zamiarów, i skłonność do okrutnych czynów. Etnografowie donoszą, że według niektórych żywych wciąż na Kurze przekazów, nie wymarli oni całkowicie i żyją jeszcze w trudno dostępnych zakątkach, które traktują jako swoje święte miejsca, i gdy nadarzy się okazja, atakują samotnych podróżnych. Są to oczywiste nonsensy, których nie należy powtarzać, a na rozgłaszające je osoby prawy obywatel powinien donieść władzom.

Njangu spróbował znaleźć coś jeszcze na temat tajemniczych obcych, ale bez powodzenia. Za to następnego dnia zadzwonił do niego adiutant Celidona, który przekazał, że szef „sugerowałby po przyjaźni poszukać jakichś innych, ciekawszych tematów".

Sprawa tajemniczych obcych była ewidentnie poza zasięgiem nawet tak ważnej osoby jak leiter.

Śniło mu się właśnie, że wizytuje skarbiec jednego z własnych banków, gdy przywołało go do rzeczywistości zawodzenie syren. Zaraz oprzytomniał, ale zgodnie z wpojonymi wiele lat wcześniej odruchami nie dał tego po sobie poznać. Karig, czwarta z jego towarzyszek, była już na nogach i ubierała się pospiesznie.

- Pospiesz się! Musimy zejść do schronu!

- Po co?

- Może to tylko ćwiczenia, ale może naprawdę Cumbre atakuje! Szybciej! Dozorcy zawsze notują, czy wszyscy zeszli.

Njangu włożył szorty, koszulę i kapcie.

Cumbre atakuje? - pomyślał. Nie byłoby źle...

Ciec rzeczywiście odhaczał na liście wszystkich spieszących do schronu. Yoshitaro usiadł w kącie razem z towarzyszkami, obsługą i ochroniarzami. Wszyscy zaczynali się już odprężać, gdy z dali dobiegł ich ryk startujących pocisków, a potem odgłos eksplozji.

- Więc naprawdę tu są - jęknęła Pyder.

Na górze raz jeszcze huknęło i na trzy godziny zapadła cisza. W końcu rozległo się wycie odwołujące alarm i pozwolono im opuścić schron.

Njangu, któremu już całkiem nie chciało się spać, wyszedł na dach. Z urządzonego tam ogrodu ujrzał liczne smugi przeszukujących nocne niebo reflektorów. Zastanowił się, co u diabła naprawdę się stało. Miał tylko nadzieję, że to nie fiasko jakiegoś planu Grupy. Przebiegło mu przez głowę, aby obudzić którąś towarzyszkę, ale w końcu uznał, że ma ważniejsze sprawy.

Godzinę później w jego gabinecie pojawił się Kerman.

- Sir, protektor chce pana natychmiast widzieć.

Niedobrze, pomyślał Njangu.

Ubrał się i pożałował, że nie może zabrać broni, pamiętał jednak ostrzeżenie Celidona. W godzinę dotarł do pałacu.

Redruth i Celidon już czekali. Najemnik ze swoim zwykłym wyrazem chłodnego zainteresowania na twarzy, protektor z gniewnie zaciśniętymi ustami.

- Nie jestem z ciebie zadowolony, Yohns - zaczął bez wstępów.

- Przykro mi, sir - powiedział Njangu. - Ale czy mogę spytać...?

- Powiedziałeś mi, że Cumbre przygotowuje się do kolejnej próby penetracji.

- To dlatego ogłoszono alarm?

- Tak - odparł Redruth. - Niemniej uprzedziłeś mnie tylko o jednym statku.

- Były co najmniej dwa - odezwał się Celidon. - Jeden wyszedł z nadprzestrzeni dokładnie tam, gdzie kazałeś nam uważać, ale po nim zjawił się drugi, Nadleciał z tego samego namiaru co przy poprzedniej próbie. Dzięki mądrości protektora czuwaliśmy jednak nad wszystkimi podejściami do planety.

Njangu zachował kamienną twarz, chociaż wieści były zaskakujące. Przeciwnik musiał dysponować o wiele lepszymi czujnikami, niż zakładali. O paranoi nie mówiąc.

- Co się stało? - spytał. - Słyszałem, że odpalono pociski.

- A tam, to był skutek paniki - żachnął się Celidon. - Dowódcy obrony przeciwlotniczej stolicy coś się przywidziało i zaczął strzelać do cieni. Został już ukarany za głupotę. Naprawdę zdarzyło się tyle, że pierwszy z atakujących obiektów, ten jedyny, przed którym nas ostrzegłeś, został zniszczony daleko w przestrzeni kosmicznej.

Czyli tak, jak było ustalone, pomyślał Njangu. Zauważył też, z jakim naciskiem Celidon powiedział Jedyny".

- Druga jednostka zdołała wywinąć się pogoni i skierowała się na Prime - powiedział Redruth. - Podobnie jak poprzednio. Możliwe, że ten pierwszy miał tylko odciągnąć naszą uwagę od drugiego, który przewoził sabotażystów, o których wspominałeś. Chociaż to tylko przypuszczenie. Ale i tak go zaatakowaliśmy, lecz na jakiś czas straciliśmy z nim kontakt i odzyskaliśmy go dopiero na chwilę przed tym, jak wszedł w nadprzestrzeń. Nie udało się posłać za nim znacznika, ale zakładamy, że wrócił na Cumbre.

Njangu uspokoił się nieco.

- To już drugi raz, gdy Cumbre mnie niepokoi - zauważył dyktator. - Ale otrzymali wreszcie odprawę, która na pewno im się nie spodoba. To było zresztą pewne i bez twojego sprawdzania naszej gotowości do obrony. Wezwałem cię z innego powodu. Chcę przypomnieć, że nie toleruję błędów ludzi, którzy mi służą. Robota częściowo wykonana to tyle, co nie zaczęta. Zapamiętaj to sobie. Nie jestem obecnie z ciebie zadowolony, przyłóż się więc porządnie do swojej pracy, zamiast trwonić czas na prywatne rozrywki. I już nie popełniaj błędów.

Njangu skłonił się i wyszedł.

Miał aż trzy powody do zadowolenia.

Po pierwsze, protektor w razie niepowodzenia zawsze szukał winnych, czy był po temu powód, czy nie. Oczywiście on sam nigdy nie ponosił za nic odpowiedzialności. Dobrze. To musiało odwodzić podwładnych od meldowania nie tylko o porażkach, ale i o potencjalnie groźnych problemach.

Po drugie - wyszło na to, że Njangu nie zmarnował czasu spędzonego z towarzyszkami. Redruth najwyraźniej uznał go za uzależnionego od seksu i tym samym niegroźnego albo wręcz głupiego, a dobrze jest być idiotą w oczach wroga.

Najbardziej jednak cieszyło Njangu powodzenie akcji.

Pierwszy statek, który wszedł do układu z dala od Prime, był zdalnie sterowany i z założenia miał zostać wykryty i zniszczony.

Jego jedynym zadaniem było umożliwić drugiej jednostce niepostrzeżone podejście do planety. Na Cumbre oczekiwano, że ta druga w ogóle nie zostanie wykryta, i źle, że do tego doszło, ale wyglądało na to, że obrona nie zdołała utrzymać namiarów. Okręt niósł na pokładzie satelitę z aparaturą przekaźnikową, która miała zostać umieszczona na jednym z pięciu księżyców piątej planety.

Njangu musiał teraz tylko znaleźć jeszcze jakiś nadajnik. Zakładając, rzecz jasna, że drugiemu statkowi udało się umieścić na orbicie satelitę.

Najlepiej by było, gdyby obecna pozycja Yohnsa uprawniała go do posiadania urządzeń nadawczo-odbiorczych, które dałoby się zmodyfikować do niecnych celów.

Niemal równie dogodnym rozwiązaniem byłby zakup popularnego modelu komunikatora, który po wymianie paru czipów mógłby nastawić na jakąś mało używaną częstotliwość. Z pomocą prostego rejestratora skompresowałby wówczas zakodowany przekaz do trwającego mgnienie oka impulsu i raz dwa by go wysłał. Sprawdziwszy oczywiście, czy po okolicy nie kręci się nikt próbujący go namierzyć.

Njangu miał podstawy przypuszczać, że znajduje się pod ciągłą obserwacją i gdyby tylko spróbował kupić nadajnik, wzbudziłby podejrzenia. Pomyślał więc, aby wykorzystać swój złodziejski talent.

Okazało się jednak, że protektor Redruth niczego nie zaniedbuje. Prawo nie przewidywało czegoś takiego jak prywatne nadajniki. Wszystkie były kontrolowane przez służby bezpieczeństwa - miały założone plomby i blokady nie pozwalające używać ich na innych częstotliwościach niż oficjalnie zatwierdzone. Yoshitaro obawiał się, że nawet gdyby zdobył takie urządzenie i zdołał je otworzyć, zapewne nie umiałby go przestroić, niewykluczone, że skrzynka eksplodowałaby mu w rękach. Co gorsza, obwód autodestrukcji wcześniej zapewne wysłałby sygnał, że jakiś nie przystosowany próbuje przy nim grzebać.

Nawet nadajniki w samolotach były zamknięte na głucho i pracowały tylko na określonych częstotliwościach.

Njangu rozejrzał się też za sklepami z częściami elektronicznymi, ale chyba w ogóle takich tu nie było. Zresztą i tak by nie wiedział, jak złożyć działający komunikator.

W końcu jego uwagę zwróciły wszechobecne odbiorniki holo. Zastanowił się, czy nie mogą być przypadkiem czymś więcej niż skrzynkami służącymi do oglądania transmisji z imprez sportowych, wiadomości oraz komunikatów rządowych. Bardzo łatwo byłoby wbudować w takie urządzenia małą kamerę pozwalającą Redruthowi jeszcze lepiej kontrolować Lariksa.

Pewnego wieczoru Njangu udał, że przygnębiony ruganiem przez protektora postanowił utopić smutki w alkoholu. Z ponurą miną usiadł przed ekranem i przytulił się do butelki. Odbiór musiał być fatalny, skoro co chwila szturchał odbiornik, jednak nie przynosiło to żadnego rezultatu.

W końcu, gdy opróżniane na boku szkło było już w połowie puste, nie wytrzymał. Wstał chwiejnie z fotela, uniósł odbiornik nad głowę i z całej siły rąbnął nim o podłogę. Skrzynka rozpadła się, sypiąc iskrami.

Bez wątpienia potencjalni obserwatorzy musieli go uznać za przykrego w obejściu choleryka. Nie wątpił, że w mieszkaniu są jeszcze inne pluskwy.

Chwilę później utwierdził swój nadzór w tym mniemaniu.

Wśród szczątków odbiornika rzeczywiście trafił na małe pudełko z soczewkami. Jednak nadzieje na to, że mógłby je wykorzystać, okazały się płonne. Podobnie jak reszta podzespołów, zostało tak zmontowane, że zdołałby coś z nim zrobić tylko doświadczony technik, ale Njangu nie miał na to szans. Rozkopał więc energicznie cały złom po pokoju, obudził Pyder, kazał jej wziąć kilka rekwizytów i pójść z nim do pokoju Brythe.

Następnego dnia rano w salonie stał już nowy odbiornik i nikt ani słowem nie wspomniał o ataku szału gospodarza.

Wciąż jednak nie mógł się połączyć z satelitą. O ile oczywiście krążył wokół planety.

A to znaczyło, że całe jego szpiegowanie zdało się psu na budę.

Wciąż jednak się zastanawiał, co też Redruth może szykować przeciwko Cumbre i jak u licha zawiadomić o tym przyjaciół.

7

Cumbre/Cumbre D

- Ciągle nic od Yoshitara, Jon? - spytał Garvin, starając się ukryć niepokój.

- Nic a nic - odparł Hedley. - Już od miesiąca.

- Pewnie ma problem z kupieniem nadajnika za naszą walutę.

- Zapewne. Masz dla mnie jeszcze coś równie radosnego, żebym mógł dalej ćwiczyć kamienną twarz?

- Istotnie, mam - powiedział Garvin. - Myślę, że nie ma sensu dalej drażnić protektora. Obrona Lariksa zapewne jest na okrągło w pogotowiu. Może więc wysłalibyśmy paru ludzi na Kurę? Wnieśliby nieco poruszenia w tamtejsze senne wiejskie życie.

- Rozumiem, że ty byś objął dowództwo?

- Dlaczego nie? Przekażę Sekcja II Penwythowi, który ostatnio obijał się, organizując Angarze spotkania z rentierami, wezmę nieco ludzi Njangu...

- Dobra - rzucił Hedley. - Słucham. Samo przerzucenie nie powinno nastręczyć problemów, chociaż nie podoba mi się pomysł, aby ciągnąć tygrysa za ogon. Jak widzisz późniejsze wycofanie Grupy?

- Jeśli narobimy im dość kłopotów na ziemi, nie będą raczej zbyt uważnie patrzeć w górę - odparł z przekonaniem Jaansma. - Umieścilibyście na orbicie taki sam przekaźnik, jaki zostawiliśmy Njangu, i gdy zawołam, zjawicie się na trzech albo czterech velvach oraz na paru tych nowych niszczycielach i zwiejemy, a jeśli ktoś wejdzie nam w drogę, sam sobie będzie winien.

Hedley przygryzł górną wargę.

- Może się udać. Ale najpierw spytam starego.

- Nic z tego - oznajmił Hedley. - Angara uważa, że przy tak małej ilości danych na temat Kury nie ma co ryzykować. Przykro mi.

- Cholera, szefie. Naprawdę dokuczyć Redruthowi możemy tylko, szarpiąc go tu i tam. Stara, sprawdzona metoda. Przemknąć jak wiatr, zostawiając po sobie same zgliszcza.

- Wiatr... - mruknął Hedley. - Wolałbym porządną burzę. Ale lepiej nie kusić losu, bo powtórzy się to, co raz już było, gdy tu przybyliście. Pamiętasz, jak ktoś ochrzcił naszą Grupę mianem Szybka Lanca? Jeszcze zrobią z nas teraz Grupę Burza...

- Zmienia pan temat - napomknął Garvin.
- Owszem.
- No to co mam robić? Czekać, aż Njangu się odezwie?
- Właśnie.

Trzy dni później protektor Redruth odpowiedział na obie próby naruszenia przestrzeni wkoło Lariksa.

Cumbryjska jednostka patrolująca układ za orbitą Cumbre D zameldowała o wykryciu trzech obcych okrętów, z czego dwa należały do klasy Nana, a jeden był niszczycielem nieznanego typu. Żadne dalej położone posterunki nie ostrzegły przed intruzami. Zaraz po tym meldunku nadszedł następny: jakaś większa jednostka odpaliła pocisk. Chwilę później cała grupa zawróciła i zniknęła w nadprzestrzeni.

Pocisk był wycelowany w Cumbre D, a wstępne wyliczenia trajektorii wskazywały, że ma trafić w wyspę Dharma.

Patrolowiec wystrzelił przeciwrakiety, ale pocisk zdołał im się wywinąć. Druga salwa także chybiła.

Dalsza analiza kursu obcej rakiety pozwoliła ustalić, iż celem ataku jest Leggett, stolica Cumbre D.

Poderwano trzy aksaie, z czego dwa pilotowane przez musthów. Pocisk znalazł się w zasięgu ich wyrzutni, ledwie opuściły atmosferę. Piloci nie czekali z otwarciem ognia.

Dwie rakiety dosięgły celu. Nocne niebo nad Cumbre D zapłonęło nuklearnym świtem.

- Jest zmiana - oznajmił Hedley. - Angara zaakceptował twój plan wypadu na Kurę. Po dzisiejszym ataku cały rząd dostał zbiorowego ataku histerii. Nikt nie chce świecić w ciemnościach. Atomówki to barbarzyńska broń.
- Tak jest, sir. Dziękuję, sir.
- Za co? Za szansę na szybki pogrzeb? Ale nic. Zbieraj ochotników.

- Ci będą moi - powiedziała Monique Lir. - Nectan, Irthing, Heckmyer, Jil Mahim jako sanitariusz, Montagna jako snajper, al Sharif i jeszcze paru po przeszkoleniu technicznym.
- W większości podoficerowie, jak widzę - zauważył Jaansma.
- Przecież nie pozwolimy, aby cała zabawa przypadła wyższym szarżom, prawda?

- Mogę spytać, czego chcecie? - burknął Garvin, pocierając oczy. - Jest późno, chce mi się spać i jestem dopiero w połowie... tej roboty, która mi przypadła. Nie mam czasu na pogawędki.

Ben usiadł na krześle stojącym przed biurkiem Garvina. Doktor Froude stanął obok niego.

- Słyszałem, że wybierasz się szukać guza - powiedział Dill.
- I że szukasz ochotników - dodał Froude.
- Czy w tej pieprzonej armii nic nie może pozostać tajemnicą?
- Nie wtedy, gdy pyta Ben Dill.
- Moja odpowiedź będzie krótka: won. Mam potąd bohaterów.
- Niedoczekanie - odparł spokojnie Ben.
- Jesteś szoferem - stwierdził Garvin. - My będziemy poruszać się pieszo, a ty zawsze narzekasz, gdy musisz korzystać z własnego napędu.
- Parę razy zdarzyło mi się wędrować po dżungli. I to w szemranym towarzystwie. To chyba coś znaczy.
- Ja zaś nigdy nie zostawałem w tyle, gdy kryliśmy się na tamtej planecie musthów - odezwał się Froude. - Poza tym nawet na Kurze przyda wam się biegły analityk.

- Taaa... - mruknął Garvin. - Pewnie nawet przyda nam się pan, doktorze. Ale ty mnie nie przekonałeś, Ben. Nie wolałbyś zostać tutaj w kluczu alarmowym? Pomyśl tylko, zawsze czysty mundur i pewnie sporo szans na medale. I twój fanklub na miejscu. Łazęgi z dżungli to kiepskie towarzystwo dla ciebie.

- Na razie nic się nie dzieje, więc nie ma szans na medale - odpowiedział Dill. - A tę rakietę od Redrutha i tak zestrzelił kto inny. No i jestem większy i szybszy od ciebie. Zwykle byłem twoim zastępcą. Jeśli zaraz nie zmienisz zdania, urwę ci po kolei obie rączki i wtedy już nikt nie poleci ganiać po krzakach.

Garvin warknął i poddał się.

- Idź obudzić Lir i weź wszystko, co ci wyda z magazynu.

- Jak długo cię nie będzie? - spytała Jasith.

- Nie wiem dokładnie - odparł Garvin. - Miesiąc albo i dłużej.

- Czy cała ta impreza to twój pomysł?

Garvin odwrócił głowę i spojrzał ponad Wzgórzami na zatokę.

- No cóż. Mój.

- Naprawdę chcesz dać się zabić?

- Nie sądzę, aby komukolwiek to się udało.

Jasith wstała z kanapy i podeszła do barku. Zaczęła sobie nalewać kolejnego drinka, ale po chwili się rozmyśliła.

- W sumie nic nowego - powiedziała powoli. - Ciągle taki sam. I pewnie już się nie zmienisz. Szkoda czasu, żeby cię przekonywać. Ale jedno mi obiecasz, draniu. Zanim tam polecisz, weźmiesz dobę wolnego. Dopilnuję, żebyś miał na stole to, co lubisz. Będziesz mógł to sobie wspominać na tym piekielnym świecie, na który się wybierasz. Zwłaszcza gdy przyjdzie wam jeść byle gówno z puszki. I oczekuję, że po twoim wyjeździe przez kilka dni nie będę mogła złożyć nóg razem. Też chcę mieć co pamiętać do twojego powrotu.

Pierwszy wystartował z Mahanu niedawno wcielony do służby lekki niszczyciel z grupą Garvina na pokładzie. Za nim ruszyły dwa velvy z podczepionymi aksaiami.

Zaraz za orbitą Cumbre D wszystkie jednostki zniknęły w nadprzestrzeni. Od układu Kury dzieliło je sześć skoków.

8

Njangu Yoshitaro krążył po Lariksie. Co jakiś czas dostrzegał luki w systemie bezpieczeństwa. O drobniejszych meldował Redruthowi, wiedzę o pozostałych zachowywał dla siebie, pewien, że w końcu uda mu się znaleźć jakiś sposób nawiązania łączności ze swoimi. W tej kwestii nie tracił nadziei.

Zaczął chadzać do rządowego ośrodka sportowego, by poćwiczyć z Celidonem. Podczas sparringowych pojedynków udawał wolniejszego i mniej wprawnego niż przeciwnik.

Niekiedy spotykali się na obiedzie w którejś z modnych wśród rządowej elity restauracji. Celidon nie był smakoszem, zwykle zamawiał wołowinę i surówki. Z drugiej strony nie był to też dowód na spartański gust kulinarny - po prostu miejscowi kucharze albo wszystko niemiłosiernie rozgotowywali, albo obficie zlewali ostrym sosem.

Dzięki tym okazjom Njangu ustalił, że Redruth postępował dokładnie tak, jak przewidział Froude. Gdy zaczęły się „kłopoty" Konfederacji, protektor postarał się, aby na jego włości nie padło ziarno anarchii. Gdy zrobiło się jeszcze gorzej, wstrzymał niemal całkowicie komunikację z imperium. Wyprawił tylko kilka statków, które wróciły z meldunkami o kolejnych układach występujących z Konfederacji i chaosie ogarniającym nawet sąsiednie światy.

- Redruth uznał, że ta wojna domowa będzie się rozszerzać - powiedział Celidon. - Oczywiście o ile wojną domową można nazwać sytuację, gdy pół tuzina stron walczy równocześnie o wpływy. Gdy Centralny wezwał pomocy, protektor odmówił, twierdząc, że sam prowadzi wojnę. Po prostu uznał, że nic nie zyska, jeśli wyśle najlepsze oddziały gdzieś daleko. Albo co gorsza, napyta sobie biedy, jeśli wrócą z głowami naładowanymi tymi samym pomysłami, które skruszyły fundamenty Konfederacji. Potem zaczął wysyłać chaotyczne wiadomości sugerujące, że dzieje się u niego coraz gorzej.

- Czy w jednej z nich donosił, że stracił kontakt z Cumbre?

- Coś w tym rodzaju - przyznał Celidon, spłukując wodą z lodem ostatni kęs mięsa. - Statki nadlatujące od was... to znaczy ze światów, o których nam meldowałeś, były przechwytywane.

Njangu przypomniał sobie Maluerna, transportowiec wiozący broń rekrutów, który został opanowany przez ludzi Celidona. Lecieli na nim z Garvinem i ledwie udało im się uciec.

- O tym wiedziałeś - powiedział najemnik. - To przecież ty przekupiłeś tego urzędnika na Centralnym, który meldował nam o wysyłce materiałów dla Cumbre.

Njangu ukrył zdumienie i uśmiechnął się słabo.

- Ostatecznie na Centralnym musieli chyba uznać, że i Larix, i Kura, i Cumbre popadły w te same tarapaty co wszyscy, i przestali cokolwiek wysyłać - ciągnął Celidon. - Skończyły się też próby nawiązania łączności. Oczywiście ze strony protektora nie jest to wyłącznie gra dla samej gry. Za pięć czy sześć lat, może trochę więcej, zrobi się jeszcze gorzej, a wtedy Redruth wyciągnie rękę po swoją część dawnego imperium. Cumbre chce opanować, aby mieć spokój na tyłach i zapewnić sobie stałe dostawy kopalin. Ludzie też mu się oczywiście przydadzą. Dobrze, że umknąłeś stamtąd na czas. Chociaż coś bym ci zasugerował. Gdy w przyszłym albo następnym roku zabierzemy się do Cumbre, protektor będzie oczywiście oczekiwał twojej pomocy. Potem cię wynagrodzi, zapewne stanowiskiem szefa tamtejszego rządu. To dobra posada, przynajmniej jak długo nie będziesz zbyt ambitny. Gdybym ja dostał taką propozycję, postarałbym się od tego wykręcić. Prawdziwą nagrodą będzie co innego... to wszystko, co Redruth zdoła wyrwać z obszarów Konfederacji. Może trochę, może bardzo wiele. Kto wie, czy mu się nie uda położyć ręki nawet na Centralnym. Jeśli się tam utrzyma, ile światów poprosi go wtedy o pomoc i ochronę? - Celidon uśmiechnął się. - Tam będzie się działo to, co najważniejsze. Bo tam właśnie bije źródło władzy. Co więcej, nie ma żadnego powodu, by naszemu protektorowi się to nie udało. Pochodzi z naprawdę długowiecznej rodziny.

Wiejska posiadłość Njangu leżała nad brzegiem sztucznego jeziora, jakieś dwie godziny lotu od Aguru. Niczego w niej nie brakowało. Były tam i zadbane ogrody, i baseny, i stajnie, i wszystko, o czym mógł zamarzyć miłośnik bukolicznego życia.

Njangu nie cierpiał wsi.

Był pod każdym względem dzieckiem miasta. Ile razy usłyszał po nocy kwilącego ptaka, odruchowo wyciągał rękę po broń. Odbywane swojego czasu patrole w dżungli wiele pod tym względem nie zmieniły.

Niemniej odwiedzał swój majątek tak często, jak tylko mógł. Widziano go tam, jak spacerował, mówił coś do dyktafonu, robił notatki i przygotowywał raporty dla protektora. Starannie rozrzucał potem zapiski, aby wszyscy służący - na pewno będący na żołdzie Redrutha - mogli je przeczytać i zaświadczyć o jego lojalności i gotowości do ciężkiej pracy.

Z wolna zaczynał popadać w swoistą szpiegowską paranoję. Był przekonany, że wszyscy są przeciwko niemu i ani na chwilę nie może się odprężyć. W sumie było podobnie jak kiedyś, w czasach przed Legionem, gdzie po raz pierwszy w życiu trafił na prawdziwych przyjaciół.

Dla wytchnienia zabawiał się czasem z ochroniarzami w nagonkę. Zawsze jako zwierzyna, co szczędziło mu sińców i pozwalało pozostać w formie.

Podczas jednej z ucieczek trafił na rozwiązanie swojego największego problemu.

Zdobywszy dziesięć minut przewagi, skręcił w bok i pobiegł korytem strumienia. Brodził i skakał po kamieniach, aż dotarł do jeziora. Tam popłynął wzdłuż brzegu i na skraju majątku wyszedł z wody.

Przemknął po żwirowej plaży i chciał zatoczyć wielkie półkole, żeby wrócić do domu. Gdyby mu się udało, znowu by wygrał. Jak dotąd przegrywał jeden do dwóch.

Przekradał się z wolna przez krzaki, gdy nagle usłyszał trzask odbezpieczanej broni. Zamarł. Zza zarośli wyszedł mężczyzna w plamiastym kombinezonie. Z uniesioną bronią.

- Na ziemię! - rzucił ostro.

Njangu posłuchał. Z boków pojawiło się jeszcze dwóch, trzeciego słyszał z tyłu.

- Kim jesteś?!

- Leiter Ab Yohns - powiedział Yoshitaro. - A co wy robicie na moim terenie?

- Jeśli naprawdę jesteś leiter Ab Yohns, powinieneś wiedzieć, że to już jest majątek leitera Appledore'a - wyjaśnił dowódca straży. - Dokumenty!

- Nie mam żadnych - odparł Njangu, który nosił jedynie oliwkowy kombinezon z układem chroniącym przed odwodnieniem. Poczuł obmacujące go wszędzie ręce i ledwie się powstrzymał przed zabiciem intruza.

- Nic - powiedział mężczyzna.

Dowódca zmarszczył czoło.

- Stać! - rozległo się nagle. Strażnik zignorował okrzyk i chciał się odwrócić, gdy pocisk uderzył w ziemię tuż przy jego nogach. Musiał był zawodowcem, bo zaraz rozluźnił palce i upuścił broń. Inni zrobili to samo.

Zza drzewa wyłonił się jakiś osobnik z blasterem. Alfa.

- Dokumenty! - warknął ochroniarz.

- Należymy do straży majątku leitera Appledore'a - powiedział mężczyzna. - Wy... kimkolwiek jesteście... znaleźliście się na jego terenie.

Zza krzaków wyłonił się uzbrojony Beta.

Njangu omal się nie roześmiał. Beta podszedł do dowódcy, obszukał go i znalazł kartę identyfikacyjną.

- Jest tym, za kogo się podaje - stwierdził.

Alfa wyszedł z ukrycia i schował broń.

- Rozumiem, że to naprawdę jest leiter Yohns? - powiedział dowódca.

- Słuszne założenie - odparł Beta.

- Przepraszam, sir - wyjąkał strażnik, z czego Njangu wywnioskował że Yohns przewyższał Appledore'a rangą. - Uruchomił pan jednak alarmy i musieliśmy działać zgodnie z rozkazami.

Njangu widział, że strażnicy naprawdę się przerazili, chociaż starali się nie dać tego po sobie poznać. Zapewne mógłby ich wysłać do podmorskiej kopalni czy innego piekła.

- Nie ma co przepraszać, wykonywaliście po prostu swoją pracę - powiedział. - Pozbierajcie swoją broń.

- Dziękuję - odetchnął dowódca, a reszta zgodnym chórem poszła w jego ślady.

- Jeszcze jedno. Wspomniałeś o alarmach, a nie widziałem tu żadnego ogrodzenia z czujnikami.

Wszyscy, włącznie z Alfą i Betą, uśmiechnęli się pod nosem.

- Tutaj, sir - powiedział strażnik i podprowadził Njangu do czegoś, co wyglądało jak większy kamień polny. Dopiero bliższe oględziny ujawniły, że to atrapa.

- Aha, dziękuję. Możecie powiedzieć leiterowi Appledore'owi, że ma bardzo czujnych ludzi. Nie muszę się obawiać, że jakiś nie przystosowany zaatakuje mnie od strony jego majątku.

Zespół podziękował raz jeszcze i pospiesznie odtruchtał przez zarośla.

- Też mamy takie urządzenia? - spytał Njangu swoich ochroniarzy.

- Oczywiście, sir.

- Pokażcie mi kilka.

Alfa zaprezentował Njangu cały szereg fałszywych kamieni, kłód i tak dalej.

- Ciekawe. Zakładam, że wszystkie mają własne źródło mocy i kontrolowane są drogą radiową? Wyposażone w czujniki ruchu i podczerwieni?

- Tak, sir.

- Czujniki aktywne czy bierne?

- W podstawowym wariancie zawsze bierne, można więc przejść obok nich z wykrywaczem i niczego nie zauważyć. Może tylko z bardzo bliska dadzą słaby impuls na podczerwieni. Można je zdalnie zaprogramować tak, aby wyłączyły się, wykrywszy obce czujniki, albo podnosiły alarm, gdy wykryją tylko dwóch ludzi.

- Wyrafinowana technika - mruknął Njangu. - To standardowe wyposażenie? Na każdą posiadłość przypada tyle samo tych kamieni, pieńków i kłód?

- Mamy kilkanaście rodzajów atrap, które wyposażamy zależnie od potrzeb. Na wszelki wypadek trzymamy zawsze z tuzin w zapasie.

- Naprawdę ciekawe.

Moduły alarmowe zostały tak zaprojektowane, aby obsługa mogła je dostosowywać do swoich potrzeb, okazały się więc wdzięcznymi obiektami badań. Wystarczyły dwie godziny, by Njangu wiedział, co jest grane. Poszczególne części miały uniwersalne wtyki i wkrótce przywieziony czip trafił na swoje miejsce. Przy minimalnej liczbie przekleństw i obrażeń palców.

Czipy zostały sprokurowane przez cumbryjskich techników, którzy starannie sprawdzili wszystkie zapisy poczynione podczas pierwszego wtargnięcia w przestrzeń Lariksa i zdecydowali się wykorzystać częstotliwości względnie bliskie tym, których na co dzień używano w państwie protektora. Do tego dołączyli przewód pozwalający na podłączenie niemal każdego rejestratora, a tych Njangu miał już kilka.

Trudniej było przyłączyć dodatkowy transformator, który wziął z rozbitego odbiornika. Bez niego jednak nadajnik nie miałby wystarczającego zasięgu. W końcu więc Njangu uporał się z oporną materią i uznał, że zasłużył na drinka. Teraz mógł mieć tylko nadzieję, że zrobił wszystko jak należy.

Następnego dnia, wybierając się na spacer, zapowiedział ochroniarzom, że chce być sam. Zamierzał sprawdzić rozmieszczenie czujników. Być może były w tym systemie jakieś luki.

Uważnie przepatrując teren, odkrył sześć urządzeń, a potem jeszcze siódme, ułożone w najodleglejszym zakątku posiadłości. Szybko wyjął z atrapy całą elektronikę i włożył własny moduł, który podłączył następnie ukrytym przewodem do będącego pod prądem zewnętrznego ogrodzenia.

Wszystkie czujniki były pasywne, nikt nie powinien zwrócić uwagi, że ten tutaj nie zasygnalizuje, że tuż obok przechodzi dinozaur.

Z zewnątrz miała go odróżniać od pozostałych jedynie rozpięta między drzewami antena. Ale tę starczało rozwijać tylko na czas transmisji, a wówczas Njangu miał być tuż obok, z bronią w ręku.

Resztę dnia poświęcił na przygotowywanie meldunku, w którym zawarł najistotniejsze dane oraz potwierdzenie przypuszczeń Froudego. Kryptolodzy z Sekcji II postanowili wykorzystać stary kod książkowy. Wybrali do tego cztery dzieła religijne, które często

spotykało się na wszystkich planetach zamieszkanych przez ludzi. W miejscowej bibliotece Njangu znalazł bez trudu wydanie księgi Q'Ran w powszechnie znanym przekładzie i zgodnie z instrukcją zaczął szyfrować od czwartej sury.

Nagrawszy zakodowany tekst, przepuścił go kilkakrotnie między dwoma rejestratorami, za każdym razem zwiększając szybkość odtwarzania. W końcu przekaz liczył niecałe pięć sekund.

Następnego dnia udał się na miejsce, powtykał co trzeba w odpowiednie miejsca i rozwiesił antenę. Włączył rejestrator i wiadomość pomknęła w kosmos.

Ab Yohns znowu nadawał.

Teraz musiał jeszcze wykombinować sposób na odbieranie wiadomości, ale po pierwszym sukcesie był przekonany, że z czasem na pewno coś wymyśli.

W nagrodę zafundował sobie wieczór z winem i czterema towarzyszkami, które zabawiały go wytrwale do bladego świtu.

Następne trzy dni spędził, wypatrując oznak alarmu albo chociaż zainteresowania. Jednak w okolicy nie pojawiły się żadne pojazdy pelengacyjne. Albo odpowiednie służby Redrutha nie wyłapały przekazu, albo on nie okazał się dość spostrzegawczy.

Wrócił do miasta, gdzie podjął swoje zwykłe obowiązki.

Tym razem zainteresował się bliżej gwardią protektora. Chciał ustalić, skąd ci ludzie przybyli, jaką mają motywację do pełnienia służby i czy są odporni na ewentualne próby werbunku.

Szybko stwierdził, że większość należy do jednej z dwóch kategorii: albo byli fanatykami marzącymi o tym, by zasłonić Redrutha własnym ciałem przed zamachowcem, albo udawali gorliwość, aby utrzymać się blisko żłobu i czekać na okazję.

Bardziej zainteresowali go ci drudzy, chociaż oczywiście wolałby nie dostarczyć żadnemu z nich okazji do wyróżnienia się w roli świadka koronnego podczas procesu o zdradę. Należało więc zachować ostrożność.

Kiedy po wizycie w koszarach gwardii wracał do swojej limuzyny, podeszła do niego piękna rudowłosa pani oficer z naszywkami setnika.

- Leiter Yohns? - spytała z dwuznacznym uśmiechem.

- Tak? - uprzejmie odparł Njangu. Dziewczyna była warta uwagi, ale w głowie zabrzęczały mu wszystkie możliwe dzwonki alarmowe. Tyle że nie wiedział dlaczego.

- Pamiętasz mnie?

- Nie, ja... - Urwał. I nagle ją sobie przypomniał.

- Jestem Maev - powiedziała. - Rozpoznałam cię podczas porannej inspekcji. Lecieliśmy razem jako rekruci tym transportowcem, który przechwycił leiter Celidon. Wtedy nazywałeś się Njangu Yoshicośtam, prawda? Jak, u diabła, tu trafiłeś?

9

Kura IV

W burcie cumbryjskiego niszczyciela klasy Kelly otworzył się niewielki właz i wychynęła zeń sonda w kształcie strzały. Była nie większa niż ciało człowieka. Zaraz przyspieszyła, biorąc kurs na planetę Kura IV.

- Żałosne - mruknął Dill, stając za dowódcą Parnella, milem Liskeardem. - Całe nasze rozpoznanie.

- A owszem - zgodził się Alikhan. - Powinniśmy jeszcze mieć raporty szpiegów, komplet zdjęć satelitarnych...

- I zwiadowców, którzy przygotowaliby nam teren pod lądowanie - dodał Garvin.

- Dość tych jęków na moim mostku - warknął Lis - keard. - Wynoście się stąd. Starczyło mi, jak co rusz kwestionowaliście moje umiejętności podczas dolotu. Uważacie się za nieomylnych?

- Ja nie. Znam granice swoich możliwości - mruknął Garvin.

- Ciekawe. A ja nie - stwierdził Dill. - Dajcie mi znać, gdy jakieś zauważycie.

- Proszę bardzo. Ale będzie tego długa lista - powiedział Alikhan.

- Świetny pomysł - warknęła od swojego stanowiska oficer uzbrojenia. - Może pójdziecie się tym zająć i dacie mi spokojnie doprowadzić ptaszka na miejsce?

W Parnellu, pierwszym z czterech niszczycieli zbudowanych na Cumbre, pogodzono to, czego Grupa obecnie potrzebowała, z tym, co można było osiągnąć, szczególnie w pośpiechu. Jako podstawę projektu wykorzystano plany typowego patrolowca, tyle że otrzymano jednostkę o wiele większą, z załogą liczącą dwadzieścia osób, czterema pociskami typu Goblin umieszczonymi na osłoniętych podwieszkach pod dziobem, dwoma wieżyczkami z szybkostrzelnymi działkami i czterema wyrzutniami antyrakiet Shadow.

Zmodernizowane i rozbudowane po wojnie z musthami stocznie Cumbre mogły wypuścić jeden taki okręt miesięcznie. Wyposażanie go trwało następny miesiąc. Na razie nie porywano się w ogóle na budowę większych jednostek, przy których koszty i zużycie materiałów rosłyby w postępie geometrycznym.

Nikt nie wiedział, w jakim tempie zbroi się Redruth ani co właściwie buduje, ale wszyscy zakładali najgorsze, co wobec perspektywy wojny było najbezpieczniejszym podejściem.

- Czego sobie życzysz? - spytał uprzejmie Ben Dill.

- Dowiedzieć się, dlaczego jesteś taki głupi - odparł musth.

- No cóż, to u mnie wrodzone.

- Jesteś pilotem - powiedział Alikhan - a jednak zgłosiłeś się do piechoty. To nie ma sensu.

- Jak powiedziałem Garvinowi na Cumbre: dość mam czekania, aż kłopoty same mnie znajdą.

- Rozumiem. To rzeczywiście głupota. Ale nie większa niż moje wstąpienie do Grupy. Dlaczego mnie nie spytałeś, czy nie mam ochoty na coś jeszcze głupszego?

- Po prawdzie w ogóle o tym nie pomyślałem - odparł Ben, zastanowiwszy się chwilę. - Zresztą i tak bym cię nie wziął. A jeśli ktoś nas tam zauważy? Jak myślisz, co pomyślałby, widząc jakiegoś wielkiego włochatego małpoluda łażącego po dżungli?

- Nie wiem, co to jest małpolud, ale chyba się domyślam. Jednak nie martw się. Dziesięciu ludzi z bronią na pewno zrobi większe wrażenie niż ja.

- Hmm... To jest argument. Ale nic z tego. Przepraszam, Alikhan, że nie dam ci szansy na pośmiertny awans. Ale pomyśl. Masz pilotować tego velva, który nas wysadzi, prawda? Jesteś w tym całkiem niezły, prawie tak dobry jak ja. Dobrze wiedzieć, że będzie miał kto nas wziąć, gdybyśmy wdepnęli w gówno.

- Nigdy nie zrozumiem ludzkiej fascynacji ekskrementami - mruknął Alikhan. - Przyjmuję twoje przeprosiny. Będę gotów was podjąć. Nieważne kiedy, jak ani skąd.

Dwie wachty później, gdy członkowie grupy próbowali ze wszystkich sił wmówić sobie, że są nieulękłymi komandosami, którym nawet samobójcza misja niestraszna, prowadząca sondę technik weszła chwiejnym krokiem do zajmowanej przez nich niewielkiej ładowni.

- Milu Jaansma, jestem genialna - powiedziała.

- Sonda wróciła?

- Nie tylko wróciła, ale i nikt nic nie zauważył.

- Dobra, wszyscy. Włączyć holo. Zobaczymy, co nas tam czeka i od czego zaczniemy.

Kura IV została wybrana głównie dlatego, że według informacji wywiadu była najliczniej zamieszkaną planetą w układzie. Wedle miejscowej skali, oczywiście, gdyż żaden z czterech skolonizowanych tu globów jeszcze przez stulecia nie miał zaznać problemów przeludnienia.

Sonda okrążyła ją najpierw osiem razy, aby sporządzić mapę. W części nocnej korzystała z czujników podczerwieni i silnych wzmacniaczy światła widzialnego.

Cały zespół wpatrywał się w wiszącą przed nimi, wielką ma metr podobiznę planety.

- Jedenaście większych miast - powiedziała Monique Lir.

- Dwanaście - poprawił Froude. - Widzę jeszcze jedno skupisko świateł w pobliżu bieguna południowego.

- Pokaż je kolejno na zbliżeniu - polecił Garvin.

- Tak jest, sir. - Holo zamigotało, gdy technik zaczęła pokazywać im zbliżenia miast.

- Kiepsko położone - mruknął Dill. - Zbudowali je chyba na jedynym otwartym kawałku terenu na całej planecie.

- To też lepiej sobie odpuścić - dodała Monique. - Leży na półwyspie. Brak drogi odwrotu.

- A to?

- Może się nadać.

Ostatecznie wyłonili cztery potencjalne obiekty ataku i na nich skupili uwagę.

- To mi się podoba - powiedział Garvin, mrugając powiekami, bo już nieco piekły go oczy. - Największe miasto na planecie. Ilu może mieć mieszkańców? Z milion?

- Może nawet więcej - stwierdził Froude. - Rzeczywiście dogodny cel. Przyjrzę się dokładniej poszczególnym obiektom. Mamy tu kilka lotnisk, magazyny, które wyglądają na wojskowe. Ponad milion ludności.

- Leży u zbiegu dwóch rzek - powiedział Jaansma. - Potem dolina się rozszerza i jakieś piętnaście kilometrów dalej mamy morze. Z drugiej strony miasta są góry, gdzie powinniśmy znaleźć dobrą kryjówkę.

- Jaki mamy plan, szefie? - spytała Lir.

- Myślę, że wylądujemy tutaj, za granią, która nas osłoni. Potem przejdziemy się niżej... i uderzymy na tę zaporę. Przy odrobinie szczęścia fala, jaka wtedy powstanie, zniesie tę drugą tamę, w dole nurtu. Powinna być wysoka na jakieś piętnaście metrów, więc przejdzie przez centrum miasta i zmyje wszystkich do morza.

Jil Mahim, sanitariuszka grupy, przygryzła wargę, ale nic nie powiedziała. Garvin jednak dostrzegł jej reakcję.

- Jeśli nie możesz znieść myśli, że utonie przy tym wiele kobiet i dzieci... - zaczął.

- Nie, szefie. Zaraz dojdę do siebie.

- Dobra - powiedział Jaansma, udając, że nie widzi, jak podenerwowana jest Mahim. - To mamy pierwszy prawdopodobny cel. Zgodnie z rozkazami mamy wykonać jedno uderzenie, wycofać się i jeśli nie będziemy mieli dużych strat, powtórzyć atak w innej okolicy. Jest nadzieja, że to da protektorowi nieco do myślenia. Teraz wyślemy sondę na szczegółowy zwiad okolicy. Sprawdzi miejscowe garnizony, rozmieszczenie wiosek i ewentualne systemy obronne.

- Jeśli druga tama nie padnie po wysadzeniu pierwszej, sami się nią zajmiemy - powiedziała Monique. - To będzie nasz kolejny cel.

- Taka operacja nie nastawi do nas przyjaźnie mieszkańców - zauważył tweg Nectan.

- Jeśli szukasz nowych przyjaciół, to zapisałeś się na niewłaściwy turnus - skwitowała jego obiekcje Lir.

Rozległy się śmiechy.

- Gdybyśmy mieli obrzydzić tym ludziom wojnę, należałoby wycofać się teraz i wrócić z porządnym ładunkiem defoliantów. Domyślam się, że planety tego układu to spichlerz państwa Redrutha.

- Defoliantów albo radioaktywnego pyłu - dodała Mahim.

- Owszem, ale tylko przy założeniu, że w przyszłości na pewno nie okupowalibyśmy tych planet - stwierdził całkiem poważnie naukowiec.

- Wracając do naszego planu - przerwał im Garvin. - Po wszystkim wycofamy się w góry, skąd wezwiemy maszynę, aby nas zabrała. Szacuję, że cała operacja potrwa pięć do siedmiu dni, ale może się okazać, że będziemy tam dwa razy dłużej, bierzcie więc pełne plecaki.

Jaansma spostrzegł, że Alikhan wpatruje się w niego, i uniósł brew.

- Można słowo na osobności, Garvin?

Garvin chciał już powiedzieć, że tutaj nie ma miejsca na sekrety, ale powstrzymał się i wyszedł z musthem z pomieszczenia.

- Ciągle nie znam dobrze zasad, według których prowadzicie wojnę, i wolę najpierw spytać - zaczął obcy. - Dlaczego nie wspomniałeś ani słowem o tych obiektach, które co pewien czas pojawiały się w polu widzenia?

- Obiektach?

- Przypominają małe cienkie chmury, ale poruszają się w różnych kierunkach, więc to nie mogą być chmury. Chyba że w tamtych górach wieją jakieś dziwne wiatry.

- Chyba będzie lepiej, jeśli wrócimy i pokażesz wszystkim, co dostrzegłeś.

Alikhan poszedł za nim. Żołnierze skupili się wkoło projekcji i mruczeli coś o stromych stokach, na których nie da się zrobić więcej niż trzy kilometry dziennie, zastanawiali się nad tym, czy w dżungli kryją się jakieś wioski, i tak dalej.

- Słuchajcie, możliwe, że mamy kłopot - przerwał im Garvin i spojrzał na panią technik. - Możesz raz jeszcze dać na ekran koryta rzek?

Alikhan pokazał coś, co sądząc po ruchach jego głowy, musiało całkiem szybko się przemieszczać.

- To jest jeden. A tu drugi. Tam dwa razem. I kolejny.

Ludzie spojrzeli na niego zdumieni.

- Czy ktokolwiek widzi te obiekty, o których mówi Alikhan?

Rozległ się chór zaprzeczeń.

- Bardzo ciekawe - mruknął Froude. - Nigdy tak naprawdę nie zbadaliśmy, czy musthowie widzą w tym samym zakresie widma co my.

- Naprawdę nikt nic nie widzi? - spytał nie mniej zdziwiony Alikhan.

Zapadła cisza.

- Czy zapisy wskazują na obecność czegokolwiek, co mogłoby wymykać się naszym zmysłom? - zwrócił się do pani technik.

Dziewczyna przełączyła jakieś funkcje pojrzała na ekran, zmarszczyła czoło i znowu przebiegła palcami po klawiaturze.

- Nie, sir. Nie ma nic, co przypominałoby obiekty, o których mówi Alikhan. Moim zdaniem nikt nie może dostrzec czegoś, co umknęłoby tym czujnikom.

Alikhan spojrzał na panią technik. Uszy stanęły mu prosto, w oczach błysnął gniew, ale poza tym zachował spokój.

- Nie lubię takich sytuacji - mruknęła Deb Irthing.

- A kto lubi? - spytał Garvin. - Zobaczymy, czy zobaczy coś przy powtórnym przelocie sondy. Może to tylko usterka aparatury.

Szczegółowy zwiad ujawnił, że w wybranej okolicy znajduje się kilka małych wiosek, a tuż pod pierwszą, mniejszą tamą pobudowano coś przypominającego obóz wojskowy. Były również strażnice okalające tamę na wysokości korony.

Alikhan dojrzał kilka kolejnych dziwnych obiektów.

- Nie podoba mi się to, Garvin - powiedział. - Tym razem zachowywały się tak, jakby usiłowały umknąć z pola widzenia sondy.

- Czyli nie dość, że same są niewidzialne, to jeszcze potrafią wykryć naszą maszynę. Dlaczego Yoshitaro o nich nie zameldował?

- Co robimy, szefie? - spytała Lir.

- Nic. Wchodzimy.

- Pieprzona majówka - warknęła dziewczyna.

Parnell wykonał kilka szybkich manewrów i wystrzelił satelitę, który zajął stałe miejsce nad obszarem celu i miał przekazywać to, co dostrzeże, na pokład czekającego na obrzeżach układu niszczyciela.

Velv zszedł niemal pionowo. Przy sterach siedział Alikhan. Dill spojrzał na pozieleniałe twarze reszty grupy i zachichotał.

- Cieszcie się, że to nie ja pilotuję, bo mielibyście flaki na wierzchu. Naprawdę nie chce się wam rzygać?

Spośród przypasanych do zamontowanych prowizorycznie foteli tylko Monique miała dość sił, aby skląć go od ostatnich.

Dill roześmiał się głośno.

- Alikhana - zawołał. - Pomóc ci rozbić maszynę?!

- Nie trzeba - odparł obcy. - Takie manewry to ja ogonem...

- Tak mi się właśnie zdawało.

Velv zawisł w końcu pięćset metrów nad lesistym stokiem i powoli zbliżył się do wybranej przez Garvina polany. Musth przeszedł na napęd antygrawitacyjny i posadził maszynę.

- Opuścić rampę - rzucił i dwoje ludzi wykonało rozkaz.

- Szybko! - krzyknęła Lir.

Ludzie rozpięli pasy, wybiegli z maszyny i od razu dali nura w krzaki. Velv wisiał trzy metry nad ziemią. Po chwili przycupnęli w błocie, policzyli się i przygięci pod ciężarem plecaków odeszli kilka kroków dalej, gdzie zapadli z bronią gotową do strzału.

Gdy wszyscy byli już na dole, Garvin spojrzał na wyglądającą z włazu głowę w hełmie i pokazał uniesiony kciuk. Napęd velva zawył, maszyna wzniosła się pionowo i szybko zniknęła na tle nieba.

W lesie panowała cisza. Czekali w milczeniu, ale nic się nie poruszyło, nie zawołało, nie strzeliło.

Garvin przyklęknął, sprawdził namiar, wstał i skinął na ludzi, aby się ruszyli. Pomaszerował jako pierwszy, za nim dec Val Heckmyer, na trzecim miejscu szła dec Darod Montagna, snajper grupy. Za nią człapał największy i najciężej obładowany Ben Dill. Garvin nieco złośliwie wybrał go na głównego łącznościowca. Finf Baku al Sharif niósł zapasową radiostację. Kolejna była Jil Mahim, sanitariuszka, a dalej doktor Danfin Froude. Pochód zamykali tweg Deb Irthing i tweg Monique Lir.

Byli porządnie uzbrojeni w zmodyfikowane wedle zwyczajów zwiadu blastery. Broń Montagni była dodatkowo wyposażona w uniwersalny celownik optyczny oraz masywną kolbę. Każdy niósł magazynki z tysiącem bezłuskowych naboi, a Garvin, Heckmyer, Dill i Lir także blastery wsparcia drużyny z zapasem piętnastu bębnów amunicyjnych do każdego. Mieli też osobistą broń krótką oraz standardowe sztylety Grupy. Dilla obciążono jeszcze wyrzutnią rakiet i czterema rakietami.

Od tej chwili aż do podjęcia zadania mieli się porozumiewać wyłącznie szeptem i drogą radiową za pomocą laryngofonów oraz stykających się z kośćmi głowy wibracyjnych głośniczków. Woleli jednak zaufać mowie dłoni, bo chociaż urządzenia zostały nastawione na częstotliwość, której podobno tu nie używano, nie chcieli kusić losu.

Każdy niósł ładunek o masie około stu kilogramów, na co składała się zawartość plecaka, broń i to, co wisiało u pasa. Trzymali się na nogach tylko dzięki temu, że w dna plecaków wmontowano zmodyfikowane moduły spadaków, więc ważyły one nie więcej niż cztery kilo. To też wiązało się z ryzykiem, ponieważ spadaki emitowały słabe pole elektromagnetyczne, Garvin jednak miał nadzieję, że nikt nie będzie zbyt pilnie szukał czegoś takiego w dżungli.

Większość zawartości plecaków stanowiły materiały wybuchowe w kilogramowych laskach zaopatrzonych w lont i zapalniki zwykłe oraz czasowe. Gdy wysadzą co trzeba i zjedzą nieco zapasów, powinno więc zrobić się lżej.

Garvin przeszedł ze sto' metrów, gdy usłyszał głos Lir:

- Szefie. Obejrzyj się na polanę.

Garvin odwrócił głowę.

- Maszyna powinna wejść wyżej przed uruchomieniem głównego napędu. Widzisz ogień?

Garvin dojrzał ciemniejącą w oczach smugę dymu.

- Wynośmy się stąd czym prędzej - nakazał przez radio. - Może nikt nie będzie dociekał, skąd ten pożar.

W odpowiedzi Monique stuknęła dwa razy w laryngofon. Garvin przyspieszył kroku. Idealnie się zeszło, pomyślał. Akurat zaczyna się stromizna.

Po jakimś czasie trafił na coś, co przypominało wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę. Zdawała się prowadzić na szczyt szerokiej na kilkanaście centymetrów grani.

Nie biegła jednak w linii prostej, tylko wiła się od jednej kępy smacznych chwastów do drugiej, nie omijała żadnego zacisznego zakątka mogącego posłużyć zwierzętom za toaletę.

Garvin przypomniał sobie dwie podstawowe zasady zwiadu. Pierwsza była oczywista - nigdy nie zostawaj w tyle, choćby serce podeszło ci do gardła, a i wtedy się nie przejmuj, bo ciało cię okłamuje, wmawiając, że nie ma już żadnych rezerw. Kto o tym zapomniał, nie mógł się utrzymać w zwiadzie.

Druga zasada była surowsza - nie idź bezmyślnie przed siebie, tylko mimo wyczerpania zachowaj czujność. Nie wbijaj wzroku w ścieżkę, rozglądaj się wkoło.

O ile niemożność zastosowania się do pierwszego prawidła groziła tylko wyrzuceniem ze zwiadu, o tyle w drugim wypadku każdy, kto łamał regułę, prędzej czy później ginął w zasadzce albo detonując przydrożną minę pułapkę.

Garvin przypominał sobie szkolenie i wytrwale parł naprzód, ignorując coraz silniejszy ból mięśni i strzelając oczami na boki, gotowy natychmiast zareagować na każdy niepokojący sygnał.

Albo na ciszę, która zapadłaby nagle wkoło.

Uczył się dopiero zwykłych odgłosów tego obcego świata, chociaż nie wiedział jeszcze, co oznaczają. Na razie mogli jedynie zachowywać się jak najciszej, nie sapać i ostrożnie stawiać stopy, aby się nie pośliznąć i nie zjechać po mocno pochylonym zboczu.

Zatrzymali się tuż pod granią, dali płucom nieco wytchnienia i rozejrzeli się wkoło.

Niby nic się nie działo, ale z drugiej strony ciągle nie wiedzieli, na co właściwie mieliby uważać, ruszyli więc dalej i wstąpili na wąziutką grań. Wkoło widzieli inne porośnięte dżunglą wzgórza, ale ani śladu jeziora.

Cholera, pomyślał Garvin. Wydawało mi się, że jesteśmy tylko jedno pasmo od tamy.

Skinął na Heckmyer, aby poszła przodem. Nikt nie mógł prowadzić zbyt długo w tych warunkach, nie ryzykując, że spadnie z grani. Garvin dołączył z tyłu, przed Dillem, który wprawdzie spływał potem, ale nie wyglądał na specjalnie strudzonego wspinaczką.

W końcu zeszli na dół. Po drodze musieli co rusz łapać się nawzajem, aby w komplecie nie zjechać na tyłkach na sam dół, gdzie kamienistym korytem płynął strumień.

Najchętniej zapomnieliby o dyscyplinie, napili się zimnej wody i zrzucili sprzęt, mundury i zanurkowali w którymś z rozlewisk, ale na obcej planecie trzeba się było do tego zabrać inaczej. Najpierw Mahim spróbowała, czy woda nadaje się do picia. Kiedy skinęła potwierdzająco głową, para żołnierzy wystawiła posterunki w górze i w dole nurtu. Inna dwójka czuwała obok, gdy reszta ruszyła na drugi brzeg. Po drodze starali się jak mogli skąpać z głowami w głębokiej na metr wodzie. Potem przyszła kolej na kąpiel pozostałych.

Byli teraz całkiem mokrzy, ale za to odświeżeni. Zanim ruszyli w drogę, napełnili manierki.

Nagle zniknęło gdzieś słońce i zorientowali się, że jest już późne popołudnie. Garvin pomyślał, że przed zachodem zapewne nie uda im się przejść kolejnego pasma wzgórz i miejsca na obozowisko będą musieli poszukać po tej ich stronie.

Pięknie, warknął w duchu. Teraz jeszcze tylko ulewy nam trzeba.

Kilka minut później Kura IV życzliwie spełniła jego życzenie.

Po godzinie znaleźli stosunkowo najlepsze w tym terenie miejsce na nocleg. Było to prawie dziesięć metrów zbocza pochylonego jedynie o czterdzieści stopni. Podeszli na sto metrów do wypatrzonego z dala zakątka i zapadli w teren, by sprawdzić, czy nie czeka ich tam jakaś niespodzianka. Nic się nie poruszyło.

Zeszli zatem i rozłożyli się na noc. Parami zjedli, potem zapakowali odpadki w torby ze spalarkami, które wykorzystali również do pozbycia się odchodów. Tuż przed zmrokiem zebrali wszystkie pakunki i włączyli zapalniki. Bezgłośnie, bez dymu czy zapachu śmieci zostały zlikwidowane. W każdym razie żadne z nich nic nie wyczuło.

Garvin wysłał przez satelitę sygnał złożony z czterech znaków, w którym informował „Rozłożyliśmy obóz. Idzie dobrze. Zmierzamy do celu".

Potem ułożyli się w gwiazdę. Stopy każdego żołnierza stykały się w niej ze stopami sąsiadów. Byli jednak jeszcze zbyt blisko lądowiska, aby całkiem się odprężyć, i tylko połowie udało się zasnąć.

W nocy jednak nic się nie zdarzyło, jeśli nie liczyć potężnego bąka puszczonego przez al Sharifa. Nie tylko pobudził niemal wszystkich, ale i zmusił ich, żeby się odsunęli do czasu, aż znowu było czym oddychać. Cichcem poprzysiężono mu zemstę.

Jeszcze przed lądowaniem nastawili zegarki na liczącą dwadzieścia siedem standardowych godzin dobę planety. Godzinę przed pierwszym brzaskiem Garvin, który zawsze brał pierwszą i ostatnią zmianę warty, obudził wszystkich. Zjedli śniadanie, korzystając z błogosławionej bliskości strumienia obmyli twarze, wypróżnili się i ruszyli pod górę.

Tym razem mieli szczęście. Dolina otworzyła się niebawem szeroko i pośrodku niej ujrzeli jezioro, a dalej tamę.

Nectan uśmiechnął się do Garvina i pokazał na migi, że teraz muszą już tylko zejść, założyć ładunki i rozwalić zaporę. Potem klasnął bezgłośnie na znak zwycięstwa.

Garvin pokazał mu skrzyżowane palce, żeby nie zapeszyć.

Ruszyli powoli w kierunku celu.

Wachtowy Parnella obudził śpiącego w miniaturowej kabinie Liskearda.

- Mamy skompresowaną transmisję z Cumbre, sir. Kod R, tylko do wiadomości dowódcy. Łącznościowiec właśnie ją rozszyfrowuje.

Kod R należał do najlepiej strzeżonych i używano go tylko w najważniejszych wypadkach. W Grupie dostęp do niego mieli wyłącznie wybrani dowódcy jednostek oraz ich szyfranci.

Liskeard chrząknął i wziął pakunek, po czym odprawił wachtowego. Usiadł i odpieczętował pojemnik odciskiem kciuka.

- Nieźle - mruknął, przeczytawszy pierwsze zdania. Chwilę później całkiem się dobudził. Słyszał na odprawie, że w układzie Larix mają pewne „źródło", ale że dotąd nie przyszły od niego żadne meldunki.

W końcu jednak pierwszy raport Njangu dotarł do adresatów. Liskeard przejrzał go, szukając jakichkolwiek wzmianek o Kurze, ale niczego nie znalazł.

Niemniej i tak się ucieszył. Wreszcie nie musieli się poruszać w kompletnych ciemnościach.

Po niecałej godzinie marszu prowadząca akurat Lir zatrzymała się nagle i wyciągnąwszy rękę, pokazała pozostałym otwartą dłoń.

Stać.

Potem opuściła rękę.

Na ziemię i bez ruchu.

Sygnał został przekazany wzdłuż kolumny i wszyscy przykucnęli, omiatając wzrokiem przydzielone sektory w poszukiwaniu najmniejszego chociaż śladu życia.

Nic się nie działo.

Lir sięgnęła po lornetkę, aby zlustrować teren poniżej. Potem spojrzała na jezioro i na niebo.

Garvin klęczał pośrodku kolumny i też czekał. W końcu Lir odwróciła się i dwoma palcami dotknęła ramienia.

Dowódca na czoło.

Jaansma zastanowił się, dlaczego nie użyła laryngofonu i co takiego mogła dojrzeć. Przeszedł do niej ostrożnie i narysował w powietrzu znak zapytania.

Lir pochyliła się ku niemu.

- Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje - szepnęła. - Ale nie wiem kto.

Garvin zastanowił się. Nie wierzył w byle przeczucia, ale nie mógł zlekceważyć intuicji doświadczonego zwiadowcy.

Wziął własną lornetkę i też przyjrzał się terenowi przed sobą.

Nadal nic.

Zatoczył palcem dwa łuki, z góry na dół i z lewej do prawej, po czym znowu narysował znak zapytania.

Gdzie to wyczuwasz?

Lir spojrzała na niego z politowaniem i pokazała na dół, do góry i w okolicę jeziora.

Garvin nie widział niczego w powietrzu, ale przypomniał sobie ostrzeżenia Alikhana i jego niewidzialne obiekty. Przysunął usta do ucha Monique.

- Są rzeczy, których nasz włochaty przyjaciel też nie widzi. Daj znak, gdy wrażenie minie.

Lir skinęła głową. Kilka chwil później wstała i zamiotła dłonią na wysokości pasa.

Idziemy dalej.

Ruszyli.

Gdy teren zrobił się bardziej płaski, Lir znowu zatrzymała kolumnę. Przed nimi rosły równe rzędy zadbanych niskich drzew z gałęziami uginającymi się od purpurowo-zielonych owoców.

Za nimi widać było z tuzin prostokątnych drewnianych domów krytych zmatowiałymi blaszanymi dachami.

Cała grupa przyklękła, nie czekając na komendę.

Lir włączyła mikrofon.

- Szefie?

- Widzę - mruknął Garvin i zerknął na kompas. - Obejdź wioskę od południa. Staraj się nie tracić jeziora z pola widzenia.

Lir potwierdziła odbiór i powoli zagłębili się w dżunglę, aż odeszli na ponad dziesięć metrów od dotychczasowego szlaku, a potem ruszyli skrajem sadu. Nie uszli daleko, gdy Lir usłyszała jakiś hałas i zamarła niczym posąg.

Źródło dźwięków przybliżało się i po chwili zza drzewa wyszła młoda dziewczyna w workowatych spodniach i barwnej bluzce. Sądząc po narzędziach, które niosła, przycinała wpełzające do sadu dzikie pnącza.

Lir pokazała grupie skierowany ku ziemi kciuk.

Przeciwnik w polu widzenia.

Czekała w nadziei, że dziewczyna przejdzie obok, nie zauważywszy ich, ale ona w pewnej chwili przypadkiem się obróciła i spojrzała na Lir. Potem wróciła do przerwanego zajęcia.

Lir zameldowała, co się dzieje.

Zanim Garvin zdążył odpowiedzieć, stojąca zaraz za Lir Irthing dotknęła jej ręki. Lir opuściła głowę i ujrzała metalową rurkę z małym językiem spustowym. Poznała antyczną broń pneumatyczną wyrzucającą poruszające się z poddźwiękową szybkością pociski. Prymitywne, ale skuteczne narzędzie pozwalające zabić kogoś niemal równie bezgłośnie jak nożem.

Dziewczyna wycofywała się powoli. Starała się wyglądać jak najbardziej niewinnie i wyraźnie ze wszystkich sił powstrzymywała się przed spojrzeniem za siebie.

Lir wzięła i uniosła broń, ale opamiętała się.

Nie, pomyślała. Nie zabijamy dzieci.

Oddała broń Irthing. W tej samej chwili usłyszała głos Garvina:

- Poczekaj, aż zniknie, i ruszaj dalej. Nie zabijaj jej.

Dziewczyna zerwała się nagle do biegu. Lir wstała i poruszyła zaciśniętą w pięść dłonią w dół i w górę.

Szybko.

Grupa ruszyła i niebawem wioska została za nimi.

Lir zdała relację z ostatnich wydarzeń:

- Miejmy nadzieję, że wioska nie ma łączności ze światem i mieszkańcy nie zameldują o obcych.

Monique jednak powinna była zastrzelić dziewczynę.

Tyle że oni nie zwykli zabijać dzieci. Póki mieli jakieś inne wyjście, rzecz jasna.

Teraz było łatwiej iść. Droga biegła prawie po równym, często natykali się na wpadające do jeziora strumienie, chłodny wietrzyk chłodził skórę. Po dżungli zostało tu tylko wspomnienie i musieli przedzierać się jedynie przez zarośla. Szli jednak znacznie wolniej, gdyż co kilka kilometrów trafiali na wioski i pola uprawne. Co jakiś czas widzieli jakiegoś tubylca. Jeden był nawet uzbrojony i wyglądał na wioskowego milicjanta.

Nigdzie nie dostrzegli jednak żadnych śladów alarmu i Garvin skłonny był przypuszczać, że nikt nie uwierzył dziewczynie w opowieść o dziwnych uzbrojonych osobnikach z twarzami umazanymi na czarno i zielono.

Co jakiś czas, gdy wychodzili na otwartą przestrzeń, widzieli przed sobą masyw tamy.

Dotarli do większej wioski i Garvin kazał ludziom skierować się ku wzgórzom, gdzie wciąż rósł las. Pokazał, aby zorganizowali obronę okrężną, a następnie z Lir i Froudem przekradł się na cypel, z którego mogli lepiej przyjrzeć się celowi.

Gdy wrócili, zarządził naradę.

- Oto, co mi przyszło do głowy - szepnął. - Nie wiem, czy gdzieś o nas doniesiono, ale zakładam, że tak. A to znaczy, że musimy uderzyć dziś w nocy, zanim zdołają coś na nas wymyślić.

Rozległy się pomruki aprobaty.

- Ale do podstawy tamy jest ciągle daleko - zaznaczyła Lir. - Chyba że pójdziemy na skróty...

- Pierwsza dobra wiadomość to taka, że na razie nigdzie nie idziemy - powiedział Garvin. - Zrobimy swoje stąd.

- Trochę daleko na pływanie, szefie - zauważyła Mahim.

- Żadnego pływania. Widzicie te dwukadłubowe łodzie rybackie zacumowane przed wioską? A może wszyscy prócz mnie oślepli?

- Ja je widzę - odparł Dill.

- Ja też - mruknął Froude. - Zastanawiałem się właśnie, czy nie dałoby się ich wykorzystać. W odróżnieniu od was nie przepadam za długimi spacerami.

- Robimy więc tak - oznajmił Garvin. - Przygotujemy zaraz ładunki wybuchowe, każdy ze zdalnie odpalanym zapalnikiem, co da nam najwięcej swobody działania. Gdy zapadnie noc, weźmiemy dwie łodzie, po trzech na jedną. Dwóch ludzi zalegnie tutaj z plecakami. Będzie księżyc, więc aż do tamy powiosłujemy tuż przy brzegu. Obok upustu wrzucimy do wody dwa pakunki po dwadzieścia kilo. Dwoje wejdzie rurą jak najwyżej i umieści kolejne dwa ładunki pod tym budynkiem... przypuszczam, że to sterownia hydroelektrowni. Kiedy je założą, wszyscy oprócz mnie, Monique oraz...

- Oraz mnie - wtrącił Dill.

- Oraz ciebie, Ben. Będziesz mnie niósł, gdy się zmęczę. Tak więc wszyscy oprócz nas wracają tutaj i czekają. Gdy przy odrobinie szczęścia dołączymy do was, ruszymy ku wzgórzom, gdzie odczekamy, aż nieco się uspokoi. W razie czego punkt zborny wyznaczam w miejscu, gdzie ostatnio nocowaliśmy. Proste wejście i proste wyjście. To by było na tyle.

- Nie całkiem. Zostały jeszcze dwie osoby bez rozkazów - powiedział Nectan.

- Masz rację. Monique i ja wybierzemy się zaraz obejrzeć sobie to wszystko z bliska. Gdybyśmy dostrzegli cokolwiek niepokojącego, jakieś posterunki, wojsko albo czujniki alarmowe, wycofamy się i przemyślimy akcję na nowo.

- Jeszcze jedno - rzuciła Irthing.

- Słucham, Deb.

- Mamy wiosłować rękami? Bo zdaje mi się, że w tych katamaranach nie ma wioseł.

- No tak - mruknął Garvin. - Chyba niedowidzę.

- Mamy wiosła - powiedzieli jednocześnie Lir oraz Froude i uśmiechnęli się do siebie.

- Proszę. Oto, do czego przydają się podoficerowie. I naukowcy.

- Też mam pytanie - odezwał się Dill. - Kto pójdzie ze mną na samą górę?

- Jestem najmłodszy, więc zgłaszam się na ochotnika - odparł al Sharif.

- Właśnie. Monique i ja poczekamy na was na koronie tamy. Al Sharif, gdy ładunki zostaną założone, wrócisz na dół, do łodzi. Ty, Dill, zostaniesz z nami, jak mówiłem.

Widzicie, jak łatwo nam poszło z odprawą? Gdy nie ma map i nic nie wiadomo o sile przeciwnika ani jego rozmieszczeniu, od razu ubywa zmartwień. Dobra. Nectan, jesteś starszym twegiem. Będziesz dowodził. Myślisz, że będą jakieś problemy z wykradzeniem łodzi?

- Gdyby miał jakieś problemy, pomogę - powiedziała Montagna. - Byłam kiedyś instruktorem nauki pływania.

Uśmiechnęła się do Garvina, który odpowiedział jej tym samym. Jakiś czas temu, kiedy prowadził drużynę na manewry, te pechowe, zakończone masakrą, która płynnie przeszła w wojnę z musthami, podziwiał tę bystrą i wysportowaną dziewczynę. Po prostu i bez podtekstów, chociaż przypominała mu kogoś, kogo znał jeszcze w szkole. Tamta budziła jednak respekt - była za ładna, za mądra i chyba zbyt dorosła w porównaniu z rówieśnikami. Niemniej Garvin nie wspomniał o tym wszystkim Montagni, ostatecznie była znacznie niższa stopniem niż on. Poza tym przeżywał jeszcze wtedy stratę Jasith, bezpowrotną, jak sądził, i wszystkie obserwacje dotyczące płci przeciwnej miały czysto akademicki charakter.

- Dobra, kto nie ma zajęcia, kładzie się spać - nakazał, wstając.

Rozległ się szmer zdumienia. Najpierw musieli przygotować ładunki, wyczyścić broń, sprawdzić magazynki, naostrzyć noże i w ogóle uszykować się na wielkie zabijanie. Nawet gdyby komuś chciało się potem spać, i tak by już nie zdążył.

- Dalej, Lir - rzucił. - Mamy sporo do przejścia przed snem.

- Muchy wkoło latryny latają w większym ordynku - mruknęła Monique, opuszczając lornetkę.

- Mało wojskowy duch tam panuje - przyznał Garvin. - Dzięki niech będą świętemu Janowi za Apokalipsę.

Oddział strzegący tamy liczył około stu wojaków stacjonujących na niewielkim ogrodzonym terenie około pół kilometra od budowli.

- Widziałeś, jak leniwie zbierali się na apel? - ciągnęła Lir. - Połowa jeszcze marudziła w kantynie, gdy ich wywoływali.

- I bardzo dobrze - stwierdził Garvin. - Poza tym ulokowano ich pod tamą, więc przy odrobinie szczęścia pozbędziemy się ich i nie będzie nam groził pościg.

- Zgadza się. - Lir ponownie uniosła lornetkę. - Z tej strony korony dostrzegłam dwa czujniki. Powinny łatwo dać się oszukać.

- Chyba widzę trzeci przy bramie. Zdaje się, że naciskowy.

- A tak, mam.

Gdy słońce zaszło za górę i tamę spowił cień, z jednego z baraków wyszła grupa ludzi. Ustawili się w kolumnę.

- Chyba zmiana warty - powiedział Garvin. - Szesnastu plus podoficer. To daje osiem posterunków po tej stronie i osiem po tamtej. Zapewne w parach.

- Ale to, co zaniepokoiło Alikhana i mnie, więcej się nie pokazało.

- Byłeś nie zapeszyła.

- To co, czekamy kilka godzin i schodzimy?

- Coś taka ambitna? Ruszymy, gdy Nectan zamelduje, że ma łodzie. Na razie dobranoc.

Garvin ułożył się na boku, żeby plecak mu nie przeszkadzał, zamknął oczy i jak mógł najlepiej udał śpiącego.

Monique spojrzała na niego sceptycznie, ale po chwili zrobiła to samo.

Nim minęły dwie minuty, posapywała już przez sen łagodnie jak kotka.

Darod Montagna podpłynęła cicho do łodzi. Poruszała się, nie unosząc nóg ani rąk ponad powierzchnię wody, tak jak nauczyła się w dzieciństwie. Nie niebie świecił tylko jeden z czterech księżyców planety. Poczekała, aż zakryje go chmura, i wspięła się do łodzi. Odwiązała obłożoną na boi cumę. Zaczęła powoli wiosłować w kierunku tamy. Chwilę później jej śladem ruszyła druga łódź.

Spocona jak mysz opłynęła w końcu pobliski cypel i przybiła do brzegu. Z krzaków wyłoniło się sześć cieni, które podeszły przez płyciznę do łodzi, wrzuciły do niej ciężkie plecaki i wsiadły.

- Ruszamy - szepnął Nectan do mikrofonu.

Garvin odpowiedział dwoma stuknięciami.

Garvin i Monique przekradli się zaroślami obok budki straży, pokonali kilka zwojów zardzewiałego drutu kolczastego i weszli na koronę tamy. Czujniki ruchu były zaraz przy bramie. Garvin przemknął na drugą stronę drogi, odszukał linię zasilającą i przypiął do niej małe pudełko w gumowej osłonie. Automatyczne kleszczyki przebiły się przez izolację i urządzenie wysondowało system. Po chwili już nagrało zwykłą emisję sygnałów. Każda zmiana czy przerwa w transmisji miała być blokowana i zastępowana spreparowanym komunikatem. Lir zrobiła to samo z drugim urządzeniem.

Czujnik naciskowy, czy cokolwiek to było, leżał sobie pośrodku drogi rzucony tak niedbale, że bez trudu można go było ominąć.

Lir tuż poniżej obramowania tamy przymocowała do betonu mały pakunek. Stroną czynną do wewnątrz.

Potem zaczęli się przekradać po szerokiej na piętnaście metrów koronie na drugą stronę, gdzie mieściła się sterownia. Do przebycia mieli około czterystu metrów.

Gdzieś po drodze mieli trafić na straże.

Baku al Sharif uniósł głowę, spojrzał na ciemniejącą nad nim betonową ścianę i wzdrygnął się. Siedzący obok na dziobie łodzi Nectan wyczuł poruszenie i poklepał go przyjacielsko po ręce. Druga łódź zatrzymała się parę metrów obok.

Wartownik wpatrywał się w nurt wody wypływającej z leżącej daleko w dole hydroelektrowni i zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie się wgiapiał w ten kamienisty wąwóz, zanim zostanie wreszcie zwolniony do cywila. Chętnie zagadałby do towarzysza, ale nie chciał się dodatkowo dołować. Przyjaciel czekał niecierpliwie na przeniesienie. Za miesiąc i kilka dni miał się stąd ulotnić.

Coś zamajaczyło w ciemności. Wartownik nie zdążył nawet ściągnąć broni z ramienia, gdy poczuł wnikający między żebra nóż. Nagle zabrakło mu tchu. Po krótkiej szamotaninie głowa opadła do tyłu. Był martwy.

Garvin wyjął nóż i schował go do pochwy. Ofiara Lir wydawała ostatnie bulgotliwe tchnienie. Z rozciętego gardła płynęła jeszcze krew.

- Można. Czysto - powiedział Garvin.

Montagna i Irthing w jednej łodzi, Mahim i Dill w drugiej, wszyscy zajęli się ustawianiem detonatorów. Po chwili wrzucili ładunki do wody tuż przy betonowej ścianie. Szybko opadły na muliste dno.

Potem podpłynęli do biegnących w górę żebrowanych rur metrowej średnicy. Al Sharif złapał się jednej z nich, Dill rzucił swój plecak na drugą i poszedł jego śladem.

Księżyc wyszedł zza chmur i al Sharif dostrzegł, że Ben Dill wskazuje brodą w górę. Nałożyli plecaki i zaczęli wspinaczkę. Rury były pochylone pod kątem około osiemdziesięciu stopni, ale dzięki zamocowanym co pół metra obejmom szło im się dość łatwo.

W dole Nectan skinął na drugą łódź, aby odsunęła się od tamy. Powinien skierować się do brzegu, ale czekał na wypadek, gdyby któryś z przyjaciół odpadł.

Al Sharif bez trudu wspinał się coraz wyżej. Złapał drugi oddech. Dill zatrzymał się, czując drętwienie ramion, poprawił paski plecaka i pozwolił, aby finf go wyprzedził.

Byli już dwadzieścia... trzydzieści... czterdzieści metrów nad poziomem wody. Po prawej rysowała się sterownia.

Al Sharif dotarł na górę, zsunął plecak z ramion i przerzucił go przez obramowanie. Wyciągnął rękę do Dilla, choć po prawdzie olbrzym nie potrzebował żadnej pomocy. Nagle z centrali wyszedł jakiś żołnierz i natychmiast uniósł broń.

Al Sharif usłyszał jego kroki, odwrócił się i ujrzał wycelowany w siebie blaster. Uniósł dłoń, jakby chciał się osłonić przed pociskiem, gdy mężczyzna strzelił mu prosto w twarz. Zwiadowca zginął na miejscu.

Ben, który znalazł się tymczasem prawie na górze, złapał go zaraz za kołnierz i wsparty tylko na kolanie, sięgnął po monstrualny pistolet, który od dawna był jego osobistą bronią. Strzelił w chwili, gdy blaster obracał się w jego stronę. Mężczyzna okręcił się w miejscu i upadł.

Dill poczuł, że zaczyna odpadać od ściany, ale przygiął kolana i odzyskał równowagę. Schował broń za pazuchę i poszukał palcami punktu zaczepienia. Raniąc je sobie do krwi, wdrapał się w końcu na górę i wciągnął za sobą ciało al Sharifa.

Ujrzał dwie zbliżające się ciemne sylwetki. Znowu sięgnął po pistolet.

- Sybilla - powiedziała jedna z postaci.

Ben poznał głos Garvina. Spojrzał na głowę al Sharifa. Była mocno niekompletna. Upuścił ciało.

- Nie - szepnął Garvin. - Z drugiej strony. Nie chcemy, aby wiedzieli, że oberwaliśmy.

Dill przerzucił zwłoki nad obramowaniem i rzucił je do kamienistej doliny.

Usłyszeli krzyki i ujrzeli, że od drugiego końca tamy zbliżają się ku nim jakieś światła.

Dill złapał plecak al Sharifa i pochylony wbiegł w otwarte drzwi.

Garvin i Lir rozpłaszczyli się na betonie, odbezpieczyli broń i otworzyli ogień. Pociski rykoszetowały od nawierzchni, eksplodowały w zetknięciu z ciałami. Rozległy się wrzaski i jęki.

- Z tyłu - powiedziała Monique, odwracając się.

Z drugiej strony też nadbiegali strażnicy. Z zapalonymi latarkami. Idealne cele.

Garvin odbezpieczył kciukiem granat i cisnął go w kierunku grupy za centralą. Potem poprawił drugim. Gdy przestało mu dzwonić w uszach, nie było już słychać żadnych krzyków.

Lir tymczasem wysłała cały bęben ładunków w tych z przeciwnej strony.

Dill wybiegł z centrali.

- Jeśli nie macie tu już nic do roboty, to w każdej chwili możemy się zmywać.

W pobliskim obozie wojskowym zapalały się kolejne światła.

- Dobra - mruknął Garvin, zmieniając magazynek. - Trzeba się będzie przedzierać tą stroną, a potem pomyślimy, co dalej. - Włączył mikrofon. - Mówi Garvin. Jeden Keld Ind Alf, gdzie jesteście?

- Zerknij w dół - odpowiedział Nectan. Garvin nie tyle go usłyszał, ile wyczuł przez kości czaszki.

Wychylił się przez obramowanie. Poniżej czekały obie łodzie.

- Niezdyscyplinowane sukinsyny - warknął radośnie i wyciągnął z plecaka zwój liny. Przymocował ją podwójnym węzłem do barierki.

- Monique, ty pierwsza.

- Sam rusz dupę.

- To rozkaz!

Spojrzała na niego krzywo, ale szybko złapała linę i zaczęła zjeżdżać. Jedna z łodzi podpłynęła, aby ją przejąć. Dill ruszył drugi.

Garvin wystrzelił serię ze stu pocisków. Tymczasem siedząca już w łodzi Lir odpaliła założony w pobliżu bramy ładunek.

Jaansma zarzucił broń na ramię i zaczął się spuszczać po linie. Trochę za szybko, bo otarł sobie dłonie i z wielkim pluskiem wpadł do wody. Zaraz jednak kilka dłoni wciągnęło go do łodzi.

- Do wioseł - rozkazał. - Chcę to mieć jak najszybciej za sobą.

Miejscowi żołnierze mogli być słabo wyszkoleni, ale trudno im było odmówić odwagi. Ponieważ wszyscy oficerowie zginęli, najstarszy stopniem podoficer poprowadził ludzi do kolejnego ataku.

Nikt do nich nie strzelał. Nic też nie poruszało się na koronie tamy.

Odbezpieczył granat oświetlający i cisnął go daleko przed siebie. Ujrzał tylko bezwładne ciała.

Łodzie dobiły do brzegu po tej samej stronie jeziora, na której leżał obóz straży. Garvin ujrzał w dali błysk granatu oświetlającego.

- Panie Dill? Panie Nectan?

Ben skrzywił się i wcisnął dwa przyciski zapalarki. Nectan zrobił to samo.

Cztery ładunki odpaliły równocześnie. Dill umieścił swoje na wrotach jazów, które wyleciały teraz wysoko w powietrze. Sterownia po prostu się rozpadła.

Te skryte głęboko pod wodą obwieściły swoją obecność dwoma srebrzystymi kolumnami wody.

Być może tama była niewłaściwie zaprojektowana i wzniesiona na nie dość stabilnym podłożu, może nałożyły się fale wybuchów. A może od lat już się rysowała.

Oczekiwali, że wybuchy nadwerężą konstrukcję, a woda z wolna dokona reszty, tymczasem prawie jedna trzecia betonowej ściany pod prostu oderwała się i runęła. Za nią popłynął cały wodospad, zgarniając w jednej chwili bloki turbin i całą elektrownię.

Żołnierze na koronie nie mieli czasu na ucieczkę. Porwał ich prąd.

Wysoka na siedemdziesiąt metrów fala popędziła w dół doliny. Najpierw zmyła obóz jednostki wartowniczej.

Dalej trafiła na kilka wiosek, które zniknęły z powierzchni planety, jakby nigdy ich nie było.

Pięć kilometrów dalej dolina się rozszerzała. Wciąż wysoka fala zgarnęła tam zwierzęta z pastwisk, zabiła kolejnych wieśniaków i kilka pododdziałów stacjonujących we wsiach.

Przebywszy jeszcze dwanaście kilometrów, dotarła do następnego zbiornika retencyjnego i uderzyła na drugą, większą tamę. Zniszczeniu uległ jeden z chwytów wody do hydroelektrowni i sterownia na koronie tamy, ale konstrukcja wytrzymała. Miasto w dole nie zostało zalane.

- Dobra - mruknął Garvin, gdy ucichły echa eksplozji. - Teraz do punktu zbornego. Jutro pójdziemy w dół rzeki, sprawdzimy, ile zniszczeń udało nam się wywołać i czy trzeba zająć się tą drugą tamą. - Spojrzał na Dilla. - Gotowy?

- Zastanawiam się, czy gdybym szedł pierwszy, zdążyłbym załatwić tego drania.

- Chodź, Ben. Co się stało, to się nie odstanie.

- Wiem. Nigdy nie zdołam mu się odpłacić.

Cała siódemka wzięła broń oraz plecaki i zniknęła w ciemności.

Pół dnia trwało, nim obeszli ruiny tamy, błotnistą nieckę pozostałą po jeziorze i znacznie odleglejsze teraz od wody wioski, stanęli na szczycie wzgórza i spojrzeli w kierunku większej tamy.

- Złe wieści - powiedział Garvin. - Nie pękła. Musimy powtórzyć przedstawienie, ale tym razem głośniej i radośniej.

Jednak dwie godziny później usłyszeli za sobą strzał. Odpowiedziały mu dwa wystrzały gdzieś przed nimi.

Byli tropieni.

Larix/Prime

- Jak zauważyłeś, wybrałam zaciszny boczny korytarz, w którym ściany nie mają uszu - powiedziała Maev. - Sama go sprawdziłam, zanim zaczaiłam się na ciebie.

- Młoda kobieto - odparł Njangu, starając się mówić ojcowskim tonem kogoś zbyt starego, aby pamiętać swoje rekruckie czasy. - Nie wiem, o czym pani mówi.

- Nie mam ukrytego mikrofonu.

- Tylko przez szacunek dla gwardii protektora nie wezwę żandarmerii i nie poślę cię na przesłuchanie. Być może zbyt długo była pani ostatnio na służbie.

Dziewczyna przestała się uśmiechać, ale zaraz znowu uniosła kąciki ust, gdy Njangu wyjął z kieszeni notatnik i wyrwał kartkę. Na jednej stronie napisał swój adres, a na drugiej krótkie polecenie:

Ten, kto przyniesie tę notatkę,
ma zostać wpuszczony
do mojego mieszkania.
Ab Yohns

Potem pokazał jej szybko najpierw dziesięć, a potem dziewięć palców.

- Bardzo ostrożnie, Njangu - mruknęła Maev. - Nic podpadającego. I pamiętaj, ja też nie wiem, czy nie jesteś podstawiony. Ale zaryzykuję. Muszę jakoś wydostać się z tego bagna, a mam nadzieję, że skoro umiałeś tu wejść, będziesz też umiał wyjść.

Zasalutowała energicznie, obróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem. Njangu spojrzał za nią. Z całych sił starał się nie okazać, jak bardzo jest zaniepokojony.

Wieczorem doszedł do siebie i nawet ułożył pewien plan. Założył, że Maev nie została podstawiona przez Redrutha, Celidona ani jakiegoś innego, nie znanego mu wroga. Skorzystał też z pewnego drobiazgu, który usłyszał od jednego ze swoich ochroniarzy w dniu, gdy zaczynali u niego pracę.

Sprawdził uważnie swój gabinet, tak za pomocą urządzeń, jak i oczu, po czym i zapowiedział wszystkim, że wieczorem ma ważne spotkanie i nie życzy sobie, aby ktokolwiek mu przeszkadzał. Jedynie Brythe odważyła się zadać jakieś pytanie.

- A... Ma do nas dołączyć piąta? To dlatego tak pilnie bierzemy witaminki?

- A dlaczego zakładasz, że nie chodzi o tajne spotkanie z protektorem Redruthem? Albo z Celidonem?

- Nie byłoby widać po twojej minie, że czujesz się winny.

Yoshitaro mruknął coś niezrozumiale i pomyślał, że chyba naprawdę nie nadaje się na szpiega.

Maev zjawiła się dokładnie o czasie, jak na oficera przystało. Nie była jednak w mundurze, tylko w stroju pasującym na całkiem inną okazję: czarnych siatkowych spodniach i czarnej koszulce, która kończyła się tuż poniżej piersi. Ciemne włosy miała przycięte równie krótko jak Njangu.

Yoshitaro aż zamrugał ze zdumienia, ale nie odezwał się, aż weszli do sprawdzonego pomieszczenia.

- Oczekiwałaś rewizji osobistej? Przy takim stroju nie będzie konieczna.

- Nie wygłupiaj się - odparła Maev. - Sądzisz, że mnie nie obserwują?

Njangu potrząsnął głową, udając, że nie rozumie.

- Zakładam, że ktoś mógł zobaczyć, jak dzisiaj rozmawialiśmy. Mógł zadać sobie pytanie, co też wysoko postawiony leiter może mieć wspólnego ze zwykłym oficerem.

Podsunęłam oczywistą odpowiedź. Wszyscy tutejsi ważniacy uważają, że każda kobieta da z siebie wszystko, byle tylko móc się z nimi przespać.

- Aha. Przepraszam. Coś do picia? Albo do jedzenia? Kuchnia jeszcze pracuje.

- Zjadłam w kantynie. A co do picia, to rzadko korzystam. I nigdy nie piję, gdy załatwiam interesy.

- Mam nadzieję, że wybaczysz staremu alkoholikowi - powiedział Njangu, podchodząc do barku, z którego wziął jednak tylko piwo.

- Na czym zatem stoimy? - powiedziała rzeczowo dziewczyna, siadając w pluszowym fotelu. Wciąż była spięta. - Jeśli naprawdę jesteś Ab Yohnsem, niegdysiejszym szpiegiem protektora na Cumbre, to masz mnie na talerzu, bo na pewno roi się tutaj od pluskiew. Ale nie wydaje mi się, żebyś nim był. Twoje zaproszenie jeszcze utwierdziło mnie w tym przekonaniu.

- Możliwe, że chcę cię podejść i wybadać, aby dotrzeć do twoich towarzyszy.

- To pasowałoby do sposobu myślenia protektora - przyznała dziewczyna. - Ale w razie przesłuchania z użyciem środków na zwiększenie szczerości wygadałabym się pewnie, że jesteś Njangu Yoshitaro... przypomniałam sobie twoje prawdziwe nazwisko godzinę temu. Taka wiadomość raczej zaszkodziłaby twojej tutejszej karierze?

- Owszem - zgodził się Njangu. - Dość kombinowania. Jestem... tym, kim myślisz, że jestem. - Zastanowił się, dlaczego nie chciał wymówić swojego prawdziwego imienia i nazwiska. - Ale jak pamiętam, na Malvernie, chyba nie zdążyłem przeczytać twojej plakietki.

- Maev Stiofan - odparła dziewczyna i nieco się odprężyła. - Tak. Byliśmy zajęci, pamiętasz? - dodała z lekkim uśmiechem.

- Możesz streścić w paru zdaniach, co się z wami działo po tym, jak Celidon opanował statek, a ja się zmyłem?

Maev nie miała wiele do opowiadania. Rekruci zostali przewiezieni na Larix i rozrzuceni po różnych jednostkach, gdzie przeszli ciężkie szkolenie.

- Już wcześniej wybrałam przydział do łączności, zakładając, że nauczę się czegoś, co i potem mi się przyda. Nie zamierzałam spędzić życia na tej farmie, gdzie wyrosłam, ale po podpisaniu listy dotarło do mnie, że czekanie na starość z słuchawką w uchu też mi nie odpowiada. Nieco spóźniony wniosek. Niemniej w tych realiach było to znacznie lepsze niż czołganie się w błocie, tak więc gdy przyszło do spisywania specjalności, podałam, że jestem wyszkolonym technikiem łączności ze znajomością zhukovów. Tyle że tutaj nazywamy te maszyny ayesha. Są to...

- Znam je. Na Cumbre też ich używamy.

Redruth oczekiwał, że wszyscy zdolni do służby wojskowej poświęcą armii trzy lata. Rok na szkolenie ogólne, rok na specjalizację i rok na aktywną służbę.

- Zdumiewająco wielu trafia w końcu do floty - powiedziała Maev. - Redruth uważa wyraźnie, że to najważniejszy element obrony. Sama armia, mimo liczebności, bardziej przypomina siły policyjne. Nie żeby był tu jakiś ruch oporu. I on, i jego ojciec, a wcześniej jego dziadek drżeli na samą myśl o najmniejszych nawet zmianach.

- Też to zauważyłem. Trudno obalić taki reżim.

- Przypuszczam, że właśnie to ściągnęło cię na Larix. To oraz zamiary Redrutha. Od dłuższego czasu twierdzi, że z racji stanowiska należy mu się władza nad Cumbre. - Spojrzała na niego z rozpaczą. - Njangu, czy Cumbre ma kontakt z Konfederacją? Co, u diabła, tam się dzieje? Niczego nie udało się nam ustalić, a nie jestem taka głupia, żeby wierzyć propagandzie Redrutha.

Njangu przekazał jej, co wiedział na temat niewątpliwego rozpadu Konfederacji.

- Więc tym razem nie kłamali. Jak do tego doszło? Ktoś coś wie?

- Wiemy tylko tyle, ile ci powiedziałem. Może nie jest tak źle, jak się wydaje, może nie wszystkie struktury przestały działać. W każdym razie mam taką nadzieję. Ale wracaj do swojej opowieści.

Maev przetrwała unitarkę głównie dzięki wrodzonej bystrości i brakowi skrupułów. W razie potrzeby potrafiła kopnąć w krocze albo uderzyć pięścią z wciśniętą między palce monetą.

- Ciekawa ta armia. Nikomu nie przeszkadza, gdy ktoś wykorzystuje stopień, aby zaciągnąć podwładnego albo podwładną do łóżka. Czy robi sobie z kogoś służącego. Ci zjedna belką regularnie obrywają od tych z dwoma, ci z dwoma od tych z trzema... Tak to działa. Poza tym całkiem oficjalnie przyzwala się na pojedynki. Można wyzwać tylko równego sobie albo młodszego stopniem, chociaż w ostatnim wypadku zwykle szkoda zachodu. Starczy pociągnąć za parę sznurków, aby kłopotliwy podwładny trafił na asteroidę, gdzie ani na chwilę nie będzie mógł zdjąć skafandra. Z drugiej strony cała masa ludzi objęła stanowiska po swoich przeciwnikach, którzy byli dość głupi, aby załatwiać sprawę honorowo, i dali się zabić. Czasem dziwię się, że taka armia w ogóle może istnieć. Do tego trzeba przyznać, że jest nawet skuteczna, chociaż i bez wroga ma wysoki odsetek zgonów.

- To dlaczego jeszcze w niej jesteś? To już prawie pięć lat, a mówiłaś, że służba trwa trzy.

- To bagno, ale los wieśniaka jest jeszcze gorszy - powiedziała Maev. - Jeśli człowiek ma trochę rozumu i wie, kiedy się zgłosić na ochotnika, może sporo wygrać. W odróżnieniu od trzech czwartych wojaków, których zmuszono do służby. Ja wiedziałam, jak się zachować, i awansowałam. Jednak po jakimś czasie pojęłam, że służba w eskadrze ayeshy to nie jest dobre rozwiązanie. Najpierw upomniałam się o spłatę kilku długów wdzięczności i wylądowałam w dziale szkolenia, który okazał się jeszcze większym burdelem niż unitarka. W końcu jednak udało mi się zaciągnąć do gwardii protektora. Pomyślałam, że tutaj, w stolicy i blisko Redrutha, znajdę w końcu jakiś sposób, żeby uciec. Jednak nic nie wpadło mi do głowy aż do chwili, gdy ujrzałam twoją uśmiechniętą buźkę. Ale teraz powiedz, co z tobą się działo i co tu robisz?

Njangu przekazał jej mocno skróconą wersję swoich perypetii i wydarzeń, które zmieniły go w Aba Yohnsa.

- Więc jesteś szpiegiem? - mruknęła dziewczyna. - Mogę spytać, jak składasz meldunki?

- Nie możesz.

- Też bym nie powiedziała. Ale rozumiem, że po tej robocie się stąd zabierasz, masz więc jakąś furtkę czy co. Zwykle tam, gdzie zmieści się jedna osoba, znajdzie się też miejsce dla drugiej, prawda? Dlatego tu jestem.

- Prawdę mówiąc, to niezupełnie tak wygląda.

- Co? Misja samobójcza?

- Raczej głupota. W teorii mam doczekać tutaj do początku wojny, a potem dać znak, żeby mnie zabrali.

- To niebawem - stwierdziła Maev. - Słyszałam, że flota zaatakowała już Cumbre.

- Owszem. Jednym pociskiem z głowicą nuklearną - odparł Njangu. - Wszystko zostało utajnione, ale Celidon twierdzi, że udało się spowodować wielkie szkody na Cumbre D, naszym stołecznym świecie. Nie wiem, czy to prawda.

- Czy Cumbre wypowie wojnę?

- Sam się zdumiewam, że jeszcze do tego nie doszło.

Maev przyjrzała mu się uważnie.

- Coś mi podpowiada, że nie masz kontaktu ze swoim dowództwem. A może jesteś tylko bardzo ostrożny?

- Dobrze kombinujesz - powiedział Njangu i postanowił, że korzystając z okazji, ujawni prawdę. - Mam sposób, aby wysyłać meldunki, ale nie mogę odbierać. Tutejsze władze nie

chcą, aby ktokolwiek, nawet leiter, miał swobodny dostęp do łączności międzygwiezdnej, i na razie nie udało mi się tego obejść.

- Ale ja mam dostęp do takich urządzeń - rzuciła Maev. - Znasz częstotliwość, na której mają ci odpowiedzieć?

- Tak.

- Przy tak głupich podwładnych i całej górze sprzętu mogłabym prowadzić stały nasłuch na dowolnie wybranym kanale. Wrzucam to do puli.

- Przyjmuję. Chociaż mam lepszy pomysł... a w każdym razie taki, który może cię zainteresuje. W takiej sytuacji dobrze trzymać się blisko ludzi, którzy mogą pomóc...

- Nie żartuj - prychnęła Maev. - Mam już trzech leiterów, którzy chętnie widzieliby mnie w roli strażniczki łoża.

- To dopisz czwartego. Chwilę, nie bierz się od razu do bicia, tylko pomyśl. Gdy przyglądałem się gwardii protektora, spotkałem paru takich, którzy robili wrażenie odrobinę nadgorliwych.

- Tak. Nazywamy ich palantami wiecznej chwały. Oczywiście po cichu. Każde z nich chętnie zrobiłoby z nas zdrajców, byle tylko dostać fotografię Redrutha z autografem.

- Czy ci ludzie są dość głupi, aby na przykład opanować statek kosmiczny, jeśli się im powie, że to część ćwiczeń?

- Nawet go wydupczą, jeśli dostaną taki rozkaz - rzuciła podekscytowana Maev. - To tak chcesz uciec?

- Może. A może na razie tylko się zastanawiam. Nie jestem jeszcze gotów do odwrotu.

- Dobrze. Będę ci więc wygrzewać łóżko. Poza tym od dzisiaj masz na swoje rozkazy prywatny oddział złożony z kilkudziesięciu idiotów.

- O coś takiego właśnie mi chodziło.

- Czyli zostaję na noc u niewiarygodnie męskiego leitera. Rano wykuśtykam z sypialni zmarnowana, z podkrążonymi oczami i pod wrażeniem twojej potencji...

- Spać będziesz sama - przerwał jej Njangu. - Ja pościelę sobie na podłodze.

Maev spojrzała na niego zdumiona.

- Żartujesz. Masz swoich ludzi za ślepych? Towarzyszki muszą zobaczyć zadrapania po upojnej nocy, praczki ślady na prześcieradłach i tak dalej. Inaczej zaraz się zorientują. Poza tym mamy chyba coś do dokończenia. Wtedy, na Malvernie, niemile nam przerwano. Często potem wspominałam te chwile, zwłaszcza gdy byłam w znacznie mniej ciekawym towarzystwie.

Następnego dnia Njangu dostał zaskakującą wiadomość od Redrutha. Przetrawił ją szybko i nie tracąc czasu, przedstawił Alfie i Becie niejaką panią Stiofan, oficera mającego za zadanie rozbudować osobistą ochronę leitera. Wyglądali na zadowolonych z perspektywy zdjęcia z nich pewnych obowiązków.

Kermanowi kazał zająć się zmianą przydziału Maev i znalezieniem dla niej pokoju.

- Rozumiem, sir, że ma mieszkać obok czterech pozostałych?

- Hm... tak. Przynajmniej na razie.

Ku swemu zdziwieniu Njangu poczuł się przez chwilę niewyraźnie. Wydało mu się, że nie jest całkiem w porządku wobec czterech dotychczasowych towarzyszek.

- Nie będzie mnie jakiś czas. Protektor gdzieś mnie zabiera.

Kerman spojrzał na niego z szacunkiem.

- Sam protektor, sir? To wielki zaszczyt, sir. Na jak długo, sir?

- Nie wiem jeszcze. Dopiero dostałem zaproszenie. Nie wiem nawet, co ma być celem inspekcji.

Protektor Redruth promieniał z zadowolenia. Jego twarz była czerwona w blasku palników. Poniżej wąskiego pomostu przesuwał się powoli otoczony przez roboty kadłub jednego z budowanych właśnie okrętów.

- Ta stocznia może co sześć tygodni wypuścić jeden niszczyciel prawie tak wielki jak mój Corfel - krzyknął Redruth do ucha Yoshitara. - Mamy jeszcze trzy takie tutaj i dwie w budowie na Secundusie. Całkiem nieźle, zważywszy na to, że nakazałem je założyć dopiero dwa lata temu, gdy zaczęły się kłopoty z musthami, i uznałem w swojej przenikliwości, że Larix i Kura będą potrzebować lepszej ochrony. To będzie zaczątek mojej floty, która pewnego dnia dotrze do samego serca niegdysiejszej Konfederacji!

Yoshitaro nie pojmował za bardzo, dlaczego Redruth mu to pokazuje. Zaraz jednak się dowiedział.

- Najpierw jednak te okręty posłużą nam do inwazji na Cumbre. Będzie ich dość, aby uderzyć jednocześnie na wszystkie cele, całkiem inaczej niż podczas tego niedawnego samotnego rajdu. Ale to nie wszystko. Poza tymi jednostkami będą jeszcze inne... - Redruth uśmiechnął się tajemniczo. - Gdy stocznia skończy z niszczycielami, zabierze się do większej roboty. - Nie rozwinął tematu, tylko spojrzał na Celidona i stojącego obok otyłego i spoconego dyrektora stoczni.

- Ten człowiek dobrze się sprawił - powiedział, klepiąc grubasa po ramieniu. - Powinien zostać wyniesiony do godności leitera i otrzymać sowitą nagrodę, aby zachęcić innych do poświęceń i wytrwałości.

Njangu pomyślał, że jeszcze chwila, a dyrektor ucałuje protektora.

Celidon odwiózł Njangu swoją limuzyną. Po drodze zabawiał go rozmową.

- Protektor to prawdziwy geniusz - powiedział dość obojętnym, wypranym z podziwu tonem.

- Jestem tego świadom.

- Ale dzisiaj jakoś tego nie okazywałeś.

Njangu spojrzał zdumiony na najemnika.

- Słyszałeś, że ta stocznia została zaprojektowana do budowy nowej klasy okrętów. Widziałeś kiedyś jakiś krążownik liniowy Konfederacji?

Yoshitaro nie miał po temu okazji, chociaż pamiętał holo przedstawiające te olbrzymie okręty. Niemniej Ab Yohns, który spędził sporo czasu na Centralnym, powinien coś o nich wiedzieć.

- Nie, ale wiem, o czym mówisz - odparł ostrożnie.

- Pamiętasz klasę Naarohnl

- Niezbyt. Przepraszam, ale gdy służyłem protektorowi na Centralnym, skupiałem uwagę przede wszystkim na polityce i ekonomii.

- Hmmm. Zresztą ściągniesz sobie o nich co nieco, gdy wrócisz do domu. Chodzi o to, że konstrukcja skierowana przez protektora do budowy będzie o pięćdziesiąt metrów dłuższa i znacznie silniej uzbrojona niż którykolwiek z tamtych krążowników. Na zatwierdzenie czekają plany innych, jeszcze większych jednostek.

Yoshitaro uśmiechnął się, a potem przywołał na twarz wyraz zastanowienia.

- Nie wyglądasz na zachwyconego. Niezbyt rozumiem - powiedział.

- A owszem. Konfederacja była wielka, naprawdę wielka - zaczął mu tłumaczyć Celidon takim tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem. - Mogła sobie pozwolić na utrzymanie olbrzymiej floty. Żadna flota nie składa się zaś wyłącznie z niszczycieli, szczególnie tak przestarzałych jak Corfe, oraz pancerników. Wielkie jednostki potrzebują jeszcze wsparcia logistycznego i eskorty. Chociaż zapewne się mylę - dodał, bez wątpienia na użytek tych, którzy mogli ich podsłuchiwać. - Na pewno się mylę, gdyż protektor bez wątpienia wie lepiej i poprowadzi naszą flotę do zwycięstwa. A ja zrobię wszystko, aby go wesprzeć. W gruncie rzeczy, nie

będzie żadnych problemów - stwierdził Celidon, jednak wyraz jego twarzy świadczył o czymś przeciwnym.

Njangu przeczytał hasło i zacisnął usta. Krążowniki liniowe klasy Naarohn były wprost najeżone wieżyczkami z wyrzutniami rakiet. Jako główne uzbrojenie przenosiły pociski dwa razy większe od goddardów. Do tego dochodziły dziesiątki baterii antyrakiet. Brakło działek, ale kto by ich potrzebował przy takiej sile ognia?

Potem doczytał notkę na samym dole ekranu:

Budowy kolejnych jednostek zaniechano z powodu ich nikłych zdolności manewrowych w atmosferze i konieczności obsadzenia nazbyt licznymi załogami.

Niemniej i tak, gdyby chociaż jedna podobna jednostka pojawiła się w układzie Cumbre, mogłaby dokonać wielkich zniszczeń, miotając rakiety z orbity.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Wejść - rzucił tonem lei tera i w progu pojawiła się Maev. W piżamie.

- Jak minął ci dzień w towarzystwie nieopisanego majestatu?

- Bardzo ciekawie. A tobie?

- Też miło. Zostałam już oficjalnie oddana pod twoje dowództwo i wpisana na listę mieszkańców. Dostałam osobne przydziały żywności i pozwolenie na noszenie strojów zgodnych z życzeniem mojego dowódcy, czyli ciebie. Za kilka dni zjawią się jeszcze dwa tuziny najbardziej oddanych i najgłupszych gwardzistów. Poza tym poznałam twoje towarzyszki.

Njangu miał nadzieję, że nie zarumienił się zanadto. Chociaż dlaczego właściwie miałby się rumienić?

- Leiterze Yohns, muszę stwierdzić, że perwers z ciebie. Sir.

Tym razem nie miał wątpliwości. Na pewno się zarumienił.

- Te wszystkie wynalazki, które sprowadziłeś... Wstyd. Gdybym wiedziała o tym wcześniej, nie wiem, czy przyjęłabym twoją propozycję.

Njangu ledwo zdążył zauważyć, że wygłaszając zasadniczą kwestię, dziewczyna uśmiechała się radośnie. Zanim powiedziała cokolwiek więcej, rozległ się brzęczyk komunikatora.

Czym prędzej odebrał połączenie. Na ekranie pojawiła się twarz jakiegoś wystraszonego oficera.

- Leiterze Yohns, dzwonię z kwatery głównej protektora Redrutha, aby przekazać wiadomość od niego. Życzy sobie pańskiej obecności na pokładzie jego okrętu. Za godzinę.

- Oczywiście - odparł Njangu, czując narastający niepokój. - Będę gotów za dziesięć minut. Czy mogę spytać, co się stało?

- Protektor poinformował nas, że na Kurze IV wylądowali cumbryjscy dywersanci. Dokonali już pierwszej napaści, jednak ich zlokalizowano i zostaną zniszczeni. Protektor leci dopilnować ich unicestwienia i oczekuje pańskiej pomocy.

11

Kura IV

Zareagowali tak, jakby od dawna się do tego przygotowywali. Połowa poszła dalej, reszta zajęła rozrzucone pozycje w zaroślach i czekała. Jakąś godzinę później ujrzeli nadchodzące ostrożnie drogą trzy postaci w mundurach.

Garvin wytrzymał, aż podejdą całkiem blisko, i wystrzelił serię z blastera wsparcia. Tylko jeden zdążył krzyknąć, ale zaraz upadł, jak pozostali.

Jaansma zmarnował kilka sekund, przeszukując ciała, potem ruszyli szybkim krokiem i po półgodzinie dołączyli do reszty.

Gdy dotarli do strumienia, wskazał na dolinkę. Nie chciał używać radia. Gdyby ktoś trafił przypadkiem na ich częstotliwość, miałby ułatwioną robotę.

Powoli zeszli kamienistym korytem trzysta metrów w dół.

Garvin strzelił palcami, wskazał na Irthing oraz Heckmyera i pomachał, aby szli dalej. Potem uniósł palec Wskazujący i kciuk i zetknął je dwa razy. Mieli przejść jeszcze sto metrów.

Pokiwali głowami.

Reszta wspięła się na brzeg strumienia, zaległa płasko i czekała.

Po niecałej godzinie usłyszeli, że ktoś nadchodzi. Kopnięty kamień przeleciał obok głowy Lir. Poprzez liście ujrzeli dwóch schodzących mężczyzn.

Garvin wskazał na Lir i Montagnę i dwa razy przejechał kciukiem po gardle.

Zabijcie ich.

Palec przy wargach.

Po cichu.

Kobiety odłożyły blastery i wyciągnęły noże. Garvin skinął na Dilla, aby w razie potrzeby pospieszył im z pomocą.

Odczekały, aż tamci znajdą się tuż obok, i skoczyły. Drugi zacharczał niewyraźnie, gdy nóż Montagni wszedł w ciało na wysokości nerek. Ofiara Lir opadła bezgłośnie z szerokim cięciem na szyi.

Odtoczyli ciała na bok, aby krew nie pociekła do strumienia. Garvin wskazał na Mahim, a potem w dół nurtu. Poruszył palcami, naśladując idącego człowieka. Mahim jak najciszej sprowadziła Irthing i Heckmyera z powrotem.

Garvin wskazał wzdłuż stoku. Szykowała się ciężka wędrówka, ale na samej górze albo na dole łatwiej byłoby ich wypatrzeć.

Narysował w powietrzu dwie litery. K i M. Kontynuujemy misję. Musieli jeszcze zająć się większą tamą.

Po zapadnięciu ciemności wrócili do miejsca, które Garvin wybrał wcześniej na biwak. Zjedli i połowa położyła się spać. Reszta czuwała.

Noc wlokła się niemiłosiernie. Dwa razy coś poruszyło się w pobliskich krzakach. Sięgnęli po granaty, ale w końcu to coś odeszło, chrząkając po zwierzęcemu.

Przed świtem pozbierali się i o pierwszym brzasku wyruszyli w drogę. Przeszli może z dziesięć kroków, gdy Lir pokazała, aby się zatrzymać. Postukała się w ramię. Garvin podszedł do niej.

- Znowu to czuję - wyszeptała.

Garvin skrzywił się lekko. Czekał.

- Zniknęło - powiedziała po chwili. - Przepraszam, szefie. Pewnie to tylko dreszcze.

- Zawsze o nich melduj - przykazał.

Z wahaniem skinęła głową.

Reszta drogi przebiegła spokojnie. Kolo południa zatrzymali się, żeby coś zjeść. Garvin zbliżył się do Froudego.

- Potrzebuję opinii, doktorze. Monique jest zbyt dobra, żebym nie brał tych jej dreszczy na poważnie. O co może chodzić?

- Nauka nie dozwala na swobodne spekulacje - mruknął Froude. - Alikhan coś niby widział, ale aparatura tego nie potwierdziła. Nie wierzę w takie cuda.

- Mam więc zignorować odczucia Monique?

- Ty tu rządzisz. Ale gdybym był na twoim miejscu, na pewno wziąłbym je pod uwagę.

- Bardzo jesteś pomocny, kurczę.

Garvin zebrał opakowania po racjach żywnościowych i uruchomił zapalnik. Pojawił się mały płomień, który zaraz zgasł. Zaleciało odchodami. Ktoś wykorzystał worek do usunięcia nieczystości. Po chwili woń zniknęła.

Garvin wyznaczył prowadzącego i zamykającego i kazał ruszać.

Przeszli z kilometr, gdy usłyszeli samolot. Krążył gdzieś nad nimi. Niedługo później od tyłu dobiegł ich kolejny strzał.

Garvin zastanowił się i uniósł palec. Zebrali się wokół niego.

- Nie jest dobrze - szepnął.

Nie musiał niczego więcej wyjaśniać. Zmęczone i spięte twarze mówiły same za siebie.

- Zostawiamy cel numer dwa i wracamy prosto w góry, zrywamy kontakt z pogonią i wzywamy transport. Dill, łączymy się z naszymi.

Ben podał mu mikrofon.

Garvin spojrzał na mapę i odszukał miejsce, gdzie wedle jego szacunków powinni być bezpieczni, po czym dotknął sensor z napisem „rejestracja".

- Mówi Sybilla Sześć - powiedział. Urządzenie automatycznie szyfrowało jego słowa. - Cel numer jeden zniszczony. Mamy kontakt z przeciwnikiem, na razie bez walki. Przerywamy misję, wycofujemy się z nan nan wef do punktu keld klim. Przypuszczalny czas przejścia dwa dni. Będziemy próbowali oderwać się od przeciwnika, gdy się uda, będziecie musieli nas natychmiast podjąć. Koniec.

Nagranie zostało skompresowane i wysłane w kierunku satelity.

Garvin czekał. Już miał kazać Benowi, żeby powtórnie wysłał przekaz, gdy Dill skrzywił się boleśnie, słysząc dwukrotny, świdrujący pisk w słuchawkach.

- Dobra, usłyszeli nas. Idziemy.

Znowu szli pod górę, chociaż mięśnie protestowały, a płucom brakowało tlenu. Tuż przed granią zrobili przerwę. Garvin znowu usłyszał coś w powietrzu. Zaryzykował rzut oka przez lornetkę. Zobaczył dwie maszyny wyglądające na zhukovy. Po chwili przeleciały dwa kolejne.

Skrajem przesieki przeszli ostrożnie na grań, gdy znowu doleciał ich odgłos strzału. Tym razem z dołu.

Kolejne dwa rozległy się po bokach. Osaczali ich?

Idą za nami czy próbują nas gdzieś zapędzić? - zastanowił się Garvin, jakby to robiło jakąś różnicę.

Razem z Nectanem i Montagną przyszykował minę pułapkę. Po chwili ujrzał poruszenie w pobliżu przecinki. Wyregulował lornetkę.

Ujrzał ludzi w mundurach i dwóch cywilów w wiejskich kapeluszach.

Mają miejscowych przewodników, pomyślał. Tubylcy zapewne nie przepadają za Redruthem, ale mogą być wkurzeni, że spuściliśmy im wodę ze stawu. Jeśli dobrze założyliśmy minę, ich też powinniśmy załatwić.

Schował lornetkę do futerału i wrócił do zespołu. Pokiwał głową i skierowanym w dół kciukiem pokazał na siebie.

Nadchodzą.

Odczekali jeszcze, aż przelecą kolejne zhukovy, przeszli grań i najszybciej jak mogli ruszyli w dół. Lir znalazła jakąś ścieżkę i narysowała w powietrzu znak zapytania.

Garvin przytaknął. Tak. Musimy się od nich odsądzić.

Szlak wił się i schodził coraz niżej. Minęli opuszczoną wioskę i byli już prawie na samym dole, gdy pułapka zadziałała. Usłyszeli głuchy odgłos eksplozji i stłumione przez dżunglę krzyki.

Mam nadzieję, że zostali bez przewodników, pomyślał Garvin.

Velv Alikhana gnał w kierunku Kury IV. Obok leciały dwa aksaie eskorty. Musth zamierzał wejść na orbitę okołobiegunową, poczekać tam na sygnał i wylądować w celu podjęcia grupy.

W sterówce panowała cisza, słychać było jedynie niezbędne rozkazy. Łącznościowiec dał na głośniki przekaz od Garvina i wszyscy wysłuchali go w skupieniu. Mieli nadzieję, że Jaansma zaraz znowu się odezwie.

Zapiszczał alarm. Drugi pilot zerknął na ekran.

- Mamy dwie duże jednostki bojowe, dwie mniejsze oraz cztery eskortowce. Są na niskiej orbicie wkoło Kury IV. Wykryli nas. Przekazuję dane eskorcie.

- Możemy spróbować uników?

- Nie, sir. Prowadzą nas trzema... już czterema wiązkami.

Alikhan zaproponował skok na drugą stronę planety i ponowne podejście.

- Możemy, sir - odparł inny oficer. - Ale nie sądzę, aby to nas uchroniło przed ponownym wykryciem. Za blisko.

Alikhan zastanowił się.

- Obiecałem - powiedział.

- Słucham, sir?

- Nic. Musimy...

- Mam odpalenie. Dwa pociski z mniejszej jednostki. Oba trzymają nasz namiar - zameldował technik uzbrojenia.

Alikhanowi gniew błysnął w oczach, uszy stanęły prosto.

- Zabieramy się stąd.

- Tak jest, sir. Wszystkie jednostki... przygotować się do skoku. Teraz!

Velv i dwa aksaie zniknęły w nadprzestrzeni, rozmijając się o kilka sekund z parą wymierzonych w nie pocisków.

Garvin przyjrzał się uważnie wzgórzom przed sobą. Nie dostrzegł ani śladu osad, dróg ani niczego zwiastującego obecność człowieka. Tylko dżungla.

Skinął na pozostałych. Skuleni przemknęli przez grań i zapadli w zaroślach.

Gdzieś w górze zawyła turbina i Garvin zaklął. Za często musieli wychodzić na otwarty teren. Jeśli tamci mieli czujniki podczerwieni, mogli ich widzieć jak na dłoni.

Hałas narastał. Żadna bojowa maszyna nie była aż tak głośna. Po chwili przeleciało nad nimi sześć transportowców w eskorcie jednego patrolowca. Pierwszy wylądował na sąsiednim wzgórzu. Garvin ujrzał przez lornetkę, jak po otwartej rampie zbiegają ludzie w mundurach. Kolejny transportowiec przyziemił wzgórze dalej i też wysadził desant.

- Zmywamy się na dopalaczach - rzucił głośno Garvin i ruszyli w dół zbocza, aby ukryć się w gęstszym lesie.

Wypadli na polanę pozostałą po dawnej wiosce. Tu i ówdzie widać było jeszcze pociemniałe belki, jednak dżungla z wolna odbierała wykarczowany niegdyś teren.

Garvin uniósł rękę i każdy oparł się, o co tylko mógł. Najchętniej by się położyli, ale wiedzieli, jak trudno byłoby im potem wstać.

- Dobra - powiedział normalnym głosem i skrzywił się mimowolnie. - Zostawiamy tu spadaki. Możliwe, że dzięki nim właśnie nas namierzyli. Nie wiem, czy to wykonalne, ale na pewno emitują jakieś pole. Ułożyć równo, jeden przy drugim, jakbyśmy odeszli tylko na chwilę i zamierzali po nie wrócić. Monique, nastaw zapalniki min na... dwie godziny.

- Mam lepszy pomysł, szefie - rzuciła Lir. - Może dalibyśmy zwykłe pułapki i dodatkowo, na wypadek, gdyby okazali się ostrożni, ładunki nastawione na jutro rano?

- Masz rację, tak będzie lepiej. Poza tym opróżniamy plecaki. Zabieramy tylko broń osobistą, żelazne racje i tyle granatów oraz amunicji, ile tylko zdołacie unieść. I wodę. Całą resztę wyrzucić. Radia zachować, ale wyłączone. Zaszyjemy się głębiej między wzgórza

i zalegniemy tam. Może zrezygnują. Wtedy wezwiemy transport. Deb, pomóż Monique przy ładunkach. Ruszamy za pięć minut. Potem zagonimy ich na śmierć. I pamiętajcie, aby trzymać gdzieś pod ręką sygnalizatory ratunkowe.

Ostatnia kwestia była mało optymistyczna, ale w sumie nie miało to znaczenia. Wszyscy wiedzieli, co o tym myśleć.

Pięć minut później byli gotowi. Garvin zobaczył, że Ben Dill nie porzucił wyrzutni oraz rakiet, i już chciał mu coś powiedzieć, ale zrezygnował, widząc upór malujący się na twarzy pilota.

Za kolejną linią wzgórz Froude pokazał do tyłu.

- Zobacz, nadchodzą.

Jaansma dojrzał długą kolumnę wojska, nad którą unosił się jeden z transportowców.

- Pewnie wiezie dowództwo - mruknął Nectan.

Jeśli są tak głupi, żeby ostentacyjnie się ujawniać, to może w dolinie zachowają się jeszcze gorzej, pomyślał Garvin. Albo też nie są wcale głupi, ale jest ich tylu, że nie muszą się liczyć z tym, czy ich widzimy czy nie.

Godzinę później zatrzęsła się ziemia, coś huknęło i po koronach drzew przemknął niespokojny podmuch.

- Patrzcie! - powiedział Heckmyer. W górze kręcił się bezradnie transportowiec. Z obu końców kadłuba buchały płomienie.

- Musiał unosić się akurat nad obozowiskiem, gdy telex odpalił. Jak myślisz, szefie, czy to ich zniechęci?

- Nie ma na to szans, Val - mruknął Garvin. - Raczej jeszcze bardziej się wkurwią.

Tuż przed rozbiciem obozowiska Lir znowu poczuła znajomy dreszcz. Nikomu nie chciało się ruszać, ale namówiła ludzi, aby przeszli jeszcze kilometr. Ledwie zdjęli plecaki, niedaleko rozległy się eksplozje. Garvin wysłał Bena na drzewo, aby zlustrował okolicę przez lornetkę.

- Chyba ogień haubic strzelających na namiar. Albo moździerzy. Pociski trafiły dokładnie w miejsce, gdzie mieliśmy biwakować.

Kilka osób spojrzało w milczeniu na Lir.

Koło północy Montagna pociągnęła Garvina za nogę. Tak go to zdumiało, że zaraz się obudził i złapał za broń. Dziewczyna wskazała na niebo.

Przez listowie ujrzeli światła przelatującej wysoko dużej jednostki kosmicznej. Za nią pojawiła się druga, potem trzecia, znacznie mniejsza. I jeszcze jedna duża.

Chyba możemy się pożegnać z szybkim odlotem, pomyślał Garvin. Nawet Alikhan nie wymanewruje wszystkich tych drani. Zostaje więc zgubić ogon i po paru tygodniach objadania kory z drzew spróbować znowu. Zakładając, że nie wyrzucili naszych z układu.

Z żalem pomyślał o Jasith. Czy jeszcze kiedyś ją zobaczy? Coś podpowiadało mu, że nie ma na to wielkich szans. Mimo to przyłożył głowę do plecaka i zaraz zasnął.

Maszerowali przez dwa dni i woleli już na siebie wzajem nie patrzeć, tak byli obdarci, brudni i wystraszeni. Na szczęście często natrafiali na jeziorka i strumienie i mieli dość wody. Dwa razy dostrzegli w stawach ryby. Zatruwali wtedy wodę środkiem z zestawów przetrwania i wybierali ryby do późniejszego zjedzenia na surowo.

Zatrzymywali się tylko nocami. Ciągle coś krążyło im nad głowami, najczęściej pojawiały się maszyny przypominające zhukovy. Ze szczytów wzgórz widzieli czasem podążające ich śladem oddziały. Garvin miał wrażenie, że chodzi o cztery kolumny, Lir obstawiała pięć.

Dziwne odczucia Monique powtarzały się regularnie. Nieznane moce zdawały się sprzyjać prześladowcom i Froude nie mógł się nadziwić, jakim sposobem ludzie Redrutha pozyskali je do współpracy.

- To może być ciekawe poletko dla antropologów kulturowych - powiedział.

Garvin własnym uszom nie wierzył. Nie pojmował, jak ktoś dwa razy od niego starszy może mieć siły na podobne rozważania, skoro on, wprawny żołnierz, mógł tylko marzyć o porządnym tygodniu snu na posłaniu z liści.

- Święty Jacku na kacu - wymamrotał Ben, patrząc na rozciągające się przed nimi ruiny.

- Co to było za miasto? - wyszeptała Darod Montagna.

- Na pewno nie ludzkie - stwierdził Dill.

Był to dość oczywisty wniosek. Te budynki, które wciąż stały albo chyliły się podważane korzeniami wyrastających wszędzie drzew, musiały mieć co najmniej trzy kondygnacje, ale jedyne widoczne wejścia widniały nie niżej niż dziesięć metrów nad ziemią.

- Może używali drabin - szepnął Nectan. Sama obecność wroga gdzieś daleko z tyłu skłaniała do przyciszenia głosu.

- Może znajdziemy tu jakąś kryjówkę - powiedział z nadzieją Garvin. - Prowadzę. Monique, osłaniaj.

Z bronią gotową do strzału ruszyli czymś, co kiedyś było szeroką aleją.

Dill zastanowił się, jak stare mogą być te ruiny, i doszedł do wniosku, że bardzo, bardzo stare. Dżungla pochłonęła je już prawie całkowicie. Za sobą słyszał głos Froudego próbującego domyślić się przeznaczenia niektórych gmachów. No i przede wszystkim tego, kto je zamieszkiwał.

Znaleźli nawet jakieś płaskorzeźby, ale abstrakcyjne wzory nie powiedziały im nic o budowniczych.

Może to ci niewidzialni? - pomyślał Garvin. Może kiedyś, bardzo dawno temu, nie byli niewidzialni albo nie umieli latać. A gdy się nauczyli, zostawili miasto... Przestań wymyślać takie głupoty i lepiej patrz, gdzie idziesz, przywołał się do porządku.

- Tam - wskazała coś Monique. Daleko, prawie kilometr od nich, Garvin dostrzegł odblask na tafli wody. Poprowadził ludzi w tę stronę.

Im bliżej podchodzili, tym lepiej widzieli, że to rzeka. Spora rzeka, szeroka może na siedemdziesiąt pięć metrów, a jednak korony rosnących nad jej brzegami drzew prawie że spotykały się nad środkiem nurtu.

Moglibyśmy zbudować jakąś tratwę, przyszło do głowy Garvinowi, gdy nagle ujrzał stojącego na ziemi zhukova. W tej samej chwili działko maszyny plunęło ogniem, rozbijając pobliską kamienną kolumnę, od czego zawalił się dom, który podpierała.

Niewiele brakowało, aby weszli prosto w zasadzkę. Odskoczyli w poszukiwaniu ukrycia.

Nectan ujrzał kilka głów skupionych wkoło moździerza. Został na otwartym i wystrzelił w artylerzystów pół magazynka. Potem chciał odtoczyć się na bok, ale nie był dość szybki. Seria z działka zatrzęsła jego ciałem i odrzuciła do tyłu.

Leżąca płasko Lir naprowadziła nitki celownika na otwór włazu zhukova i puściła serię. Pociski załomotały o metal i zrykoszetowały do maszyny. Coś wybuchło, rozległy się krzyki i z maszyny, rozpaczliwie wymachując rękami, wyskoczyła kobieta w płonącym kombinezonie.

Montagna strzeliła jej prosto w serce i omal sama nie dostała, ale zdołała się schować. Garvin zabił tego, który do niej strzelał. Przy okazji ściął rosnące za nim drzewo.

W końcu wszyscy zalegli w ukryciu. Ośmieleni ciszą żołnierze ruszyli do przodu. Wyszli na otwarty teren... i wszyscy zginęli.

- Cumbrianie! - zahuczał wzmocniony głos. - Jesteście osaczeni, poddajcie się, a nasz protektor daruje wam życie. Poddajcie się albo zginiecie!

Zwiadowcy skupili się na jednym końcu wielobocznego placu, Kuranie zajęli koniec bliżej wody. Garvin zobaczył kolejnego zhukova wysuwającego się zza płonącego wraku pierwszej maszyny. Strzelił, ale pociski odbiły się od pancerza.

Coś zahuczało w górze. Garvin uniósł głowę. Nadlatywał jeden z transportowców.

- Pocałujcie mnie! - krzyknął Dill i wstał z wyrzutnią pocisków na ramieniu. Odpalił rakietę. Zaraz potem jakiś żołnierz wziął go na cel i Froude ledwo zdążył podciąć Ben owi nogi.

Shrike nie mógł chybić tak wielkiego i tak bliskiego celu. Transportowiec oberwał zaraz za sterówką i zadrżał. Przez chwilę nie działo się nic więcej, aż nagle statek położył się na burcie i całe śródokręcie buchnęło ogniem. Moment później eksplodował, zasypując ruiny i rzekę płonącymi szczątkami.

Garvin łudził się przez chwilę, że zyskają w ten sposób szansę na ucieczkę, ale nagle po obu stronach placu pojawiły się dwa zhukovy, a z góry zanurkował na nich patrolowiec.

Ziemia wokół ludzi Garvina zagotowała się od eksplozji.

- Zerwać kontakt! - krzyknął Jaansma. - Wycofywać się parami!

Inne głosy podjęły rozkaz i Garvin pojął z przerażeniem, że przegrał i najpewniej przyjdzie mu zginąć. Złapał Montagnę za pas.

- Ruszaj się! Znikamy!

Montagna przyklękła, cisnęła granat i zerwała się na nogi.

- Za tobą - rzuciła i odbiegli, zygzakując między ruinami.

Kuranie strzelali jeszcze przez chwilę, aż w końcu zorientowali się, że nikt im nie odpowiada.

Przyszła pora na polowanie.

Monique Lir i Jil Mahim przekradały się zaułkami i co chwila musiały się prawie przeczołgiwać pod przewróconymi kolumnami.

Lir wyszła na otwarte i zatrzymała się, aby osłaniać Jil, która zaczepiła o coś paskiem plecaka. Próbowała się uwolnić, gdy nie wiadomo skąd nadleciał granat. Mahim padła.

Lir dostrzegła mężczyznę, który go rzucił, i zastrzeliła go, ale zaraz obok upadły jeszcze dwa granaty. Dopiero teraz zorientowała się, że to tylko głuszaki. Podwójna eksplozja zwaliła ją z nóg i pogrążyła w ciemności.

Kolumna żołnierzy powoli szła ulicą. Nad nimi sunął patrolowiec.

Val Heckmyer bandażował ranną w bok odłamkiem Deb Irthing, która choć ledwie przytomna, zagryzała wargi, aby nie jęczeć.

Ktoś krzyknął i Val puścił bandaż, złapał za broń.

Pododdział przeciwnika, może ze czterdziestu żołnierzy, odwrócił głowy. Dostrzegli Heckmyera i nie szczędząc amunicji, ruszyli biegiem w jego kierunku.

Żeby zabić wszystkich, trzeba najpierw zabić jednego, przypomniał sobie Heckmyer i zaczął metodycznie kosić żołnierzy, zaczynając od lewej. Jedni padali w milczeniu, inni z krzykiem, potykając się i przyciskając ręce do ciała.

Coś ukąsiło go w pierś. Zobaczył krew. Potem drugi pocisk ugodził go niżej. Zabolało nieziemsko. Upuścił broń i zgiął się wpół. Dostał jeszcze trzy kule.

Deb złapała blaster Heckmyera i w tej samej chwili dwa pociski trafiły ją w głowę. Szarpnęła się spazmatycznie i umarła.

- Chodź, uciekniemy rzeką - powiedział Garvin. - Popłyniemy trochę z nurtem, a potem wyjdziemy na brzeg.

- Dobry pomysł, szefie - odparła Montagna, siląc się na uśmiech. W tej chwili uważała Jaansmę za wcielenie odwagi i bardzo chciała mu dorównać.

Dotarli do końca ulicy, przeszli jeszcze kawałek aleją i ujrzeli przed sobą wodę.

- Dobra - powiedział Garvin, starając się zachować spokój. Bardzo zazdrościł Montagnie opanowania. Nagle pomyślał, że w życiu nie widział piękniejszej kobiety. - Mam nadzieję, że lubisz pływać.

- Jak węgorz, szefie.

Zarzucili broń na ramię i wyszli na coś, co zapewne było kiedyś nabrzeżem. Garvin spojrzał w nurt rzeki. Wydawał się głęboki, mroczny i bardzo szybki. Jaansma odetchnął kilka razy, aby nasycić krew tlenem.

Nagle z zarośli po prawej wyłonił się pysk zhukova. Właz dowódcy był otwarty, dwa działka mierzyły dokładnie w nich.

- Nie ruszać się, bo zginiecie! - zahuczało z głośnika.

12

Orbita Kury IV

Protektor Redruth rozciągnął usta w upiornym uśmiechu.

- Mamy ich wszystkich. Część nie żyje, resztę pojmaliśmy, ale też długo nie pożyją. Cumbre dostało nauczkę.

- Jak mają zostać straceni? - spytał Celidon tak obojętnym głosem, jakby rozmowa dotyczyła pogody.

- Jeszcze nie wiem - odparł Redruth i zamyślony rozejrzał się po mostku. Potem spojrzał na Njangu. - Jak przypuszczam, nie możesz przeboleć, że zabrakło cię na miejscu, Yohns. Dam ci coś na osłodę.

- Nie jestem żołnierzem - powiedział Njangu. - Wystarcza mi, gdy widzę, jak inni robią, co do nich należy.

Celidon wydął wargi.

- Kto powiedział kiedyś, że szpieg to tylko biurokrata z ambicjami? - zapytał.

- Bez wątpienia inny biurokrata. Albo admirał - rzucił Njangu.

- Dość, zamknijcie się - warknął Redruth. - Mam dwa pytania. Yohns, jaka jest najgorsza egzekucja znana na Cumbre?

- Stosuje się tylko dwie. Cywilów wiesza się publicznie, a żołnierze stają przed plutonem egzekucyjnym.

- Mało spektakularne - mruknął dyktator. - Chyba że wszyscy spudłują albo pijany kat źle coś wyliczy i urwie komuś głowę, albo odwrotnie: będzie dusił powoli. Moim zdaniem to za mało. Czy ktoś ma jakiś pomysł?

Njangu ciągle nie wiedział, czy Garvin jest wśród jeńców, ale i tak myślał gorączkowo, jak zasugerować coś sensownego, nie wzbudzając podejrzeń.

Uratował go Celidon.

- Nie wiem, jak ich zabić, i specjalnie mnie to nie obchodzi, ale jestem pewien, że znajdzie się jeszcze coś, co pana zadowoli, protektorze. Myślę jednak, że sama egzekucja to za mało. Byłbym za pełnym wykorzystaniem możliwości, które nam stwarzają

- Słucham, panie pomysłowy - warknął Redruth, wyraźnie zły, że wyszedł na sadystę.

- Myślę, że większe zainteresowanie wzbudziłby pokazowy proces. Dałby nam też szansę na ukazanie podłości Cumbre i przedstawienie dowodów na wszystko, o czym od dawna mówi nasza propaganda...

- I moglibyśmy jeszcze zdemaskować wszystkich ich sprzymierzeńców, tutaj i w całym układzie Kury! - przerwał mu nagle podekscytowany Redruth. - Oraz tych, których musieli mieć niewątpliwie w układzie Larix. Bo przecież z pewnością na innych światach czekają tylko na okazję podobne grupy terrorystów.

- To brzmi logicznie - powiedział jeden z adiutantów. - Jak zwykle trafia pan w sedno, protektorze.

Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na lizusa.

- Tak... Najpierw porządne przesłuchanie, podczas którego bez wątpienia potwierdzą wszystko, czego się domyślamy, i wskażą zdrajców w naszych szeregach...

- Nie wspominając o tym, że zyskamy w ten sposób godziwy pretekst do wypowiedzenia wojny. To na wypadek, gdybyśmy kiedykolwiek musieli tłumaczyć coś komuś z zewnątrz.

- Sugerujesz, że Konfederacja kiedyś się odrodzi? - parsknął Redruth. - Wątpię, aby stało się to za naszego życia. Albo naszych dzieci. Ale owszem, zawsze dobrze jest mieć dodatkową strzałę w kołczanie, prawda? Yohns, zostawisz to, co dotąd robiłeś. Przydzielam cię do zespołu śledczego. Najlepiej będziesz wiedział, jak i o co ich wypytywać, łatwo rozpoznasz ich kłamstwa i tak wszystko zredagujesz, aby i nasi uwierzyli, i Cumbre nie miało się do czego przyczepić.

- To dla mnie zaszczyt, protektorze - powiedział Njangu, kłaniając się lekko.

W pomieszczeniu cuchnęło. Była to klitka bez okien, za to z jednym otworem wentylacyjnym, podwójnymi drzwiami i parą monitorów przy suficie. Na podłodze leżały cztery materace. Więźniowie zostali rozebrani i przeszukani. Odebrano im wszystkie ukryte drobiazgi. W zamian otrzymali szare drelichy ze złowrogim czarnym krzyżem na plecach. Wyglądał jak krzyż celownika.

Dwa razy na dobę otwierały się drzwi i strażnik o obojętnej twarzy podawał im jedzenie. Kilka razy dostali też brudne bandaże dla rannych. Nie dostarczono im żadnych medykamentów, a prośby o sprowadzenie lekarza dla Lir i Mahim zostały zignorowane.

Półprzytomna Mahim rzucała się w gorączce. Monique ostrożnie odwinęła opatrunek na jej nodze. Na dwie własne rany nie zwracała uwagi. Garvin ukląkł obok i spojrzał na napuchniętą, poczerwieniałą kończynę.

Lir zmarszczyła nos. Garvin też wyczuł słodkawą woń. Gangrena. Jeśli ktoś nie udzieli jej pomocy, Mahim niebawem straci nogę. Albo nawet umrze.

Ranna otworzyła oczy.

- Gorąco - wykrztusiła.

- Chyba nie ma tu klimatyzacji - powiedział Garvin.

- Jak ze mną?

- Coraz lepiej - odparła Lir. - Będzie dobrze.

- Gadanie - mruknęła Mahim. - Węchu jeszcze nie straciłam. I mam przeszkolenie medyczne.

- Cały czas dopominamy się o lekarza - powiedział Garvin.

Montagna podeszła do drzwi i znów zawołała o pomoc medyczną.

Stłumiony głos z drugiej strony kazał jej się zamknąć.

- Mili ludzie - stwierdziła Mahim. - Gdyby to było u nas, przynajmniej zadbalibyśmy, aby umarli zdrowi, prawda?

Garvin spróbował uśmiechnąć się pocieszająco, ale niezbyt mu to wyszło.

- Odsunąć się od drzwi! - krzyknął ktoś z zewnątrz.

Montagna odeszła posłusznie. Jaansma wstał, zastanawiając się, czy może ktoś powie im w końcu, co tu się dzieje. Odkąd ich pojmali, nikt nie przekazał im niczego poza prostymi poleceniami.

Zewnętrzne drzwi zaskrzypiały, zazgrzytał zamek w wewnętrznych. Gdy stanęły otworem, do celi wszedł Njangu Yoshitaro.

Garvin i Lir pierwsi otrząsnęli się ze zdumienia. Wiedzieli o misji przyjaciela. Pozostałych jednak nie było powodu wtajemniczać. Montagna zastygła z otwartymi ustami, a Mahim usiadła.

- Szefie... - zaczęła, ale Lir dźgnęła ją w obolałą nogę. Ranna krzyknęła i upadła. Równocześnie dotarło do niej, że Njangu nosi brunatny mundur. Na pewno nie był to żaden z uniformów Konfederacji.

Za nim stało trzech strażników, jedna całkiem urodziwa kobieta i niewysoki łysiejący mężczyzna wyglądający na profesora uniwersytetu.

- Nazywam się Ab Yohns - powiedział Njangu. - Leiter Ab Yohns. Protektor Redruth wyznaczył mnie, abym nadzorował przesłuchania waszej czwórki i zajął się przygotowaniami do procesu. Będziecie sądzeni jako winni zbrodni wojennych.

- Nie popełniliśmy żadnych zbrodni - powiedział Garvin. - Cały czas działaliśmy w mundurach, dopiero wasi ludzie nam je zabrali.

- Nie popełniliście? - spytał z autentycznym zdumieniem naukowiec. - Morderstwo, masowe morderstwo, próba morderstwa, zniszczenie własności państwowej, atak na urzędników państwowych, próba obalenia ustroju siłą, kradzież, nielegalne posiadanie broni, materiałów wybuchowych i innych przedmiotów oraz urządzeń... Lista ciągnie się bez końca. Zapominacie, że Larix nie prowadzi wojny z Cumbre. Tym samym jesteście tylko zwykłymi kryminalistami. Zostaniecie zatem przesłuchani, chyba że sami będziecie na tyle mądrzy, aby dobrowolnie podać nazwiska waszych sprzymierzeńców w układzie Kura i pozostałych konspiratorów na Lariksie. Potem i wy, i pozostali zdrajcy zostaniecie osądzeni i uznani winnymi. Proces będzie transmitowany na wszystkie nasze światy, aby każdy mógł się przekonać o podłości Cumbre, zrozumieć, dlaczego trzeba wyplenić takie zło, i zastanowić się dwa razy, zanim sam spróbuje zostać bandytą.

- Obecny tu doktor Petteu Miuss będzie bezpośrednio odpowiedzialny za przesłuchanie - powiedział Yoshitaro. - Ma pełne kwalifikacje jako lekarz, chirurg, farmakolog i psycholog. Nie muszę zatem dodawać, że na pewno odpowiecie na wszystkie pytania. Jesteśmy gotowi użyć po temu wszystkich koniecznych środków, tak fizycznych, jak chemicznych. Moja rola będzie prosta: spędziłem wiele lat na Cumbre D i znam dobrze zarówno wasze społeczeństwo, jak i wasze siły zbrojne. Nie uda wam się okłamać ani mnie, ani doktora Miussa, ani jego personelu. Każde antyspołeczne zachowanie będzie surowo karane.

- Co zrobiło z ciebie zdrajcę, Yohns? - warknął Garvin, starając się udawać zirytowanego.

- Nie uważam się za zdrajcę - powiedział Njangu. - W układzie Cumbre byłem obywatelem Konfederacji, aż przy zmianie realiów przyjąłem obywatelstwo Lariksa. Proponowałbym zresztą, abyście nie trwonili czasu na wymyślanie fałszywych oskarżeń, ale zastanowili się nad własnymi zbrodniami. Im bardziej będziecie skłonni do współpracy, tym lepiej będziecie traktowani.

- I to jest przykład tego dobrego traktowania? - spytał Garvin, pokazując na nagą celę.

- To tylko areszt tymczasowy - odparł Njangu. - Zaraz zostaniecie przeniesieni na jednostkę flagową protektora Redrutha, gdzie obejrzy was lekarz i otrzymacie konieczną pomoc oraz standardowe wojskowe racje żywnościowe. Chyba że uniemożliwicie to swoim zachowaniem. - Njangu spojrzał gniewnie na jeńców. - Do czasu waszego procesu nie życzymy sobie, aby ktokolwiek z was wzbudzał swoim wyglądem współczucie. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Doktorze Miuss?

Uczony przypatrzył się wszystkim po kolei. Pochylił się nad Mahim, spojrzał na jej nogę i syknął, jakby z troską. Mahim zerknęła na niego niechętnie.

- To będzie ciekawe zadanie - powiedział. - Cztery zaburzone osoby, które wspólnie popełniły te same zbrodnie. Ciekawe, naprawdę ciekawe. Naprawdę nie mogę się doczekać, aż poznam was lepiej. - Uśmiechnął się i wrócił do Njangu.

Yoshitaro spojrzał na stojącą obok kobietę.

- Stiofan, przygotowała pani grafik wzmocnienia wart na czas przeniesienia więźniów?

- Tak, leiterze.

- Wy dwaj - wskazał na Alfę i Betę. - Dopilnujecie, aby wszystko przebiegło bez zakłóceń.

- Tak, sir - odparł jeden z osiłków.

Njangu spojrzał znowu na jeńców.

- Dranie - mruknął. - Skończone dranie. Zboczeńcy i psychopaci. Wszyscy.

Garvin omal się nie roześmiał i zauważył, że Njangu też podejrzanie szybko odwrócił głowę.

Yoshitaro przerwał mycie pleców Maev i spłukał je czystą wodą.

- Dlaczego przestałeś?

- Bo chcę porozmawiać, a to najbezpieczniejsze miejsce na całym tym przeklętym okręcie, jakie znalazłem. Nie widzę żadnych pluskiew, a szum wody powinien zagłuszyć wszystko, co odbierze ten jeden mikrofon ukryty w wentylatorze.

- Nastawiłam się już na co innego niż rozmowa.

- Nie mówię, że tak całkiem skończyłem z myciem. A teraz konkrety. Mam pewien plan.

- Wiesz, Nj... wiesz, Ab, aż tak głupia nie jestem. Widziałam, że ta biedaczka z rozognioną nogą jest bliska śmierci. Nie sądzę też, aby ten gnojek Miuss zrozumiał cokolwiek z pierwszego jej słowa, bo przecież nie wie tego co ty i oni. Rozumiem, że jesteś wkurzony, bo będziesz musiał poświęcić starannie wypracowaną przykrywkę dla ratowania przyjaciół. Z drugiej strony, cieszę się z tego jak maniak nową brzytwą, bo oznacza to bliski koniec koszmaru. Widzisz, jak bardzo w ciebie wierzę?

- Jesteś aż za bystra - mruknął Njangu.

- Oczywiście - odparła z zadowoleniem Maev. - A teraz powiesz mi, jak wyrwiesz ich z najlepiej strzeżonego więzienia Lariksa?

- Hm... jeszcze nie obmyśliłem szczegółów. Ale przypuszczam, że będzie to akcja z dużą ilością materiałów wybuchowych, po której zostanie cały stos trupów. Postaram się, aby był jak największy.

- Ale żadnych szczegółów? - spytała.

- Na razie nie.

- Nie wątpię jednak, że przyjdzie pora i na nie.

- Raz jeszcze nadmienię, że cieszy mnie twoja niezmienna wiara w moje możliwości.

- Szczególnie na odcinku mycia pleców. Możesz wrócić do tego w każdej chwili.

Następnego ranka obudził Maev, przesuwając językiem wkoło jej ucha. Ziewnęła i wyciągnęła do niego ręce.

- Natchnęłaś mnie w nocy - szepnął.

- Mam nadzieję - mruknęła dziewczyna, pamiętając o pluskwie w obracającym się nad łóżkiem wentylatorze.

- Mam plan - powiedział Njangu samymi ustami.

- Hm... to brzmi dobrze. Będzie miło, subtelnie i orgazmicznie?

Przysunął usta tuż do jej ucha.

- Wręcz przeciwnie. Głupio, zwyczajnie i krwawo. Ale sądzę, że zadziała. Najpierw jednak potrzebujemy porządnej plotki.

13

Kura IV

Aksai z dużą szybkością wszedł w atmosferę tuż nad biegunem południowym. W niemal samobójczym nurkowaniu pilot zszedł tuż nad powierzchnię jednego z oceanów i wyrównał jakieś tysiąc metrów nad wodą.

Na pełnej szybkości maszyna skierowała się ku najbliższemu lądowi, zatoczyła krąg wokół dwóch nadbrzeżnych wiosek i pobliskiej dżungli. Zwolniła nad brunatną połacią mułu otaczającą niewielkie jezioro.

Tkwiący w kokpicie Alikhan spojrzał na światełko, które nagle pojawiło się na owiewce. Holo terenu poniżej było rzutowane tuż obok pulpitu, czerwony znacznik widniał niemal dokładnie pośrodku. Musth machnął łapą i mikrofon zjechał mu przed usta.

- Czas dolotu dwie przecinek trzy minuty. Czekajcie.

Podwójny stuk oznajmił odebranie wiadomości.

Alikhan był sam na pokładzie jednomiejscowej maszyny przygotowanej ad hoc do zabrania trzech osób. Specjalnie w tym celu wyposażono ją w dwie podwieszane „wanny".

Na dole pojawiło się niemal pionowe zbocze zwieńczone płaskim wierzchołkiem. Alikhan zdziwił się przelotnie, jakim cudem ktoś zdołał się na to wdrapać, skręcił ku lądowisku i otworzył hamulce aerodynamiczne. Aksai zadrżał i niemal przepadł dziesięć metrów nad skałą. Musth włączył generatory antigrav i opanowując rozkołysaną maszynę, posadził ją twardo na płozach.

Otworzył kabinę i wysiadł z bronią w ręku. Potem przykucnął za pobliskim krzakiem i czekał.

Kilkanaście sekund później z innych zarośli wyłoniły się dwie postaci. Obie były obdarte, poobijane i strasznie brudne. Smród dawał się już wyczuć z dziesięciu metrów.

Obie były jednak czujne, w dłoniach trzymały uniesioną broń.

- Obiecałeś, że przylecisz, i jesteś - powiedział Ben Dill.

- Przepraszam, że nie mogłem wcześniej - powiedział Alikhan. - Za wiele jednostek kręciło się w okolicy. Wróciliśmy na Cumbre. Gdy satelita przekazał nam sygnał, zaraz wyruszyliśmy. Velv, który ma nas podjąć, czeka w nadprzestrzeni i sprawdza co dwie godziny, czy już jesteśmy.

- Cholernie się cieszę, że cię widzę - wykrztusił Danfin Froude. - To był długi tydzień o pustym brzuchu. W każdym razie wydaje mi się, że tydzień.

- Wsiadajcie - polecił musth. - Nie wydaje mi się, aby mnie zauważyli, ale kto wie? Chciałbym jak najszybciej odlecieć.

Wrócił do kokpitu i otworzył zdalnie dwie „wanny".

- Mam nadzieję, że jakoś wytrzymam własny odór - mruknął Froude. - Potem będę moczył się przez pięć dni, zjem górę steków i nigdy więcej nie spojrzę na zieleninę ani surowe ryby. A potem zasnę na miesiąc albo dwa.

Wspiął się do maszyny.

Ben wciąż patrzył na Alikhana.

- Wróciłeś - powiedział raz jeszcze.

- Obiecałem. Uratowałeś mnie kiedyś, teraz moja kolej.

Dill chciał coś dodać, ale tylko pokręcił głową.

- Czy ktoś jeszcze się wydostał? Mieliście więcej sygnałów?

- Nie - odparł Alikhan. - Ciągle nie wiemy, co się z nimi stało. Zostawiliśmy jednak satelitę i będziemy na nasłuchu.

14

Cumbre D

Tedowi Vollmerowi wcale nie spodobał się wyraz twarzy szefa.

- Zrobimy naprawdę wiele hałasu - perorował Loy Kuoro. - A gdy przyjdzie pora na zbieranie nagród, będziemy pierwsi!

- Prest'n coś znalazł?

- Coś bardzo, bardzo wielkiego - powiedział Kuoro. - Nie damy Grupie prztyczka, ale tak przygrzmocimy, że powali to ją na kolana. To gorąca sprawa, która może mieć związek z bezpieczeństwem Cumbre!

- I chce pan ją rozgłosić, sir? - spytał Vollmer. - O ile wiem, Prest'n miał tylko telefon od krewnego jednego z żołnierzy, poszedł z tym do pana i potem wymiotło go z redakcji. Wolałbym wiedzieć, o co chodzi, żeby dobrze przygotować materiał. W końcu jestem bezpośrednim przełożonym Prest'na.

- Nie martw się. Dowiesz się, gdy będziemy już mieli wszystko w ręku. Na razie lepiej to trzymać pod suknem. Poza tym ciągle pamiętam, jak to jest być dziennikarzem goniącym za tematem.

- Odkąd jestem szefem działu...

- Daruj sobie. Rekin zawsze będzie rekinem.

- To może być bardzo kosztowna operacja ratunkowa - powiedział caud Angara i raz jeszcze przeczytał wydruk. - Ale przynajmniej mamy potwierdzenie, że ktoś ocalał z rajdu Jaansmy. Rozumiem, że powiadomiono najbliższych krewnych?

- Tak jest, sir - odparł Erik Penwyth, pełniący teraz obowiązki szefa Sekcji II. - Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli sam się tym zajmę i osobiście przekażę, że bliska osoba została jeńcem wojennym. Wydało mi się to stosowniejsze niż przesyłanie suchego powiadomienia o zaginięciu w akcji. Miałem też nadzieję, że pozwoli zachować sprawę w sekrecie - dodał i skrzywił się wyraźnie.

- Jakieś problemy? - spytał Hedley.

- Tak, sir. Całkiem nieoczekiwane. Z czwórki, która dostała się do niewoli, tylko dwie osoby podały krewnych. To tweg Mahim i dec Montagna. Ale nie o to chodzi. Sprawdziłem również krewnych zaginionych żołnierzy. Też znalazłem tylko dwa zapisy dotyczące tweg Irthing i deca Heckmyera. Przekazałem, że oboje są uważani za zaginionych, ale z zastrzeżeniem, że prawdopodobnie nie żyją. Siostra tweg Irthing spytała zaraz, jak szybko Grupa wypłaci jej ubezpieczenie i czy nie można przesunąć Irthing na listę poległych, żeby przyspieszyć wypłatę, bo przecież tam, gdzie ją wysłaliśmy, na pewno zginęła.

- Aha - westchnął cicho Hedley.

- Zawsze zapominasz, że wielu ludzi zaciągnęło się do nas, żeby się uwolnić od rodzin - powiedział Angara.

- To jeszcze nie wszystko, sir. Powiedziała też, że jeśli będziemy się wykręcać i nie wywiążemy się ze swoich obowiązków, przekaże sprawę do holo.

- Podwójne aha.

- Co gorsza - ciągnął Penwyth - chyba już to zrobiła, bo jeden z reporterów Loya Kuoro zaczął węszyć wokół kompanii zwiadu. Dowiedział się, że Njangu jest w terenie. Potem zaczął wydzwaniać do szefa Sekcji II i usłyszał, że Garvin jest nieosiągalny, więc zasypał mnie pytaniami na temat domniemanej tajnej akcji Grupy przeciwko

Lariksowi i Kurze. Przypuszczam, że gdy doda dwa do dwóch, zrobi z tego materiał.

- Przypuśćmy najgorsze - powiedział Angara. - „Matin" wyskakuje z historią o skrytym ataku przeciwko Lariksowi i Kurze, w którym zginął co najmniej jeden żołnierz. Bardzo nam to zaszkodzi?

- Nie będzie dobrze - mruknął Hedley. - Nie możemy założyć z całkowitą pewnością, że nieświętej pamięci Ab Yohns był jedynym ich szpiegiem w naszym układzie, chociaż najprawdopodobniej tak właśnie było. Co się stanie, jeśli „Matin" zamieści zdjęcia? Nie wezmą ich od nas, ale i tak znajdą przecież jakieś ujęcia Jaansmy i Yoshitara. Starczy jedna fotka Yoshitara w mundurze, aby został zdemaskowany jako agent.

- Może moglibyśmy poprosić wydawcę „Matin", żeby poczekał z materiałem, aż sprawa się wyjaśni. Wiem, że nie zalicza się do naszych przyjaciół...

- Przypuszczam, że to się nie uda, sir - powiedział Penwyth. - Być może pan zapomniał, ale Garvin... przepraszam, mil Jaansma... jest obecnie z Jasith Mellusin, która wcześniej była żoną Loya Kuoro.

- Co to jest? - warknął Angara. - Pensjonat czy armia?!

Hedley i Penwyth zachowali milczenie.

- No tak - mruknął Angara, drapiąc się po szarawym meszku, który nazywał fryzurą. - Co gorsza, gdy Kuoro puści ten materiał, rada będzie miała wiele pytań. Wprawdzie mamy pełną zgodę na wszelkie działania przeciwko Lariksowi i Kurze, wyjąwszy wypowiedzenie wojny, ale i tak znajdą się malkontenci. Trochę szkoda, że atomówka Redrutha nie doleciała do celu. Mielibyśmy na dłuższą chwilę spokój z politykami.

- Tak, sir - powiedział Hedley. - Może więc lepiej porozmawiajmy o wiadomości od Njangu i o tym, jak wydostać ich gładko z rąk Redrutha.

- Masz rację, Jon - mruknął Angara i po raz trzeci przeczytał wiadomość. - Dobrze, że Njangu może regularnie przesyłać nam meldunki. Widzę, że ktoś z Sekcji II dopisał, iż przychodzą na częstotliwości bliskiej tym, których na Lariksie używa wojsko. Jak mu się to udało? Nic nie mów, Erik, ja tylko głośno myślę. Wracajmy do naszej kosztownej operacji. Najpierw ekipa ratunkowa. Musi dostać się tam i wrócić...

- To w zasadzie wykonalne, sir - powiedział Hedley. - Użyjemy dwóch aksaiów i velva jako statku matki. Myśliwce dostaną podwieszane kabiny, starczy więc, jeśli wylądują na chwilę, załadują ludzi i znikną.

- Dobra. Też sądziłem, że to się da zrobić. Bardziej martwi mnie etap drugi. Yoshitaro chce silnej grupy w Agurze, stolicy Prime. Ma zjawić się o wyznaczonej godzinie, którą poda, gdy nasze jednostki znajdą się już w układzie Larix. To oznacza, że w odległości kilku kilometrów od pierwszego będzie działał drugi zespół. Jeszcze dwa velvy startujące z naszych nowych niszczycieli i dwa szybkie transportowce. Wszystko po to, aby uratować czworo... przepraszam, pięcioro ludzi.

- Sześcioro, sir - powiedział Penwyth. - Njangu dodał do listy kogoś miejscowego. Nie wiem, kto to jest. I jeszcze dodatkowy transportowiec w rezerwie na wypadek, gdybyśmy któryś stracili.

- Sześcioro - powtórzył Angara. - A stracić mogę siedem jednostek z załogami. Ponad trzystu ludzi. I co w zamian? W zamian utracimy naszego jedynego agenta w rządzie Redrutha. Zyskam... W najlepszych okolicznościach zyskam dwóch młodszych oficerów, którzy od dawna słyną z niezależności. Łagodnie mówiąc. I jeszcze trzech innych żołnierzy. Oraz jednego zdrajcę. Czy warto?

- Chce pan podręcznikowej odpowiedzi, sir? - spytał Hedley.

- Jasne, że nie. I tak wiem, co zrobimy. I zgadzamy się chyba, że musimy działać szybko, zanim ten popapraniec Kuoro rozdmucha sprawę. Swoją drogą, szkoda, że nie jesteśmy tymi, za których nas uważa. Gdyby nie etykietka bojowników o wolność, zorganizowalibyśmy jakiś mały wypadek...

- Też chętnie wrzuciłbym mu bombę do gaci - powiedział z rozmarzeniem Hedley. - Mamy zresztą na liście masę ludzi, którzy by się tym zajęli. Tylko ta pieprzona przysięga...

- I nasz honor - dodał Angara.

- Słucham, sir? - spytał Hedley.

- Mniejsza z tym.

- Sir, proszę nie zapominać, że należę do jego sfery - odezwał się Penwyth.

- Sądzisz, że zdołasz go przekonać?

- W żadnym razie - żachnął się Penwyth. - Nie jestem mu bardziej przyjacielem niż Garvin. Ale znam dobrze Jasith Mellusin. Może ona wymyśli, jak uciszyć byłego męża.

- Tylko ostrożnie - powiedział Hedley. - Nie chcę, żebyśmy jeszcze głębiej wpadli w bagno.

- Proszę mi zaufać, sir. Czy kiedykolwiek zawiodłem?

Jasith spotkała się z Erikiem przy bramie Hillcrest, rodzinnej posiadłości na Wzgórzach ponad Leggett. Dziewczyna była bardzo blada.

- Powiedziałeś, że nie możesz nic przekazać inaczej, jak osobiście. Czy on...

- Z Garvinem bez zmian - odparł pospiesznie Penwyth. - Jest w niewoli u Redrutha, jak dotąd żywy. Przepraszam, to powinienem przekazać już wcześniej.

- Wejdź, proszę. Wypiłbyś coś?

- Chętnie, ale służba i tak dalej. Jasith, Grupa chce cię prosić o przysługę.

- W każdej chwili. Przecież wiesz.

Erik wyjaśnił, na czym polega problem z Kuorem i „Matin".

Jasith podeszła do baru i odruchowo nalała dwa kieliszki brandy. Jeden podała Penwythowi.

- Och, przepraszam, nie chciałam...

- Mniejsza z tym - powiedział Erik, upijając łyk. - Jakby co, to wykręciłaś mi rękę i piłem pod przymusem.

- Obiecałam pomoc we wszystkim, ale sama wszystkiego nie mogę - powiedziała Jasith. - Owszem, byłam żoną tego knura, ale tak naprawdę nie wiem o nim wiele. Gdybym wiedziała, nigdy bym za niego nie wyszła. A tak... - Przerwała i upiła brandy. - Gdybym do niego zadzwoniła, nic by to nie dało. Nie cierpi mnie, raz tak po prostu, dwa z powodu Garvina. Gdyby mógł dopiec nam obojgu, nie wahałby się ani sekundy.

- Mmm - mruknął Erik. - To dla mnie nie nowina. Bardziej zależałoby mi na czymś, co pozwoliłoby wywrzeć na niego pewną presję.

- Masz na myśli szantaż?

- Właśnie. Jakiś pilnie skrywany sekret, o którym wiesz, albo sugestia, gdzie moglibyśmy pokopać...

Jasith zastanowiła się i potrząsnęła głową.

- Nic mi nie przychodzi na myśl. Teraz znowu jest kawalerem, więc to jego sprawa, z kim sypia. Zresztą kto w naszej sferze przejmuje się takim drobiazgiem jak wierność małżeńska. Jeśli chodzi o picie, wszyscy tu piją. Narkotyki... nie, nie sądzę.

- Nieźli z nas degeneraci, prawda? - powiedział Penwyth, dopijając brandy. - Cóż, muszę już iść, życzę więc miłego dnia i tak dalej. Gdyby coś ci się przypomniało, zadzwoń do mnie. A, i jeszcze jedno. Co porabiasz ostatnio wieczorami?

Jasith uśmiechnęła się smutno.

- Bardzo niewiele. Pracuję ile się da, żeby nie myśleć. Potem siedzę i martwię się o Garvina. Staram się chodzić wcześnie spać. Chyba nie jadam za dobrze.

- Mogę cię umówić z Karo? Może we dwie mogłybyście przejść się gdzieś na drinka albo na tańce. Nie myśl, że proponuję to z dobrego serca. Z tobą jako przyzwoitką może nie pójdzie z pierwszym, który zaprosi ją do tańca. Ja ciągle jestem uziemiony na wyspie razem z resztą wojaków.

Jasith nieco się rozpogodziła. Rudowłosa Karo Lonrod była znana z lekkiego podejścia do spraw obyczajowych, aż pewnego dnia poznała bliżej Penwytha. Najpierw tylko chadzali razem do łóżka, co miało być dla niego dobrym pretekstem do częstych odwiedzin na Wzgórzach podczas wojny z musthami, potem jednak zrobiło się z tego coś więcej, czego żadne z nich nie chciało komentować. Ku powszechnemu zdumieniu Karo zupełnie straciła zainteresowanie dla nowych mężczyzn.

- Może być zabawnie - powiedziała Jasith. - Obiecuję, że gdyby coś, to zadzwonię.

Poczekała, aż jego ślizgacz odleci, po czym wróciła do domu, nalała sobie jeszcze brandy, usiadła na kanapie i zapatrzyła się na panoramę Leggett.

Godzinę później drink stał ciągle nietknięty, gdy nagle uniosła głowę. Podeszła do komunikatora i zaczęła wybierać numer. Przerwała, zastanowiła się i wybrała inne połączenie.

- Na szyfrowym - powiedziała, usłyszawszy głos po drugiej stronie, i wybrała kod na wyświetlaczu - Er trzy sześć siedem.

W słuchawce zabulgotało i uspokoiło się, gdy aparat po drugiej stronie nastroił się na ten sam kod.

- Jakiś problem, Jasith?

Mężczyzna, do którego zadzwoniła, nazywał się Hon Felps i był pracownikiem Mellusin Mining. W swoim czasie pełnił funkcję asystenta jej ojca.

- Potrzebuję kontaktu z zespołem ge te dziewięć siedem trzy.

Zapadła cisza. Kod, który podała, został ustanowiony wiele lat temu przez jej ojca, otrzymała go po jego śmierci wraz z informacją, że przedstawiciel rodziny albo osoba upoważniona, która się nim posłuży, otrzyma każdą, dosłownie każdą pomoc, i to bez pytań, komentarzy czy ryzyka, że zostanie po takiej prośbie jakiś ślad. Felps dodał, że firma ma na liście płac szereg osób, które chociaż zajmują mało eksponowane stanowiska, dysponują całkiem nieprzeciętnymi umiejętnościami pozwalającymi podjąć się praktycznie dowolnego zadania.

Jasith w swoim czasie przekazała ten kod Garvinowi, jednak nie zdarzyło mu się z niego skorzystać.

- Jesteś pewna... przepraszam, Jasith. Poczekaj. Zaraz zostaniesz połączona. -

W słuchawce zapadła cisza.

Jasith czekała, zastanawiając się nad tym, co przyszło jej do głowy. Po chwili na jej wargach pojawił się lekki uśmiech. W końcu roześmiała się głośno. Zaraz potem odezwał się brzęczyk.

- Jasith Mellusin - powiedziała.

- Te jeden dwa jeden - odezwał się całkowicie nijaki głos, zapewne syntetyczny.

Jasith wprowadziła kod i wyjaśniła, o co chodzi.

Budzik zamruczał melodyjnie raz i drugi.

Loy Kuoro obrócił się na bok i sięgnął do wyłącznika, ale zamiast tworzywa poczuł pod placami papier. Otworzył jedno oko. Oparta o budzik stała jakaś koperta.

Usiadł, zrzucając z ramienia posypiającą tam blond głowę, która parsknęła niezadowolona.

Skąd to się tutaj wzięło? - pomyślał. Niczego wieczorem nie piłem... Bet uszykowała jakąś niespodziankę czy co?

Rozdarł kopertę. W środku znajdowała się kartka ze zdaniem, które w pierwszej chwili wyglądało na ręcznie skreślone, ale to był wydruk.

Życzymy miłego dnia i mamy nadzieję, że po nim nastąpi jeszcze wiele innych udanych dni.

Brakło podpisu.

Całkiem nagle kartka buchnęła płomieniem. Kuoro krzyknął z przerażenia i upuścił papier na dywan. Po chwili po notce został tylko popiół.

Bet usiadła w pościeli.

- Co się stało, misiaczku?

- Nic. Śpij dalej.

Nigdy wcześniej nie zauważył, jak irytujący może być głos Bet. Jakby mówiła przez nos.

Złapał za telefon, żeby zrugać ochronę od ostatnich, ale najpierw postanowił opłukać twarz. Gotując się ze złości, poszedł do łazienki i sięgnął do kranu. Na umywalce leżało sporo poczerniałych płatków.

Jeszcze jedna notatka, pomyślał. Ale przecież mogli równie dobrze podłożyć bombę. Tutaj albo w sypialni. Albo przyjść z nożem czy pistoletem, a nie tylko z kopertą.

Otworzył apteczkę, ale w buteleczce ze środkiem na ból głowy też był popiół.

A gdyby zamiast proszków podłożyli truciznę? Nigdy bym nie poznał.

Ręce zaczęły mu się trząść. Położył je na umywalce i poczekał, aż mu przejdzie. Potem złapał szlafrok z wieszaka i włożył go. Coś zaszeleściło. Wsunął dłoń do kieszeni. Znowu popiół.

A mógłby być jadowity wąż.

Niemal nieprzytomny z wściekłości złapał za telefon i wdusił przycisk ALARM.

- Zespół interwencyjny już jest w drodze, sir. Co się stało?

- Ktoś... ktoś się włamał - wybełkotał Kuoro.

Z trzaskiem otworzyły się drzwi. Do łazienki wpadło dwóch mężczyzn z kombinezonach bojowych. Z bronią gotową do strzału przypadli do ścian po obu stronach wejścia. Trzeci przyklęknął w progu i uniósł pistolet.

- Co się dzieje, sir?

- Ktoś tu wszedł, do cholery! A wy go przepuściliście!

- Proszę położyć się na podłodze i zejść z linii strzału!

- Już poszedł, idioto!

Dowódca straży wstał i przepchnął się obok Kuora do sypialni. Nie znalazł nikogo oprócz zdumionej młodej kobiety w łóżku.

- Skąd pan wie, że było włamanie, sir?

Kuoro spojrzał na niego nieprzytomnie i nagle zrozumiał.

To ci dranie z Grupy, pomyślał. To musieli być oni. Nikt z moich wrogów by tego nie potrafił. Parszywcy ominęli najlepsze straże, jakie można wynająć za pieniądze, i jeśli zechcą, zrobią to znowu. Nic mnie przed nimi nie uchroni, zabiją, gdy przyjdzie im ochota. A popioły to żaden dowód. Nikt mi nie uwierzy, nawet Bet. Żeby ich piekło pochłonęło!

Prest'n odebrał telefon.

- „Matin", mówi Prest'n.

- Mówi Loy Kuoro.

- Tak, proszę pana?

- Wycofujemy materiał o Lariksie i Kurze.

- Cooo?

Odpowiedział mu tylko trzask zrywanego połączenia.

15

- Nie jestem zadowolony - warknął Celidon. - Protektor też nie.

- Mam nadzieję, że to nie przeze mnie - powiedział Njangu. Nie musiał się nawet wiele wysilać, żeby wygłosić to lekko drżącym głosem.

- Nie. Ty akurat jesteś jednym z niewielu ludzi, o których protektor myśli dzisiaj dobrze. Słyszałeś o Szarych Mścicielach?

- O kim?

- Właśnie. Szef służb bezpieczeństwa też o nich nie słyszał. Ani dowódca gwardii. A jednak wydaje się, że powstała taka grupa w szeregach gwardii, chociaż nie wiemy, jak jest liczna ani kto do niej należy. Uważają, że sprawiedliwość czyniona przez protektora to za mało, aby zadośćuczynić za zbrodnie popełnione przez cumbryjskich bandytów na Kurze IV.

- Przecież to absurd - powiedział Njangu. - Doktor Miuss lada dzień zacznie przesłuchania. Więźniowie są już w dość dobrej formie, aby nie zejść od skutków ubocznych prochów, które będą dostawać. Potem nastąpi szybki proces, po którym ich powiesimy.

- Wiem i protektor też wie, ale ci idioci zamierzają wziąć sprawy w swoje ręce - warknął Celidon.

Njangu udał niebotycznie zaskoczonego.

- Według pierwszych meldunków Szarzy Mściciele chcą porwać jeńców zaraz na początku procesu i dokonać ich egzekucji przed kamerami. Uważają, że w ten sposób dowiodą swojej lojalności wobec protektora. Oczywiście, jeśli naprawdę tak myślą, będzie to głupota, bo ich akcja odniesie skutek odwrotny do zamierzonego. Krótko mówiąc, przygotowania do wojny mogą wziąć w łeb, a obywatele dojść do wniosku, że to właśnie Szarzy są uosobieniem patriotyzmu. Zakładając, że są ambitni, mogą wpaść na pomysł czystki wymierzonej we wszystkich, którzy nie dość ostentacyjnie popierają protektora. Należy oczekiwać, że zmieni się to w zamach stanu, podczas którego ludzie tacy jak protektor Redruth czy ja zginą na skutek nieszczęśliwych wypadków, w wyniku czego Szarzy poczują się zmuszeni przejąć władzę. Trzeba przyznać, że to ciekawy pomysł na rewolucję robioną od środka i dla większej chwały tego, kto ma w niej zginąć.

- Nie mogą być aż tak sprytni - powiedział Njangu. - Zresztą skoro przejrzał pan ich plany...

- Jak dotąd to tylko plotki - przerwał mu Celidon. - Ale moi agenci pracują, zwłaszcza w samym pałacu. Skoro spiskowcy zdają się wiedzieć, co się zdarzyło na Kurze IV, przesłuchujemy wszystkich, którzy stamtąd pochodzą.

- A dlaczego zdecydował się pan mi zaufać i powierzyć tę informację?

- Ponieważ zajmujesz się obecnie tymi bandytami i może ci zależeć na zwiększeniu środków bezpieczeństwa.

Njangu podszedł do okna i spojrzał na szary, monotonny krajobraz planety. Udał, że się zastanawia.

- Prawdę mówiąc, wolałbym raczej całkiem pokrzyżować szyki tym konspiratorom, zamiast łatać system - powiedział, odwracając się do Celidona.

- Co proponujesz?

- Jeńcy są obecnie przetrzymywani w pałacowym więzieniu?

- To najlepiej strzeżone miejsce na całej planecie.

- Jeśli plotka mówi prawdę i spiskowcy wywodzą się z pałacowej gwardii, to raczej nie.

- Rzeczywiście. Chcesz ich więc przenieść? Dokąd?

- Ośrodek doktora Miussa też jest dobrze strzeżony i nieźle przygotowany do funkcji więzienia. Od dawna trafiają tam licznie różni wrogowie protektora. Na przesłuchania albo na leczenie.

- I nie jest to wcale daleko od Pałacu Sprawiedliwości - zamruczał pod nosem najemnik. - Jednak droga między tymi miejscami będzie słabym ogniwem.

- Niekoniecznie - powiedział Njangu. - Po przeniesieniu jeńców powiemy gwardii, że będzie odpowiedzialna za ochronę podczas przejazdów. Pozwolimy, aby przygotowali grafiki, układ posterunków i tak dalej. Gdy jeńcy będą już gotowi do procesu, nagle wycofamy gwardię i zastąpimy ją regularnymi oddziałami. Szarzy Mściciele, o ile w ogóle istnieją, oprą swój plan na tym, co będzie robiła gwardia, zatem pomieszamy im szyki.

- Mmm... nieźle - powiedział Celidon. - Całkiem nieźle. Przypuszczam, że protektor będzie zainteresowany twoimi propozycjami.

- Mam nadzieję.

- Chyba dobrze zrobiliśmy, ściągając cię z Cumbre, Yohns.

- Dziękuję panu. - Njangu zasalutował niezdarnie i wyszedł z gabinetu Celidona.

Bardzo dobrze, pomyślał. Bardzo dobrze, kurna. Rozpuszczona przez Maev plotka musiała chyba dotrzeć już do wszystkich uszu. I każdy powtarza ją teraz gdzie się da. W każdym razie miejmy nadzieję, że tak jest. Dzięki niej wyprowadzimy jeńców na otwarty teren, gdzie łatwiej będzie ich odbić...

- Celidon przekazał, że wpadłeś na kilka ciekawych pomysłów na wiadomy temat - powiedział Redruth.

- Mam nadzieję, że się przydadzą, sir - odparł Njangu.

- Owszem. Spodobały mi się i skorzystamy z nich. Poza tym muszę nadmienić, że mój dotychczasowy szef ochrony wykazał się całkowitą ignorancją w tej kwestii i potrzebuję kogoś na jego miejsce. Myślę, że jesteś idealnym kandydatem.

- No... dziękuję, sir - wyjąkał Njangu. - Ale czy mogę spytać, skąd ta łaska?

Redruth zmarszczył brwi.

- Czy mógłbym poczekać z objęciem nowego stanowiska do czasu, gdy skończymy z jeńcami? - dodał Njangu. - Mam wrażenie, że dobrze sobie z nimi radzę. Współpraca z doktorem Miussem też układa się bez zarzutu. Jeśli ktoś nowy przejmie moje obowiązki, minie trochę czasu, zanim się do nich wdroży.

Redruth zastanowił się chwilę i pokiwał głową.

- Słuszna uwaga, Yohns. Skończ najpierw jedno, a potem dopiero bierz się do drugiego, zawsze to powtarzam. Pod twoim nadzorem jeńcy staną się niebawem świetnym materiałem dla naszej propagandy.

- Jesteś niemal za sprytny - mruknęła Maev. Wyłączyła wykrywacz podsłuchu i schowała go do szuflady. Oboje z Njangu regularnie sprawdzali pomieszczenia w poszukiwaniu nowych pluskiew i nigdy nie rozmawiali otwarcie tam, gdzie znajdowały się jakiekolwiek urządzenia elektroniczne. Mikrofon w sypialni podłączyli do rejestratora, który karmił go niewinnymi tekstami, odgłosami pościelowymi albo wręcz chrapaniem. Oni mogli tymczasem omawiać swoje plany.

- Żebyś wiedziała - zgodził się Njangu, padając na łóżko. - Omal nie przypłaciłem tego przeniesieniem. Za dużo na mnie jak na jeden dzień. Teraz marzę tylko o szybkim prysznicu, małej kolacji i poduszce.

- Nie tak od razu. Jest jeszcze coś, czym powinieneś się zająć.

- Nie dzisiaj. I lepiej, żeby nie chodziło o ciebie. Jestem zbyt zmęczony nawet na to, żeby szeroko się uśmiechnąć.

- Nie chodzi o mnie, ozdobo tego świata - powiedziała Maev - ale o twoje towarzyszki.

- Aha.

- Brythe spytała mnie dzisiaj, cóż takiego szczególnego potrafię w łóżku. Była raczej urażona.

Njangu jęknął i przetoczył się na brzuch. Z jakiegoś powodu krótko po pojawieniu się Maev jakby stracił zainteresowanie towarzyszkami. Nie miał ochoty zastanawiać się, co było przyczyną tej zmiany. Bo chyba nie poczucie winy... Nie miał powodu czuć się winny, prawda?

- Wiesz, nie powinieneś przerywać praktykowania swoich dewiacji. To może wzbudzić podejrzenia.

- Boże, daj mi siły - jęknął Njangu, wtulając twarz w pościel.

- Dobra inwokacja. Rozumiem, że zastanowisz się nad swoim postępowaniem i, jak na rasowego ogiera przystało, jeszcze dziś wieczorem odwiedzisz je w łóżkach? Sporo słyszałam o twoich możliwościach. Może zostawisz mi włączony podgląd? Zerknęłabym sobie...

Njangu usiadł.

- Lubisz takie widowiska?

- Dziwisz się, mój mały libertynie? Nie, nie lubię.

Njangu zastanowił się, dlaczego właściwie mu ulżyło, ale postanowił się tym na razie nie martwić.

- Powiedz im... powiedz im, że złapałem na Kurze pewną chorobę. I że my też tego obecnie nie robimy, ale ponieważ ty jedna wiesz, o co chodzi, trzymam cię u siebie, żeby nie dawać powodów do niesmacznych plotek.

Maev podeszła do łóżka i spojrzała na Garvina.

- Chcesz powiedzieć, że nie skorzystasz z mojej propozycji?

Njangu pokręcił głową.

- Dlaczego?

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Jesteś chyba największym romantykiem pośród nieromantyków. - Pochyliła się nad nim. - Pocałuj mnie, draniu.

- Dobrze. Ale buzi na dobranoc i tyle. Mówiłem, że nie mam siły na nic więcej, i to akurat była prawda.

- Jeszcze zobaczymy.

Odziany w czerń mężczyzna o poczerwieniałej twarzy przysunął się do Garvina i uśmiechnął przyjacielsko. Błysnęły pożółkłe zęby, zaleciało zepsutym mięsem.

- Teraz słuchaj, synu. Wiesz, że twoi rodzice chcą, żebyś mi powiedział wszystko o tym, jak przylecieliście.

Garvinowi żołądek podszedł do gardła. Z trudem powstrzymywał łzy. Spojrzał na ławę, gdzie siedzieli jego rodzice. Miał nadzieję, że się uśmiechną, aby dodać mu odwagi, zachęcą, aby milczał. Jaansma nigdy nie gadał z gliniarzami. A tym bardziej z kapusiami.

Jednak zamiast tego ojciec pokiwał głową.

- Odpowiedz temu uprzejmemu policjantowi - zahuczało wkoło.

Garvin zacisnął usta, ale po chwili wyrzucił z siebie szereg słów, których znaczenia nie znał:

- Mil Garvin Jaansma, numer identyfikacyjny jot sześć dziewięć trzy siedem zero cztery a siedem dwa pięć.

Gliniarz uderzył go w twarz, ale ból przebiegł przez całe ciało. Garvin jęknął.

- Dalej, synu. Stać cię na więcej. Jak nazywał się statek, na którym wylądowaliście? Jaki był umówiony sygnał wezwania? Jakie cele mieliście wyznaczone na Kurze IV?

- Mil Garvin Jaansma, numer...

Nie był już na komisariacie, ale w świecie płomieni, które trawiły wszystko wkoło. Ryczały palone żywcem zwierzęta. Jego rodzice tańczyli, czerniejąc, rozsypując się w popiół, umierając.

Czaszka matki zawisła nad jego twarzą.

- Jak nazywał się wasz statek? Ilu was wylądowało? Jaki był umówiony sygnał? Jakie były wasze cele na Kurze IV?

- Mil Garvin Jaansma, numer...

Był nastolatkiem. Kapusie osaczyli go w ciemnej uliczce i w pobliżu nie było widać nikogo z cyrku. Poleciały na niego cegły i kamienie, jakiś drab z deską zmiażdżył mu palce. Zabolało.

Tłum obywateli skandował pytania:

- Jak nazywał się wasz statek? Ilu was wylądowało? Jaki był umówiony sygnał? Jakie były...

- Nazywam się Garvin Janus Sześć - powiedział Jaansma. - Statek, którym przylecieliśmy, nie miał nazwy, ale...

Nagle się obudził i dostał ataku mdłości. Ledwie zdążył się odwrócić do zlewu i zwymiotował.

Nikt mu nie pomógł, ani Njangu, ani rosły strażnik, który nazywał siebie pielęgniarzem, ani doktor Miuss. Garvin odkręcił kran, zmoczył głowę i przepłukał usta. Zaraz potem pielęgniarz cisnął nim o ścianę celi.

- Sam widzisz, Garvin - zakrakał Miuss. - Wcześniej czy później powiesz nam wszystko. Tak jak chcemy. To dopiero twoja druga sesja, a już znamy hasło. Niebawem opowiesz nam o swoich ludziach, celu misji i jak dokładnie dostaliście się na Kurę IV.

Garvin chciał coś powiedzieć, ale znowu zwymiotował.

- Dostałeś naprawdę silne środki - stwierdził ze współczuciem doktor. - Jak uprzedzałem, mają działanie uboczne, zarówno doraźne, choćby to, czego teraz doświadczasz, jak i długofalowe. Mogę jeszcze dodać, że przy dłuższym stosowaniu skutki uboczne się nasilają. Możesz sobie pomóc, decydując się na współpracę. Pamiętaj też, że członkowie twojej grupy są już całkiem zdrowi, poddamy ich więc takiej samej procedurze. Mógłbyś oszczędzić im przykrych doznań.

- Pieprzcie się - wykrztusił Garvin.

Pielęgniarz warknął i ruszył na więźnia. Garvin pochylił się, unikając jego rąk, i uderzył osiłka kolanem w dołek. Mężczyzna krzyknął. Przerażony Miuss przycisnął guzik alarmu, ale Njangu był szybszy. Odepchnął strażnika, wbijając mu jakimś sposobem łokieć w żebra, aż te trzasnęły głośno, mężczyzna jednak uderzył Garvina w skroń. Jaansma zachwiał się, a po drugim ciosie w tułów zwiotczał. Njangu miał już uderzyć go mocno w kark, gdy Miuss oprzytomniał.

- Nie, nie możemy zrobić mu krzywdy! Proszę przestać, leiterze Yohns.

Njangu posłuchał i puścił Garvina, który opadł na kolana. Po chwili pozbierał się, pamiętając, że ma trzymać się za miejsca, na które spadły „obezwładniające" ciosy Njangu. Poza tym ciągle chciało mu się rzygać.

Drzwi celi otworzyły się gwałtownie i wbiegło do niej paru strażników w bieli.

- Sytuacja już opanowana, chłopcy - powiedział Njangu. - Następnym razem będziemy chcieli mieć przy nim co najmniej dwóch. Albo jednego, ale bardziej kompetentnego niż ten idiota. Przy okazji możecie go zabrać i powiedzieć jego przełożonemu, że nie chcę więcej go widzieć.

- Tak, proszę pana. Przepraszamy, proszę pana. - Wyszli, ciągnąc za sobą jęczącego pielęgniarza.

- Widzisz, do czego doprowadziła cię przemoc, Jaansma? - spytał Njangu. - Teraz siadaj i posłuchaj, jaką propozycję ma dla ciebie protektor Redruth. Doktorze, czy będzie pan uprzejmy wyjść na kilka chwil?

- Oczywiście, oczywiście. Ale powinienem wiedzieć, o czym rozmawia pan z pacjentem.

- Jak tylko poznam jego odpowiedź, dowie się pan pierwszy - odparł Njangu, mrugając do Miussa, który zrozumiał aluzję i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zaraz pognał do sąsiedniego pokoju z monitorami, gdzie technicy rejestrowali przebieg przesłuchania oraz wszystko, co więźniowie robili w celach.

Njangu poruszył szybko dłońmi... pokazał kciukiem na drzwi i przeciągnął nim po gardle.

Zabiję sukinsyna.

Garvin przechylił głowę i przebiegł palcami po własnej piersi.

Jesteś drugi w kolejce.

- Oto jak wygląda sytuacja, milu Jaansma - powiedział Njangu. - Jak wspomniał doktor Miuss, przesłuchanie potrwa tak długo, aż uzyskamy wszystkie potrzebne nam informacje, a każda następna sesja będzie gorsza. Takim samym zabiegom zostaną poddani twoi podwładni.

- Miłośnicy tortur - rzucił Garvin, chociaż nie był pewien, czy to nie nazbyt wyświechtana kwestia.

- Możliwe - odparł Njangu. - A wy jesteście psychopatami. Niemniej, skoro już wymieniliśmy komplementy, powiem, co w swojej nieskończonej łaskawości zaproponował protektor. Jeśli zgodzisz się z nami współpracować i to samo nakażesz swoim ludziom, po czym wszyscy szczerze wyznacie swoje grzechy i przyznacie głośno, że źle postępowaliście, ale mądrość protektora nawróciła was na dobrą drogę, nie będzie więcej tortur. Ani prochów, ani miażdżenia kciuków.

- A dlaczego miałbym wam wierzyć? - spytał Garvin.

- A dlaczego nie? - odparł rzeczowo Njangu. - Jeśli dacie nam to, czego chcemy... a przecież nie narazicie tym na niebezpieczeństwo nikogo na Cumbre... dlaczego mielibyśmy was torturować? Przecież nie jesteśmy sadystami.

Garvin parsknął.

- A, i jeszcze jedno. Potrzebujemy też pełnych informacji na temat zdrajców działających tutaj, w układzie Lariksa oraz w obrębie Kury. Pełną listę nazwisk wszystkich, którzy wam pomogli.

- Nie było nikogo takiego, do cholery!

- Daj spokój, Jaansma. Nikt nie będzie tak głupi, aby uwierzyć, że można przygotować podobną operację na całkiem obcym świecie bez jakichkolwiek danych wywiadu. - Njangu uśmiechnął się rozbawiony.

Garvin przyrzekł w duchu, że jeśli przeżyją, przyjaciel zapłaci mu za ten tani żart.

- Jeśli pamięć nie dopisuje ci w kwestii zdrajców, nasz zespół ci ją odświeży. A, bym zapomniał. Dzięki współpracy możecie uzyskać darowanie życia. Zamiast kary śmierci traficie tylko na długie lata do więzienia. Będziecie oczywiście w tym czasie izolowani od innych więźniów, bo nawet nasi kryminaliści są patriotami i mogliby wam zrobić krzywdę, ale życie zawsze lepsze jest od śmierci, prawda?

- Co mu obiecałeś? - warknął protektor Redruth.

- Coś, na co dał się skusić - odparł Njangu. - Był wyraźnie zainteresowany, szczególnie że mógłby dzięki temu oszczędzić cierpień swoim towarzyszom.

Redruth zaczął czerwienieć ze złości.

- Oczywiście po procesie i uznaniu ich winnymi nie znajdzie się nigdzie żaden zapis, że taka propozycja została kiedykolwiek przedstawiona - dodał Njangu. - A wszyscy przecież wiemy, że mordercy to urodzeni kłamcy gotowi powiedzieć wszystko, żeby tylko wywinąć się od stryczka, sir.

Oblicze Redrutha odzyskało normalny kolor.

- Bardzo dobrze, Yohns. Naprawdę znakomicie. Jak mało kto czujesz realia rządzenia państwem.

- Nie całkiem, sir. Po prostu spróbowałem sobie wyobrazić, co pan zrobiłby na moim miejscu.

Redruth roześmiał się głośno.

- Muszę przyznać, że jestem bardzo rozczarowany obecnym biegiem rzeczy - powiedział ze smutkiem doktor Miuss. - Miałem nadzieję, że ten Garvin Jaansma nie wykaże się aż taką zdolnością do logicznego myślenia i odrzuci wspaniałomyślną propozycję protektora Redrutha, dając mi niepowtarzalną sposobność zbadania, jak reagują na ból ludzie wychowani w innym systemie społecznym.

- Cóż, nie zawsze świeci słońce - odparł filozoficznie Njangu. - Poza tym i tak mamy dość roboty z pilnowaniem, żeby zeznania miały należytą formę i żaden z tych drani nie próbował wyskoczyć z czymś nowym przed sądem. Zapomina pan chyba, że proces będzie

się odbywał według planu ułożonego przez protektora, więc każdy z tych bandytów musi dobrze nauczyć się swojej roli. I jeszcze zagrać ją przekonująco jak prawdziwy aktor.

- Oczywiście, oczywiście - potwierdził spiesznie naukowiec. - Rzecz jasna w żaden sposób nie próbowałem podważać sensu decyzji naszego protektora. Ma pan rację. I tak mamy mnóstwo roboty.

Wliczając w to moje starania, aby strącić cię wreszcie kopniakiem z odpowiednio wysokich schodów, dodał w myślach Njangu.

- Tak zatem widok śmierci tych niewinnych, bawiących się dzieci, które jeszcze chwilę wcześniej chwaliły protektora, uświadomił mi, jak jestem zepsuta oraz że u podstaw panującego na Cumbre reżimu leży zło. - Lir odwróciła się. - Ile jeszcze tego gówna mam nauczyć się na pamięć?

- Nie narzekaj - powiedziała spokojnie Montagna. - Widzisz, ile dzięki temu się zmieniło. Mamy o wiele lepsze cele...

- Tak - parsknęła Lir. - Żelazne prycze i prawdziwy kibel zamiast wiadra. Cholera, protektor zaiste jest solą tej ziemi.

- Wybór celów został zasugerowany przez członków Armii Wyzwoleńczej Kury - powiedział Garvin. - Pamiętam, że na odprawie podano nam nazwiska kilku zdrajców, którzy zdołali nawiązać łączność z Cumbre i zaproponowali pomoc przy obaleniu protektora Redrutha, aby w mającym później nastąpić okresie anarchii samemu przejąć władzę. Tymi zdrajcami byli... hm...

Technik podał mu wydruk.

- Hafel Wyet, Mann Sefing, Twy Morn, Ede Aganat...

Prime była dokładnie otoczona satelitami obserwacyjnymi spoglądającymi we wszystkich kierunkach. Dwa aksaie z systemami walki radioelektronicznej zakłóciły ich pracę na czas potrzebny, aby zbliżyć się do planety, a gdy satelity zameldowały w końcu o ich obecności, maszyny zaczęły zygzakować na pełnej szybkości.

Jednak miejscowi nie ufali widać do końca własnej elektronice, gdyż nie poderwali nawet pary dyżurnej. Zapewne uznali, że meldunek o statkach, które pojawiły się całkiem znikąd, musiał był fałszywy.

Ben Dill dochodził jeszcze do siebie po czasie spędzonym w dżungli, stąd poprosił Alikhana, aby to on zajął się zrzutem. Musth wyjątkowo powstrzymał się od komentarzy na temat braku formy u przyjaciela.

Wprowadził maszynę w atmosferę, zanurkował za pasmo górskie za Agurem i skryty w cieniu radarowym skierował się ku prowizorycznej radiolatarni nadającej na zwykle nie używanej tu częstotliwości.

Minutę później zszedł tuż nad samą ziemię i został zauważony przez detektor ruchu radiolatarni, która zaraz się wyłączyła.

Podczepione pod skrzydłami aksaia zasobniki zjechały nad murawę, otworzyły się i wypadły z nich worki opatrzone nalepkami ODPADY ROLNICZE. Powstały z nich dwa zgrabne stosy.

Łącznie była to cała kilotona teleksu.

Pojemniki wróciły pod skrzydła, maszyna wystartowała łagodnie i po chwili zniknęła na tle nieba.

Jeden ze strażników leitera Appledore'a miał wrażenie, że dostrzegł coś dziwnego nad sąsiednią posiadłością, ale że żaden alarm się nie odezwał i nikt niczego nie zameldował, strażnik uznał, że to tylko zmęczenie, i nie sporządził nawet notatki.

Podobnie zachowali się następnego dnia robotnicy z majątku Njangu. Zobaczywszy stosy, które pojawiły się nie wiadomo skąd, nie okazali nawet cienia zainteresowania. Uznali,

że widać ktoś inny jest za nie odpowiedzialny. W tym totalitarnym państwie wszyscy w miarę rozgarnięci obywatele dostrzegali tylko to, co kazano im widzieć, a czasem nawet jeszcze mniej.

- Teraz ważna sprawa, więc uważać - powiedziała do swoich ludzi pani oficer Stiofan. - Naszym zadaniem jest budowa stanowisk strzeleckich wzdłuż drogi, którą jeńcy będą wożeni codziennie do Pałacu Sprawiedliwości. Będziemy z nich strzec konwojów przed ewentualnymi działaniami nie przystosowanych. Szczęśliwie leiter Yohns przekazał nam ze swojego majątku zapakowane już odpady, które zastąpią tradycyjne worki z piaskiem. Nie będziemy więc musieli męczyć się z łopatami i skończymy pracę w góra dwa dni. A teraz do dzieła! Na chwałę protektora!

Żołnierze odpowiedzieli głośnym okrzykiem i szybko załadowali telex na ślizgacze. Trzy godziny później złożyli cały ładunek przy trzech gotowych już wykopach obok skrzyżowania całkiem niedaleko ośrodka doktora Miussa.

- Sir, myślę, że bandyci są już gotowi do procesu - zameldował Njangu.

- Świetnie. Wspaniale! - zawołał Redruth. - Ustalam więc początek procesu na za dwa tygodnie od dziś. Potrwa pięć dni. Wyznaczyłem już leitera Vishinska na oskarżyciela, możesz więc z nim uzgodnić, co trzeba. Gratulacje, Yohns. Dla ciebie i twojego personelu. I oczywiście dla doktora Miussa.

- Doktor jest trochę nieszczęśliwy, że nie mógł dokończyć eksperymentu, sir - powiedział Njangu. - Być może warto by mu zezwolić na kontynuację pracy po wyroku.

- Hmmm... Nie. Ryzykowne. Nie chcę, aby cokolwiek na temat jego talentów wydostało się poza ośrodek. Moi wrogowie mają drżeć ze strachu na sam dźwięk jego nazwiska, nie wiedząc, co ich czeka, gdy po aresztowaniu dostaną się w jego ręce.

- Rozumiem, sir. Przekażę doktorowi pańską decyzję. A skoro mowa o wrogach, czy doszło już do aresztowań Szarych Mścicieli?

- Nie - powiedział Redruth ponurym tonem. - Sam nie miałem czasu się tym zająć, a moim śledczym jakoś szczęście nie dopisało. Wcale mi się to nie podoba.

- Zrozumiałe, sir. Podzielam ten niepokój. Ile razy widzę jakiegoś gwardzistę, nadstawiam ucha. Szczęśliwie wszyscy spośród dwudziestu czterech, którzy zostali oddani do mojej dyspozycji, są fanatycznie lojalni wobec protektora.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. Niemniej i tak mam agentów w tej grupie. Zameldują natychmiast, jeśli tylko natrafią na najmniejszy ślad nieprawomyślności.

- Dobrze. Podczas procesu skorzystam z twojego oddziału jako osobistej ochrony, a potem dokonam czystki w gwardii. Muszą być jak żona cezara.

- Zgadzam się, sir - przytaknął gorliwie Njangu, zastanawiając się, o czyjąż to żonę może chodzić.

Długa transmisja z powierzchni planety została odebrana i przekazana dalej. Był to zapewne jeden z ostatnich meldunków Njangu. O ile nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, oczywiście.

Njangu poczekał na odpowiedź. Korzystał z odbiornika, który Maev zamontowała w jednym z pałacowych pokoi. Otrzymał tylko jedną grupę kodową oznaczającą po prostu:

JESTEŚMY GOTOWI.

Operacja miała się rozpocząć za szesnaście dni.

- Milu Jaansma, ten człowiek będzie twoim obrońcą - powiedział porucznik straży. - Będzie też reprezentował pozostałych bandytów.

Szczupły i nie dogolony mężczyzna o cuchnącym oddechu kiwnął głową.

- Nazywam się Blyer i jestem judicatem. Musicie wiedzieć, że wypełniam tylko wyznaczony mi obowiązek. Sam wcale nie życzyłem sobie zostać waszym obrońcą.

- Oczywiście - powiedział Garvin. - Domyślam się, że na co dzień pracuje pan w fabryce lin i powrozów?

- Nie, jestem judicatem, jak powiedziałem - stwierdził z irytacją Blyer. - Skąd ten pomysł, że mam coś wspólnego z linami?

- A tak tylko, przypadkiem - rzucił Garvin. - Widać kto inny jest tu katem. Pozwoli pan, że przedstawię pana pozostałym łotrom.

Dwanaście dni.

Gwardziści znali wszystkie zakamarki między ośrodkiem a Pałacem Sprawiedliwości jak własną kieszeń. Całe dnie spędzili na ćwiczeniach w sprawnym obsadzaniu stanowisk bojowych, które zbudowali wzdłuż drogi łączącej oba miejsca. Do szybkiego przemieszczania się używali transporterów opancerzonych.

Potem dowódcy oddziałów dowiedzieli się nagle, że gwardia zostaje wycofana i ma udać się do miejsc zakwaterowania. Nie padło żadne wyjaśnienie. Oficerowie próbowali dostać się do protektora Redrutha i Celidona, ale żaden z nich nie chciał z nimi rozmawiać.

Jedynymi wyjątkami były drużyny ochraniające placówki dyplomatyczne w odległych miastach oraz pluton oddany pod rozkazy leitera Aba Yohnsa.

Sześć dni.

- Możecie dać spocznij! - krzyknęła Maev.

- Uwaga, spocznij! - zawył podoficer i dwadzieścia cztery buty uderzyły o beton przed barakiem, który wzniesiono pospiesznie na posiadłości Yoshitara.

- Zostaliście przydzieleni do specjalnego zadania - powiedziała Maev. - Rozkazy wydał sam protektor Redruth. Zostały przekazane za pośrednictwem leitera Yohnsa.

Mimo twardej dyscypliny żołnierze nie opanowali głośnego westchnienia.

- Cisza w szeregu! - wrzasnął podoficer i cisza zapadła.

- To bardzo ważne zadanie, które będzie jednocześnie sprawdzianem skuteczności ochrony Pałacu Sprawiedliwości podczas procesu cumbryjskich przestępców. Nie będzie czasu na inne próby, jak z pomocą komputerowych i planszowych symulacji, starajcie się więc skorzystać z nich jak najwięcej. Nie wolno wam z nikim rozmawiać o tym zadaniu, każda niesubordynacja w tej kwestii będzie karana z całą surowością. Między sobą możecie rozmawiać na ten temat tylko w obecności oficerów.

Pięć dni.

- Uwielbiam telex i cała moja rodzina też go uwielbia - mruczał Njangu, wciskając zapalnik w kawałek plastycznego materiału, który następnie spłaszczył i wygładził, po czym włożył do koperty z napisem „Próbki narkotyków. Ostrożnie!”

- Teraz jeszcze dodamy zabezpieczenie na wypadek, gdyby nasz dobry doktor próbował wcześniej otworzyć przesyłkę, i voila! Możemy iść na tańce.

- Tego jest dość, aby zdemolować cały gabinet - zauważyła Maev.

- Może nie trzymać tej paczki na kolanach, gdy będzie ją otwierał. Zależy mi, żeby na pewno rozstał się z tym światem - powiedział Njangu.

- Jesteś pewien, że uda ci się podrzucić to do jego teczki?

- Jasne. Zrobię to dziś rano podczas rutynowej kontroli przy wejściu. Zagadam go. Powiem, jak to protektor zachwyca się jego kolejnymi sukcesami. Zawsze łyka gładko każdą pochwałę swojego sadyzmu i nigdy nie patrzy mi na ręce.

Cztery dni.

Njangu posadził ślizgacz obok wiejskiego urzędu pocztowego i wysiadł.

- Co tam robiłeś? - spytała Maev, gdy wrócił kilka chwil później.

- Wysłałem list podpisany przez moje cztery towarzyszki, Brythe, Pyder, Enidę i Karig. List adresowany do protektora Redrutha. Jako prawdziwe patriotki napisały w nim o swoich podejrzeniach dotyczących mojej osoby. Przypuszczają mianowicie, że mogłem się sprzymierzyć z aspołecznymi elementami. Oczywiście mają nadzieję, że się mylą, ale muszą wypełnić swój patriotyczny obowiązek. Wydaje im się poza tym, że Kerman również jest w spisku, i dlatego właśnie nie przekazują meldunku przez niego. Może sprawi to, że drań straci głowę. Zawsze węszył wkoło i nadstawiał ucha. Nie cierpię donosicieli.

- A twoje dziewczyny... przepraszam, twoje byłe dziewczyny... nie skończą być może przed plutonem egzekucyjnym ani w żadnym ośrodku.

Njangu przestał się uśmiechać.

- Tak. Na to właśnie liczę. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Ale trudno. Musimy wracać do Alfy i Bety. Ciężko przeżywają każdą minutę, gdy tracą mnie z oczu.

- Właśnie. O nich też pomyślałeś?

- Może gdybym nie zdawał sobie sprawy, jak by zareagowali, wiedząc, kim naprawdę jestem, to nawet bym ich trochę polubił. Jeszcze się nimi zajmę. Na razie na tym poprzestańmy.

Trzy dni.

Siły wyznaczone do pilnowania czworga więźniów były zaiste imponujące.

Kolumna żołnierzy, teraz już nie gwardzistów, ale zwykłej piechoty, otoczyła schody przed ośrodkiem. Garvin, Lir, Montagna i Mahim, która ciągle trochę kulała, zeszli do pozbawionego okien nie uzbrojonego transportera, który przypominał używane przez Grupę griersony. Dwie ayeshe, czyli miejscowa odmiana zhukovów, ustawiły się przed i za transporterem. Nad nimi krążył patrolowiec klasy Nana.

Cały konwój wystartował, zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i trzymając się krętej drogi (na poboczu mogły być miny), ruszył przez przedmieścia do Pałacu Sprawiedliwości.

Njangu pouczył na odprawie wszystkie załogi, że w razie ataku obie uzbrojone maszyny mają natychmiast kierować się ku źródłu zagrożenia, pojazd z jeńcami winien niezwłocznie lądować, zablokować włazy i czekać na wsparcie.

Dwa dni.

- Lud Lariksa i Kury domaga się sprawiedliwości i jego słuszny głos winien zostać wysłuchany - rzucił judicat leiter Vishinsk. - Te stworzenia, które waham się nazwać ludźmi, wyznały wszystkie swe straszne winy i nie sądzę, aby sąd potrzebował więcej niż paru chwil, aby uznać ich winnymi zarzucanych czynów. Ta czwórka oskarżonych to Garvin Jaansma...

Garvin spróbował rozejrzeć się dyskretnie podczas przemowy Vishinska. Sala sądowa była obszerna, z umeblowaniem ze stali nierdzewnej zamiast z drewna. Widzów wpuszczono niewielu, była za to masa kamer mierzących w czwórkę oskarżonych pod różnymi kątami. Przy głównych drzwiach stała para wartowników z blasterami w rękach, druga obstawiała wejście dla sądu.

Vishinsk siedział na podium z dwoma flagami. Garvin domyślał się, że są to barwy Lariksa i Kury. Pośrodku wisiało na ścianie nadnaturalnych rozmiarów holo protektora Redrutha ubranego w takie same czarno-czerwone szaty jak sędzia.

Garvin odkrył szybko, że w miejscowym systemie sędzia jest zarazem oskarżycielem, co na pewno bardzo ułatwiało postępowanie procesowe.

Nie było też widać ani śladu żadnego składu sędziowskiego, co sugerowało, że to Vishinsk przedstawi oskarżenie, wysłucha stron i wyda sprawiedliwy wyrok.

Garvin cieszył się, że nie jest obywatelem tego świata, szczególnie takim, który byłby winien jakiegoś przestępstwa. Albo i całkiem niewinny, bez różnicy. Panująca tu „sprawiedliwość" zapewne bardzo przypominała praktyki, których doświadczył kiedyś Njangu.

Kusiło go, aby puścić całą tę procesową gadaninę mimo uszu i skupić się na planie Yoshitara, ale Njangu dotąd nawet się nie zająknął na ten temat. Garvin zastanowił się dlaczego i chyba zrozumiał. Njangu obawiał się, że Miuss mimo wszystko spróbuje jeszcze swoich sztuczek.

To miało sens. Jedną ze zwykłych zasad konspiracji było przekazywanie ludziom tylko tyle informacji, ile było niezbędne, i ani słowa ponadto.

Jednak Garvin wolałby coś wiedzieć.

- Jestem pod wrażeniem waszych postępów - powiedziała Maev do podoficerów ze swojej grupy. - Myślę, że jeśli na żywo test wyjdzie nam równie dobrze jak podczas symulacji, nie skończy się na odznaczeniach, ale będą też awanse. Sądzę, że w tym wypadku zdołam dopomóc szczęściu, gdyż zostałam wyznaczona przez protektora Redrutha do zapewnienia bezpieczeństwa jego prywatnych apartamentów. Nie jestem oczywiście zadowolona, że sama nie będę mogła poprowadzić was do akcji. Wierzę jednak w wasze umiejętności. Jestem przekonana, że dzięki wam nikt długo nie zapomni dnia tej egzekucji.

Dzięki wam, dzięki Njangu oraz całej grupie jego przyjaciół, dodała w myślach.

Pierwszy dzień procesu upłynął na odczytywaniu bardzo długiej listy oskarżeń. Judicat Blyer co rusz wtrącał piskliwym głosem, że coś „nie dotyczy sprawy" albo „nie zostało dowiedzione".

Drugiego dnia Vishinsk przedstawił swoich świadków i zapowiedział, że z ich pomocą pokaże krok po kroku wszystkie podłe czyny oskarżonych, czym doprowadzi do ich skazania.

Ostatni przekaz Njangu zawierał tylko jedno słowo:

- Ruszamy.

Yoshitaro wyłączył nadajnik i spryskał wnętrze urządzenia rozpuszczalnikiem, który miał zamienić delikatną elektronikę w nierozpoznawalny kłąb złomu.

Judicat Vishinsk przedstawiał właśnie pierwsze holo ze zgrabną animacją odtwarzającą lądowanie napastników na Kurze IV, gdy w pobliżu planety wyskoczyły z nadprzestrzeni dwa velvy. Samotny patrolowiec klasy Nana strzegący tego punktu nawigacyjnego nie zdążył nawet ogłosić alarmu, gdy trafiły go dwie rakiety i rozpadł się na kawałki.

Kilka sekund później nadleciały dwa transportowce, cztery niszczyciele klasy Kelly i siedem velvow z aksaiami na burtach. Cała armada skierowała się ku Lariksowi.

Przedstawianie dowodów zostało zakończone, a proces odroczony do dnia następnego.

Czterech zakutych w łańcuchy Cumbrian odprowadzono do transportera. Jeden ze strażników warknął coś pod ich adresem, ale zaraz dostał od przełożonego w pysk za niesubordynację.

Zespół wystartował i skierował się z powrotem do ośrodka.

Njangu posadził limuzynę na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się dobry widok na odległy ledwie o kilometr ośrodek.

- Co się stało, sir? - spytał Alfa, wyciągając broń i rozglądając się wkoło.

- Nic - odparł Njangu. - Chcę stąd sprawdzić, jak przebiega przewóz więźniów i czy nie ma żadnych luk w naszej ochronie.

Otworzył kabinę, wstał i przeciągnął się. Jego goryle wyszli i zaczęli uważnie przepatrywać krzaki w poszukiwaniu zagrożenia.

Pistolet jakby sam pojawił się w dłoni Njangu. Wymierzył starannie i strzelił Alfie w plecy. Mężczyzna upadł. Beta odwrócił się z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy. Yoshitaro trafił go w szyję, ale zaraz poprawił w pierś. Beta też upadł. Njangu sprawdził puls. Obaj nie żyli.

- Zgodnie z rozkazem przeprowadzicie teraz symulowany atak - powiedziała Maev.

Podwładny zasalutował i odwrócił się do czekających gwardzistów.

- Broń w gotowości... Jak słyszeliście. Udajemy, że chcemy opanować Pałac Sprawiedliwości. Ruszać się! Prędzej!

Dwudziestu czterech żołnierzy pobiegło w luźnym szyku uliczką wiodącą do Pałacu Sprawiedliwości.

Maev wskoczyła do ślizgacza i ruszyła na pełnej szybkości w kierunku ośrodka.

Za nią rozdarły się alarmy. Jej ludzie zostali zauważeni.

Oficer piechoty z jednostki strzegącej drogi pomiędzy pałacem i ośrodkiem usłyszał brzęczyk komunikatora.

- Tu sześćdziesiąta kompania, mówi Nair.

- Pałac Sprawiedliwości jest atakowany! - pisnęło w słuchawce. Rozmówca nie przedstawił się, ale Nair poznał głos swojego przełożonego. - Zbierz swoich i biegiem do pałacu. Tam dostaniesz dalsze rozkazy.

- A co z zabezpieczeniem drogi?

- Mniejsza o drogę! Trzeba chronić protektora!

Nair zaraz wydał rozkazy. Zdumieni żołnierze wyskoczyli ze stanowisk i pobiegli do transporterów. Piloci i strzelcy pokładowi byli równie zdezorientowani.

Oficerowie odpowiedzialni za bezpieczeństwo szybko otrząsnęli się z pierwszego szoku. Więc jednak jest jakiś spisek, pomyśleli. Szarzy Mściciele istnieją i próbują właśnie porwać Cumbryjczyków. Dzięki Redruthowi, że nie było ich już w sali sądowej. Zaraz ogłoszono alarm i otworzono ogień do spóźnionych spiskowców.

Kilka sekund później patrolowiec zameldował o niezidentyfikowanych jednostkach, które wtargnęły w atmosferę planety. Cumbrianie całkowicie zaskoczyli obronę.

Pod nimi leżał główny cel: Pałac Sprawiedliwości.

Prowadzącym niszczycielem dowodził mil Liskeard. Patrzył na coraz bliższą ziemię i bardzo żałował, że ci, którzy przydzielali im cele, nie potrafili określić, gdzie w chwili ataku będzie przebywał Redruth. Chociaż... może kryje się właśnie tutaj? Liskeard bardzo tego pragnął.

- Cel namierzony - zameldował oficer uzbrojenia.

- Wyrzutnie jeden do trzy, ognia - rozkazał Liskeard i trzy goddardy runęły na budowlę.

Njangu śledził przesuwający się z wolna konwój z więźniami i czekał, aż prowadząca maszyna znajdzie się nad skrzyżowaniem z pustymi obecnie stanowiskami piechoty.

- Trzy, dwa, jeden i już - powiedział, przyciskając przełącznik detonatora.

Worki z teleksem eksplodowały równocześnie. Podmuch dosięgną! przelatującej akurat nad nimi ayeshy, której żyroskopy odmówiły posłuszeństwa. Maszyna odbiła w bok, przetoczyła się na grzbiet, uderzyła w ziemię i eksplodowała.

Zamykający kolumnę, pojazd zawrócił, a jego załoga zaczęła gorączkowo rozglądać się za celami.

Transporter opancerzony wiozący więźniów obniżył gwałtownie lot, twardo wylądował i schował się za pobliskim kamiennym budynkiem.

Ayesha wystrzeliła rakietę w kłąb dymu pozostały po zniszczonej maszynie, co oczywiście nic nie dało. Nikt nie zwrócił uwagi na parę aksaiów nadlatujących od zachodzącego słońca. Dwie rakiety jednocześnie ugodziły w cel, który natychmiast zmienił się w kulę ognia.

Doktor Miuss oglądał holo przedstawiające żywe ludzkie ciało odarte ze skóry i wystawione na impulsy bólowe. W zwolnionym tempie śledził porządek reakcji kolejnych ośrodków nerwowych, gdy eksplodowała teczka leżąca przed nim na biurku.

Podmuch rzucił go przez stół zastawiony szkłem laboratoryjnym na dygestorium.

Pielęgniarze zjawili się w laboratorium po parunastu sekundach. Chociaż niejedno już widzieli, zemdliło ich, gdy ujrzeli mężczyznę nadzianego na ostre kawałki odpornego podobno na eksplozje przezroczystego tworzywa.

Zanim udało im się ściągnąć Miussa na podłogę, doktor zmarł z upływu krwi.

Goddardy uderzyły dokładnie w środek Pałacu Sprawiedliwości. Judicaci Vishinsk i Blyer przebywali akurat w gabinecie tego pierwszego i przygotowywali notatki na następny dzień procesu, gdy wybuchła pierwsza głowica. Zdążyli jeszcze się przerazić, gdy druga rakieta zerwała dach i zmieniła ich w szaroczerwone festony wiszące na stalowych ścianach.

- Nie ruszać się - warknął strażnik. Obrócił się na fotelu i mierzył teraz w Cumbrian z blastera. - Jeśli to próba odbicia, będę musiał was...

- Zostaw - przerwał mu pilot. - Widzę tego leitera... jak mu tam... Yohns. Macha do nas. Uwaga. Otwieram - dodał służbowym tonem.

Obie rampy opadły i Njangu zanurkował do środka.

- Zostaliśmy zaatakowani przez nie przystosowanych - powiedział. - Bądźcie gotowi do startu.

- Tak jest, sir - odparł pilot. - Ale...

- Zmieniam swoje rozkazy. Dalej, ruszać się! Przypilnuję tych drani.

Strażnik usiadł normalnie i Njangu strzelił mu w kark. W zamkniętej przestrzeni eksplozja zabrzmiała wręcz ogłuszająco. Krew i coś szarego prysnęły na tablicę przyrządów. Drugi dostał pilot. Padł na konsolę.

Czwórka więźniów otworzyła usta w niemym podziwie. Nawet Garvina zatkało.

Njangu wyciągnął kompozytowe nożyce i szybko przeciął kajdanki na nogach więźniów.

- Nie ma co czekać, kochani - powiedział. - Wracamy do domu.

Wszyscy wstali i przepchnęli się do wyjścia. Garvin złapał Njangu za ramię.

- Dzięki, że o nas pomyślałeś - powiedział.

- Widzisz, do czego prowadzi akcja w pojedynkę? - odparł Yoshitaro. - Mam nadzieję, że czegoś się nauczyłeś.

Garvin miał jeszcze dość siły, aby jęknąć. Zaraz potem wybiegł na słońce, tuż przed lądujący właśnie ślizgacz, z którego wyskoczyła Maev Stiofan z pistoletem w ręku. Byli więźniowie drgnęli, ale szybko dotarło do nich, że kobieta nie strzela, zatem musi być chyba po ich stronie.

- Mamy wracać tym ślizgaczem? - wykrztusiła Lir, ale zaraz pojawiły się nad nimi dwa niszczyciele z transportowcami, które wylądowały, krusząc budynki po obu stronach drogi. Ich włazy stanęły otworem i cała grupa bez rozkazu pobiegła na nieco sztywnych nogach w ich kierunku.

- Dalej, Maev - powiedział Njangu. - Przedstawię cię paru osobom.

Nad terenami rządowymi grasowały aksaie, velvy i niszczyciele, posyłając rakiety we wszystkie cele większe od człowieka, ludzi zaś rażąc z działek.

Grupę Maev wybito w tym piekle do nogi. Zginęła z rąk obu stron.

Gdzieś z góry nadleciała rakieta, ale chybiła aksaia o kilka metrów i wyrżnęła w jedną wież. Ta uniosła się, jakby chciała wystartować, i runęła.

- Mam go - rzucił Ben Dill, wchodząc przewrotem bojowym na ogon patrolowca, który próbował mu zestrzelić kolegę. Maszyna spadła w płomieniach.

- Wszyscy natychmiast zrywają kontakt z przeciwnikiem - rozległo się w słuchawkach. - Powtarzam, zrywamy kontakt i wycofujemy się.

- No tak - jęknął Dill - a właśnie zacząłem się dobrze bawić.

Mil Angara stał na lądowisku obozu Mahan i patrzył na formację nadlatujących jednostek.

- Mówiłem, że jak długo to trwało?

- Niecałe dziesięć minut - odparł Hedley. - Zanurkowaliśmy, zrobiliśmy swoje i w nogi. Po prostu.

- Wiem, ile może zdziałać element zaskoczenia. Ale i tak trudno mi uwierzyć, że nie ponieśliśmy żadnych strat.

- Po prawdzie jest jedna. Na jednym z niszczycieli ktoś złamał nogę na prowadnicy pocisków. Ale poza tym owszem, nie ma ofiar. To zapewne niedobrze, sir. Staną się zbyt pewni siebie.

Angara chciał coś powiedzieć, ale dostrzegł, że Hedley się uśmiecha.

- O, mamy drugiego rannego - dodał Hedley. - Pewien cent, niejaki Ben Dill, melduje, że złamał paznokieć, wysiadając z aksaia, i chce za to awans.

16

Larix/Prime

- Larix i Kura dość już wycierpiały od agresji Cumbre! - grzmiał do mikrofonu protektor Redruth. - Ostatnie wydarzenia przelały czarę!

Cumbre niezmiennie odmawia nam prawa do pokojowego współistnienia i ucieka się do działań zbrojnych, dowodząc, że nie ma zamiaru zostawić nas w spokoju, a w dalszej perspektywie chce dokonać podboju naszych układów.

Dopiero zostaliśmy ponownie przez nich zaatakowani, a co gorsza, okazało się, że w naszych szeregach nie brakuje zdrajców gotowych zaprzedać się Cumbre za złoto.

Nadszedł dzień dać odpór zarówno zewnętrznym, jak i wewnętrznym wrogom!

Z wielkim żalem, ale i poczuciem obowiązku wobec naszych obywateli muszę ogłosić, że zdecydowaliśmy się wypowiedzieć wojnę układowi Cumbre.

Od tej chwili siła napotka siłę i będzie tak aż do ostatecznego zwycięstwa naszych wojsk i zdobycia twierdzy wroga!

17

Cumbre D

Garvin Jaansma otrzymał Medal Zasługi, najwyższe odznaczenie przyznawane przez Grupę. Z początku nie chciał go przyjąć, skoro akcja zakończyła się niepowodzeniem, ale Njangu wytłumaczył mu, żeby się nie wygłupiał. Sam miał odebrać Gwiazdę Męstwa, drugie

pod względem wagi odznaczenie Grupy. Zastanawiał się, czy nosić je na kepi, czy może zawieść je sobie na kółku w nosie.

Pozostali żywi uczestnicy otrzymali Srebrne Krzyże. Pośmiertnie przyznawano brązowe. Były też awanse. Monique Lir dostała najwyższy nieoficerski stopień ad-prema, chociaż jej praca nie wymagała tej rangi.

Grig Angara, Jon Hedley i adiutanci Angary kończyli obiad podany w jednej z zamkniętych dla ogółu sal hotelu Shelbourne. Pomieszczenie zostało wcześniej sprawdzone, a trzech techników czuwało cały czas obok z wykrywaczami podsłuchu elektronicznego.

- Można pytanie na temat pracy, sir? - spytał Angarę mil Ken Fong z Sekcji III - operacyjnej.

- Jakbyśmy choć przez chwilę rozmawiali o czym innym - odparł Angara. - Słucham.

- Wracając do spraw podstawowych. Jak zamierza pan walczyć z Lariksem? Wybrał pan już strategię?

Angara łyknął herbaty i zastanowił się nad odpowiedzią.

- Byłoby idealnie, gdybyśmy mogli nawiązać do starej tradycji Konfederacji, która posyłała w takich razach flotę i kilkoma pociskami przykuwała uwagę widowni, po czym prosiła, aby awanturnicy zachowywali się grzecznie. Jeśli ktoś zgłaszał jeszcze jakieś obiekcje, dokonywano inwazji.

- Ta opcja jest dla nas niedostępna - powiedział Hedley. - Nie mamy floty. To, co jest w stoczniach, jeszcze nie przypomina jednostek bojowych.

- Nie wspominając o brakach kadrowych - dodał oficer personalny. - Nie starczy nam ludzi na większą kampanię.

- Za to serca nasze są czyste, a morale wysokie - wtrącił cynicznie Erik Penwyth, wywołując chichoty.

- W sumie masz sporo racji - powiedział Hedley. - Yoshitaro zwraca uwagę na paskudne stosunki panujące w armii Redrutha, co zapewne znaczy, że żołnierze nie są gotowi walczyć do końca niezależnie od okoliczności, a oficerom może brakować odwagi.

- Dlaczego więc nie zaprosiliśmy dziś naszych bohaterów? - spytał ktoś z drugiego końca stołu.

- Bo to całkiem nieoficjalny obiad - odparł Angara. - Nie chcę ściągać ich z urlopu bez wyraźnej konieczności.

- Przypuszczam, że przed inwazją dobrze będzie jakoś ich zmiękczyć - powiedział Hedley.

- Wprawdzie bombardowania strategiczne są zwykle nieskuteczne, bo zostaje po nich przede wszystkim masa dziur w ziemi, ale może znaleźlibyśmy sposób, aby walnąć w nich raz a porządnie, żeby potem móc ich po prostu zignorować? - spytał Fong.

- Obawiam się, że protektor Redruth nie zrozumie tego zgodnie z naszym życzeniem, czyli nie zajmie się własnymi sprawami - powiedział Angara. - Wydaje się podobny do jednego z tych morskich potworów, które muszą ciągle pływać, bo inaczej utoną. W jego wypadku oznacza to, że nie może żyć bez nieustannego wyszukiwania sobie wrogów.

- Zgadzam się - mruknął Hedley. - Musimy stawić czoło prawdzie. Prędzej czy później będziemy musieli sprawdzić, co się stało z Konfederacją. Czeka nas zatem przeprawa z różnymi nieznanymi dotąd wrogami. Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie wtedy życzył, jest nieprzyjazny nam Larix.

Maev przysunęła się do Njangu.

- Kocham to! - zawołała, przekrzykując muzykę.

- Co?!

- To wszystko! - Wskazała zatłoczony i słabo oświetlony klub. - Mogę się upić i nikt nie będzie słuchał, czy nie wygaduję czegoś nieprawomyślnego. Żaden dupek nie próbuje strzelić mi w plecy czy wyzwać na pojedynek. I nie robi się tu kariery przez łóżko. - Westchnęła z ulgą.

Njangu łyknął szampana i przeciągnął się jak zadowolony kocur. Hałas, ludzie, muzyka, dobry alkohol... Dla - czego tak często pcha się tam, gdzie go nie zapraszają, a czasem nawet próbują zabić?

Wyjął butelkę z wiaderka. Nagle ktoś zatoczył się na ich stolik.

- Ślicznotko... zatańczysz...?

Gość potknął się i runął na blat, który nie wytrzymał ciężaru rosłego ciała i klapnął na podłogę.

Maev wciąż trzymała swój kieliszek, Njangu nalał jej więc i rzucił pustą butelkę na chrapiącego ochlapusa. Krzyknął, żeby ktoś tu posprzątał i przyniósł nowe wiaderko z zacną zawartością.

- Taaak - powiedział. - Bez dwóch zdań, wiem, gdzie zabrać dziewczynę. Zatańczysz?

- Nazwałam to minisympozjum - powiedziała doktor Ann Heiser. - Chciałabym, aby nasz szanowny kolega opowiedział na nim o swoim udziale w walce, ale mam także nadzieję, że zastanowimy się nad odpowiedzią na pewne bardzo ważne pytanie. Mianowicie: czy możemy jakoś pomóc Grupie w prowadzeniu tej wojny?

W sali siedziało ponad dwadzieścioro mężczyzn i kobiet. Wszyscy byli cywilami oprócz alt Ho Kang, która została niedawno awansowana za zasługi badawcze podczas wojny z obcymi i przesunięta do Sekcji II jako analityk. Ciągle niezbyt wierzyła w swój awans i związany z nim żołd oraz w to, że nie będzie już więcej ujeżdżać w griersonie.

- Postaram się sprecyzować, czego dokładnie szukamy - powiedział Froude. Ciągle jeszcze miał sporą niedowagę po pobycie w dżungli, jednak poza tym prawie doszedł do siebie. - Dyskutowaliśmy już o tym z Ann, zanim uprzejmie przyjęliście nasze zaproszenie. Zacznę od czegoś, co może was zaskoczyć. Niewiele nam wiadomo o nadprzestrzeni. Wprawdzie napęd pozwalający się w niej poruszać znany jest już od iluś tysięcy lat, nikt jednak chyba nie prowadził dotąd szeroko zakrojonych badań nad obszarem, w który wtedy się wchodzi. Wiemy, a raczej zdołaliśmy wydedukować, że nadprzestrzeń jest „rzeczywista", ponieważ tak sugerują nasze równania i empiria. Wytyczywszy konkretne punkty nawigacyjne, co nie jest wprawdzie konieczne, ale wygodne, możemy przedostać się tamtędy z jednego miejsca do drugiego. Mamy urządzenia prowadzące nas pomiędzy tymi miejscami, chociaż jeśli zrobimy ślepy skok, czyli skok bez określonego uprzednio miejsca docelowego, te same urządzenia powiedzą nam od razu, gdzie jesteśmy. Tak to wygląda w ogólnym zarysie.

Jeśli podczas wojny któryś z naszych okrętów wykryje nieprzyjaciela w normalnej przestrzeni i rzuci się w pogoń, może nawet wejść za śledzonym obiektem do nadprzestrzeni i wystrzeliwszy pocisk, zniszczyć cel albo tropić go przez kolejne skoki. Jeśli starczy czasu, można nawet posłać za nim specjalny pocisk, który sam wniknie w nadprzestrzeń i tam dopadnie przeciwnika. W każdym razie zakładamy, że tak się dzieje, gdyż wiele razy stykaliśmy się z takimi procedurami i prawie nigdy zaatakowany w ten sposób okręt nie wracał z nadprzestrzeni. Jak wiem, bardzo rzadko zdarzało się, aby jednostka zaatakowana i uszkodzona w nadprzestrzeni wracała do normalnej przestrzeni, co może świadczyć, że nadprzestrzeń jest szczególnym środowiskiem, być może podobnie mało ściśliwym jak woda, w wyniku czego przewodzi falę uderzeniową. Możliwe też, że zwykłe normy wytrzymałości stosowane przy budowie statków kosmicznych są niewystarczające w warunkach nadprzestrzeni. Dotąd nie znalazłem odpowiedzi na te podstawowe pytania, ani sam, ani w literaturze, zarówno bezpośrednio dotyczącej przedmiotu, jak i związanej z obszarami

pokrewnymi. Naprawdę brakuje nam zweryfikowanych danych. Wiemy wprawdzie, że nadprzestrzeń jest skończona, ale...

- Przepraszam, doktorze - odezwała się Ho Kang. - Mam nadzieję, że wybaczycie mi ignorancję, ale skąd możemy to wiedzieć?

- Są dwie poważne przesłanki, które to sugerują - odpowiedział Froude. - Po pierwsze, przemieszczeniu się pomiędzy dwoma konkretnymi punktami towarzyszy zawsze ten sam wydatek energii. Po drugie, zajmuje to zawsze tyle samo czasu. Ale moim zdaniem wiemy na ten temat ciągle tylko tyle, ile ślepiec wie o domu, w którym mieszka. Zna ustawienia mebli, pamięta, gdzie jest krzesło, a gdzie stół, ale wystarczy przesunąć jeden sprzęt, żeby stracił orientację i nabił sobie guza.

Zastanawiam się, czy to dlatego Konfederacja nie prowadziła nigdy badań nad nadprzestrzenią, że tocząc wojny na wielkich obszarach kosmosu, nie była nią zainteresowana bardziej niż antyczni kapitanowie morzem, po którym pływali. Wiedzieli z map, gdzie są rafy, a gdzie mielizny, i to im całkowicie wystarczało.

- Wprawdzie fizyka empiryczna nie należy do obszaru moich zainteresowań, ale zgadzam się, że niewiele, bardzo niewiele nam wiadomo o nadprzestrzeni - powiedziała, wstając, jedna z kobiet. - Nie rozumiem jednak, co wspomniany dylemat ma wspólnego z konfliktem zbrojnym z Lariksem i Kurą. Poza tym, że w dziejach nic tak nie napędzało badań naukowych jak wojna.

Kilka osób zaśmiało się. Kobieta usiadła.

- Też nie potrafię tego powiedzieć - rzekł Froude. - Wiem natomiast, że jeśli dwaj przeciwnicy szykują się do walki na nieznanym terenie, wówczas ten, który zdobędzie mapę pola bitwy zyska zdecydowaną przewagę. Postaram się to zilustrować. - Podszedł do starej tablicy i wziął do ręki marker. Narysował wielkie K, a pół metra dalej L. - Tutaj mamy Kurę, a tutaj Larix. Kura jest spichlerzem imperium protektora Redrutha. Larix to kompleks przemysłowy. Oderwijcie Kurę od Lariksa, a Larix umrze z głodu. Pozbawcie Kurę dopływu techniki z Lariksa, a rychło zaczną tam zbierać zboże ręcznie.

Froude ujął obie litery w kręgi i połączył je dwoma prostymi. Rysunek przypominał teraz sztangę.

Potem przekreślił łączące oba układy proste dużym X.

- To może być wrażliwe miejsce. Jeśli uderzymy w korytarz nadprzestrzenny między układami albo w punkty nawigacyjne, w których statki wychodzą na chwilę w normalną przestrzeń, aby skorygować dane przed następnym skokiem, skutki mogą być naprawdę poważne. Tyle że nie wiem, jak tego dokonać.

- Myślę, że następnym krokiem będzie spuszczenie im solidnego lania - powiedział dobrze wstawiony Ben Dill, popijając piwo z dzbana.

- A gdzie dokładnie? - spytał Alikhan, który nie był w lepszej formie. Zdążył już pochłonąć cały pojemnik zgniłego mięsa, które działało na musthów jak narkotyk.

Razem z dwoma dziesiątkami żołnierzy zajmowali kąt wygodnej i staromodnie urządzonej kantyny podoficerskiej. Niemal wszyscy należeli do kompanii zwiadu, ale Alikhan i Dill byli tu jedynymi oficerami. Zaproszono ich, informując, że będzie to cicha stypa po trojgu poległych w akcji na Kurze. Spośród osób biorących w niej udział zjawiła się jeszcze Jil Mahim, która powtarzała co rusz, że najlepsze wakacje, jakie może sobie wyobrazić, to leżenie martwym bykiem w łóżku i słuchanie rozkazów wywrzaskiwanych pod cudzym adresem. Dill oskarżył ją już o brak wojskowego ducha, za co go ukarała, wylewając mu na kolana cały dzban piwa.

- Gdzie? Tam, gdzie są, oczywiście - powiedział Lav Huran z drugiego plutonu.

- Kto, u diabła, awansował tego człowieka na podoficera? - spytał ktoś. - Wszystko jest dla niego oczywiste.

- To się jeszcze okaże i będzie zależeć od wielu czynników - odezwał się Alikhan. - Ale mam lepsze pytanie: co zamierzacie zrobić z tymi ludźmi po wojnie?

- Rozumiecie, dlaczego go uwielbiam? - zahuczał Dill. - Zawsze jest pełen optymizmu.

- Przypuszczam, że najpierw powiesimy za jaja Redrutha i resztę jego bandy, a pozostałym damy wrócić do własnych zajęć - powiedziała tweg Rad Dref z załogi griersona. - Byle zostawili nas w spokoju.

- Albo sprowadzimy ich sobie na Cumbre jako tanią siłę roboczą - dodał ktoś.

- Szczególnie co przystojniejszych - rzuciła Rad. - I z całymi jajami.

- Spytałem, bo zastanawia mnie to, co o nich słyszałem - powiedział Alikhan. - Jeśli te wieści nie są przesadzone, podobno całkiem brakuje im inicjatywy i nie umieją korzystać z wolności.

- Pogadaliśmy już uczciwie z tymi rentierami, którzy bywali kiedyś na Lariksie - powiedział tweg Als Severine, starszy analityk z Sekcji II. - I jeszcze z tymi, którzy mieli tu kiedyś trochę kłopotów, więc posiedzieli sobie u Redrutha przed rozpadem Konfederacji. Wszyscy mówią, że tamci panicznie boją się każdego silniejszego i jeśli nie mogą go pokonać, odruchowo zaczynają zachowywać się jak niewolnicy.

- Nie wierzyłabym rentierom - stwierdziła Mahim. - Ale coś w tym jest. Tamte dranie zdają się patrzeć wilkiem, jakby tylko czekali, kiedy się odwrócisz, żeby mogli wbić ci nóż w plecy.

- Wierz albo nie, ale wiem, o czym mówisz - odparł Severine. - O to też pytaliśmy. Nikt nie miał takiego wrażenia.

- Hm... - mruknęła sceptycznie Mahim. - Trudno uwierzyć, że gnębieni nie marzą o zemście.

- Przejrzeliśmy też stare holo z Lariksa i Kury. Staraliśmy się potwierdzić sugerowany przez ciebie profil przeciętnego mieszkańca Lariksa. Wiemy świetnie, że te holo to tylko wygładzona propaganda, ale i tak mieliśmy nadzieję, że na coś trafimy, na przykład na informację o służącym, który zabił powierzone mu dzieciaki, albo szoferze, który wiozący szefa, przypikował w ziemię. Ale nic nie znaleźliśmy.

- Stąd właśnie moje pytanie - powiedział Alikhan. - Jeśli ci ludzie przywykli już do dyktatury, a mogli, bo to chyba trzecie pokolenie, które tak żyje, co stanie się po wojnie?

- A może po prostu załatwimy co trzeba i pójdziemy sobie dalej? - spytał Dill, przelewając resztę piwa do kufla, po czym cisnął dzban za siebie. Naczynie walnęło w coś z hukiem.

- Nie da się - stwierdził Alikhan. - Szybko znajdą sobie nowego dyktatora i zacznie się od początku.

- To znaczy, że najpierw musimy sprać im dupę, a potem pójść między nich i przez całe pokolenie bawić się w wychowawców? - spytał Huran. - Cholera. Wcale mi się to nie podoba. Wcale a wcale.

- Kto wie? - zastanowiła się Mahim. - Bardziej jednak żal mi tych, którzy będą tam lądować i tłuc te wszy.

- Za to nam płacą - powiedziała Dref. - Inna sprawa, że za mało.

- Zamknijcie się - rzucił Dill i wstał. Po chwili przyniósł kolejny pełny dzban i wdrapawszy się na stół, zaczął śpiewać:

Czy wiesz, co dzieje się po tym,
gdy złożą cię w grobie złotym?

I zmieniając tempo:

Robaki nadchodzą,

Robaki wychodzą,
I tango wodzą,
Od pępka po nos.

- A teraz hymn o tych, co ruszyli na południe...

Hymn... hymn... pierdolić rym...

Nikt nie próbował interweniować. Wszyscy wiedzieli, że zwiad żegna poległych i niebezpiecznie byłoby mu w tym przeszkadzać.

Gdy zaczęły się śpiewy, Jil położyła głowę na stole i zachrapała. Ktoś przytomniejszy przesunął ją, aby nie spała w kałuży piwa.

Monique Lir wdrapała się na szczyt tuż przed świtem. Ponad tysiąc metrów pod nią fale uderzały w podstawę wyrastającej wprost z wody góry i kołysały wynajętą łódką.

Noc spędziła w hamaku zawieszonym na haku, który wbiła w ścianę. Była trochę zła na siebie, że dopiero trzeciego dnia dotarła na górę.

Wierzchołek mierzył koło trzydziestu metrów od krańca do krańca i zgromadziło się na nim dość naniesionej wiatrem ziemi, aby zdołało tu zapuścić korzenie kilka drzewek.

Lir zsunęła plecak i zdjęła uprząż, przeciągnęła się i pozwoliła sobie w nagrodę na dwa łyki wody.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na kamieniu. Słońce wschodziło powoli, oczyszczając jej umysł. Jak daleko spojrzeć otaczała ją woda. Żadnych łodzi, ludzi czy głośników, żadnych oficerów, podoficerów czy szeregowców.

Idealny urlop.

Lir wiedziała, że po jednostce chodzą najdziksze pogłoski na temat tego, co porabia na urlopach. Mówiono, że prowadzi wtedy dom publiczny specjalizujący się w sadomasochizmie, że na dalekiej wyspie, gdzie nikt nie zna jej prawdziwego nazwiska, odgrywa rolę milionerki. Nie dementowała niczego.

Liczyła się tylko ta cisza i ten bezruch na szczycie góry, najlepiej takiej, na którą nikt nigdy jeszcze się nie wdrapał. Albo nawet uznawanej za niezdobytą.

Zjadła i pospała do południa, potem zjechała po linie do łodzi i popłynęła ku następnemu wierzchołkowi, na którym nie stanęła zapewne jeszcze noga człowieka.

Monique Lir była w swoim żywiole.

18

- Myślałem, że już wiesz, co cię czeka, gdy się wymykasz spod moich ojcowskich skrzydeł - powiedział Njangu, obracając się wraz z krzesłem do Garvina. - Ale widzę, że nie. Raz doprowadziło cię to do lochu, gdzie omal nie zgniłeś. Od tamtej pory powinieneś pamiętać, że możesz być idealnym dowódcą, w białym mundurze i przy szabli, ale to ja pokazuję, gdzie i kiedy uderzać. A tymczasem proszę, zebrało ci się na szkołę pilotażu. Zamierzasz zostawić mnie i całą kompanię pod Penwythem i urwać się na jak długo? Na sześć miesięcy?

- Co masz do Erika? - zdziwił się Garvin.

- Nic. Bogaci mnie irytują. Ale mniejsza z tym. Wróćmy do tych sześciu miesięcy w szkole.

- To potrwa znacznie krócej. Stosują sporo hipnonauki, tak samo jak przy unitarce.

- Myślałem, że hipnoza nadaje się tylko do nauki kroku paradnego, salutowania i otwierania tylnej rampy.

- Uważają, że przy powtarzaniu zabiegów wpoją w nas znacznie więcej.

- W jakich nas?

- Stary nalega na wyszkolenie jak największej liczby pilotów. Każdy, kto chce latać, otrzyma szansę. Żadnego wojskowego gadania, tylko ostry trening - powiedział Garvin. - Hipno podpowie podstawowe rzeczy tak samo jak podczas treningu musztry. Nie twierdzę, że tak będzie, ale się przekonamy. Za jakiś tydzień.

Njangu przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Garvina.

- Raz jeszcze pytam: jacy my?

- No... zgłosiłem na ochotnika również ciebie.

- Żartujesz, prawda?

- W życiu - odparł Garvin. - Mamy wojnę do wygrania. Pierwszy rajd na Kurę wyrusza jutro rano. Poza tym sam parę minut temu piekliłeś się, że robię coś bez twojego światłego przewodnictwa.

Njangu zastanowił się.

- No tak, odebrałeś mi argument. Chyba pójdę dojść sam ze sobą do porozumienia, jak to mawiają w poradnikach. Mam więc nauczyć się, jak wpadać na różne obiekty. Może nawet dołożą mi z tej racji coś do żołdu. - Zmarszczył brwi i spojrzał poważnie na Garvina. - To dość ciekawy pomysł, przyjacielu.

- To wpadanie na różne obiekty?

- Nie. Posłuchaj. Mamy pokonać Larix i Kurę, tak?

- Zaczynasz dochodzić do coraz bardziej zaskakujących wniosków.

- Pierwszy etap to będzie głównie wojna w kosmosie, tak? - spytał Njangu. - To nie da kompanii zwiadu polowego wielkiego pola do popisu. Drugi etap obejmie inwazję. Pójdziemy zatem na front, aby tam mieli do kogo strzelać.

- Zachęcająco to przedstawiasz.

- Nie wątpię. Potem, gdy pokonamy Redrutha, przyjdzie pora rozejrzeć się za Konfederacją, żeby sprawdzić, co właściwie się z nią stało, tak? Zapewne będzie to oznaczało kolejne spotkania ze złymi chłopcami, przy czym walka i rozpoznanie przebiegać będą głównie w próżni.

- Chyba zaczynam chwytać - mruknął Garvin.

- Właśnie. Kompania zwiadu przestanie być miejscem, w którym można się zasłużyć, a to oznacza mniej kasy i przywilejów, prawda?

- Uważasz, że pora zmienić przydział?

- Żadne takie. Gdzie pójdziesz? Do zwykłej piechoty? Każą ci czyścić buty, myć podłogi na niszczycielach i powtarzać „tak jest” zgodnym chórem. To mi nie pasuje. Chyba lepiej będzie pomyśleć o przeniesieniu całej naszej kompanii w jasną przyszłość.

- Zamieniam się w słuch.

- Nie powiem ci teraz dokładnie po kolei, co robić, ale mam pomysł - powiedział Njangu. - Aby wyruszyć na tereny dawnej Konfederacji, będziemy potrzebowali większej armii, prawda?

- Myślisz, że nasza kompania rozrośnie się do wielkości pułku? Wtedy ty zostałbyś caudem, a ja? Nadcaudem?

- Nie tak, bwana - szepnął Njangu. - Zacznij myśleć w kategoriach całych armii. Pomyśl o tych z Lariksa i Kury, którzy zaciągną się do nas po wojnie. Pomyśl o stopniu marszałka. Zawsze sobie ze mnie pokpiwałeś, powtarzając, że jeden taki był twoim ojcem. A swoją drogą, ten stopień naprawdę istnieje?

- A skąd mam wiedzieć? - prychnął Garvin. - Gość mógł nakłamać mojej mamusi. Jestem tylko prostym chłopakiem z cyrku. - Spojrzał przez okno na przebiegający pluton. - Wielka armia, tak? Może faktycznie dobrze będzie się tym zająć. I kupić nieco akcji paru stoczni.

Sześć frachtowców uniosło się ciężko z lądowiska na Kurze IV. Wszystkie były załadowane świeżymi albo przetworzonymi produktami żywnościowymi przeznaczonymi dla układu Larix. Razem wzleciały ponad atmosferę, gdzie dołączył do nich stary patrolowiec z dowódcą grupy. Była to bardziej formalność niż rzeczywista eskorta.

Mieli właśnie wejść w nadprzestrzeń, gdy zza jednego z księżyców wyłonił się Nectan (dawniej Parnell, trzeci niszczyciel klasy Kelly) w towarzystwie dwóch velvow. Patrolowiec wezwał przybyłych do przedstawienia się i dopiero gdy ci wystrzelili pociski, zrozumiał, że ma do czynienia z wrogiem.

Nagle w przestrzeni pojawiły się cztery ogniste kule. Piąty pocisk wybuchł przedwcześnie i frachtowiec, dla którego był przeznaczony, zdążył podnieść alarm, nim dostał rakietą z drugiej salwy. Szósty zawrócił w kierunku planety i został trafiony w jonosferze. Niebo nad Kurą IV rozkwitło fajerwerkami.

Patrolowiec próbował uciec, ale velv miał już na niego pewny namiar. Zmodyfikowany goddard wszedł w nadprzestrzeń zaraz za patrolowcem, którego nikt nigdy więcej nie oglądał.

Chwilę później jednostki z Cumbre zniknęły. Wojna została rozpoczęta.

- To będzie najdziwniejsza szkoła pilotażu, jaką kiedykolwiek zorganizowano - powiedział Ben Dill. - Rozejrzyjcie się.

Sześćdziesięciu kursantów posłuchało. Byli wśród nich tak rekruci, jak i oficerowie, w tym Njangu oraz Garvin. Na podwyższeniu stał szereg oficerów, wśród nich dwaj obcy - ich przyszli instruktorzy.

- Powiadają, że podczas każdego kursu połowa tak albo inaczej odpada. Tutaj tak nie będzie. My, czyli Grupa, chcemy, byście wszyscy wyszli stąd ze skrzydełkami pilota. Pomagajcie więc sobie nawzajem jak tylko się da. Nagroda będzie tylko za pierwszą lokatę, nie ma się więc co bać, że komuś do czegoś zabraknie punktów. Wszyscy pozostali albo zdadzą, albo nie. Jesteśmy w stanie wojny i nie mamy czasu na zabawy. To oznacza, że wasi instruktorzy nie będą zwracać uwagi na takie rzeczy jak czyste buty. Nie będzie ich obchodzić, czy w ogóle nosicie jakieś buty. Ci, którzy są całkiem nowi, przejdą podstawowy trening hipnotycznie. Przede wszystkim chcemy, żebyście się uczyli. Każde z was zdeklarowało, że marzy o lataniu. Wszyscy jesteście inteligentni. Przeglądałem wasze wyniki testów i wiem, że się nadajecie. Może się okaże, że niektórzy z was mylili się i latanie wcale ich nie pociąga, bo mają lęk przestrzeni, nie lubią matematyki czy nie potrafią sobie ułożyć kontaktów z innymi. Albo są zbyt rozsądni jak na pilotów. Zdarza się. W takich wypadkach będziecie mogli wrócić do swoich oddziałów i nikt wam złego słowa nie powie ani nie przegoni za karę po poligonie.

Szefem tej szkoły jest dowódca Grupy, Angara. Wszyscy pracujemy dla niego niezależnie od stopnia. A to znaczy, że ja będę uczył, Alikhan będzie uczył, a nawet ten mikrus Górecki też będzie was uczył. Chcemy wam pomagać, a nie dokuczać. Czasem zajęcia będzie prowadzić jedna osoba, czasem druga. Nie przejmujcie się zmianami instruktorów. Jak powiedziałem, mamy wojnę, więc wasz instruktor może w każdej chwili trafić na front. Po prostu musimy sobie jakoś radzić.

Jeszcze jedno. Nie wahajcie się pytać. Pytajcie nawet wtedy, gdy będzie się wam wydawało, że pytanie jest bez sensu. Gorzej, jeśli nie spytacie, tylko od razu zrobicie coś bardzo głupiego. Wtedy się pożegnamy. A tak zawsze możecie liczyć na instruktora. Nie będzie łatwo. Czeka nas masa potu i wieczny pośpiech. Ale postarajcie się, aby Grupa mogła być z was dumna. I żebym ja mógł być z was dumny. A teraz do roboty.

- Przepraszam, Njangu, że sprowadzamy cię na ziemię, ale jesteś naszym najlepszym ekspertem od Redrutha i Celidona - powiedział Hedley. - Znasz meldunek na temat pierwszego rajdu, który skończył się pełnym sukcesem. Jak sądzisz, jaka będzie ich reakcja?

- Nie potrafię tego dokładnie przewidzieć, sir. Przypuszczam jednak, że Redruth najpierw pchnie mnóstwo patroli do układu Kury. Celidon może dojść do wniosku, że tego właśnie oczekujemy, i zechce zapewne wzmocnić obronę Lariksa, przewidując, że to będzie nasz następny cel.

- Hm... Taki właśnie jest plan kolejnego rajdu.

- Zatem proponowałbym uderzyć jak najsilniej. Celidon zapewne oczekuje raczej lekkich sił i takie też siły sam zgromadzi. W każdym razie może tak zrobić, sir.

- Niezły pomysł - powiedział Hedley. - Jeśli kiedyś mamy dokonać na nich inwazji, dobrze będzie najpierw maksymalnie osłabić ich flotę. Wielkie szczęście, że dogadaliśmy się z musthami. Mają teraz połowę Cumbre C i dość metalu, który sprzedają nam pod postacią aksaiów i velvow, może zatem będziemy mogli wprowadzać nowe jednostki szybciej, niż Redruth zdoła je niszczyć. I jeszcze jedno, Njangu. Czytałem twój raport o krążownikach klasy Naarohn, które Redruth chce zbudować dla swojej floty. Jak dotąd nie widzieliśmy ani jednego, czy w walce, czy na ziemi, chociaż z drugiej strony najdokładniejszy zwiad, jaki dotąd przeprowadziliśmy, polegał na optycznym rozpoznaniu Prime i Secundusa. Niemniej wspomniałeś, że Celidon był przeciwny ich budowie. Czy to możliwe, że wyperswadował ten pomysł Redruthowi i nie będziemy musieli się martwić o te monstra?

- Nie, sir. Z tego, co widziałem, wynika, że nie ma wielkich szans, aby skłonić Redrutha do zmiany zdania, jeśli raz się przy czymś uprze. Za to sam z siebie zmienia zdanie bardzo często.

- Jak większość dyktatorów - mruknął Angara.

Njangu zauważył znaczące spojrzenie Penwytha: „Dyktatorów i dowódców". Ukrył uśmiech.

- Czy mogę coś zasugerować, sir? - spytał.

- Jasne.

- Nie czekałbym, aż te krążowniki się pojawią, tylko zaatakowałbym stocznie.

- Nie mamy jeszcze okrętów nadających się do takiej roboty - odparł Angara. - Chociaż coś może dałoby się zrobić. Ale podobny atak spowodowałby zapewne olbrzymią liczbę ofiar. Nie mówiąc o tym, że najpierw musielibyśmy znaleźć te stocznie. Wskazałeś położenie tylko trzech albo czterech.

- Dlatego użyłbym ładunków nuklearnych, sir. Redruth już po nie sięgnął. Kiedy ich stocznie zaczną świecić w ciemnościach, nie odbudują ich tak szybko.

- Nie - stwierdził zdecydowanie Angara. - Konfederacja zwykła używać broni nuklearnej tylko przeciwko czysto wojskowym celom. I jedynie w ostateczności.

Ton jego głosu uciął dyskusję. Njangu przechwycił spojrzenie Penwytha i nieznacznie kiwnął głową.

- Tak jest, sir - powiedział.

- To chyba wszystko - mruknął Angara. - Jon, masz coś jeszcze?

- Nie.

Njangu wstał, zasalutował i wyszedł. Penwyth ruszył za nim.

- I widzisz, miłośniku atomówek, jakimi drogami podążają myśli strażników prawdy i sprawiedliwości? - spytał.

- Tak. Cholernie się cieszę, że walczymy tak etycznie. I chyba już daruję sobie resztę dzisiejszej szkółki, bo do końca została tylko godzina. Możesz postawić mi pierwszą kolejkę.

Następny rajd trwał dłużej i był znacznie bardziej krwawy. Dla obu stron.

Dwa niszczyciele klasy Kelly (na mostku prowadzącego znajdował się caud Angara) wypadły z nadprzestrzeni prosto na patrolowiec, który zdołał przed zniszczeniem zameldować o spotkaniu. Mimo to oba okręty zostały na miejscu i czekały.

W odpowiedzi Larix wysłał sześć nowych niszczycieli. Wypatrzyły jednostki Cumbre w chwili, gdy otrzymały one wsparcie: kolejne dwa niszczyciele i dziesięć velvow z osłoną aksaiów.

Przeciwnicy też wezwali więc posiłki i mimo braku przewagi liczebnej zaatakowali. Nikt nigdy nie twierdził, że brak im odwagi.

Z Prime wystartowała tymczasem kolejna formacja niszczycieli w osłonie patrolowców. Na mostku jednostki dowodzenia znajdował się sam Celidon.

Mimo to okręty Cumbre nie opuściły przestrzeni wroga, a niebawem dołączyły do nich kolejne niszczyciele klasy Kelly. Wywiązała się bitwa, w trakcie której nikt, od dowódców poczynając, nie wiedział, co właściwie się dzieje poza tym obszarem, w którym akurat się znajdował. Okręty uwijały się w walce manewrowej, znikały w nadprzestrzeni i za chwilę pojawiały się gdzie indziej, były trafiane i czasem niszczone.

Caud Angara zrozumiał, co się dzieje, przesłał więc na wszystkie jednostki sygnał, że o wyznaczonym czasie mają zerwać kontakt z przeciwnikiem i skoczyć do ustalonego sektora „pustej" przestrzeni. Jeden niszczyciel i dwa patrolowce przeciwnika zdołały umieścić znaczniki i ruszyły w pogoń, ale wychodząc z nadprzestrzeni, nadziały się na deszcz pocisków rakietowych.

Ostatecznie walka zakończyła się utratą dwóch niszczycieli, przy czym załoga jednego została wbrew rozkazom uratowana, i dwóch velvow. Jeden aksai zaginął, a trzy niszczyciele były uszkodzone.

Przeciwnik stał się uboższy o pięć niszczycieli i siedem patrolowców. Liczba uszkodzonych jednostek była nieznana.

Zwycięstwo przypadło Cumbre, ale Angara uznał, że zostało odniesione zbyt wysokim kosztem. Tak samo uważali inni oficerowie liniowi, chociaż przeciętni żołnierze byli innego zdania. Inaczej widziały też sprawę media.

Jon Hedley spostrzegł z cynicznym rozbawieniem, że „Matin" Loya Kuoro pierwszy zabrał się do wychwalania heroicznej postawy legionistów.

Potem sięgnął po analizy wyników starcia. Jak można było oczekiwać, okazało się, że stosunkowo nieduże niszczyciele klasy Kelly były znacznie zwrotniejsze i miały lepszą elektronikę od niszczycieli przeciwnika, które wywiad ochrzcił klasą Lan. Z drugiej strony te jednostki wroga okazały się szybsze i lepiej uzbrojone. Miały też liczniejsze załogi.

Velvy z kolei były szybsze i zwinniejsze niż wszystkie podobne maszyny przeciwnika z patrolowcami klasy Nana włącznie, od których były też lepiej uzbrojone. Niemniej nie okazały się równie odporne na ostrzał. To samo dotyczyło też oczywiście aksaiów.

Elementem decydującym o przewadze Cumbre byli więc piloci, większość z doświadczeniem bojowym. Niemniej Hedley i wszyscy inni wiedzieli, że z czasem to się zmieni.

O losach wojny zdecydować miały trzy czynniki: która strona zbuduje więcej okrętów, która szybciej będzie szkolić pilotów i, oczywiście, która będzie mądrzej walczyć.

Dla Garvina, Njangu i innych kursantów pierwsze spotkanie flot było tylko wiadomością w dzienniku. Nie mieli czasu na nic poza szkoleniem. Dill nie skłamał, wspominając o życzliwym podejściu, ale nie znaczyło to, że instruktorzy nie będą wyciskać z podopiecznych siódmych potów.

Aksai, na którym ćwiczyli, miał dwa kokpity. W jednym leżał Alikhan, w drugim Garvin.

- Odnajdujesz się? - spytał musth.

Garvin chciał zaprzeczyć i dodać, że jest zbyt zielony, aby wystartować nawet griersonem, o szybkim myśliwcu nie wspominając.

- Tak, sir - bąknął w końcu.

Usłyszał syczenie i spojrzał przez owiewkę na rozbawionego Alikhana, który pokazywał kły. Wiedział oczywiście, o czym myśli Garvin.

Aksai wisiał nad Cumbre D oddalony od planety o jedną jej średnicę. Wkoło rozciągało się wielkie nic z jedną tylko maszyną towarzyszącą.

- Jak widzisz, otacza nas próżnia - powiedział Alikhan. - Jest w niej dość miejsca na wszystkie manewry, jeśli więc stracisz panowanie nad maszyną, w nic nie uderzysz, chyba że w drugiego aksaia, niemniej jego pilot latał już nieraz z kursantami i dobrze opanował sztukę uników. Masz za sobą zarówno kurs hipnotyczny, jak i trening w symulatorze, powinieneś więc znać już maszynę. Jesteś gotowy, Garvinie?

Jaansma wciągnął wielki haust powietrza.

- Jedno pytanie?

- Tak?

- Ile godzin ćwiczyłeś, zanim pozwolili ci samodzielnie latać na aksaiach?

- Niech przeliczę... zapewne około dwustu. Według waszej miary. Na różnych maszynach.

Garvin miał tych godzin nieco ponad pięćdziesiąt. Przejął stery.

- Pierwsze ćwiczenie - powiedział Alikhan. - Przyspieszysz do połowy mocy i wejdziesz na orbitę wkoło Foweya. Wykonasz jedno pełne okrążenie i powrócisz na pozycję możliwie jak najbliższą punktowi wyjścia.

Garvin włączył napęd i usłyszał narastający szum. Maszyna wystrzeliła przed siebie. Księżyc rósł w oczach. Ale to to ma kopa, pomyślał Jaansma.

- Bardzo dobrze - powiedział po chwili Alikhan. - Widzę, że umiesz przewidzieć zachowanie tego statku. To jedyna droga do udanego pilotowania. Zawsze musisz znajdować się przed maszyną albo...

- Albo ona cię zabije - dokończył ponurym głosem Garvin. Stracili już dwóch kursantów. Wojna szybko zmieniała hierarchię wartości. O wiele bardziej żałowano rozbitych maszyn niż kandydatów na pilotów. Poza tym do wypadków doszło na pewno z ich winy, wszyscy to wiedzieli. Nie było lotnika, który by wierzył w coś takiego jak szczęście, pech czy oporna maszyna.

- To prawda - powiedział Alikhan. - Przygotuj się do wejścia na orbitę. I nie zapomnij o wprowadzeniu do kompa danych pozycji, z której wystartowałeś, abyś mógł tam powrócić.

Jakbym nie był już wystarczająco zajęty, pomyślał Garvin.

- To jest akurat dość odprężające ćwiczenie - stwierdził Alikhan. - Gdy powtórzymy je dwa albo trzy razy, przyjdzie pora na naukę uników i manewrów bojowych. Z oczywistych powodów nie będziemy tego ćwiczyć w parze z inną maszyną, ale przelecimy się do pasa asteroid za Cumbre G. Idealnie nadają się na makiety przeciwnika dla początkujących.

Garvin, który trochę się już uspokoił, znowu poczuł się tak samo spięty jak wtedy, gdy po raz pierwszy wcisnął się do kokpitu.

- Szefie, chciałabym prosić o przysługę - powiedziała Monique Lir do Penwytha.

- Dużą czy małą? - Erik nie przywykł jeszcze do tego, że obecnie jest przełożonym kobiety, która w swoim czasie go szkoliła i miała całkowitą władzę nad jego życiem.

- Bardzo dużą.

- Skoro tak, to może lepiej poczekaj, aż Garvin i Njangu wrócą ze skrzydełkami pilotów i zatkają dziury w łańcuchu dowodzenia.

- Już z nimi rozmawiałam. Zresztą to w zasadzie ich pomysł. Zaakceptowany przeze mnie i pozostałych podoficerów.

Monique nie dodała, że Garvin i Njangu poświęcili prawie całą noc, czyli czas, który bardzo był im potrzebny na naukę i sen, żeby przekonać konserwatywnie nastawionych podwładnych do bardziej przewidującego spojrzenia w przyszłość.

- Ale jeśli oni się wycofali w cień i chcą, żebyś to ty popchnęła sprawę, coś tu chyba jest nie tak - powiedział Erik. - Przy okazji i ja mogę oberwać.

- Bez obawy, szefie. Stary da panu pewnie medal za twórcze podejście. - Lir zastanowiła się, skąd u niej nagle tyle sprytu, i uznała, że to chyba zgubne skutki zbyt długiego obcowania z Njangu. - Nasza kompania ma znowu pełny stan, a nawet jest nas o pięć osób za wiele, co starannie ukrywam w grafikach służb. Nie mamy obecnie nic do roboty poza bieganiem po pagórkach i wymigiwaniem się od malowania sztabu.

- Staram się was przed tym chronić - powiedział przepraszająco Penwyth. - Ale czasem jakoś mnie wymanewrują i wtedy kończy się strzyżeniem trawy.

- Nieważne, szefie. Tak czy owak, przyszłam z pomysłem, żeby podzielić kompanię na dwuosobowe zespoły i skierować je na okrętowe stanowiska bojowe.

- Angara nigdy nie pozwoli rozwiązać kompanii zwiadu. Jestem zdumiony, że w ogóle mogło ci coś takiego przyjść do głowy.

- Nie chodzi o stałe rozwiązanie - wyjaśniła Lir. - Tylko na trochę. To będzie okazja do przeszkolenia w czymś nowym, najlepiej w trakcie kolejnych rajdów. Przy takiej wojnie jak obecna Grupie na pewno przyda się nieco dodatkowych strzelców czy operatorów pocisków rakietowych. Potem ludzie będą mogli dopisać to sobie do listy specjalności.

Penwyth postukał palcami w blat. Zauważył przy tej okazji, że nie jest już typowym rentierem: jego dłonie pilnie wymagały manikiuru.

- Ciekawe - powiedział. - W sumie niezły pomysł. Poza tym przy rozroście Grupy ci z większym doświadczeniem szybciej doczekają się awansów.

- I trochę wyższy żołd też nie zawadzi - dodała Monique.

- Problem polega na tym, że gdy zrobi się gorąco, wszyscy zaczną uzupełniać swoje załogi. Możesz wtedy stracić nieco ludzi.

- Nie ma się czym martwić - stwierdziła Lir, nadrabiając miną. - Ci naprawdę dobrzy i tak zostaną, a reszta niech idzie szukać chwały.

- Porozmawiam ze starym - obiecał Penwyth. - Nie widzę żadnego powodu, aby zwiad nie miał ruszyć tyłków i zarobić na swoje utrzymanie. Zacznij dzielić ludzi na te zespoły.

- Już dzielę, szefie. Cały ranek siedziałam przed kompem.

- Aha. Jesteś bardzo pewna siebie.

Redruth spróbował kolejnego ataku z zaskoczenia. Tym razem wysłał do układu Cumbre sześć niszczycieli, które podeszły „od spodu” płaszczyzny ekliptyki z zamiarem uderzenia na Cumbre D. Jednak czujniki dość wcześnie je wykryły, co następnie potwierdziły patrole. Zespół został rozbity daleko od Cumbre D, chociaż Cumbre straciło przy tym dwa niszczyciele, a trzy zostały uszkodzone.

Wojna nabierała rozpędu.

19

Szkolenie ukończyło zdumiewająco wielu kursantów - aż czterdziestu siedmiu. Zgodnie z obietnicą kadra zrobiła wszystko, aby im pomóc. Również Sekcja I, czyli wydział personalny, starała się ograniczyć formalności do minimum.

Z tej grupy tylko garstka została wybrana do specjalnego treningu na aksaiach, do czego wymagane były szczególne umiejętności, w tym pewien brak wyobraźni, gdyż załogi maszyn bojowych nie mogły liczyć na preferencyjne stawki ubezpieczeniowe.

Ani Garvin, ani Njangu nie zakwalifikowali się do tej grupki, szczególnie że od dawna mieli już inne specjalności. Nie chcieli też wcale latać na aksaiach, chociaż oznaczałoby to, że znaleźliby się w elicie pilotów.

Większa liczba kursantów została skierowana na stanowiska drugich pilotów na velvach i niszczycielach. Powiedziano im, że jeśli się sprawdzą, szybko awansują na fotel obok.

Reszta trafiła na griersony i zhukovy. Angara uznał, że Grupy nie stać na ryzyko kierowania gorszych pilotów na okręty kosmiczne. Tam trafili najlepsi dotychczasowi dowódcy powietrznych maszyn piechoty, choć niektórzy trochę protestowali.

Na zakończenie kursu Angara wygłosił przemówienie. Potem wzruszony Dill pogratulował wszystkim i rozdał skrzydełka, które zostały przypięte przez przyjaciół albo rodzinę. Gdy uroczystość dobiegła końca, kursanci rozejrzeli się po placu apelowym i padło pytanie, co dalej. Ktoś zaproponował, aby zainicjować nową tradycję i uczcić koniec kursu wspólnym rzuceniem kepi w górę. Pomysł został zaraz przegłosowany, ale po chwili go porzucono, gdy ktoś wspomniał, ile kosztuje nowe kepi.

- Zawsze możemy po prostu się upić - zauważył Garvin. - W pewnych kręgach to dość popularne.

- Jestem za - powiedziała Jasith, obejmując Garvina.

- Jeśli masz jeszcze siły, może mi ich użyczysz? - odezwał się Njangu. - Wybieramy się z Maev do Shelbourne, gdzie zamierzam przespać całą dobę. Pozostałe dwa dni przepustki, którą Grupa tak wspaniałomyślnie nam podarowała, spędzimy, poszukując lokali z najgłośniejszą muzyką.

- Nie przesadzaj - powiedziała Maev. - Możemy się trochę napić, zanim na mnie zaśniesz. Aż tak stary jeszcze nie jesteś.

- Racja - mruknął Njangu. - W każdym razie mam nadzieję, że tak jest. Garvin, może złapiesz jakiegoś podoficera i zaprosimy wszystkich do ich klubu? Nam, oficerom, nie wolno wprowadzać niższych rangą do kasyna oficerskiego, bo jeszcze ktoś by podpatrzył, jacy jesteśmy naprawdę.

- Fakt, rzadka z nas banda - powiedział Garvin. - Hej! Renolds! Chodź na chwilę! Chcemy cię wykorzystać!

Impreza nie należała do szczególnie udanych. Szkolenie solidnie wszystkich wymęczyło i większość wychyliła kilka kolejek, po czym ziewając rozdzierająco, oddaliła się do koszar albo łapać jakiś transport do Leggett.

Garvin zamówił ostatnią kolejkę dla tuzina najwytrwalszych, poczuł zew natury i ruszył do toalety. Po drodze ujrzał siedzącą samotnie przy piwie Darod Montagne. Zatrzymał się przy niej.

- Cześć, Darod - rzucił i z jakiegoś powodu poczuł się trochę niezręcznie. - Gratuluję awansu.

- Dzięki, szefie.

- Smutna czy nieśmiała?

- Ani jedno, ani drugie - odparła Montagna. - Czekam na przyjaciela. W planach upojny wieczór spędzony na sprawdzaniu wyposażenia grupy czwartej.

- Praca podoficera nigdy się nie kończy - mruknął Garvin namaszczonym tonem. - Na razie.

Zatrzymał się przy barze, podał banknot barmanowi i powiedział, że to na opłacenie rachunku Montagni. Potem poszedł wreszcie do kibla.

- Kto to jest? - spytała Jasith, gdy wrócił do stolika.

- Jedna z grupy, która była ze mną na Kurze.

- Dlaczego nie poprosiłeś, żeby się do nas przysiadła?

- Niezbyt jest po co. Pijemy już ostatnią kolejkę. Nie przejmuj się nią.

- Hm... Piękna, prawda?

- Nie zwróciłem uwagi.

- Jemu tego nie wolno - wtrącił się Njangu. - Życie żołnierza jest pod tym względem wyjątkowo ciężkie. Nie możemy obejrzeć się za nikim, kto jest starszy albo młodszy stopniem, a dziwnym trafem tak wychodzi, że dziewczyny równe rangą są straszne jak śmierć na urlopie.

- Aha - mruknęła Jasith, spojrzała dziwnie na Garvina, ale nie wróciła do tematu.

Dwa aksaie oderwały się od velva i ruszyły z maksymalną szybkością w kierunku pięciu punktów, których namiary ich piloci widzieli na ekranie. Znajdowały się jakieś trzy jednostki astronomiczne od Lariksa.

- Tutaj Jedynka - powiedział Alikhan. - Proponuję rozdzielić się i najpierw uderzyć na jednostki zewnętrzne.

- Mówi Dwójka - odezwał się Dill. - Taki właśnie mamy plan. Ty zaczynasz.

Chwilę później obie maszyny rozeszły się na boki i uderzyły „od spodu" na jednostki przeciwnika.

Dill uzbroił pociski i naprowadził celownik na jedną z plamek.

- Prawie... prawie... prawie... a to sukinsyn!

W uchu rozbrzmiał mu nagle alarm, na owiewce pojawiło się jasnoczerwone światełko. Ktoś go namierzał. Ben włączył zakłócanie i ostro zmienił kurs, ale alarm znowu się włączył.

- To nie frachtowiec - mruknął i włączył mikrofon.

- Jedynka, mamy tu kogoś.

- Zrozumiałem. Też trafiłem na jednego. Wystrzeliłem antyrakietę.

Na owiewce pojawiła się obszerniejsza informacja.

- To jeden z ich niszczycieli - powiedział Dill.

- Mój też.

- Żeby to... - jęknął Ben. - Mam już trzy niszczyciele na ekranie. Taka eskorta dla dwóch frachtowców!

- Proponuję odpalenie na samonaprowadzaniu i w nogi.

- Zgadzam się w całej rozciągłości. Co za dużo, to niezdrowo.

Wypuścili w kierunku przeciwnika dwa goddardy, dodali trzy shadowy, aby strzegły im tyłów, i szybko wrócili tam, skąd przylecieli.

- Mówi Dwójka - zameldował Ben prowadzącemu pilotowi velva. - Dranie odkryli nasz system konwojowy. Musimy się zastanowić.

Przy następnej okazji cztery aksaie wspierane przez jednego velva trafiły na konwój złożony z dziesięciu jednostek, z których aż sześć okazało się niszczycielami. Doszło do jatki. Trzy aksaie zostały zniszczone, a czwarty ledwie wrócił na velva, który z wielkim trudem umknął pogoni.

System konwojowy dowodził swojej wyższości.

W centrum dowodzenia na wyspie Chance siedziało pięć osób: doktor Danfin Froude, alt Ho Kang, Garvin, Njangu i Erik Penwyth. Wszyscy byli wpatrzeni w swoje kompy.
Z wyjątkiem Penwytha, który zdawał się spać na stojąco.

Njangu wpatrywał się w przemykające po ekranie informacje.

- Cholera, ale starocie! Niektóre z tych meldunków dotyczą jeszcze wojen morskich!

- Znali wtedy jakieś ciekawe sposoby? - spytał Penwyth.

- Jeszcze nie wiem.

- Mam coś - powiedział Garvin. - Chociaż nie... jednak nie.

- Może jednak powiesz? - spytał Froude. - Czasem ktoś może dojrzeć więcej niż ty.

- Dobra. Ale to naprawdę na nic. Czasem próbowano atakować konwoje pancernikami albo krążownikami liniowymi, takimi, jakie teraz buduje podobno Redruth. Ale my ich nie mamy.

- A gdyby użyć innych jednostek? - spytała Kang. - Tyle że w wielkiej liczbie?

- Nie mamy ich aż tyle - powiedział Froude. - Nie stać nas na skierowanie dwunastu niszczycieli albo nawet velvow w każdy punkt nawigacyjny w nadziei, że gdzieś trafią na konwój.

- Masz rację - mruknęła Kang. - Zły pomysł.

- Penwyth, dlaczego siedzisz w kącie jak arystokrata, zamiast nam pomóc? - zagadnął Garvin. - Angara chce jakiejś rady na konwoje. Na wczoraj. A naszym zadaniem jest spełnić życzenie wodza.

- Tak jest, sir - powiedział Penwyth. - Po prawdzie mam pewien pomysł. Może nasi futrzani przyjaciele chcieliby się rozerwać? Moglibyśmy ich spytać, czy nie byliby skłonni pożyczyć nam paru flot. Dalibyśmy im możliwość pomordowania trochę ludzi, jakkolwiek dziwnie to brzmi.

- Alikhan już pytał - odparł Froude. - Odpowiedzieli, że muszą się zastanowić. Przypuszczam, że musthowie wolą, gdy mordujemy się między sobą, i nie widzą powodu do przelewania własnej krwi. Zresztą gdyby Redruth miał trochę oleju w głowie, spróbowałby podrzucić na Cumbre C kilka min w nadziei, że po zniszczeniu paru statków musthów dawne animozje by ożyły.

Garvin wzdrygnął się ostentacyjnie.

- Nawet nie myśl tym, doktorze. Pamiętasz, jak po prowokacji Raumów omal nie doszło do wojny?

- Chwilę - przerwał im Njangu. - Chyba coś mam. Przekazuję dane.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho.

- Mmmm - mruknął Froude, przeczytawszy, co Njangu znalazł. - Oczywiście. Jedynym problemem byłaby modyfikacja okrętów i przeszkolenie załogi. To by trochę potrwało.

- Ale może się nadać, jeśli nikt nie wpadnie na coś lepszego - powiedział Garvin. - Idę z tym do starego.

Angara zaaprobował plan i rozkazał modyfikację trzech niszczycieli klasy Kelly. Zmiany polegały na usunięciu połowy uzbrojenia i zamontowaniu na jego miejsce potężnych modułów elektronicznych.

Potem zaczęto poszukiwać operatorów.

- W sumie chodzi o prostą robotę - powiedział Penwyth. - Potrzebujemy kogoś, kto będzie umiał żonglować czterema brzytwami naraz, wywijając się nożom ciskanym w niego z różnych kierunków.

- Wiesz co...? - powiedziała Maev Stiofan. - Jestem wolna, dzięki tobie, zaliczam się do większości normalnych ludzi, a gdy w przyszłym roku zrezygnuję z obywatelstwa Konfederacji i dostanę obywatelstwo Cumbre, będę mogła głosować... I nie mam zielonego pojęcia, co robić dalej. Aha, i jeszcze jestem bez grosza.

Leżeli na krańcu plaży przed Shelbourne. Njangu trafiło się kilka wolnych godzin w związku z konferencją, którą Angara zorganizował w hotelu, ale Njangu nie był tam potrzebny. Dostał tylko polecenie, żeby kręcił się gdzieś w pobliżu.

Był wdzięczny Maev, że sama poruszyła temat. To rzeczywiście był problem. Starczyło mu oszczędności, aby wynająć dla dziewczyny małe mieszkanie w Leggett, ale nawet z dodatkiem lotniczym i wszystkimi premiami pod koniec miesiąca ledwie wychodził na czysto.

Zapewne nie byłoby problemem poprosić o pomoc Garvina, który miał swobodny dostęp do miliardów Mellusinów, ale Njangu wolał tego nie robić. Byłby wówczas zależny od

Garvina... albo od Jasith. Wystarczało mu, że Maev jest obecnie zależna od niego. Wcześniej, na Prime, nie miał czasu się zastanawiać, co zrobią, jeśli uda się wydostać Maev żywą. Było to wówczas zbyt mało prawdopodobne.

- Zawsze możesz pójść na studia - zaproponował.

- Mogłabym. Gdybym umiała zdecydować, co właściwie chciałabym studiować. - Zagłębiła palce stóp w piasku. - Co za parszywy los - mruknęła. - Urodziłam się w świecie upraw hydroponicznych i przez lata umierałam tam z nudów. Zaciągnęłam się więc, ale zaraz zostałam porwana i trafiłam w jeszcze gorsze piekło. Na całe pięć lat. A teraz jestem wreszcie wolna jak ptak. Ale ptaki wiedzą zwykle, jak z tej wolności korzystać. Skończy się pewnie tym, że zaciągnę się do Grupy.

- To możesz zrobić zawsze. Najlepiej od razu składaj wniosek na oficera, żebyśmy mogli się spotykać. Jeśli nadal tego chcesz, oczywiście.

- Dlaczego miałabym nie chcieć?

- Nie wiem - mruknął niepewnie Njangu. - Gdy grałem leitera, nie było wielkiego wyboru...

- Njangu, gdybym nie chciała być z tobą, już dawno zniknęłabym z twojego krajobrazu - powiedziała Maev. - Może właściwiej byłoby zapytać, czy ty nadal chcesz widywać mnie obok siebie, gdy budzisz się rano?

- No... - Głos mu zadrżał i nagle wiedział. - Tak, u diabła. Bardzo tak.

- Dobra - powiedziała Maev, skrywając westchnienie ulgi. - No to jedno już wiemy.

- Wracając do pomysłu wstąpienia do Grupy. Wcale bym się nie ucieszył, gdyby coś ci się stało.

- A w cywilu jestem całkiem bezpieczna? Redruth ciągle żyje i kombinuje, a nie sądzę, aby w razie czego robił wielką różnicę między wojskowymi a cywilami. Szczególnie jeśli znowu sięgnie po atomówki. Poza tym i ja będę miała powody martwić się o ciebie. Robi się coraz goręcej, a nie lubię tylko siedzieć i czekać na najgorsze.

- Może gdyby udało się znaleźć dla ciebie jakieś spokojne i bezpieczne zajęcie z dala od strzelaniny, ale takie, żebyś nie zanudziła się na śmierć... - zastanowił się głośno Njangu. - I poza moim obszarem dowodzenia...

- Bezpieczne? - spytała Maev. - Wydawało mi się, że jedną z zasad Grupy jest to, że wszyscy w niej walczą.

- No tak. Ale przecież nie wszyscy na pierwszej linii.

- Hmmm. Dobrze. To pora przygotować życiorys. W czym jestem dobra?
W rozkazywaniu ludziom. Napluj, wyczyść i tak dalej, w Grupie mało przydatne. Dobrze strzelam. Szybko uczę się nowego uzbrojenia. Umiem obchodzić się z nożem. Znam walkę wręcz. Mam za sobą praktykę poligonową. Jako dowódca drużyny... Hej, to jest pomysł. Wstąpię do zwiadu.

- I jeszcze co? - zezłościł się Njangu. - Nie ma gorszego miejsca... - Przerwał i spojrzał na śmiejącą się Maev. - Dobra - mruknął.

- Gratuluję, sir - powiedział Hedley. - Nie oczekiwałem, że przejdzie już w drugim głosowaniu, i przysięgam, że ani ja, ani Penwyth nic nie kombinowaliśmy i na nikogo nie wywieraliśmy presji. Dwa procent podatku wyjątkowego na zwiększenie stanu osobowego Grupy... Świetnie. To samo dotyczy pańskiej drugiej propozycji, aby jak najszybciej rozpocząć zaciąg. Preferowani będą oczywiście ochotnicy. Sformujemy dwie brygady zamiast jednej. Jak się mówi na dowódcę czegoś takiego?

- Powieszą mnie, a potem utopią - powiedział zmęczonym głosem caud Angara. - Nigdy nie sądziłem, że to przejdzie. Gdyby Redruth osobiście dokonał inwazji, a potem zgwałcił czy zabił część rentierów, to może, ale żeby z własnej woli...? Może te dranie nie są jednak aż tak samolubne.

- Sir, trafił pan w chwilę. Nie wiedzą jeszcze, co im grozi, i są przerażeni. Za kilka tygodni ochłoną, zaczną narzekać i zastanawiać się, jakim cudem zdołał pan ich zahipnotyzować podczas tego głosowania.

- Dwadzieścia tysięcy ludzi - powiedział Angara. - Gdybym jeszcze znalazł sposób, aby zdwoić tę liczbę...

- Właśnie o tym chciałem porozmawiać, sir - zaczął Hedley. - Nigdy nie potrafi pan się zadowolić tym, co jest.

- Wypraszam sobie podobną niesubordynację. Lepiej zastanów się nad kadrą drugiej brygady.

- No, ja na cauda. Chętnie zabrałbym ze sobą Fitzgerald albo Reesa. Pańskim nowym zastępcą może zostać Ken Fong. Zaproponowałbym Jaansmę, bo jest bystrzejszy niż Fong, ale potrzebuje teraz nieco spokoju. Mam tu listę pozostałych propozycji.

- Widzę, że wszystko już sobie zaplanowałeś.

- Sir, sam od pierwszego dnia organizowałem moją własną brygadę utworzoną jeszcze na Centralnym.

- No tak. Zapomniałem, że naprawdę trzeba na ciebie uważać.

- Raz jeszcze gratuluję, sir - powiedział poważnie Hedley.

- To tylko początek.

- Garvin, chcę cię o coś spytać - powiedział Njangu.

- Gadaj. Mam nadzieję, że nie jesteś w ciąży.

- Bardzo śmieszne - mruknął Njangu i Garvin zauważył w końcu, że jego przyjaciel jest całkiem poważny.

- Przepraszam. I słucham.

- Po czym poznajesz miłość?

- Aaa...

- Nigdy nie byłem nieśmiały wobec kobiet - wyjaśnił Njangu. - W mojej bandzie nie praktykowaliśmy celibatu i były dziewczyny, z którymi nie tylko chodziłem do łóżka, ale także je lubiłem. Tak było też z Jo Poynton. Ale nie zmartwiło mnie specjalnie, gdy się rozstaliśmy, czy za pierwszym, czy za drugim razem. Może tylko czułem się trochę samotny, ale chyba nie ma w tym nic złego. - Njangu zamyślił się. - Chociaż... może tak naprawdę przez całe życie byłem samotny, tylko o tym nie wiedziałem.

Garvin poruszył się niespokojnie. Odkąd się zaprzyjaźnili, nie prowadzili takich rozmów.

- Przepraszam - powiedział Njangu, widząc reakcję Garvin a.

- Przypuszczasz, że zakochałeś się w Maev?

- Nie wiem. Nie wiem, co właściwie do niej czuję. Lubię się z nią widywać, być razem z nią. Zawsze ma jakieś ciekawe pomysły. Ale miłość? Nie wiem, co to jest. Tak mi wyszło, że nie wiem. Dlatego pytam.

- Jasne, jestem znanym ekspertem od tych spraw - odparł Garvin. - Wiesz, pewnie mi nie uwierzysz, ale chciałem cię spytać o to samo.

Njangu spojrzał z niedowierzaniem na Garvina i szczęka mu opadła.

- No właśnie - mruknął Garvin.

- Coś nie tak z tobą i Jasith?

- Sam nie wiem. Może nic.

- To dlaczego pytasz?

- Bo dziwne to wszystko - powiedział Garvin. - Spotkałem ją na imprezie i jakby w nas coś trafiło. Jak dzieciaki poszliśmy do łóżka i w ogóle. Potem, po zamachu Raumów i śmierci jej ojca, z dnia na dzień mnie odsunęła. Łaziłem jak skopany giptel, a ona wyszła za Kuora, chociaż teraz mówi, że sama nie wie, dlaczego to zrobiła. Ja też zresztą nie. Ale zostali

małżeństwem, ja zaś wychodziłem z siebie, aż pojawili się musthowie. Wtedy Kuoro okazał się draniem... tyle że on zawsze taki był. Jasith wróciła i zrobiło się pięknie. A po wojnie Kuoro przeszedł do historii.

- Szybko poszło, fakt - stwierdził Njangu. - Ale jaki masz problem? Chcesz powiedzieć, że niełatwo być zabawką w rękach kogoś, kto uchodzi za najbogatszego... i najpiękniejszego rentiera w tym układzie?

- Sam nie wiem, jaki mam problem.

- Czy Jasith jest niezadowolona z takiego biegu rzeczy?

- Nie... Cokolwiek jest nie tak... dotyczy mnie.

- Dobra. Zacznijmy więc od prostych pytań - powiedział Njangu. - Zacząłeś ją zdradzać?

- Nie.

- Marzy ci się zdrada?

- Nie wiem.

- Czy mogę spytać o... mniejsza z tym. To nie moja sprawa i nie wiąże się z pytaniem. Wróćmy do Jasith. Ustaliliśmy już, że nic nie wiem o miłości, to co jeszcze mógłbym powiedzieć? Żaden alarm ci się nie zapala?

- Chyba nie.

- Dlaczego chyba? Mówiąc wprost... ciągle jeszcze pieprzycie się jak króliki?

- A tak.

- Dobra. Zatem reasumując: tobie wciąż staje, ona jest wilgotna, więc nie na tym polega problem. Jeśli chodzi o całą resztę, odesłałbym cię do kapelana, tyle że chyba Grupa nie zatrudniła jeszcze żadnego na miejsce tego, którego nam ustrzelili. W takiej sytuacji powiedziałbym, że ciągle jesteś zakochany, tyle że masz akurat moment zwątpienia. Przykra sprawa dla oficera w stopniu mila, który powinien na dodatek robić za wzór dla swoich ludzi, prawda?

Garvin uśmiechnął się. Zrazu półgębkiem, potem szerzej.

- Racja. Przepraszam. Chyba jestem przemęczony. Albo to przez pogodę.

- Zapewne - zgodził się Njangu, ale gdy Garvin wrócił do swoich papierów, Yoshitaro przyjrzał mu się z troską.

Ho Kang wraz z czwórką innych oficerów i dwoma dziesiątkami kursantów patrzyła na okręt przypominający nowy jak spod igły niszczyciel klasy Kelly, tyle że z dłuższym o pięćdziesiąt metrów kadłubem. Zmodernizowane jednostki ochrzczono jako niszczyciele prowadzące klasy Kane.

Kang zastanawiała się, co właściwie tu robi, skoro znalazła już sobie ciepłą posadkę analityka. Odkryła jednak, że jest bardziej żołnierzem, niż wcześniej sądziła, i nie mogła znieść myśli, że jej przyjaciele z Grupy sami pchają się w ogień. Poza tym zatęskniła za jakąś jatką, zgłosiła się więc na ochotnika do nowej sekcji.

Praca, do której została przyuczona, była niemal tak samo antycznej proweniencji jak system konwojowy. Miała zwalczać jeden porządek drugim, a dokładniej, naprowadzać wilcze stada na konwoje. Nazwa pochodziła z okresu wojen morskich, kiedy podobna taktyka była stosowana z powodzeniem przez okręty podwodne. Szczególnie dobre rezultaty osiągano wówczas, gdy dowódca stada koordynował ataki spoza obszaru walki, jednak był na tyle blisko, aby skutecznie reagować na poczynania przeciwnika.

Kang przeszła z powodzeniem wszystkie testy wymyślone przez lekarzy Grupy. Nie było w tym nic dziwnego, skoro wcześniej została uznana za zdolną do latania i miała dryg zarówno do szybkiej analizy matematycznej, jak i podejmowania decyzji w trudnych sytuacjach. Dzięki temu ponownie trafiła do szkoły.

Nie było łatwo. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak bardzo zardzewiała jej matematyka i jak bardzo polegała w analizach na instynkcie zamiast na równaniach

Neumanna-Hallera. Nie wspominając już o tym, że musiała nauczyć się rzeczy całkiem nowych, od logistyki począwszy. W ten sposób dowiedziała się, ile jaki okręt zabiera pocisków rakietowych, ile puszek fasoli ma na pokładzie, kiedy można wydawać przepustki i tak dalej. Została też zapoznana z danymi wywiadu na temat Redrutha, jego sił zbrojnych i sposobu myślenia.

Bardzo jej pomogło to, że wcześniej była żołnierzem liniowym. Miała dość kondycji, aby wytrzymać długie dni i godziny nauki i mimo zmęczenia dojść do celu.

Przed grupą kursantów stanął wychudzony technik z zadbanymi sumiastymi wąsami. Chyba liczył na to, że nadadzą mu nieco bardziej wojskowy wygląd. Przedstawił się mało inspirującym nazwiskiem Spelvin.

- W romansach tego nie wyczytacie - powiedział. - Tam hełm i miecz wojownika zawsze gotowe są do użycia. Tymczasem nasz Kane powinien być ukończony już dwa tygodnie temu. Ale gdy jeden z poddostawców na naszą prośbę obniżył swoją prowizję, gildia zaprotestowała i doprowadziła do wstrzymania transakcji. Pomogła dopiero interwencja rządu, ale prace potrwają przez to jeszcze z tydzień. Przyprowadziliśmy was tutaj, abyście na własne oczy mogli się przekonać, że wasze szkolenie to nie sztuka dla sztuki, bo naprawdę jest już jeden okręt zdolny pełnić funkcję jednostki prowadzącej, na którym wyruszycie do walki. Chociaż po prawdzie nie wiemy jeszcze kiedy.

Monique Lir i Darod Montagna siedziały w kambuzie frachtowca Brns i pocieszając się kubkami czegoś, co zwano tu kawą, przegadywały nudną wachtę.

Kadłub wibrował od pomrukującego napędu podprzestrzennego, na którym statek przechodził z Cumbre D do stacji badawczej (pełniącej też funkcję posterunku ostrzegawczego) na orbicie Cumbre K. Eskortę stanowił niewielki patrolowiec. Żołnierze z kompanii zwiadu znaleźli się na pokładzie na mocy rozkazu cauda Angary, który zalecił, aby wszystkie jednostki wychodzące poza orbitę Cumbre G były nie tylko eskortowane, ale i uzbrojone.

Na poszyciu zamontowano pospiesznie wieżyczki z tworzywa chroniące wyrzutnie pocisków Goddard. Mniejsze wypukłości na burtach osłaniały wyrzutnie antyrakiet Shadow. Centralę ogniową ulokowano wewnątrz statku, tak aby za bardzo nie utrudniała życia załodze. Do tego przydano jeszcze czwórkę operatorów uzbrojenia, którzy przechodzili pod rozkazy kapitana jednostki, chyba żeby sytuacja wymagała nagłego zmilitaryzowania statku.

Na Brnsie dwoje operatorów przydzielonych było na stałe. Była to jedna osoba zbyt stara na bieganie po górach i rekrut. Druga zmiana, czyli Lir i Montagna, trafiła tu tylko czasowo. Poza normalną służbą starały się też poznać jak najlepiej statek. Jak wszyscy oddelegowani ze zwiadu do floty handlowej, nie nosiły mundurów ani wojskowych plakietek, tylko cywilne ubrania. Miały jak najdokładniej wtopić się w świat zwykłych marynarzy.

Inne statki z Cumbre dostały takie samo uzbrojenie i podobne uzupełnienia załóg.

Z początku było z tym trochę kłopotów. Żołnierze zazdrościli marynarzom wyższych płac i lepszych warunków mieszkalnych, marynarzy zaś drażniło nieróbstwo wojaków.

Trzy rzeczy przyczyniły się do zażegnania rodzącego się konfliktu.

Po pierwsze, caud Angara nakazał swoim ludziom pracować na tych samych zasadach co marynarze. Mieli odtąd wykonywać wszystkie rozkazy kapitana, nawet takie. które nie miałyby związku z ich wojskowymi obowiązkami.

Po drugie, załogi zaczęły z czasem pojmować, że jeżeli Redruth przeprowadzi kiedyś rajd na Cumbre, tych czworo żołnierzy stanie się ich jedyną szansą na ocalenie.

Po trzecie, wojskowi nie dawali sobie dmuchać w kaszę i bez trudu (z cichą aprobatą Angary) radzili sobie ze wszystkimi, którzy próbowali obrzydzać im życie.

Z początku żołnierze klęli na czym świat stoi i powtarzali, że oka nie mogą zmrużyć podczas rejsów i przez nieustanne wibracje grozi im postępujący kretynizm. Jednak po dwóch dniach w próżni przestawali zauważać hałasy tak samo jak stała załoga.

- No proszę. A ja miałam nadzieję, że zaciągając się na tę łajbę, ucieknę od koszarowej nudy i wiecznego czyszczenia broni - westchnęła Montagna.

- Cierpliwości, młoda koleżanko - upomniała ją Lir. - Każda wojna rozkręca się powoli. Wszyscy piszczą, że nic się nie dzieje, i palą się do akcji, ale po roku ci sami ludzie snują się jak cienie i nie mogą pojąć, ja mogli być tak głupi. Czuj się ostrzeżona, Darod.

- Hm...

- Kolejne, co wiąże się z wojną: zawsze najlepiej pamięta się to, co było na początku. Potem wydarzenia zaczną się zlewać w jeden krwawy serial. Tak samo najlepiej pamięta się tych, którzy giną najpierw. Tak więc jeśli chcesz, aby nazwano twoim imieniem jakieś koszary czy lotnisko, to teraz jest najlepsza pora.

- Dziękuję, nie skorzystam - odparła Montagna. - Jeśli można spytać, na ilu wojnach pani była, ad-prem?

Żołnierze ze zwiadu zwykli zwracać się do siebie bardzo bezpośrednio na terenie jednostki albo podczas walki, jednak nie w obecności obcych. Ci przydzieleni do floty handlowej szczególnie dbali o pozory, podobnie jak o swój wygląd, co na brudnych zwykle frachtowcach nie było łatwe. Kierowali się jednak przekazywaną szeptem zasadą: „Każde prosię może zostać marynarzem".

Monique zastanowiła się.

- Z Raumami to raz... potem musthowie i jeszcze ostatnia awantura na Kurze. Wcześniej brałam udział w dwóch pomniejszych kampaniach, ale to było, zanim jeszcze Grupa została wysłana na Cumbre. Wtedy nazywaliśmy się z jakiegoś powodu Szybka Lanca. Najpierw dowodził nami caud Melk, potem caud Williams, który zginął podczas powstania Raumów. Ganiałam też trochę po górach za bandytami, ale nie dali mi za to wstążki. - Zamyśliła się. - Chyba to wszystko.

Darod powstrzymała się od komentarza, że Lir musi być chyba nieco starsza, niż na to wygląda.

- A jak to było w czasach Konfederacji? - spytała.

- Właściwie prawie tak samo jak teraz. Takie samodzielne grupy uderzeniowe często były wysyłane na różne odludzie. Nigdy nie miałam okazji uczestniczyć w operacji angażującej większe siły, takiej prawdziwej wojny więc nie widziałam - dodała z nutką zazdrości. - Chociaż różnice też były. Mieliśmy lepsze zaopatrzenie, szybciej dostawaliśmy uzupełnienia. Poza końcówką, gdy byliśmy na Qwet VII. Tuż przed załadunkiem i lotem na Cilmbre przędliśmy dość cienko. Wolniej też się awansowało, bo trzeba było przejść różne testy, a każdą promocję musiał zatwierdzić sztab na Centralnym.

- Jak pani sądzi, co stało się z Konfederacją?

- Za diabła nie wiem - odparła Lir. - Najpewniej się tam rozleniwili, stracili czujność i pozwolili, aby kto inny myślał i walczył za nich. Chociaż pewnie każdy żołnierz każdego imperium w dziejach mówił to samo. Nawet w czasach Rzymu.

- Rozumiem. Ale co los jeszcze przyniesie?

- Zależy komu.

- Nam.

- Najpierw przejedziemy się po tych z Lariksa i nauczymy się nie zaczepiać lepszych od siebie. Potem odbudujemy swoje siły i najpewniej poszukamy jakiegoś nowego drania, któremu trzeba będzie dać po łapach.

- Kto nim będzie?

- Za diabła nie wiem - powtórzyła Lir. - Nie jestem politykiem, nie pracuję w sztabie. Gdzie mnie poślą, tam lecę zabijać i niszczyć, aż mi powiedzą, żebym przestała.

- Nie chciała pani nigdy być nikim innym, tylko żołnierzem?

Lir milczała przez chwilę.

- Gdy byłam mała, marzyłam, aby zawodowo uprawiać sport. Chciałam grać w piłkę. - Wzruszyła ramionami. - Ale nie chodziłam do właściwych szkół, moi rodzice nie mieli pieniędzy na treningi, a zespoły, do których należałam, nie miały serca do gry. Żadna drużyna z jedną tylko gwiazdą nie wygra turnieju, nie zostanie nawet zauważona. Na zwycięstwo muszą pracować wszyscy. Nie zostało mi więc nic innego, jak kariera w operetce.

- Co to jest?

- Rodzaj teatru, tyle że wszyscy śpiewają, zamiast mówić. Ja akurat wiele nie śpiewałam, ale nieźle tańczyłam. I miałam talent do akrobacji, brałam też udział w scenach walki. Było tam kilka starszych tancerek, które znały się na tym i nie miały nic przeciwko temu, żeby mnie uczyć. Nasz zespół był dość dobry, tak że mieliśmy nawet występy gościnne w paru układach. Na kolejnym świecie jednak utknęliśmy, bo akurat upadł jego rząd i doszło do wojny. Żeby pozostać przy życiu, trzeba było sięgnąć po broń. Zrobiłam to... i okazałam się całkiem dobra. Gdy wojna dobiegła końca, nie chciałam wracać do cywila z tą wieczną niepewnością, czy następnego dnia będę miała co jeść, zaciągnęłam się więc do armii Konfederacji. Prosta sprawa. A jak było z tobą?

- Jestem z okolic Maunceston - powiedziała Montagna. - Moja rodzina była nieźle sytuowana, mogłam więc uprawiać taki sport, jaki chciałam. Najbardziej lubiłam pływanie. Myślałam, że przyszłość jest pewna, ale nagle zaczęło się powstanie Raumów i interes ojca się posypał. Nie wiodło nam się zbyt dobrze. Potem nadeszły mistrzostwa. Nie, żebym chciała się usprawiedliwiać, ale nie wygrałam, bo wszystko było ustawione. Kto inny... dwie osoby... zebrał medale i dostał szansę na dalszą karierę. Poza tym był wtedy jeszcze pewien chłopak, z którym też mi się nie układało, zapragnęłam więc nagle znaleźć się całkiem gdzie indziej...

- W Grupie - powiedziała Lir.

- Tak. Bo i dlaczego nie?

- Mnóstwo ludzi trafia do wojska po podobnych doświadczeniach. Zamierzasz zostać?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. - Darod wstała. - Jeszcze kawy? - Napełniła oba kubki.

- Mogę o coś spytać? - odezwała się, nie odwracając głowy od ekspresu. - Nie chodzi o panią. W ogóle to nie moja sprawa, ale...

- Zawsze możesz pytać - powiedziała Lir.

- Chodzi mi o mila Jaansmę. Czy on jest żonaty?

- Nie. Jeszcze nie.

- Kim jest ta dziewczyna, z którą ciągle się pokazuje? Ta bogata.

Monique w paru zdaniach nakreśliła portret Jasith.

- Co pani o niej myśli? - Darod wróciła do stołu i usiadła.

- Nie znam jej zbyt dobrze i to tylko moje zdanie... ale nie uważam jej za zbyt ciekawą osobę.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, rzuciła mila Jaansmę zaraz po powstaniu. Z tego, co wiem, zupełnie bez powodu. Potem, gdy znowu zrobiło się paskudnie, tym razem z musthami, i jej mąż okazał się zdrajcą, chociaż po wojnie kupił sobie w sądzie uniewinnienie, nagle pojawiła się znowu obok Garvina. Nie mnie osądzać ludzi, którzy tak łatwo zmieniają zdanie, ale zastanawiam się, czy znowu się nie rozmyśli.

Z drugiej strony uważam, że żołnierz nie powinien szukać nikogo na zewnątrz. W wojsku można znaleźć dość przyjaciół, a gdy trzeba czegoś więcej, też zwykle ktoś się trafi. Jeśli to konieczne, bez zobowiązań.

- Trochę samotne takie życie - powiedziała Montagna.

Lir wzruszyła ramionami. /

- Tak? Każdy sam na świat przychodzi i sam odchodzi. - Zmierzyła Darod spojrzeniem. - Jaansma jest całkiem przystojny i całkiem bystry, ale gdyby mnie spytać, kiedy okazał się najmądrzejszy, to powiedziałabym, że wtedy, kiedy pozwolił, aby to jego zastępca za niego myślał.

Darod wzdrygnęła się.

- Cent Yoshitaro jest dobrym oficerem, ale jest zimny. Patrzy na ludzi tak obojętnie, jakby widział tylko numer w wykazie.

- Tak? - spytała z lekkim przekąsem Lir. - Jeśli chcesz ciepła i troski, wybierz Garvina. Albo inaczej: Garvina nie zdobędziesz, w każdym razie nie teraz. Jeśli spróbujesz się do niego zbliżyć, marnie się to skończy. Już stobor w kieracie ma ciekawsze życie. No, ale moją zasadą, sprawdzającą się i w armii, i wszędzie indziej, jest nie sięgać nigdy po to, co nie jest mi przeznaczone. Jeśli...

Na całym statku odezwały się nagle sygnały alarmu.

- Do wszystkich, alarm czerwony! - dobiegło z głośników. - Żołnierze zameldują się natychmiast na stanowiskach bojowych!

Obie kobiety sięgnęły po trzymane zawsze pod ręką wyposażenie i pobiegły korytarzem, a potem wspięły się po schodni na mostek.

Kapitan już czekał.

- Mamy meldunek z kontroli układu o wykryciu nie zidentyfikowanych jednostek.

- Gdzie?

- Szczęśliwie dla nas w głębi układu. Doniosła o nich stacja obserwacyjna na jednym z księżyców Cumbre F. Chyba kierują się do Cumbre D, chociaż wykres kursu wskazuje gdzieś między D a słońcem. Najbliższą planetą jest Cumbre C. Zamierzam utrzymać nasz kurs na Cumbre K, chyba że ktoś zasugeruje coś innego albo sytuacja się zmieni. Gdyby jednostki przeciwnika zmieniły kurs, zawrócimy i schowamy się w pasie asteroid.

- Tak jest, sir - powiedziała Lir. - Aż do odwołania będziemy na stanowiskach.

- No proszę, czy to nie lepszy sposób prowadzenia wojny? - powiedziała Jasith Mellusin.

- Chyba tak - zgodził się Garvin. - Chociaż coś mi mówi, że w tej chwili powinienem być w innym miejscu.

- Gdzie jest napisane, że wszyscy żołnierze mają być nieszczęśliwi?

- Nigdzie. A chyba powinno być. Podobnie jak z regułą, że żołnierz ma być brudny i wystraszony.

- Też coś - prychnęła Jasith. Kołysała się na łożu, na którym mógłby wylądować aksai. Znajdowali się w salonie jej prywatnego jachtu kosmicznego, Godrevy'ego. Dywan tłumił wibrację maszyn, a udające okna ekrany pokazywały położenie statku w układzie oraz pozycję w konwoju. Wnętrze przypominało apartament w willi i jak na gust Garvina było zbyt bogato urządzone. Szczególne wrażenie zrobił na nim mały wodospad tuż przy wejściu. Nic jednak nie powiedział, w końcu to był jej jacht.

- No to dlaczego wolałbyś siedzieć w velvie? - spytała Jasith. - To przecież nie twoja robota, prawda? Mają własnych niedouczonych pilotów i masę żółtodziobów na tylnych siedzeniach, którzy uczą się, jak prowadzić rozpoznanie, prawda?

- Tak.

- Ty zaś jesteś szefem wywiadu, którego caud Angara wysłał do musthów, aby poczuli się bezpieczniej.

- Zgadza się - mruknął Garvin.

- Przygotuj sobie więc stosowne przemówienie albo spraw, żebym to ja poczuła się bezpieczniejsza... W końcu jestem Jasith Mellusin i na pewno znaczę więcej niż gromada jakichś tam futrzaków.

- Właśnie się tym zająłem.

- No to wracaj do przemówienia. Tylko najpierw włóż coś na siebie. - Zsunęła się z łoża, narzuciła szlafrok i podeszła do biurka.

- Ja się nie domagałem, abyś i ty się ubrała - zauważył Garvin.

- Zamknij się i skoncentruj na pracy.

Godrevy był jedną z sześciu jednostek konwoju zmierzającego z Cumbre D na górniczą planetę Cumbre C. Na przedzie podążały dwa velvy, za nimi frachtowiec z dostawami dla kopalń, dalej Godrevy, drugi frachtowiec i trzeci velv w roli tylnej straży.

Nagle rozległ się alarm i mostek zameldował o nieprzyjacielskich jednostkach podchodzących do konwoju.

Garvin odparł, że już idzie. Szybko włożył buty i kombinezon.

- Co mam robić? - spytała Jasith.

- Nic. Nie. Wskakuj w swój ogniotrwały kombinezon. Na wszelki wypadek. Nie wiem, co to za okręty, choć zakładam, że z Lariksa, ale znajdują się tylko kilka sekund od nas. A, i jeśli chcesz wszystko widzieć, lepiej chodź na mostek. Kapitan pewnie wyłączy wszystkie niepotrzebne kamery. Poza tym tam będzie się do czego przypasać, łóżko w takiej chwili to kiepskie miejsce. A może nami rzucać.

- Rzucać? - spytała Jasith, unosząc brwi. Zniknęła jednak na chwilę w garderobie i wróciła z paczką, z której wydobyła taki sam kombinezon, jaki włożył Garvin, który pospieszył już do włazu.

Na małym mostku jachtu byli wszyscy trzej wachtowi. Dwaj wyglądali na zaniepokojonych, ale kapitan Lar Porcen, rubaszny mężczyzna, który równie dobrze mógłby dowodzić jednostką morską, zachowywał całkowity spokój.

- Milu Jaansma, jest pan żołnierzem i słyszał pan komunikat. Ma pan jakieś propozycje?

Garvin już ileś razy prosił, aby Porcen zaczął mówić mu po imieniu, ale bez powodzenia. Ten sam kłopot miał niezmiennie ze służbą Jasith.

- Nie wydaje mi się, aby na razie coś miało nam zagrozić...

Na ekranie pojawiły się dwie plamki. Przeskakujące obok cyferki opisywały ich pozycję, kurs i szybkość.

- Nieznane, zapewne wrogie jednostki zbliżają się do konwoju - zabrzmiało z głośnika. - Przygotować się do akcji.

Podekscytowana Jasith też zjawiła się na mostku.

- Co się dzieje?

- Kiepski ze mnie prorok - mruknął Garvin. - Chyba oberwiemy.

Porcen wyciągnął dłoń do mikrofonu.

- Maszynownia, przygotować się do manewrowania. Proszę nałożyć skafandry próżniowe. Tu obecnych też to dotyczy.

Lekkie skafandry kosmiczne wisiały w przedsionku pobliskiej śluzy awaryjnej. Oficerowie pomogli sobie nawzajem, Jasith zaś, która miała więcej doświadczenia kosmicznego niż Garvin, pomogła przyjacielowi, a potem sama wśliznęła się w kolejny, nieco zresztą dla niej za duży.

Garvin przypasał ją do fotela antyprzeciążeniowego i spojrzał kapitanowi przez ramię. Odczytał aktualne dane z ekranu.

- Lariksanie - powiedział. - To ich nowe niszczyciele klasy Łan. W każdym razie my tak je nazywamy.

Przeciwnik zdawał się mierzyć w środek konwoju. W radiu przelewał się szum komend. Wszystkie trzy eskortowce weszły na kurs przechwytujący.

Coś błysnęło na dziobie prowadzącego velva. Program sterujący projekcją oddał w ten sposób odpalenie rakiety.

- Pocisk dalekiego zasięgu - powiedział Garvin, wspomniawszy niedawne szkolenie.

Na okrętach wroga też pojawiły się błyski. Potem na moment coś zapłonęło w pustce.

- Przeciwrakiety... przechwycili jeden z naszych pocisków. - Garvin nie zdawał sobie sprawy, że głośno myśli. - Teraz strzelają do konwoju.

- Jakie rozkazy, sir? - spytał ochryple kapitan.

Garvin zamrugał. Znowu był dowódcą.

- Ponieważ nie jesteśmy uzbrojeni, poczekałbym na rozkazy dowódcy eskorty.

Prowadzący velv zapłonął jak małe słońce.

- Sukinsyny - mruknął Garvin. - Kapitanie, chyba powinniśmy się stąd wynosić.

Ktoś jeszcze doszedł do tego samego wniosku.

- Do wszystkich statków, mówi Holburt Dwa. Rozproszyć się i uciekać na własną rękę. Zajmiemy ich - przekazał dowódca drugiego velva.

Mimo zdecydowanej przewagi wroga obie cumbryjskie jednostki wciąż trzymały kurs na niszczyciele. Wszystkie cztery okręty znowu odpaliły pociski.

Na całym jachcie ponownie zabrzmiał sygnał alarmowy.

- Alarm kolizyjny - odezwał się jeden z oficerów, zamykając zdalnie wszystkie włazy. - Pocisk na kursie.

- Kapitanie, zmykamy w nadprzestrzeń - rzucił Garvin.

- Jakie nastawy, sir?

- Jakiekolwiek - powiedział Garvin, starając się zachować spokój. - Ślepy skok.

- Tak jest, sir - odparł oficer siedzący przy konsoli nawigacji nadprzestrzennej. - Cztery, trzy...

Jeden z frachtowców eksplodował. Chwilę potem kolejny velv, koziołkując, odleciał z pola walki.

Nagle coś huknęło i jacht zatrząsł się cały. Sekundę później zrobiło się całkiem ciemno. Garvinowi żołądek podszedł do gardła i Godrevy skoczył. Niemal natychmiast powrócił do normalnej przestrzeni.

- Dostaliśmy! - krzyknął ktoś.

Garvin unosił się gdzieś nad pokładem. Przesłona hełmu zatrzasnęła się samoczynnie, co oznaczało, że przynajmniej ten przedział został bez powietrza.

Przy konsoli hipernapędu nie było nikogo. Kapitan leżał na fotelu z głową wygiętą pod nienaturalnym kątem. Albo już nie żył, albo miał umrzeć lada chwila. Nikt nie miał dla niego czasu.

Garvin zbliżył się do głównej konsoli. Na szczęście spędził już tyle czasu na mostkach innych jednostek, że przyrządy nie były dla niego całkowitą zagadką.

- Napęd nadprzestrzenny nie działa - powiedział ktoś obok.

Garvin obejrzał się. Jeden z oficerów był już na swoim stanowisku, drugi wpatrywał się w ekran.

Nie skoczyli daleko. Pole bitwy przesunęło się tylko trochę od środka ekranu. Centralny punkt oznaczał zawsze pozycję jachtu. Drugi frachtowiec buchnął płomieniami.

Jeden z niszczycieli też dostał.

- Jeden mniej! - zawołał oficer od konsoli hipernapędu.

Jednak zaraz potem zniknął trzeci velv.

- Gdy załatwią ostatniego z eskorty, zabiorą się do nas - mruknął pierwszy oficer.

- Zamknij się - warknął Garvin. - Co z siłownią?

- Przepraszam, sir. - Oficer doszedł do siebie i włączył interkom.

- Siłownia - dobiegł ich nieco drżący głos.

- Trzymacie powietrze?

- Tak - dobiegło z maszynowni.

- I dobrze. My oddychamy próżnią.

- Mniejsza z tym - rzucił Garvin. - Proszę wprowadzić nas na nieregularną orbitę prowadzącą gdzieś daleko stąd, najlepiej w kierunku Cumbre C.

- I to szybko - dodała Jasith ze swojego fotela.

- Tak jest, pani Mellusin.

Garvin zerknął na ekran i zdumiał się, że widzi na nim tylko jeden punkt. Według opisu był to ostatni ocalały velv.

- A niech mnie... Lariksanie się wycofali. Ciekawe, czy ktoś ich jeszcze dopadnie.

- Ja będę się cieszyć, gdy wreszcie wylądujemy - powiedziała Jasith. - Chyba już nie lubię podróży kosmicznych.

Poza tym wyglądała na całkiem spokojną.

Darod Montagna ziewnęła rozdzierająco. Przetarła łzawiące oczy i spojrzała na ekran pokazujący na zmianę cały układ i najbliższą okolicę. Zbliżali się do Cumbre K, zostały im już tylko niecałe trzy pokładowe dni podróży.

Lir nakazała, by trzy osoby trzymały wachtę, a jedna odpoczywała, co nie zostawiało wiele czasu na sen, gdy chciało się jeszcze coś zjeść i wykąpać. Montagna miała zejść ze stanowiska za dwie wachty i wątpiła, czy doczeka tego przytomna.

Coś błysnęło na ekranie i zniknęło.

Odruchowo włączyła alarm. Obiekt pojawił się znowu.

Cholera, leci prawie na nas, pomyślała Darod.

Włączyła identyfikację, ale wyświetlacz zamrugał i pokazał „Jednostka nieznana".

Przeklęła nie aktualizowany pokładowy katalog flot i doszła do wniosku, że to musi być przeciwnik. Jeden z raiderów. Tylko co on wyrabiał?

Okręt znowu zniknął. Pojęła, że z nieznanych przyczyn wykonuje mikroskoki w nadprzestrzeni.

Na mostku nagle zaroiło się od ludzi.

- Mamy identyfikację - odezwano się z patrolowca. - To Lariksanin. Klasa Lan.

Oni byli na bieżąco z danymi.

- Brns, cała naprzód ku celowi rejsu - dodał dowódca eskorty. - Zajmę pozycję za waszą rufą.

Montagna pomyślała, że trudno oczekiwać, by cztery razy mniejszy od niszczyciela patrolowiec rzucił się do ataku. Nawet jeśli takie właśnie miał rozkazy.

- Powinniśmy po prostu skoczyć - powiedział ktoś z tyłu.

Lir spojrzała na ekran.

- Co za drań - mruknęła. - Zaraz przejdzie obok i zostawi nas tamtemu na przekąskę.

- A może puścimy mu goddarda? - zasugerowała Darod.

- Komu? Lariksaninowi? Jest za daleko, poza zasięgiem. Ale co on tak migocze?

- Czyżby oberwał? - zapytała Montagna.

- Tak. Jasne. Jeszcze się nie obudziłam. Dostał i stara się dokuśtykać do domu. Skacze, jak daleko i jak szybko może.

- Wystrzeliłabym teraz goddarda - nalegała Montagna. - Dodalibyśmy mu shadowa i niech się przyczają, aż tamci podejdą w ich zasięg.

- Nie jestem zaspana - odparła nieco urażona Lir. - Jestem już jedną nogą na tamtym świecie. Jasne, Darod. Wypuść goddarda. Ale jak po prostu tamci sobie odlecą, też będzie dobrze.

Darod wystrzeliła pocisk z napędem ustawionym na minimalną moc.

Zgodnie z przewidywaniami eskortowiec minął ich i zaczął się oddalać. Nic nie wskazywało, aby zamierzał zawrócić.

- Jeśli ten niszczyciel nas nie dopadnie, to powieszę wszystkich z tego patrolowca za jaja - warknęła Lir. - I nie szkodzi, że ich nie mają.

Coś błysnęło na panelu Montagni.

- Obiekt w zasięgu. Napęd gotowy. Cel namierzony. Pełna moc...

Żołnierz przy panelu antyrakiet pokiwał głową.

- U mnie też pełna moc.

Oba pociski pomknęły w kierunku niszczyciela.

- Tylko mi teraz nie skacz, złotko - szepnęła Montagna. - No, jeszcze trochę...

Okręt przeciwnika zniknął w błysku eksplozji.

- Jest! - krzyknęła Darod. - Mam go!

- Istotnie - powiedziała Lir. - Gratulacje i tak dalej. Jeszcze cztery i zostaniesz asem.

- Co mam zrobić z tym shadowem, który nam został? - spytał operator antyrakiet. - Jest za daleko, żeby go ściągnąć, a każda taka rakieta kosztuje fortunę!

- Podpiszę raport - warknęła Lir. - Detonuj go tam, gdzie jest! A kiedy wrócimy, stawiasz za skąpstwo.

Montagna nie zwracała uwagi na te rozmowy. Ciągle wpatrywała się w ekran i puste miejsce po niszczycielu.

To o wiele lepsze niż zabijanie ich pojedynczo z blastera, pomyślała.

Godrevy wlókł się w kierunku lądowiska. Kontrola pomagała mu jak mogła.

- Dobrze idziesz... podnieś trochę nos... jesteś za nisko, do góry... nie aż tyle...

- Mówiłem, że ledwie słucha sterów - powiedział pilot.

- Dobrze, jest w porządku - uspokoił go kontroler. - Dobrze sobie radzisz... Podwozie wyszło, widzę wszystkie trzy podpory. Przelatujesz nad ogrodzeniem lotniska... teraz już prosta droga, nie uderzysz w nic drogiego. Nos do góry, nos do góry... sprzęt już w pogotowiu... możesz przyziemiać w każdej chwili... i gdzie tylko chcesz...

Jacht uderzył w ziemię przednią podporą, złamał ją i odbił się od płyty lądowiska. Przechylił się na bok i omal się nie wywrócił. Impet sprawił, że obrócił się kilka razy ze zgrzytem metalu szorującego po betonie, który słychać było nawet w odległej wieży kontroli lotów.

Wkoło podniósł się kurz. Ślizgacze straży pożarnej i ambulanse popędziły do wraku.

Godrevy obrócił się jeszcze dwa razy, zakołysał i znieruchomiał.

Po chwili odskoczył właz i z jachtu wysypały się postaci w skafandrach próżniowych. Chwiejnie odeszły od wraku i przystanęły. Jedna uklękła i ucałowała płytę lądowiska.

- Nie wierzyłem, że im się uda - powiedział kontroler, zapominając, że nie wyłączył mikrofonu.

- My też nie - odezwał się zmęczonym głosem Garvin.

20

Nadprzestrzeń

To był duży konwój - dwadzieścia frachtowców z eskortą dziesięciu patrolowców i ośmiu niszczycieli. Wykonali właśnie pierwszy skok w drodze z Kury na Larix, gdy Cumbrianie zaatakowali.

Wysoko „nad” konwojem wychynęły z nadprzestrzeni dwa velvy, potem dwa niszczyciele klasy Kane, jeszcze pięć velvow i sześć niszczycieli klasy Kelly.

Pięć jednostek Lariksa odłączyło się od konwoju i położyło się na kurs przechwytujący. Ich dowódcy spodziewali się zwykłego boju spotkaniowego.

Siedząca na pokładzie pierwszego Kane’a Ho Kang uruchomiła szyfrowane łącze i zaczęła wydawać dyspozycje.

- Vann Cztery, Vann Pięć, tu Vann Matka Jeden. Skok, jeden przecinek pięć sekund. Koordynaty: R, pięć, siedem, osiem, sześć, kreska, N, trzy, pięć, trzy, trzy. Zaraz po skoku atak. Wykonać na rozkaz. Teraz!

Dwa prowadzące velvy zniknęły w nadprzestrzeni i wyskoczyły pomiędzy pięcioma niszczycielami wroga a konwojem.

- Vann Jeden... salwa w niszczyciele... Vann Dwa... zajmij się tylnymi statkami konwoju.

Od każdego velva oderwały się trzy aksaie. Patrolowce skręciły, aby przechwycić nowego przeciwnika, tymczasem rufa jednego z Łanów eksplodowała trafiona pociskiem z aksaia.

- Vann Sześć i Siedem - odezwał się tweg Jensk Farrel z pokładu drugiego Kane'a. - Mówi Vann Matka Dwa. Atak po skoku, przecinek dziewięć. R, pięć, siedem, osiem, zero, kreska, N, trzy, pięć, trzy, dwa. Czołowy atak na frachtowce. Teraz!

Dwa niszczyciele klasy Kelly zniknęły, pojawiły się tuż przed konwojem i wystrzeliły salwę rakiet.

Komodor próbował opanować sytuację, ale jego komunikator odbierał tylko szumy zakłóceń. Nikt też nie słyszał jego rozkazów.

Dodana sekcja kadłuba każdego niszczyciela przewodnika tworzyła jeden wielki przedział, który wrzał życiem. Technicy przekazywali meldunki i co rusz sprawdzali pozycje jednostek na ekranach, po czym wprowadzali je do kompów. Kang siedziała na ruchomym fotelu z samego przodu, starając się koncentrować uwagę tylko na głównym ekranie ukazującym aktualne pozycje jednostek i pomocniczym wyświetlaczu przedstawiającym projekcję orbit. Ignorowała krzątaninę poniżej i opuszczała fotel do stanowiska z kompem tylko wtedy, gdy musiała coś sprawdzić, po czym zaraz wracała na górę.

Każda z jednostek dostawała rozkaz ataku, przeprowadzała go i niezależnie od wyniku była od razu kierowana gdzie indziej, często na drugą stronę konwoju. Każdy rozkaz zawierał precyzyjnie wyliczony czas skoku oraz koordynaty wejścia i wyjścia.

Lariksanie stawiali twardy opór, ale się pogubili. Nie wiedzieli, skąd zostanie przypuszczony następny atak, skoro wróg pojawiał się niespodziewanie w samym środku konwoju, oddawał salwę i znikał.

W próżni co chwila zapalały się małe słońca, gdy kolejne pociski dochodziły celu albo ulegały samozniszczeniu u krańca przebiegu.

W pół godziny wszystkie jednostki eskorty zostały zniszczone albo unieszkodliwione.

- Do zespołu Vann - odezwała się Ho z pokładu Al Maouna. - Mówi Vann Matka Jeden. Zebrać się w szyku wokół matek.

Velvy i niszczyciele wykonały nakazany manewr i załogi ośmiu ocalałych frachtowców nabrały nadziei, że może jednak przetrwają.

- Do całego zespołu Vann - przekazała Kang. - Dowolny wybór celów... atakować po osiągnięciu gotowości.

Znowu błysnęło raz, drugi, trzeci... W końcu nie było już do czego strzelać.

- Do zespołu Vann. Zbiórka za mną. Wracamy.

Cały lariksański konwój wraz z eskortą uległ zagładzie.

Straty Gumbre: dwa aksaie i jeden velv zniszczone, jeden Kelly uszkodzony.

Cumbre D

- Maev Stiofan, połóż dłonie na sztandarze - rozkazał caud Angara. Maev dotknęła symbolu Grupy. - Powtarzaj za mną, wstawiając swoje imię i nazwisko: Ja....., przysięgam na wszystko, co dla mnie święte, że będę posłuszna rozkazom przełożonych i że będę bronić Konfederacji oraz jej zasad, a także jej mieszkańców w całej ich różnorodności, i nie ustanę w tym aż do śmierci albo do chwili, gdy zostanę zwolniona z tej przysięgi. Przysięgam też zachowywać się godnie, jak na żołnierza Konfederacji przystało, nie naruszać jej praw ani zwyczajów, ani też niczego, co postanowił Parlament Konfederacji.

- Przysięgam - powtórzyła Maev, zdumiona lekką chrypką, która zmieniła nagle barwę jej głosu.

- A teraz mianuję cię, Maev Stiofan, aspirantem sił zbrojnych Konfederacji.

Stiofan, podobnie jak Angara, Yoshitaro, Jaansma oraz Hedley, miała na sobie granatowy mundur Grupy. Angara wręczył jej obciągnięte skórą pudełko z emblematem jednostki, koroną będącą oznaką jej stopnia i śmiertelnie groźnym nożem bojowym.

Stiofan energicznie zasalutowała, Angara oddał honory.

- Gdybyśmy wciąż mieli orkiestrę, na pewno by teraz zagrała - dodał mniej oficjalnie. - A cała ta uroczystość odbywałaby się na placu apelowym w obecności całej Grupy. Jednak to już przeszłość. Może kiedyś...

- Dziękuję, sir - powiedziała Maev.

Angara przyjrzał się jej uważnie i pokiwał głową.

- Odmaszerować.

Obaj z Hedleyem zrobili w tył zwrot i wyszli z pokoju.

- Możesz teraz pocałować aspiranta - powiedział Jaansma.

Njangu posłuchał.

Maev odsunęła się od niego dopiero, gdy minęła dobra minuta.

- Nie popełniłam żadnego wykroczenia, całując oficera? - spytała. - Nikt mnie nie instruował w tej sprawie...

- Nie zrobiłaś nic złego - zapewniał ją z uśmiechem Njangu. - Poza tym załatwiłem ci już posadę. Będziesz jednym z osobistych ochroniarzy cauda Angary.

- Na Allaha - zdumiała się Maev. - Nic dziwnego, że tak na mnie spojrzał. Ale przecież kiedyś byłam w gwardii protektora. Skąd możecie wiedzieć, czy nie zostałam uwarunkowana, aby w konkretnej sytuacji poderżnąć caudowi gardło?

- On wie - odparł Garvin. - Jak sądzisz, gdzie zginęło ci wczoraj?

Maev zamrugała i zdała sobie sprawę, że faktycznie zgubiła gdzieś jeden dzień.

- Byłaś zimniejsza niż ryba - wyjaśnił Garvin. - Cała grupa specjalistów z Sekcji II przetrząsnęła ci duszę, by się upewnić, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Hm... Nie wiem, czy lubię takie sytuacje - powiedziała cicho Maev.

- Jak też nie - mruknął Njangu. - Pamiętam, gdy... zresztą mniejsza z tym.

- Tak czy owak, nigdy więcej się to już nie powtórzy - dodał Garvin. - Na cokolwiek paskudnego trafili, wszystko usunęli. Po przeanalizowaniu, naturalnie.

- Ze skanowaniem? - spytała Maev.

- Tylko co ostrzejszych kawałków.

- Lepiej nie mów za dużo, bo koniec z ostrzejszymi kawałkami - powiedziała, krzywiąc się, dziewczyna.

Njangu spojrzał na Garvina.

- Już wiesz, dlaczego ją kocham?

Maev nie kryła zdumienia, podobnie Garvin. On jeden zauważył zresztą, że Njangu lekko się zawahał, nim powiedział „kocham".

Wilcze stada polowały jeszcze kilka razy i zawsze zbierały obfite żniwo. Potem zrobiło się trudniej, gdyż lariksańskie konwoje formowały się jeszcze w obrębie atmosfery i od razu po jej opuszczeniu skakały do nowych, nieznanych punktów nawigacyjnych.

Czasem udawało się stadu podążyć za nimi i zaatakować, jednak przeciwnik wyciągał wnioski ze swoich strat. Dalszy przebieg działań miał zależeć od tego, która strona wymyśli teraz lepszą taktykę.

- Problem nie wiąże się z wilczymi stadami, doktorze - powiedziała z przekonaniem Kang. - Ten system działa całkiem dobrze i z każdą misją jest coraz bardziej udoskonalany.

Chodzi o wyszukiwanie konwojów zaraz po pierwszym skoku. Nie możemy śledzić ich zbyt blisko ani ze zbyt dużego okrętu, bo łatwo wtedy nas zauważą i po prostu wrócą na Kurę. Gdy zaś wysyłamy małą jednostkę, na przykład aksaia, wtedy często wpada w pułapkę. Kilka ich już w ten sposób straciliśmy.

- Pokażę wam, jak to rozwiązać - powiedział Froude. - Etap drugi spotkana wilczego stada z konwojem. Wiem, o co chodzi. Dlatego prosiłem o wizytę.

Otworzył drzwi sali konferencyjnej. Była pusta, jeśli nie liczyć dwóch identycznych kul o dwumetrowej średnicy ustawionych pośrodku pomieszczenia.

- To niech będzie Ohnce, a to Bohnce - powiedział. - Tak nazywałem dwa wypchane zwierzątka, które miałem jako chłopiec. Chyba trochę brakło mi wtedy wyobraźni. Niemniej oba są niewielkimi i bardzo złożonymi robotami służącymi do śledzenia celów. Można je umieszczać zarówno w normalnej przestrzeni, jak i w nadprzestrzeni, chociaż z początku będziemy chyba korzystać z nich głównie w normalnej. Gdy wykryją nieznany konwój, uruchomią napęd. Po wejściu przeciwnika w nadprzestrzeń jeden z nich podąży za nim, a po chwili drugi zrobi to samo. Gdy pierwsza kula wyjdzie z nadprzestrzeni wraz z konwojem, da znak drugiej. Dzięki temu otrzymujemy namiary pierwszego punktu nawigacyjnego. Miejmy nadzieję, że nie wytyczyli ich po drodze więcej niż dwa albo trzy, bo te maleństwa nie mają dość mocy, aby powtórzyć cały manewr. Niemniej jeśli nasi przeciwnicy zmądrzeli i robią więcej skoków, możemy zawsze wykorzystać kolejną parę małych szpiegów, umieszczając ich w znanym nam już punkcie, aby w ten sposób dojść do kolejnego i tak dalej. Oczywiście każdy z nich może przekazywać meldunki tak drugiemu, jak i nam.

- Sprytnie pomyślane - powiedziała Kang.

- Też tak uważam. Za kilka tygodni będzie gotowa pierwsza seria. Mamy też jeszcze inne niespodzianki.

- Jest więc za co wypić - powiedziała Ho. - Przynajmniej na razie.

- Aha - mruknął naukowiec i jakby nieco się speszył. - Czy pozwolisz się z tej okazji zaprosić na obiad?

Kang zdjęła staromodne okulary i spojrzała ze zdziwieniem na naukowca, po czym się uśmiechnęła.

- Tak... oczywiście. Myślę, że tak.

Orbita Kury III

Konwój liczył tylko pięć frachtowców i trzy niszczyciele w roli eskorty. Wilcze stado czekało w normalnej przestrzeni, a oficer naprowadzania wpatrywała się w ekrany. Przekonano się już, że jeden na trzy konwoje wybiera stare punkty nawigacyjne.

W stadzie był jeden Kane, cztery velvy i dwa Kelly.

- Charner Jeden, dwa, sześć, przecinek, trzy. Y, dwa, trzy, cztery, osiem, dziewięć, osiem. Trójka, Czwórka, Piątka, pozostańcie w normalnej przestrzeni, atak z flanki.

Jednostki runęły na przeciwnika i zaraz jeden, a potem drugi niszczyciel Lariksa eksplodowały. Oficer naprowadzania już miała nakazać atak na frachtowce, gdy siedzący poniżej technik włączył alarm. Na ekranie pojawiła się nowa plamka.

Połączyła się z technikiem.

- Nieznana jednostka, brak danych w katalogu. Weszła do normalnej przestrzeni trzy przecinek dziewięć dziewięć sekund temu. Radar dopplerowski podaje szacunkową prędkość i rozmiary. Jednostce towarzyszą dwa eskortowce.

Kontroler z niedowierzaniem spojrzała na ekran. Nowy okręt był niewiarygodnie wielki, prawie dwukrotnie większy niż najcięższa jednostka Lariksa wymieniana w katalogu Jane’s. Przypominał rozmiarami dawne pancerniki Konfederacji, o których kiedyś czytała.

- Mamy pięć odpaleń ze strony nieznanej jednostki - zameldował inny technik. - Wszystkie mierzą w nas. Wystrzeliliśmy pięć celów pozorowanych, bez rezultatu. Odpalamy przeciwrakiety.

Komputer ogniowy niszczyciela śledził nadlatujące pociski. Cztery zniszczył w bezpiecznej odległości, ostatni eksplodował nieco za blisko. Światła w centrali zgasły, ale po chwili włączyło się zasilanie awaryjne.

- Do zespołu Charner! - zawołała oficer naprowadzania, pojmując, że bitwa jest już przegrana. Nagle coś zaszumiało i łączność się urwała.

Było to dość, aby jednostki Cumbre zerwały kontakt i mimo ostrzału olbrzyma weszły w nadprzestrzeń.

Jednak dwa Kelty i jeden velv nie wykonały wcześniej wydanych rozkazów i pozostały na miejscu. Odpaliły salwę rakiet, które zostały zniszczone. Odpaliły drugą. Ta prawie doszła.

Jeden z pocisków eksplodował tuż obok olbrzymiego okrętu, który niespodzianie zniknął. Razem z nim uciekły w nadprzestrzeń oba eskortowce.

- A to sukinsyn - mruknął zdumiony dowódca niszczyciela, który jeszcze chwilę wcześniej nie spodziewał się pożyć wiele dłużej. - Uciekł przed nami.

- Chyba przez pomyłkę, Charner Pięć - odezwał się dowódca velva: - Nie naszą, jego. Pomożesz mi z frachtowcami i ostatnim niszczycielem? Dryfuje, gubiąc powietrze.

- Udzielam wsparcia, Dwójka. Chyba jeszcze pożyjemy.

Trzy okręty ruszyły w pościg za rozrzuconymi statkami wroga.

Pierwszy z długich na kilometr krążowników liniowych wzorowanych na dawnej klasie Naarohn, wielkie marzenie Redrutha, zaistniał naprawdę.

Nikt jednak nie rozumiał, dlaczego okręt się wycofał w chwili, gdy zwycięstwo leżało w zasięgu ręki.

Cumbre D

- Dziękuję za obiad - powiedziała Ho Kang. Razem z Danfinem stała przed swoją kwaterą, małym mieszkaniem w bloku.

- Cała przyjemność po mojej stronie - stwierdził Froude. - Miło było porozmawiać nie tylko o nauce, jak zwykle robimy z kolegami po fachu. Taki stary wdowiec jak ja łatwo zapomina, jak zachowywać się w miłym towarzystwie.

- Chętnie cię słuchałam - odparła Ho. - To o wiele ciekawsze niż zwykłe koszarowe rozmowy. Dopiero teraz do mnie dotarło, że przez cały wieczór ani razu nie zaklęłam.

- No tak... - Froude rozejrzał się dokoła. - Ładny wieczór, prawda?

- Tak.

- Gdybym nie był trzy razy starszy od ciebie, chętnie bym cię pocałował - powiedział z żalem Danfin.

- Jesteś tylko dwa przecinek siedemdziesiąt cztery razy starszy ode mnie. I wcale mi to nie przeszkadza. - Zsunęła okulary i schowała je do kieszeni munduru. Zbliżyła się do doktora i objęła go powoli. Pocałowali się.

Gdy skończyli, oddychała nieco szybciej.

- Czy chciałbyś... - zaczęła nieco chrapliwie - zajrzeć do mnie?

Danfin Froude uśmiechnął się.

- Tak. Bardzo chętnie.

Wielki krążownik pojawił się ponownie podczas kolejnego ataku na konwój. Tym razem wystąpił śmielej i odpędził napastników. Stracono jeden niszczyciel i jednego velva.

Tydzień później atak załamał się całkowicie pod ogniem dwóch krążowników liniowych.

Coś chyba wisiało w powietrzu.

Haut Jon Hedley siedział z drinkiem w głównej sali hotelu Shelbourne i wystukując nogą rytm, patrzył z pogodną melancholią na tańczących.

W pewnej chwili ujrzał idącą w jego kierunku kobietę. Była ładna, poruszała się z wdziękiem, nosiła prostą suknię mieniącą się regularnymi wzorami w barwach przechodzących od purpury do czerni, na tle których czasem coś błysnęło jak gwiazda. Pewnie żona jakiegoś rentiera, pomyślał haut. Chociaż nie, nie jest dość stara, nie patrzy wyniośle... Raczej córka rentiera. Albo kochanka. Że też nigdy nie mam szczęścia...

Kobieta przystanęła przy jego stoliku. Poznał ją nagle i wstał czym prędzej.

- Doktor Heiser!

- Haucie Hedley - powiedziała współpracująca z działem analiz pani fizyk. - Mogę się dosiąść?

- Oczywiście, oczywiście. Co pani wypije?

- Nie piję. Przyszłam potańczyć.

- Och - wyrwało się Hedleyowi.

- I dlatego też się do pana przysiadłam. Z moim wzrostem trudno znaleźć odpowiednio wysokiego partnera.

- Rzeczywiście zdaje się, że jestem chyba wysoki - powiedział Hedley. - Ale chyba przez to nigdy nie nauczyłem się tańczyć. W młodości miałem spore kłopoty z koordynacją ruchów.

- Czy to ma znaczyć, że wciąż nie umiesz tańczyć... Jon?

Hedley pokiwał głową.

- Zatem najwyższy czas się nauczyć.

Hedley zamrugał zaskoczony, ale wstał z uśmiechem i podał jej ramię.

- Pewnie tak, Ann. Pewnie tak.

- Gdy byłem grzdylem, matka dała mi prezent - powiedział z namysłem Njangu. - To nie zdarzało się często. Prawie nigdy się nie zdarzało. Prezent był bardzo drogi i nie chcę się nawet domyślać, skąd wzięła na niego kredyty.

Garvin słuchał uważnie. Yoshitaro rzadko wspominał o swojej rodzinie.

- To był model statku kosmicznego. Gdy dotknęło się sensorów, słychać było wycie napędu, zapalały się światła ostrzegawcze i cichy głos mówił „przygotowanie do startu". Albo lądowania czy czegoś. Uwielbiałem go. Nie brałem go nigdy na dwór, żeby inne dzieciaki mogły się nim pobawić. Bałem się, że ktoś silniejszy mógłby mi go zabrać. - Spojrzał w okno na plac apelowy i rysujące się w dali Leggett.

- I co?

- Protektor Redruth też ma kilka takich zabawek, prawda?

- A... Rozumiem. Dlatego tak ostrożnie używa tych krążowników. Bardzo boi się któryś stracić.

- Możliwe.

- To może warto by jakoś potwierdzić jego najczarniejsze obawy?

- Może.

- A swoją drogą - zagadnął Garvin. - Co się stało z tamtym modelem?

- Ojciec wrócił raz do domu pijany i go rozdeptał - odparł Njangu tonem tak obojętnym, jakby chodziło o nieważny drobiazg.

Orbita Prime

To jest prawdziwe zdalne sterowanie, pomyślał Ben Dill. Siedział w aksaiu pokrytym specjalną ciemną farbą i z takim wyposażeniem, aby kadłub nie odbijał praktycznie nic, od światła widzialnego począwszy, na promieniowaniu radarowym skończywszy. Tak w każdym razie zapewniali Bena naukowcy Grupy.

W odległości jednej jednostki astronomicznej wisiała najważniejsza planeta układu Larix, czyli Prime. Nieco dalej dryfował velv, który przy odrobinie szczęścia też nie powinien zostać wykryty przez czujniki wroga.

Jak marionetka, myślał Dill. Sznurki z Cumbre do velva, od velva do mnie, ode mnie do...

Normalny hełm Bena leżał we wnęce obok, jego głowę zaś otaczał znacznie większy wynalazek, który zupełnie zakrywał oczy. W dłoni trzymał małe pudełko z niewielkim wolantem i kółkiem u góry. Nie widział przestrzeni wkoło siebie, tylko pędzącą mu na spotkanie powierzchnię planety.

Daleko w dole mały robot wszedł w atmosferę i za - nurkował nad jednym z niewielkich mórz.

Dill sterował nim, widząc przed sobą to, co rejestrowały kamery robota. Wszystko w czasie rzeczywistym.

Zapaliły się światełka alarmu, ale zgasły, gdy tylko zwiadowca zszedł nad samą ziemię.

- Nie widzicie mnie, wcale mnie nie widzicie - mruczał pod nosem Dill. - Dalej, ty skubańcu, zajmij się czymś innym, na pewno coś ciekawego dzieje się po drugiej stronie nieba, zajmij się tym i zapomnij o mnie... Teraz, już blisko, nieco w lewo, nie tutaj, idioto, wracaj, niżej, zostaw drzewo. Co za niewdzięczne bydlę. Teraz nad plażą...

Lecąc ogólnie zaprogramowanym kursem, sonda wleciała ponad ląd. Przed nią leżał kompleks militarny, który mógł się okazać interesujący dla Grupy. O ile robot przekaże jakieś dane, co nie powiodło się już pięciu innym maszynkom skierowanym w inne rejony planety.

Grupie wciąż brakowało rzetelnych informacji o Prime, jednak obrona przeciwlotnicza planety była naprawdę dobrze przygotowana.

Dill uważał jednak, że główny problem wiązał się z tym, że wcześniej pilotami byli technicy siedzący bezpiecznie w velvach i należało wreszcie dać szansę komuś naprawdę znającemu się na pilotażu, kto będzie na dodatek możliwie jak najbliżej, aby wczuć się w atmosferę.

Stworzono mu zatem taką możliwość, podobnie jak Alikhanowi i Jacqueline Boursier. Cała trójka poćwiczyła najpierw na symulatorach, przyjąwszy za pewnik, że jeden coś dostrzeże, ułatwi robotę pozostałym. Albo odwrotnie, pomyślał cynicznie Dill, utrudni, bo tamci zaczną naprawdę przykładać się do roboty.

Zwolnił prawie do szybkości przepadnięcia. W dole przesunęły się wierzchołki drzew i szczyty domów. Zapaliły się kolejne alarmy, skręcił więc, aby ominąć osiedle.

- Jak dotąd dobrze... Mój dzieciaczek jest poniżej pułapu pelot. Oho, zbliżamy się do tego czegoś, co może jest bazą. Nieco do góry proszę i zaczynamy nagrywać, żeby tatuś miał się z czego ucieszyć...

Sonda zwiększyła szybkość. Obrazy tylko przemykały. Płot ogradzający bazę... pusta strefa straży... kolejny płot, wieża strażnicza, rzędy baraków. Lądowisko albo może plac apelowy. Cholerne dźwigi, omal na jeden nie wpadłem, sarknął w duchu Ben. Cały magazyn stalowych płyt, jakieś instalacje. Walcownia? Niech mnie cholera, jeśli wiem. Wyżej hangary. Zamknięte.

- Mamy, wreszcie je mamy... o, drzwi jednego są otwarte. Platforma przesuwna, a na niej... no czegoś tak wielkiego nie widziałem jeszcze na ziemi. W górę, nie ruszamy hangaru. Dalej jeszcze dwa... cztery. Ale puste. Maskowanie dobra rzecz, ale z tej wysokości i tak widać. Choolera!

Obok sondy pojawiła się smuga dymu. Dill skręcił i zszedł jeszcze niżej.

- Dobra, dobra, dranie, jestem pewien, że do takich celów jeszcze nie strzelaliście. Nadlatujemy nad następną stocznię. A może zakłady wyposażeniowe. Zaraz...

Ekran pociemniał i Ben miał tylko ułamek sekundy, aby dostrzec zarys czegoś przed sobą. Pewnie kolejny dźwig. Albo okręt. Cokolwiek. Mam tylko nadzieję, że było naprawdę drogie, pomyślał Dill.

- No tak. Teraz będą mi chcieli urwać jaja, bo nie zwracałem uwagi na przeszkody terenowe i na coś wleciałem.

Nikt jednak nie miał najmniejszych pretensji. Sonda Alikhana została zestrzelona przy wejściu w atmosferę, sterowana przez Boursier wprawdzie wróciła, ale nic ciekawego nie znalazła.

- Myślisz, że uda nam się to powtórzyć? - spytał Ben.

- Dlaczego nie? - rzuciła Boursier. Była nader szczupłą brunetką, która wedle powszechnego przekonania żyła jedynie lataniem.

- Na pewno możemy - dodał Alikhan. - W ładowni velva leży jeszcze sześć sond.

- To chyba że na własną rękę - powiedział wachtowy, podchodząc z jakimś wydrukiem. - Odwołują nas.

- Dlaczego?

Oficer wzruszył ramionami.

- Jesteście potrzebni do jakiejś misji specjalnej. Nam, szaraczkom, przecież nie powiedzą.

Cumbre D

Garvin skończył odprawę z ochotnikami, którzy mieli dołączyć do załóg sześciu niszczycieli przydzielonych do realizacji jego planu. Najdłużej dyskutowano nad tym, czy wtajemniczać w sprawę jedynie dowódców, czy może wszystkich. Hedley dowodził, że w razie całkiem prawdopodobnego niepowodzenia wszyscy „powinni wiedzieć, przez kogo oddychają próżnią".

Jaansma pożałował, że nie ma nic optymistycznego do dodania, i przekazał głos Njangu, który rozkazał podopiecznym, by natychmiast zameldowali się na pokładach.

Gdy wojsko się rozchodziło, dostrzegł wśród ochotników Darod Montagne. Mimo oślepiających świateł uchwyciła jego spojrzenie, uśmiechnęła się i zaraz wyszła.

Garvin wsiadł do ślizgacza i kazał pilotowi zawieźć się na własną jednostkę. Chciał sprawdzić, na który niszczyciel trafiła Montagna, a wolał nie pytać. Żałował, że w ogóle ją zobaczył, bo zgodnie z jego planem te sześć niszczycieli było jedynie przynętą.

- Uważaj na siebie - powiedział Froude.

Ho Kang uśmiechnęła się.

- Zawsze uważam, Danfinie. Zwykle to tamci nie uważają.

- Zależy mi na tym, żebyś wróciła.

- Och, na pewno wrócę - obiecała Kang i nie owijając w bawełnę, wyjaśniła, co z nim zrobi, gdy wróci.

Cmoknął w słuchawkę i rozłączył się. Uniósł głowę i ujrzał wpatrującą się w niego Heiser. Miała jakiś dziwny wyraz twarzy.

- Prywatne rozmowy w służbowym czasie, doktorze?

Froude spiekł raka i nagle ujrzał, że Heiser się śmieje.

Rozległ się brzęczyk komunikatora.

- Doktor Heiser! - zawołał technik. - Dzwoni haut Hedley ze sztabu. Chce się pożegnać przed odlotem.

Teraz Heiser się zaczerwieniła. Froude nie był aż takim dżentelmenem, aby ostentacyjnie nie unieść brwi. Ale zaraz potem wrócił do pracy.

Kura IV

Sondy przeszły tuż nad atmosferą i miejscowe patrole wykryły dwie z nich.

Dzień później zameldowały o starcie siedmiu jednostek, które mogły być frachtowcami albo krążownikami pomocniczymi. Zespół uformował się w konwój i wyruszył eskortowany przez pięć niszczycieli.

Do pierwszego punktu nawigacyjnego był śledzony, dość niezdarnie zresztą, przez dwa patrolowce Cumbre. Wszedł w nadprzestrzeń, ale patrolowce go nie zgubiły i na pełnej mocy skierowały się do przypuszczalnego punktu wyjścia konwoju, który jako wolniejszy przebywał tę samą drogę dłużej.

Kilka sekund później konwój rzeczywiście pojawił się w przewidzianym miejscu. Zachowywał się tak, jakby wszystko przebiegało normalnie, chociaż patrolowce na pewno musiały zostać wykryte.

Sześć oczekujących nań cumbryjskich niszczycieli ruszyło do ataku. Lariksanie zastosowali typowy szyk obronny. Skupieni na odpieraniu ataku nie zwracali większej uwagi na odległy niszczyciel naprowadzania. Przyzwyczaili się juz do tych dziwnych jednostek.

W centrali Kane'a Hedley i Garvin patrzyli, jak Ho Kang miota się wraz z fotelem po całym pomieszczeniu i spokojnie wydaje kolejne rozkazy.

Hedley spojrzał na Garvina i wyszczerzył zęby.

- Cholery można dostać, gdy trzeba tak siedzieć, kiedy inni nadstawiają karku na twój rozkaz, prawda?

- To prawda, sir.

- Lepiej do tego przywyknij - poradził Hedley. - Nie ma innego wyjścia. Im dalej jest się od zwykłego pełzania w błocie, tym więcej tego.

Ho zjechała z góry i pochyliła się nad technikiem, który odczytywał coś z ekranu. Nagle jej obaj oficerowie usłyszeli głos w słuchawkach.

- Pułapka zadziałała. Krążowniki z eskortą wyszły właśnie z nadprzestrzeni.

Garvin spojrzał na wielki ekran. Dość dobrze potrafił czytać wyświetlane symbole, aby odszukać sygnatury dwóch nowych okrętów, które zmieniły się zaraz w małe hologramy krążowników liniowych z czterema jednostkami eskorty.

Kang wydała parę rozkazów i w pobliżu wrogiej formacji zabłysło kilka kolejnych hologramów.

- Vann Grupa Pierwsza, tu Vann Matka - powiedziała Ho. - Pokazały się wielkie sztuki. Jeszcze ich nie widzicie... niech podejdą bliżej. Dobrze. Macie ich? To teraz panika, jak na ćwiczeniach.

Sześć niszczycieli, które były już prawie gotowe zetrzeć się z eskortą, zmieniło kurs. Podczas ucieczki dwa wystrzeliły antyrakiety.

- Dobrze - powiedziała Kang. - Nie skaczcie jeszcze... macie nad nimi przewagę szybkości. Tak. Niech wygląda na to, że macie jeszcze nadzieję podejść do konwoju.

Przełączyła kanały.

- Mówi Vann Matka. Nie dostrzegli was jeszcze. Ruszajcie za nimi. Od teraz działacie samodzielnie.

Pół sekundy świetlnej dalej dryfowało w zasadzce siedem aksaiów. Zostały tam umieszczone przez velva, który natychmiast zniknął w nadprzestrzeni.

- Muszę go dostać, muszę go dostać - powtarzał Ben Dill, przebiegając palcami po przyrządach.

Na owiewce roiło się od projekcji rozmaitych jednostek. Po lewej widniał konwój, jego eskorta przemieszczała się nieco z prawej, „poniżej" i z przodu widać było „uciekające" niszczyciele, daleko z prawej dryfował Kane, a dokładnie przed dziobem przelatywały dwa krążowniki z eskortą.

- Gdybyście nie wiedzieli, pan Dill zaraz wam coś pokaże - mruknął, odpalając po kolei trzy pociski.

Pozostałe myśliwce też wystrzeliły, co miały pod skrzydłami.

- Vann Grupa Pierwsza, tu Vann Matka - powiedziała Ho. - Gdy doliczę do pięciu, wchodzicie w nadprzestrzeń. Jeden... dwa... Odwołuję, skakać natychmiast!

Ujrzała, że eskorta krążowników otworzyła ogień. Aksaie albo ich pociski zostały zauważone.

Lariksanie odpalili antyrakiety. Z rozmaitym skutkiem.

Jeden pocisk zbliżył się do idącego z tyłu krążownika i eksplodował. Długo potem spierano się, z czyjej wyrzutni mógł pochodzić. Kolejny detonował zaraz za krążownikiem. Przez wyrwę w poszyciu buchnął płomień. Palił się krótko, podsycany uciekającym powietrzem, ale zaraz potem krążownik zadrżał od wtórnych eksplozji i zszedł z kursu.

Inny pocisk minął o włos jeden z aksaiów.

Przed oczami Dilla zapłonął alarm. Ktoś go namierzał.

- Nie dostaniecie mnie - mruknął, włączając zagłuszanie.

Wystrzelony z krążownika pocisk, niewiele mniejszy niż myśliwiec Bena, zgubił cel i posłuszny głównemu programowi dokonał autodestrukcji.

- Do grup Vann - rozkazała Ho. - Oderwać się i wycofać.

- No nie... - jęknął Ben. - Tylko jeszcze jeden strzał do krążownika...

Niemniej wykonał rozkaz.

Alikhan wystrzelił szybko pozostałe mu jeszcze pociski i skręcił w kierunku velva, który pojawił się, aby zabrać myśliwce. Musthowi wydawało się, że jeden z pocisków eksplodował, co mogło oznaczać trafienie. Zastanowił się, czy o tym zameldować, ale uznał, że chyba zaczyna myśleć jak człowiek, skoro takie myśli przychodzą mu do głowy. W walce liczą się przecież czyny, nie słowa.

Lariksańskie niszczyciele ruszyły w pościg za aksaiami, ale zostały odwołane. Kazano im dołączyć do eskorty uszkodzonego krążownika i jego bliźniaka.

- Teraz zobaczymy - powiedział Hedley. - Jest szansa, że dzięki waszej pułapce paranoja Redrutha jeszcze się rozwinie i da nam nieco odetchnąć.

Cumbre D

- Bardzo dobrze - powiedział Angara do zebranych oficerów. - Subtelnie. Szczególnie ty, Jaansma. Twoje wystąpienie nawiązało do najlepszych tradycji Grupy.

- Dziękuję, sir.

- Myślę, że mina ci zrzednie, gdy zobaczysz, jaki cyrk się teraz zacznie.

Garvin uśmiechnął się, ale zaraz pojął, co Angara chciał powiedzieć.

- Haucie Hedley, oto lista naszych tańczących niedźwiedzi. I medali, które im przyznaliśmy. Myślę, że to dobra okazja, aby powiedzieć coś więcej o kadrze nowej brygady. Po pierwsze, to pan będzie jej dowódcą, w związku z czym otrzymuje pan awans na cauda. Pierwszą brygadę przejmie mil Fitzgerald. Otrzyma pan taki sam awans. Będą oczywiście jeszcze inne zmiany. Dla uniknięcia zamieszania siebie awansowałem do stopnia danta. Potwierdzenie albo i nie tej promocji nastąpi, gdy nawiążemy znowu kontakt ze sztabem Konfederacji. To wszystko.

To naprawdę był cyrk. Media zaraz zrobiły z Garvina superprzystojniaka, a Hedleya przedstawiały jako młodego zdolnego brygadiera (może trochę za chudego, ale trudno). Ho Kang zyskała przydomek uczonego-wojownika, a piloci aksaiów zostali odmalowani jako wcielenie męstwa i szalonej odwagi, rycerze przestworzy i tak dalej. Alikhana uznano za żywy przykład przyjaźni ludzko-obcej, Ben Dill zaś zaistniał jako... właśnie Ben Dill.

Posypał się deszcz medali, a gdy było już po wszystkim, bohaterowie dostali jeszcze po urlopie.

- Czy możesz się położyć? - spytała Jasith. - Zasłaniasz, a chciałabym obejrzeć kolejne wiadomości.

Garvin posłuchał i ułożył się na plecach.

- Podkręcę dźwięk... O, tego jeszcze nie widziałam. Wiesz, założę się, że Loy zgrzyta teraz zębami, że musi cię pokazywać w „Matin". Naprawdę cię to nie interesuje, Garvin?

- Wiem, jak wyglądam. A co do zainteresowania...

- Och, nie gryź mnie. Hmm... To całkiem miłe. Gdy gryziesz mnie w kark, całe ciało przeszywa dreszcz. Garvin! Nie masz innych pomysłów? - Jęknęła głośno. - Nie przestawaj! Nie waż się przestać!

Garvin sam siebie za bardzo nie rozumiał. Ostatnio chciał tylko jeść, spać i przebywać z Jasith. Najlepiej nagą.

Była to bariera, którą wznieśli między sobą a okrucieństwami wojny.

Minęły dwa miesiące.

Cumbryjskie ataki stawały się coraz śmielsze, rajderzy zaczęli podchodzić prawie pod sam Larix. Ich głównymi celami nie były już okręty eskorty, ale frachtowce.

Krążowniki pojawiały się z rzadka i tylko wtedy, gdy na pewno nie groziło im, że wpadną w pułapkę.

Zastosowanie sond szpiegowskich ułatwiło tropienie konwojów, ale dowódcy eskorty też się uczyli, tak więc straty rosły po obu stronach.

Grupa niszczyła teraz prawie dwadzieścia procent więcej tonażu i mniej więcej tyle samo zasobów ludzkich. Jednak wziąwszy pod uwagę populację obu układów i dane na temat produkcji przemysłowej Lariksa, które w swoim czasie zdobył Njangu, jasne było, że Cumbre powoli przegrywa tę wojnę.

Pierwsze meldunki nadeszły z odległych stacji na orbicie Cumbre M, które zaraz potem umilkły. Krótko później odezwał się automatyczny posterunek na Cumbre K i zaraz też stracono z nim kontakt.

Lariksanie atakowali. Wchodząc do układu, systematycznie niszczyli wszystkie załogowe i bezzałogowe placówki, które udało im się wypatrzeć.

Pół standardowego dnia później statek badawczy znajdujący się za orbitą gazowego giganta Cumbre I zameldował o kontakcie z całą flotą i więcej się nie odezwał.

Bazy na Cumbre G wysłały kilkanaście patroli. Te, które ocalały, zameldowały, ze natknęły się na zgrupowanie floty Lariksa. W jego skład wchodziły cztery gigantyczne krążowniki, co najmniej czterdzieści niszczycieli i cały rój lżejszych jednostek wsparcia oraz patrolowców.

Grupa nie zwlekała z odpowiedzią. Z lądowisk na Cumbre C, D i E, z księżyców i stacji na asteroidach wystartowały niszczyciele klasy Kelly, velvy, aksaie, a nawet kilka niezbyt zwrotnych wyntów oraz zhukovy. Towarzyszyło im wszystkich sześć niszczycieli klasy Kane.

Dant Angara znalazł się w centrali okrętu dowodzenia, na który wyznaczono niszczyciel Al Maouna. Ho siedziała w swoim fotelu opuszczonym do poziomu siedziska dowódcy.

- Że też nie znalazłem chwili, aby się nauczyć, jak stąd dowodzić - szepnął Angara do Hedleya.

- Żaden problem - powiedziała Kang. - Będzie pan mi mówił, czego chce, a ja przełożę to na rozkazy. Na tym małym ekranie będzie pan miał projekcję wnętrza układu, dla uproszczenia nieruchomą. Nasze jednostki to białe punkty, przeciwnika czerwone. Orbity opisywane są tymi małymi zielonymi strzałkami.

- Dobrze - powiedział Angara. - To zapędźmy ich z powrotem tam, skąd przylecieli.

Lariksanie przecięli orbitę Cumbre D, zeszli prawie aż do Cumbre C i wrócili do planety stołecznej.

Lecieli w szyku dwóch odwróconych V, z jednostkami wsparcia na tyłach. Trzy krążowniki stanowiły szpicę pierwszej grupy, czwarty prowadził drugie zgrupowanie, w którym było o dziesięć niszczycieli więcej.

- Mierzymy w wielkie sztuki - powiedział Angara, a Ho przekazała to podkomendnym.

Przestrzeń wewnątrz orbity Cumbre D zaroiła się od manewrujących jednostek, które starały się podejść jak najbliżej krążowników. Jednak zapora niszczycieli była zbyt szczelna. Krążowniki walczyły na daleki dystans, jako że dysponowały pociskami o większym zasięgu.

Jeden velv przedarł się blisko i uzyskał trafienie, ale nie wystarczające, by wyłączyć krążownik z walki. Sam velv został zaraz zniszczony. Pierwsze V rozwarło się w próbie ogarnięcia jednostek Cumbre.

Angara nakazał odwrót i przegrupowanie dla podjęcia ponownego ataku, tym razem tylko na jedno skrzydło formacji przeciwnika.

Walka rozgorzała z nową siłą, tymczasem w kolejnym meldunku doniesiono, że tylne V zmierza samodzielnie w kierunku Cumbre D.

Rezerwy Angary były akurat gdzie indziej, ale i tak kazał im ruszać, mimo że mogły się spóźnić z interwencją. Sam też przerwał atak i przeklinając pod nosem, rzucił się w pogoń za drugą grupą. Wiedział, że ewentualne użycie ładunków nuklearnych będzie miało opłakane skutki, toteż nie chciał dopuścić przeciwnika w obręb atmosfery.

W pewnej chwili zza Bodwina, księżyca Cumbre D, wyłoniła się flotylla siedmiu niszczycieli klasy Kelly. W zasadzie w ogóle nie powinno jej tam być, ale uderzyła na Lariksan z taką zażartością, że po wszystkim jej dowódca nie stanął przed sądem wojennym, a nawet dostał medal. W prowadzący krążownik trafiły jeden za drugim trzy pociski, w wyniku czego stracił dziób i bezwładnie odkoziołkował w kierunku słońca układu.

Siły przeciwnika zostały związane walką, jednak nie wszystkie. Cztery niszczyciele utrzymały kurs na Cumbre D. Nic nie dzieliło ich już od planety.

Mieszkańcy miast usłyszeli wycie syren. Trwało chwilę, nim pojęli, co to oznacza, i rzucili się do prowizorycznych schronów. Zwykle były to piwnice albo nawet parterowe kondygnacje różnych budynków.

Lariksanie weszli w atmosferę i nad lądami i morzami przetoczył się grom oznajmiający, że mkną o wiele szybciej niż dźwięk. Niszczyciele nadleciały nad wyspę Dharma od południa. Z otwartych luków posypały się bomby. Za wcześnie. Zamiast na miasto, spadły na Najim i Wzgórza, zabijając wielu rentierów w ich posiadłościach. Dopiero ostatnia seria dosięgła nabrzeża przed hotelem Shelbourne, który stracił większość szyb.

Redruth zmienił plan. Musiał zrozumieć, że niewiele zyska, zdobywając radioaktywne gruzy, i sięgnął po konwencjonalne ładunki.

Niszczyciele zawróciły do drugiego nalotu, ale opadły je aksaie. Niebo nad miastem pokryło się smugami dymu. Dwa okręty natychmiast eksplodowały, trzeci uciekł poza atmosferę, gdzie wpadł prosto na zygzakujący czwarty niszczyciel. Nagle nie było już do kogo strzelać.

Angara pozwolił sobie tylko na chwilę oddechu, po czym rozkazał pozostałym jednostkom zbiórkę w wyznaczonym punkcie i podjęcie pogoni za uchodzącym przeciwnikiem. Ten jednak nie czekał. Ledwie któraś jednostka oddalała się wystarczająco od planety, zaraz znikała w nadprzestrzeni.

- Chyba wygraliśmy - powiedział Hedley, patrząc przerażony na przesuwającą się na ekranie listę strat. - Bardzo wysokim kosztem.

- Następnym razem będzie jeszcze gorzej - powiedział Angara. - Gdy zjawią się znowu, to będzie już inwazja.

Straty Grupy były ogromne - wyniosły ponad tysiąc zabitych i prawie tyle samo rannych. Szesnaście okrętów stracono w walce, dwadzieścia wróciło w takim stanie, że nadawały się jedynie na żyletki.

Cywile ucierpieli jeszcze bardziej. W Leggett zginęło ponad tysiąc osiemset osób, prawie trzy razy tyle trafiło do szpitali. Straty materialne szły w miliardy kredytów. Zauważono niemniej coś, co było rzadkością w historii wojen - olbrzymią część zabitych stanowili bogacze.

Z całego bombardowania wynikły jednak też trzy pozytywy:

Na wpół zrujnowane Eckmuhl, niegdyś zajmujące centrum Leggett getto Raumów, zostało praktycznie zrównane z ziemią. Nie odbudowano go po powstaniu, a teraz architekci zacierali ręce, ciesząc się, że gdy wojna się skończy, wreszcie na nowo urządzą centrum miasta.

Rząd gotów był przystać na każdy wniosek Grupy o dodatkowe środki.

Najważniejsza jednak była chyba zmiana nastawienia do zaciągu. Gdy media zaczęły powtarzać bez końca sceny z nalotu i pokazywać coraz więcej wywiadów z rannymi oraz rodzinami ofiar, machina administracji rządowej momentalnie przepchnęła zatwierdzony już plan rozbudowy Grupy, a wielu obywateli w przypływie patriotyzmu uznało, że ich miejsce jest w szeregach. Armia głośno przypomniała więc, że czeka na wszystkich chętnych, chociaż najbardziej jej zależy na ludziach z kwalifikacjami.

Na Cumbre nie było jednak dość takich osób. Angara z zazdrością myślał o nieprzebranych tłumach zaludniających Larix i Kurę i zastanawiał się, czy może po wojnie jakiś geniusz (na przykład Froude) zdoła znaleźć sposób przekonania tamtych ludzi do czegoś więcej niż antyczne Kadavergehorsamkeit - ślepe posłuszeństwo w wykonywaniu rozkazów.

Najpierw jednak trzeba się było jakoś uporać z Redruthem i jego reżimem.

Angara, mimo że przewidywał inwazję nie był wcale pesymistą. Musiało do niej dojść, gdyż Redruth nie miał innego wyjścia. Jego rodzina zdobyła władzę dzięki nieustannemu wyszukiwaniu wrogów, do których zaliczono nawet mityczne plemię Łoniaków. Obecnie największym złem było Cumbre, należało je zatem zniszczyć, bo w przeciwnym razie stara metoda przestałaby działać i lud zwróciłby się w końcu przeciwko dyktatorowi. Angara nie dałby wprawdzie głowy, czy obiektywnie rzecz biorąc, naprawdę nie ma żadnego innego wyjścia, ale był pewien, że Redruth na pewno by go nie dostrzegł.

Robił więc co mógł, aby pozyskać jak najwięcej nowych okrętów i wyszkolonych ludzi. Bez końca sprawdzał plany ćwiczeń i symulacji. Uznał, że Cumbre D nie będzie jedynym celem. C i E też nadawały się do lądowania i należało przyjąć, że Redruth spróbuje najpierw zdobyć jakiś przyczółek w układzie, a dopiero potem ruszy dalej.

Aby mu to utrudnić, Angara przygotowywał coś, czego ani jego ludzie, ani tym bardziej Redruth na pewno nie oczekiwali.

Caud Ceil Fitzgerald miała krótko przycięte włosy, co przy lekkiej siwiźnie pasowało nad wyraz do jej wytwornych manier i niemal atletycznej budowy.

Garvin i Njangu stali przed nią na baczność.

- Powiem krótko: chodzi o stanowisko mojego zastępcy. Otrzymałam listę proponowanych kandydatur i twoje nazwisko też na niej widnieje, milu Jaansma. Chociaż jesteś najmłodszy spośród wszystkich, których dant Angara wymienił, wybrałam właśnie ciebie. Podobają mi się twoje nietypowe pomysły, nawet jeśli nie zawsze przynoszą oczekiwane skutki. Myślę, że bez trudu uda mi się wykorzystać twój młodzieńczy entuzjazm dla dobra dowodzenia.

- Uhm... Dziękuję pani - wykrztusił Garvin.

- Oczywiście zostaniesz promowany do stopnia hauta.

Spojrzała z kolei na Njangu.

- Co do ciebie, mam mieszane odczucia, Yoshitaro.

Njangu zachowa! spokój, chociaż zastanawiał się gorączkowo, które jego numery tak bardzo nie spodobały się Fitzgerald. Jak większość paranoików, miał jednak skłonność do opacznego rozumienia tego, co inni mówili na jego temat.

- Z jednej strony jesteś dość pokręcony, aby nadawać się na dowódcę kompanii zwiadu. Z drugiej nie stać nas na marnowanie talentów tam, gdzie nie mogą rozwinąć się w pełni. Dlatego też mianuję cię ze skutkiem natychmiastowym do stopnia mila. Zastąpisz Jaansmę na stanowisku dowódcy Sekcji II. O ile mi wiadomo, zarówno wy dwaj, jak i dant Angara oraz caud Hedley od dawna utrzymujecie prywatną znajomość, dzięki czemu podejmujecie wiele decyzji z pominięciem zwykłego łańcucha dowodzenia. Chcę, aby tak zostało. Stoimy wobec przewagi liczebnej przeciwnika, który ma też więcej sprzętu niż my, a na dodatek nie doszliśmy jeszcze do siebie po poprzednich konfliktach. To niedobrze, ale też nie możemy liczyć na oddech do chwili, gdy pokonamy wreszcie Redrutha i zajmiemy jego włości. Musimy naciskać na niego, aż pęknie, choćbyśmy mieli dokonać tego resztką sił. Miałam okazję czytać meldunki, które przesyłałeś z Lariksa, Yoshitaro. Rozmawiałam też trochę z aspirant Stiofan. Nie chcę żyć w świecie tyranii Redrutha, nie życzę tego moim dzieciom. Nie wolno nam zatem ustąpić ani o krok.

To wszystko. Nowego dowódcę kompanii zwiadu możecie wybrać sami. Ufam waszemu osądowi. Niezależnie od tego, jaki ta osoba ma obecnie stopień, zostanie awansowana do rangi centa. Mam na to zgodę danta Angary. Odmaszerować.

Obaj zasalutowali i zrobili w tył zwrot.

- I jeszcze jedno... o mało co bym zapomniała. Wydaje mi się, że cieszę się tu reputacją osoby dość oschłej. Sama zwykłam jednak widzieć siebie jako kogoś, kto potrafi po prostu lepiej skoncentrować się na zadaniu niż inni. Obaj macie teraz wolne popołudnie, możecie uczcić awanse. Niemniej jutro rano, godzinę po pobudce, mamy zebranie sztabu. Oczekuję was obu, i to w pełni przytomnych. Dziękuję.

Na zewnątrz Njangu i Garvin spojrzeli po sobie krzywo.

- To chyba będzie wojna młodzieniaszków - zauważył Jaansma. - Zwykle jest tak, że milem zostaje się po czterdziestce albo przed pięćdziesiątką. O ile ma się układy. Hauta dają zaś tuż przed emeryturą, dwadzieścia lat później. Gratuluję.

- Tobie też - powiedział Njangu. - Jesteś na najlepszej drodze do zdobycia gwiazdy admirała.

- Cały ja. Najmłodszy dowódca floty w historii wszechświata. Ciekawe, czy nie powinienem się już rozejrzeć za krawcem? Albo za flotą do dowodzenia?

Njangu roześmiał się.

- Mamy trzy godziny do zagospodarowania?

- Idziemy się upić?

- Chyba raczej nie - powiedział Njangu. - Lepiej skontaktujmy się z naszymi paniami, aby przekazać im nowiny. Może zaproponują jakiś ciekawy sposób uczczenia tej okazji. Na przykład spacer. Albo filiżankę herbaty.

Garvin też się roześmiał, ale nagle coś sobie przypomniał.

- Cholera! Jasith czeka dzisiaj na jakiś nowy transportowiec rudy z Cumbre C. Wydaje mi się, że to będzie cichy wieczór.

- Jak chcesz, możesz dołączyć do nas. Wypijemy po jednym w Shelbourne, a jutro pójdziemy z czerwonymi ślepiami od razu na odprawę.

- Jest to jakiś pomysł, chociaż nie zawsze lubię patrzeć, jak spijacie sobie wszystko z dziobków. Szczególnie gdy jestem akurat sam. Lepsze to jednak niż stawianie drinków wszystkim altom, którzy się nawiną. Dzwoń do swojej pani i powiedz jej, co się szykuje.

- A zaraz potem porozmawiamy z nowym dowódcą zwiadu - dodał Njangu. - To będzie zabawa.

Reakcja była zgodna z przewidywaniami.

Monique Lir nic, tylko kręciła głową, spoglądając to na Njangu, to na Garvina. Przypominała w tym jadowitego węża na moment przed atakiem.

- O wy dranie - syknęła. - Żebyście się własnym gównem udławili!

- Chwilę, Monique. Jesteś pewna, że to właściwy sposób zwracania się do przełożonych?

- Cholera jasna, świetnie wiecie, że nie chcę być oficerem! Nigdy!

- Jak wspomniała caud Fitzgerald i jak każde z nas winno wiedzieć, nadszedł obecnie czas wyrzeczeń - powiedział Njangu, ledwie powstrzymując się od śmiechu.

- Spójrz na to tak, Monique - odezwał się Garvin. - Nie jesteś już aspirantem, ale nie zostałaś też altem. Przeskoczyłaś od razu ileś szczebli i trafiłaś na samą górę.

- Pomyśl o pieniądzach - dodał Njangu.

- Tak - jęknęła Lir. - Będę teraz zarabiać sto kredytów mniej niż jako ad-prem. Świetny interes.

- Chyba wiem, na czym polega problem - powiedział Njangu. - Obawiasz się, że brak ci wystarczająco dobrych manier, aby bywać w klubie oficerskim. O to chodzi?

- Pieprz się, szefie - warknęła Monique. - Wiesz równie dobrze jak ja, że to podoficerowie są solą Grupy. Tak samo jak każdej innej armii. Zawsze tak było i zawsze będzie. A teraz zostałam jednym z was i muszę się zacząć martwić, co moi podwładni mi wywiną! To nie w porządku! - dodała prawie że z płaczem.

- Cicho, spokojnie - powiedział Garvin. - Milu Yoshitaro, nie ma w zwiadzie zwyczaju, że świeżo awansowanych wrzuca się do stawu albo fontanny? Wprawdzie musthowie chyba zniszczyli nam cały park, ale zawsze możemy wrzucić cent Lir do zatoki, prawda?

- Hm... - zaczął ostrożnie Njangu.

- Tylko spróbuj. - Monique zgrzytnęła zębami. - Proszę bardzo. Niech któryś z was spróbuje.

- Myślę, że zrezygnujemy dzisiaj z kultywowania tej tradycji, dobrze? - powiedział pospiesznie Garvin. - Gratulacje, cencie. Jestem pewien, że zapiszesz się złotymi zgłoskami w historii Grupy.

- A przy okazji - odezwał się Njangu. - Żebyś nie myślała, że jesteśmy całkiem bez serca, resztę popołudnia przeznaczamy na świętowanie twojego awansu. Chcemy jednak, aby cała kompania zaczęła jutro dzień od porządnej przebieżki. Tak do Placu Tygrysa i z powrotem. Nie możemy przecież pozwolić, aby dzieciaki zesztywniały, prawda? To wszystko, cencie. Możecie odmaszerować.

Lir raz jeszcze spojrzała na nich gorejącym wzrokiem.

- Kiedyś... nie wiem jeszcze kiedy... ale kiedyś się na was zemszczę.

I zasalutowała dokładnie według regulaminu.

Skryty za starym wrakiem Ohnce liczył statki wychodzące z atmosfery głównej planety układu Kura. W pewnej chwili uznał, że jest ich już dość wiele, i zawiadomił o nich swojego czekającego w nadprzestrzeni bliźniaka, ten zaś przekazał meldunek dalej.

- Żeby to cholera - mruknął Njangu, kończąc połączenie. - Zgadnij, kto pilnuje dziś starego w Taman City? Idealnie zeszło się z awansem.

- Tak - odparł Garvin. - Ale słuchaj. Wydaje mi się, że Shelbourne i tak się nada. Najpierw chyba jednak strzelimy sobie po jednym z dala od cywilizacji?

- Chcesz wprosić się do podoficerskiej?

- Dlaczego nie? Dali masę urlopów, więc nie powinno być za tłoczno. Jeden drink i ruszymy przez zatokę na pieczyste i wino, a potem wrócimy o czasie i jak grzeczni chłopcy pójdziemy spać.

Njangu albo zapomniał, albo nie chciał pamiętać o Monique Lir, która też miała powód, aby odwiedzić kasyno. Ostatni raz jako podoficer.

Wyglądało to tak, jakby tego wieczoru zniknęły wszystkie bariery. Garvin i Njangu nie byli jedynymi oficerami w tym radosnym zbiegowisku. Njangu miał wrażenie, że przyszli wszyscy żołnierze z kompanii zwiadu, oczywiście oprócz tych pechowców, którzy byli aktualnie w próżni albo na służbie.

Nie skończyło się też na jednym drinku. Każdy z nich musiał postawić kolejkę drugiemu, potem dostrzegł ich ktoś, kto już słyszał o ich awansach. Też postawił. Po chwili znalazł się następny chętny. Nieustannie podchodził też ktoś z gratulacjami i oczywiście również chciał z nimi wypić.

- Ile wyżłopaliśmy? - zaciekawił się po pewnym czasie Garvin.

- Oziemdzieziąt jedenaździe ja, szeźćdzieąt sztery wy, dupki.

- Pszy tym stole siezi tylko jeden ssamotny dupek, szyli ja.

Njangu spojrzał na niego zezem.

- Wydawało mi zię, że jezd was więcej.

- Może lepi odwołam raserwace... pszpraszam... rezerwację, co?

- Może lepi - zgodził się Njangu. - A jak będziesz wracał, powieź, szeby podali szcze jedną kolejkę. Jak tylko bar zwolni na tyle, szebyś mógł z nimi pogadać, oczywiździe. Pić mi zię kce.

- Dobra - powiedział Garvin i wstał ostrożnie. Odszukał spojrzeniem bar i wytyczył sobie kurs. Z zadowoleniem stwierdził, że udaje mu się z niego nie zbaczać, ale i tak uważał, gdzie stawia nogi.

Zatrzymał się. Ad-prem... poprawka, cent Lir... tańczyła na stole. Wyglądała na całkiem trzeźwą. Garvin zastanowił się, skąd wytrzasnęła tę szablę, którą zaprosiła do tańca, i poszedł dalej.

Odszukał telefon, przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu numeru, w końcu znalazł właściwą kartę, wsunął ją w szczelinę aparatu i poczekał na połączenie. Potem uważnie, starannie wymawiając każde słowo, przedstawił się i przekazał, że niestety, ale musi zwolnić rezerwację z powodu niespodziewanej służby...

Był bardzo dumny z siebie, jednak pod koniec rozmowy wyrwało mu się potężne czknięcie, przeprosił więc i odłożył słuchawkę.

Teraz co? pomyślał. A tak, drink dla Njangn. I dla mnie też, żeby nie pił sam. Albo po dwa dla każdego, bo barman wygląda na mocno zajętego. Tak będzie bardziej ekonomicznie.

Od strony toalet nadeszła Darod Montagna. Nie wyglądała wiele lepiej niż Garvin. Jedną ręką na wszelki wypadek wodziła po ścianie.

- Cześć! - powiedział Garvin.

Darod uniosła głowę i poznała go.

- Haut Jaansma! Gratuluję awansu, sir. Szyscy barzo się cieszą.

Garvin pokiwał głową, ale niezbyt wiedział, co powiedzieć.

Darod zrobiła krok i potknęła się. Garvin ją podtrzymał. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się cała szczęśliwa.

Wydało mu się, że pocałowanie jej będzie całkiem dobrym pomysłem, więc to zrobił. Przysunęła się do niego bliżej. Objął ją. Nie była wiele niższa niż on. Oddała pocałunek, wysuwając język. Garvin odruchowo przesunął dłoń i nakrył jej pierś. Przytuliła się.

Ktoś zakaszlał i Garvin wrócił do ogólnowojskowej rzeczywistości. Odsunął się od dziewczyny.

- Tweg wpadło coś do oka... - zaczął, ale zorientował się, że to Njangu stoi obok.

- Przepraszam, sir - wyjąkała Montagna. - Ja tylko...

- Nic nie widziałem - powiedział Yoshitaro. - Chciałem tylko przypomnieć hautowi Jaansmie, że robi się późno. Jeśli więc pani wybaczy, tweg Montagna... - powiedział z naciskiem na stopień. - Wziął Garvina za ramię i z uśmiechem poprowadził z powrotem na salę. - Chyba naprawdę już pójdziemy - syknął.

- Nie żartuj sobie - jęknął Garvin. - Powinniśmy byli pójść już wcześniej, zanim zacząłem szukać telefonu. Dzięki, dzięki, dzięki.

- Tak... Lubisz szukać kłopotów, prawda? Jestem pewien, że to o tej osobie tak mgliście niedawno wspominałeś. Dobrze, że byłem w pobliżu.

Rano Njangu patrzył na Garvina wilkiem. Odprawa była dla niego torturą, szczególnie gdy musiał odpowiadać na pytania caud Fitzgerald na temat domniemanych intencji Redrutha,

Wcześniej zajrzeli do kantyny, gdzie wypili kawę i połknęli po garści środków przeciwko nadkwasocie. Garvin bardzo uprzejmie spytał przy tej okazji, czy Njangu zna może jakieś sposoby na kaca. Yoshitaro pomyślał o surowych jajach giptela w ostrym sosie i innych obrzydliwych miejscowych receptach, ale ostatecznie powiedział, że nie ma nic lepszego od wiadra lodowatej wody i łagodnych środków przeciwbólowych. Poza całodziennym leżeniem w łóżku, oczywiście.

W rzeczywistości Njangu znał parę prawdziwych remediów na kaca, tyle że bywały one dostępne tylko na czarnym rynku narkotyków. Pojęcia nie miał, skąd mógłby je tutaj wytrzasnąć.

Westchnął z żalu za utraconą młodością i skoncentrował się na niedoli Garvina. Dzięki temu zapominał, że sam nie czuje się wiele lepiej.

Obaj nie czuli się ani trochę lepiej, gdy godzinę po odprawie w całym obozie zawyły syreny.

Lariksanie znowu ruszyli.

Dant Angara nie zamierzał czekać na przeciwnika na dnie studni grawitacyjnej. Gdy tylko otrzymał meldunek o flocie startującej z Prime, zarządził alarm bojowy dla Grupy.

Jednostki Cumbre były już zatankowane i uzbrojone, z połową załóg na pokładzie. Pozostali czym prędzej pobiegli na stanowiska.

Lądowiska planet i księżyców Cumbre zadrżały od huku startujących maszyn.

Pierwsze dotarły na wyznaczone pozycje niszczyciele klasy Kane. Obecnie było ich już dziewięć. Weszły na orbity parkingowe wkoło wyznaczonych planet i zaczęły koordynować zbieranie się pozostałych jednostek floty.

W jej składzie były obecnie nie tylko niszczyciele, aksaie i velvy. Po poprzednim ataku postanowiono uzbroić każdą jednostkę, która się do tego nadawała, co objęło zarówno maleńkie patrolowce, jak i statki handlowe czy jednostki zaopatrzenia.

Wbrew regułom sztuki wojennej, o których Redruth zapewne i tak nie pamiętał, zdecydowano się także na uzbrojenie prywatnych jednostek. Ci cywile, którzy zgłosili się na ochotnika, zostali pospiesznie przeszkoleni. Szczególnie dobrze do przeróbek nadawały się ciężkie masowce należące do Mellusin Mining.

W pobliżu planet unosiły się noszące ślady wielu starć zhukovy, a nawet griersony. Miały być odpowiedzialne za bezpośrednią obronę.

Tu i tam widać było skupiska jachtów. Z jakiegoś powodu rentierzy stali się nader wojowniczy. Co i rusz słyszało się od któregoś, że „nie byłoby od rzeczy zrobić jednak

w życiu coś więcej, może nawet trafić któregoś z tych drani albo chociaż zdrowo jakiemuś przyłożyć...?”

Niektórzy twierdzili, że pomysł wyszedł od Erika Penwytha, jednak on temu skromnie zaprzeczał. Z drugiej strony wielu dotychczasowych playboyów naprawdę miało powody, aby dołączyć z jachtami do stad łaciatych frachtowców i przypominających owczarki wyntów. Niemal każdy z rentierów stracił kogoś podczas bombardowania albo znał rodzinę, w której byli polegli.

Garvin nie wiedział, że jednym z tych jachtów był wyremontowany Godrevy.

Angara uznał, że przeciwnik skorzysta zapewne z któregoś z czterech najdogodniejszych punktów nawigacyjnych. Niemniej pierwszy z nich leżał dość daleko od serca układu, drugi zbyt blisko pasa asteroidów, co stworzyłoby zapewne spore niebezpieczeństwo dla świeżo rozbudowanej floty, szczególnie że nie było w niej jeszcze zbyt wielu naprawdę doświadczonych oficerów.

Dwa pozostałe punkty znajdowały się pomiędzy orbitami Cumbre C i D oraz tuż przed orbitą Cumbre H. Pierwszy wydał się Angarze mało prawdopodobny. Redruth, albo raczej Celidon, który zapewne dowodził flotą inwazyjną, musiał dać sobie trochę czasu na uformowanie szyków po wyjściu z nadprzestrzeni. Niemniej i tak postanowiono oddelegować do tego punktu dwadzieścia niszczycieli.

Trzon floty ustawił się nieco za orbitą gazowego giganta Cumbre H.

Czekali prawie dwa dni.

Pierwsze o pojawieniu się przeciwnika zameldowały aksaie. Lariksanie wyszli dokładnie tam, gdzie się ich spodziewano.

Ustawili się zaraz w szyk półkolisty z patrolowcami i niszczycielami na rogach łuku. Krążowniki leciały z przodu, tylko dwa pilnowały tyłów. Pośrodku trzymały się transportowce, w tym zarówno specjalne jednostki desantowe, jak i pospiesznie przebudowane frachtowce. Każdy był pełen jeszcze bardziej gorączkowo szkolonych żołnierzy.

Wszystkie ich czujniki musiały być skierowane na planety będące celem ich wyprawy, gdyż przez dłuższą chwilę żaden nie zauważył czekających z tyłu i poniżej Cumbrian.

Dzięki temu Ho i inni naprowadzający mieli dość czasu, aby dokładnie wyliczyć kurs przeciwnika. Flota inwazyjna zmierzała na Cumbre D, co oznaczało, że Redruth wybrał najmniej finezyjny wariant. Obrona Cumbre została postawiona w stan najwyższej gotowości.

Kelly i velvy weszły na moment w nadprzestrzeń i pojawiły się tuż na skraju zgrupowania wroga. Inny zespół wyrósł przed Lariksanami. W drodze na Cumbre D napastnika czekała krwawa łaźnia.

Alikhan bezwiednie zaczął mruczeć coś gardłowo. Przesuwał właśnie punkt celowania z nosa niszczyciela na okolice mostka. Po chwili dotknął sensora odpalenia.

Jeden z trzech goddardów wyskoczył z wyrzutni, namierzył niszczyciel i przyspieszył.

Alikhan zgodnie z rozkazem wrócił zaraz do nadprzestrzeni i skoczył ku drugiemu wyznaczonemu punktowi. Nie widział, jak goddard otworzył całą dziobową część niszczyciela. Wrak wypadł, wirując, z pola walki z przetrzebioną załogą zamkniętą za hermetycznymi grodziami i skazaną na powolną śmierć.

Mil Liskeard miał szczęście. W każdym razie tak mu się w pierwszej chwili wydawało. Skok przeniósł go w środek formacji transportowców. Zaskowyczał alarm antykolizyjny i Liskeard, szarpnąwszy sterami, zażegnał niebezpieczeństwo. Był jednak o wiele za blisko jednostek przeciwnika.

Zerknął na ekran. Znajdował się za szeregiem okrętów, które komp zidentyfikował jako desantowe. Operatorowi uzbrojenia rozkazał wybierać cele i strzelać wedle uznania, nawigatorowi zaś polecił wziąć kurs w poprzek formacji.

Parnell pognał przed siebie, plując rakietami. Jakiś patrolowiec próbował mu w tym przeszkodzić, ale został zniszczony. Byli tak blisko celów, że Liskeard widział na optycznej, jak transportowce wypadają z kursu i eksplodują. Powiększył obraz jednego z nich.

Chwilę później omal nie zwymiotował na przyrządy. Na ekranie widać było wyraźnie rozpadający się wrak, z którego ulatywały małe jasne obiekty: żołnierze, którym nie było dane stanąć więcej na powierzchni żadnej planety, przyjaznej czy wrogiej.

Liskeard zignorował buntujący się żołądek i nakazał powrót tym samym szlakiem. Wszyscy wolni od obowiązków mieli pomóc zbrojmistrzom ponownie załadować wyrzutnie. Parnell znowu uderzył. Liskeard wywołał okręt naprowadzania, który skierował w to samo miejsce jeszcze trzy niszczyciele i tuzin velvow. Razem dokonały masakry transportowców.

W końcu ktoś usłyszał rozpaczliwe sygnały ginących i w pobliżu pojawiły się dwa krążowniki. Jeden velv dostał, ale reszta Cumbrian zdołała schronić się w nadprzestrzeni i została skierowana na inne cele.

Na miejscu zostały tylko dwa aksaie, Bena Dilla i Boursier. Krążowniki wypatrywały większych jednostek i w ogóle nie zwracały uwagi na drobnicę. Dill wraz ze skrzydłowym ukryli się za jednym z wirujących wraków i przelecieli przez niemal cały obszar rzezi, aż zbliżyli się do jednego z niszczycieli. Był blisko, nie więcej niż tysiąc kilometrów. Boursier wypatroszyła go jednym pociskiem.

- Ben szuka grubszego zwierza - parsknął Dill. - I tym razem nie będzie „zgłoszony jako uszkodzony...” O, jesteś bydlaku!

Wystrzelił dwa goddardy, przeniósł punkt celowania na rufę krążownika i odpalił trzecią rakietę.

Wszystkie trzy trafiły niemal równocześnie i krążownik wyparował.

- Ho ho! - zawołał Ben przy otwartym mikrofonie. - Ben Dill chce medal i podwyżkę!

- Jeśli coś ci jeszcze zostało, przydałaby mi się pomoc - zasyczał Tvem, drugi z najemników musthów.

Dill poszukał go na ekranie i ujrzał dwa wrogie niszczyciele zamykające aksaia w kleszcze. Pełną mocą ruszył w jego stronę.

Boursier bez żadnych rozkazów zrobiła to samo. Leciała niecałe tysiąc metrów od Bena. Trzeci aksai wyskoczył jakby znikąd.

- Jesteśmy w drodze - rozległ się głos Alikhana.

Tvem z trudem wymanewrował dwie rakiety i odpowiedział, strzelając do jednego z niszczycieli. Jego pocisk został zniszczony, ale trzy inne aksaie były już blisko.

Prowadzący Dill odpalił jedną z czterech pozostałych mu antyrakiet w czołowy niszczyciel i ze zdumieniem stwierdził, że trafił. Zaraz potem w kadłub uszkodzonej jednostki uderzyły dwa goddardy i niszczyciel zmienił się w chmurę śmieci. Drugi strzelił raz jeszcze do Tvema i aksai eksplodował.

Dill usłyszał w słuchawkach wściekły syk Alikhana i nagle niszczyciel buchnął ogniem. Musth przeszedł obok rozpadającego się wraku i wpakował weń jeszcze jeden pocisk. Potem nie miał już do czego strzelać.

- Wracajmy po więcej rakiet - powiedział, nadal gotując się z żądzy zemsty. - Chcę ich zabić jak najwięcej.

Żołnierze Pierwszej Brygady albo czuwali obok baterii przeciwlotniczych, albo siedzieli w griersonach i zhukovach unoszących się w stratosferze i czekali tam na wroga.

Garvin tkwił w tylnym przedziale griersona dowodzenia i słuchał napływających meldunków o bitwie w próżni. Co chwila mimowolnie odsłaniał zęby.

Na jednym z ekranów widział wnętrze griersona Fitzgerald. Nie wyglądała wcale na bardziej niż on zadowoloną z przymusowej bezczynności. Ponadto dręczyło ją, że Angara

zabrał jej prawie cały sztab, jako że nie zdążył jeszcze skompletować sobie nowego. Przez to Njangu i inni byli teraz z nim i tylko Garvin kręcił się wysoko nad Cumbre D.

Wcale nie był pewien, czy podoba mu się rola oficera sztabowego, chociaż na pewno miał dzięki temu szansę pożyć znacznie dłużej.

Mimo ciężkich strat Lariksanie parli uparcie naprzód, zbliżając się do Cumbre D.

Jeszcze dwa ich krążowniki eksplodowały.

- Sir, przechwyciliśmy wiadomość - powiedział do danta Angary oficer łączności. - Pochodzi od kogoś podpisującego się Biały Lider. Wywiad sugeruje, że może chodzić o Celidona.

Wiadomość brzmiała:

Do całej floty desantowej. Kontynuujcie waszą [misję?]... Atakować wyznaczone cele na powierzchni planety. To największy dzień w historii Lariksa.

- I co to zmienia? - spytał sam siebie Angara.

Njangu spojrzał na główny ekran. Wydało mu się, że coś dostrzegł, złapał więc mikrofon i spytał o to Ho Kang. Ta przeszła na inny kanał i zamieniła kilka słów z siedzącym poniżej technikiem. Nagle rozrzucone po całym ekranie czerwone punkty zapłonęły jeszcze ostrzejszym blaskiem.

- Do wszystkich - powiedziała Ho. - Obserwujemy interesującą zmianę. Zwróćcie uwagę na podświetlone jednostki. Są to ich krążowniki liniowe, czyli okręty stanowiące największe zagrożenie. Prawie połowa ich zespołu.

Na ekranie pojawiły się zielone strzałki. Njangu usłyszał czyjeś głębokie westchnienie.

- Jak widzicie - ciągnęła spokojnie Ho - wszystkie obserwowane krążowniki zmieniają kurs i wygląda na to, że wycofują się z układu.

- Sukinsyn - powiedział ktoś powoli. Njangu zorientował się, że to on się odezwał.

- Redruth zostawia swoich żołnierzy, aby osłonić odwrót krążowników - stwierdził Angara. - Założę się o każdą sumę, że nie ma go na żadnym z tych transportowców. Teraz zacznie się rzeź. Połączcie mnie z oddziałami na dole.

Odwrót objął nie tylko krążowniki, ale i niszczyciele. Wszystkie mknęły na pełnej mocy ku miejscu w próżni, z którego wyleciały.

Haut Johnny Chaka, niegdyś jeden z zapalonych dowódców zhukovów, obecnie równie porywczy dowódca klucza czterech velvow, masakrował tyły uchodzącej formacji.

- Po jednym pocisku na okręt - nakazał oficerom uzbrojenia - Na razie wystarczy ich okaleczyć, potem wrócimy ich dobić.

Jeden z jego okrętów oberwał i wypadł z szyku. Jego dowódca zameldował, że uszkodzenie nadaje się do naprawy, ale w walce udziału wziąć nie zdoła.

Chaka zacisnął usta, ale nie pokazał po sobie żadnych więcej emocji, tylko cały czas poganiał podwładnych. Miał nadzieję, że zdążą dobrać się jeszcze do krążowników.

Transportowce zatoczyły łuk wkoło Foweya, największego księżyca Cumbre D. Garść niszczycieli nie posłuchała Redrutha i została z podopiecznymi. Teraz Cumbrianie niszczyli je jeden po drugim.

Ostrzeliwali flotę inwazyjną z powierzchni księżyców i ze wszystkiego, co latało w pobliżu. Dowódcy desantu nie mieli innego wyboru, jak tylko spróbować lądowania na Cumbre D.

Na niebie planety zapłonęły jasne smugi. Zaczął się największy pokaz spadających gwiazd w nowożytnej historii tego świata.

Na ich spotkanie wzleciały griersony i zhukovy, które były za słabe do prawdziwej walki z desantowcami, ale do niszczenia frachtowców nadawały się w sam raz.

Lariksańscy żołnierze, wśród nich wielu chorych po ostrych manewrach, których systemy kompensacyjne w pełni nie zneutralizowały, poczuli drżenie towarzyszące wejściu w atmosferę. Niektórzy usłyszeli nawet ryk rozdzieranego powietrza.

Niektórzy z lądujących nie usłyszeli nigdy niczego więcej. Sporo goddardów osiągnęło cel.

- Do wszystkich pododdziałów Pierwszej Brygady - powiedziała spokojnie Fitzgerald. - Niech każdy poszuka sobie celu. Jeśli nie zdołacie zniszczyć go w powietrzu, zaatakujcie go, gdy wyląduje. Potem zameldujcie o tym waszym dowódcom. Gdy natkniecie się na oddziały, które zdążą zakończyć, wyładunek, lądujcie i podążajcie za przeciwnikiem. Pozwólcie im się poddawać, ale nie ryzykujcie.

- I co? - spytała Jasith Mellusin. Jej jacht trzymał się za ogonem wchodzących w atmosferę transportowców.

Nowy kapitan, Halfin, który sam był rentierem, chociaż bankrutem, w swoim czasie celował w ulubionym w ich sferze strzelaniu do rzutek. Teraz rozgrywał praktycznie to samo, tyle że z użyciem statków kosmicznych. Nigdy jednak nie zabił człowieka, o tysiącu ludzi nie wspominając. Oblizał suche wargi i wyraźnie się zawahał.

Lariksański transportowiec wypełnił jeden z zamontowanych niedawno ekranów. Ten akurat był sprzężony z wyrzutnią niesterowanych pocisków fury, która zepsuła nienaganną sylwetkę jachtu.

- Zestrzel go, do cholery! - rozkazała Jasith i mężczyzna konwulsyjnym ruchem nacisnął sensor odpalania.

Fury momentalnie przeskoczyły przestrzeń między jednostkami i uderzyły w dysze transportowca. Statek zachwiał się, zadymił z dziury w boku i na wysokości dwóch tysięcy metrów wszedł w nie sterowane nurkowanie.

Uderzył w wodę, która przy tej szybkości była twarda jak stal, i rozpadł się na kawałki.

Jasith spojrzała na wzburzoną wodę i coś w niej drgnęło. Przypomniała sobie ojca zamordowanego przez Raumów, przyjaciół straconych podczas wojny z musthami i niedawno, podczas bombardowania. Na jej twarzy pojawił się upiorny uśmiech.

Halfin spojrzał na nią, ale szybko odwrócił oczy.

- A teraz poszukajmy drugiego - powiedziała.

Pomyślała, że chyba zaczyna pojmować, dlaczego Garvin został żołnierzem.

- Siadaj obok tamtych griersonów - rozkazał Garvin, dopinając uprząż.

- Tak jest, sir - odparł pilot, kierując maszynę dowodzenia ku ziemi.

Dwa pękate frachtowce przeciwnika próbowały lądować na brzegu wyspy Mullion. Pierwszy przyziemił twardo na czarnej plaży i wyorał długi korytarz w przylegającej do niej dżungli. Drugi chciał lądować wzdłuż plaży, ale uderzył w wystające skały i pękł na pół.

Wkoło zebrało się już kilka griersonów z kompanii zwiadu. Na górze krążyła para zhukovów.

Garvin dostrzegł jeńców zaganianych na wyznaczony teren. Małe patrole brały się do przeczesywania dżungli.

Miał nadzieję, że wszyscy Lariksanie poddadzą się, usłyszawszy o potworach żyjących pośród drzew i monstrach czyhających na nich w morzu.

Jego grierson wylądował, opadła rampa. Garvin nałożył hełm, sprawdził blaster i wybiegł na piasek. Dwóch żołnierzy przydzielonych mu jako ochrona zaklęło i pognało za nim.

Jaansma wiedział, że nie jest tu wcale potrzebny i że równie dobrze mógłby sobie dla sportu popływać w morzu, ale miał to gdzieś. Dawno już nie nadarzyła mu się okazja, aby

wstać od map, a poza tym chciał się trochę odegrać za to, czego on i jego ludzie doświadczyli na Kurze IV.

Z dżungli dobiegały odgłosy wystrzałów. Uśmiechnął się lekko i rozejrzał się za patrolem, do którego mógłby dołączyć.

- Sir!

Jaansma przystanął, obrócił się i ujrzał Monique Lir.

- Mogę zapytać, co pan tu robi, sir?

- Chciałem pomóc.

Lir uśmiechnęła się bez cienia życzliwości.

- Przykro mi, haucie Jaansma, ale nie pozwolę, aby tak wartościowy oficer jak pan ryzykował życie w równie mało ważnej potrzebie.

- Cholera, Monique, ja mówię poważnie!

- I ja też, sir. Muszę poprosić, aby wrócił pan do swojej maszyny. Tam będzie pan bezpieczny.

Garvin chciał jeszcze coś powiedzieć, ale pojął, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Szczególnie że Monique przysunęła się bliżej i samymi ustami powiedziała:

- Uprzedzałam, że się zemszczę.

Za nią stało dwóch uśmiechniętych ludzi ze zwiadu. Garvin nie wątpił, że jeśli dostaną stosowny rozkaz, chętnie uwolnią tego upartego oficera od ciężkiej broni i wrzucą go z powrotem do griersona.

- Dziękuję, cencie Lir - wycedził Jaansma przez zaciśnięte zęby. - Zapamiętam sobie, jak się o mnie troszczyliście.

Gdzieś z tyłu huknął wystrzał i Garvin odruchowo pochylił głowę. Dopiero po chwili zauważył, że nikt ze stojących obok nawet nie drgnął. Uznał, że chyba rzeczywiście nieco wyszedł z wprawy.

- A teraz proszę mi wybaczyć - powiedziała Lir. - Mamy tu przeciwnika, którym musimy się zająć.

Garvin wrócił do swojego pojazdu i wystartował. Nie wiedział, czy bardziej powinien się wściekać, czy śmiać.

Inwazja na Cumbre skończyła się rozwlekle. Odławianie po dżungli obdartych, głodnych i brudnych żołnierzy Redrutha potrwało ponad dwa lata.

Jeszcze jeden krok, pomyślał Angara. Szybki krok. A potem przyjdzie nasza kolej.

22

Nadprzestrzeń

Załogi nie uszkodzonych jednostek nie dostały wiele czasu na wypoczynek. Angara zmienił właśnie profil produkcji niektórych fabryk, które zaczęły wypuszczać pewne małe, ale nader tajne urządzenia, i flota otrzymała rozkaz wynoszenia ich w okolice wszystkich znanych punktów nawigacyjnych między układami Larix i Kura.

Nie były to szczególnie ryzykowne misje. Przeciwnik wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po szoku, którym była nieudana próba inwazji, i nie palił się do poszukiwania ani niszczenia obcych jednostek.

Wykonywano zatem lot za lotem i tak prawie że bez końca.

Potem okręty Cumbre nagle zniknęły i lariksańscy zwiadowcy zameldowali, że szlaki są bezpieczne.

Ohnce drugiej generacji wisiał w nadprzestrzeni w pobliżu Kury IV. Czas mijał powoli, ale dla robota nie miało to najmniejszego znaczenia.

Nagle czujnik wykrył coś i Ohnce II, który był obecnie kulą zamontowaną na szczycie niedużego cylindra, przeszedł z czuwania w tryb aktywny. Szybko wyśledził przesuwające się zaburzenie pola nadprzestrzennego. Mały hipernapęd skierował robota w stronę tego zaburzenia.

Kolejny uruchomił się obwód czujnika zbliżeniowego.

Ohnce podszedł do śledzonego obiektu, którym był frachtowiec wyładowany produktami rolnymi wiezionymi na Prime w układzie Larix. Zgodnie z instrukcją wysłał sygnał do znajdującego się gdzieś „niedaleko" w nadprzestrzeni Bohnce, że potrzebny będzie nowy Ohnce.

Sekundę później - o ile w nadprzestrzeni istnieje coś takiego jak czas - eksplodował dość blisko obiektu, aby usunąć wykryte zaburzenie.

Krótko potem w okolicy zjawił się velv, który wystrzelił kolejnego Ohnce'a mającego czekać na kolejny kurański frachtowiec. Załoga velva przeżyła kilka pełnych napięcia chwil, gdy robot namierzył ich, podszedł i śledził tak długo, aż rozpoznał własną jednostkę. „Obwąchał nas jak giptel" - powiedział potem jeden z techników.

Inne roboty czekały w pobliżu Lariksa i przechwytywały te statki z Kury, które korzystały z dalszych punktów nawigacyjnych albo manewrowały, samodzielnie wybierając poszczególne etapy podróży.

Utrata jednego frachtowca nie martwiła Redrutha, a i Celidon niezbyt się nią przejął. Jednak z czasem lista zaginionych wydłużyła się do dziesięciu, trzydziestu, a potem osiemdziesięciu jednostek, które po prostu zniknęły, nie wysławszy sygnału o zagrożeniu.

Celidon pierwszy zauważył, że przepadały wyłącznie frachtowce zmierzające z Kury na Larix. Te lecące w drugą stronę docierały do celu bez strat.

Firmy ubezpieczeniowe odmówiły ubezpieczania jednostek na tej trasie.

Celidon rozumiał już wtedy, co się dzieje, a niebawem pojął to także dyktator:

Cumbre postanowiło zagłodzić Larix i wykorzystywało do tego celu jakąś nową, nieznaną dotąd broń.

Nieco później zaczęły znikać również jednostki zmierzające z Lariksa na Kurę. Produkcja robotów rosła i można je było rozmieścić na kolejnych obszarach.

Celidon nie wiedział, co robić. Nie zmieniło się to i wtedy, gdy naukowcy Redrutha wyjaśnili w końcu tajemnicę. Zniszczeń nie powodowali rajderzy, tylko małe, w pełni automatyczne, śmiertelnie groźne miny.

Lariksanie nigdy się nie dowiedzieli, jak doktor Froude nazwał te miny. Nie starczyło im też czasu, aby znaleźć na nie jakiś sposób.

Mimo prostej budowy okazały się znacznie skuteczniejsze niż obsadzone przez najlepszych pilotów aksaie.

Ben Dill skwitował to jękiem rozpaczy. Wojna straciła dla niego wiele ze swego romantyzmu.

Cumbre D

Od rzezi Lariksan minęły dwa miesiące. Angara i jego sztab pracowali w pocie czoła.

W końcu głównodowodzący wezwał wszystkich wyższych oficerów do obozu Mahan.

- Za dwa miesiące Grupa wyląduje na planetach Lariksa i opanuje ten układ - zapowiedział. - Najwyższa pora zakończyć tę wojnę.

Cumbre D

- Chciałabym wydać przyjęcie - powiedziała Jasith Mellusin do danta Angary.

- Przyjęcie dla uczczenia zwycięstwa byłoby świetnym pomysłem - odparł Angara. - Dziękuję, że pokłada pani tyle ufności w Legionie.

- Nie, dancie. Po zwycięstwie wszyscy będą świętować. Chciałabym zrobić coś teraz... albo jak najszybciej to możliwe, jeśli się pan zgodzi.

- Skoro zależy pani na mojej zgodzie, to czy mogę spytać, kogo chce pani zaprosić? Proszę pamiętać, że niebawem wszyscy z Grupy będą bardzo zajęci.

- Chcę zaprosić całą Grupę.

Angara zamrugał oczami.

- Całą Grupę? Wszystkich nas? To jest... meldunki o naszej sile są utajnione, ale mogę powiedzieć, że włącznie z nowymi rekrutami w grę wchodzi dobrze ponad piętnaście tysięcy kobiet i mężczyzn.

- To by się zgadzało z szacunkami moich ludzi - powiedziała Jasith.

- Na święte obrazy... panno Mellusin... To będzie największe przyjęcie w historii Cumbre.

- Niezupełnie. Mój ojciec w dniu przejęcia kierownictwa nad rodzinnym interesem zaprosił wszystkich swoich pracowników i każdego, kto miał ochotę przyjść na dwudniową ucztę. Zaprosił też Raumów, czym zaszokował rentierów. Ale to było dawno. A przy okazji, proszę mi mówić Jasith.

- Nieprawdopodobne - mruknął Angara i nagle coś mu przyszło do głowy. - Wiesz... nasza propaganda mogłaby zrobić z tego niezły użytek. Na pewno można by puścić transmisję z przyjęcia również na Lariksie i Kurze. Redruth nie posiadałby się ze zdumienia, że w takiej chwili mamy czas na zabawę. Ciekawe. Może to rzeczywiście całkiem dobry pomysł, nawet jeśli tak nieprawdopodobny. Muszę się nad tym zastanowić. Odezwę się jutro. A teraz przepraszam, obowiązki wzywają.

Uśmiechnął się i ekran pociemniał.

Jasith spojrzała na Garvina, który dostał od caud Fitzgerald kilka godzin wolnego.

- Wydamy to przyjęcie.

- Skąd wiesz? Angara powiedział, że się zastanowi.

- Po prostu wiem. Kobiety czują takie rzeczy.

- A dlaczego chcesz je zrobić przed Lariksem? - spytał Garvin.

- Czasem wydajesz się naprawdę gruboskórny - powiedziała Jasith nieco szorstkim tonem. - Nie dociera do ciebie, że niektórzy z tych, co polecą, nie wrócą już na żaden bal zwycięstwa?

Garvin wzdrygnął się i pokiwał powoli głową.

- Poza tym może niektórzy chcieliby mieć co wspominać, gdy będą siedzieć w okopach pod ostrzałem - dodała Jasith. - Zamierzam zaprosić wszystkie dziewczynki z miasta. I chłopców też. I takich, co do których nie jestem pewna, również. Postaram się, aby wszyscy wiedzieli, że sprawią mi wielką przykrość, jeśli pójdą do domu sami. O ile się założysz, że dant Angara świetnie wie, o co mi chodzi?

Garvin pokręcił głową.

- Jasith Mellusin, jesteś zdumiewająca.

- Wiem o tym.

- Proszę - powiedziała niewyraźnie Monique Lir, podając Darod małe pudełko. Montagna otworzyła je i jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Co...

W środku leżały naszywki alta.

- Po co to?

- Żebym miała z kim pić - wyjaśniła Lir. - Cenci nie mogą się szwendać co wieczór po kasynie podoficerskim.

- Ale ja mam tylko...

- Dwadzieścia lat? Nie szkodzi. Na wojnie zawsze walczą młodzi, jeśli jeszcze nie zauważyłaś. Przypomnij sobie tylko, ilu idiotów dostało ostatnio awanse. Zgodnie z zasadami powinnaś opuścić kompanię zwiadu, żeby uniknąć fraternizacji z niższymi stopniami, ale po prawdzie nie ma już nikogo, kto znałby cię z dawnych czasów, więc nie ma się czym przejmować - powiedziała Lir.

- Dziękuję, szefie.

- Nie dziękuj za wiele. Jeszcze poczujesz moją rękę, nim odlecimy. Będziesz miała co z siebie wyładować podczas inwazji.

Grupa zmieniała się gwałtownie. Żołnierz wracający ze szpitala czy urlopu mógł nie poznać swojego pododdziału. Część zmian wiązała się z poniesionymi ofiarami, jednak większość wynikała z prawie dwukrotnej rozbudowy stanu osobowego Grupy. Doświadczeni oficerowie i podoficerowie awansowali i byli przenoszeni do nowych jednostek, aby utworzyć ich kadrę, chociaż czasem trzeba było aż osobistego rozkazu danta Angary, aby oporni spakowali manatki i ruszyli na nowe śmieci.

Nawet kompania zwiadu została poważnie przerzedzona i złość Lir nic tu nie zmieniła. Ton Milot i Stef Bassas awansowali na starszych twegów i zostali przeniesieni do nowego oddziału liniowego Drugiej Brygady. Sanitariuszka Jil Mahim została altem i trafiła do korpusu medycznego Pierwszej Brygady z obietnicą, że po wojnie będzie mogła podjąć studia na cywilnej uczelni medycznej. Rada Dref nie była już pilotem griersona, ale jako alt dowodziła kluczem zhukovów.

Niektórzy jednak jeszcze zostali. Lav Huran, niegdyś starszy tweg, obecnie pierwszy tweg (co znaczyło, że wszystkie trzy stanowiska dowódców plutonów zajmowały kobiety). Tweg Calafo, obecnie najstarszy podoficer drugiego plutonu. Felder, która dostała własną sekcję zajmującą się jej ukochanymi „śmieciarzami", czyli robotami zwiadowczymi, które zostały wpisane na stan kompanii. No i szturmowiec Fleam, który stanowczo odmawiał przyjęcia każdego awansu, a gdy siłą raz dano mu belkę, przez noc tak narozrabiał, że trzeba mu ją było odebrać.

Nikt z kompanii nie miał obecnie czasu na jakiekolwiek życie osobiste. Lir nie chciała obniżać poziomu wyszkolenia, więc starsi spędzali dwie trzecie czasu, przygotowując się do inwazji, a resztę poświęcali na szkolenie ochotników.

Montagna powiedziała Lir, że rzeczywiście czeka na inwazję, bo może wtedy będzie mogła wreszcie odpocząć.

- Nie połapałaś się, że o to chodzi? - spytała Lir. - Specjalnie daje się teraz każdemu w dupę, aby walka była potem miłą odmianą. Poza tym co to ma być, młody alcie? Dlaczego strzępisz tu ze mną gębę? Ruszaj się, Darod. Jest robota do wykonania.

Inne pododdziały przechodziły podobną rewolucję. Liczba rekrutów rosła i Grupa zbliżała się z wolna do nowego stanu etatowego dwudziestu tysięcy ludzi.

Erik Penwyth zasalutował energicznie.

- Wzywał mnie pan, sir?

- Tak - odparł Angara - Chcę, żebyś się podjął szczególnego zadania.

- Dziękuję, sir. Czy mogę spytać, co to za zadanie?

- Pomożesz przygotować przyjęcie.

Njangu Yoshitaro kierował się do gabinetu Angary, gdy został zatrzymany przez Ushant, jedną z adiutantek szefa.

- Chyba lepiej będzie, jak poczekasz z godzinę, Njang. Stary szuka chyba kogoś, kogo mógłby przeczołgać, i przypuszczam, że nie zrobi mu różnicy, kto to będzie.

- Dlaczego? - spytał Njangu, który miał dostarczyć tylko ostatnie dane wywiadu o przypuszczalnym rozmieszczeniu okrętów wroga. - Co się stało?

- Mil Liskeard był tu przed chwilą i rzucił Angarze na biurko swoje skrzydełka. Powiedział, że rezygnuje, że stary może zrobić z nim, co zechce, postawić przed sądem czy cokolwiek, byle nie musiał już nikogo zabijać.

Njangu zamrugał zdumiony.

- Liskeard? Ten pistolet?

- Pistoletem to on był - powiedziała Ushant. - Dant rozmawiał z nim chyba godzinę, próbował go skłonić do zmiany zdania, ale w końcu się wkurzył i kazał mu się wynosić do intendentury i czekać tam na dalsze rozkazy. Stwierdził, że na razie Liskeard ma zejść mu z oczu i po inwazji zdecyduje, czy skieruje sprawę do sądu czy nie, bo teraz nie ma czasu na takie rzeczy.

- Ale co się mogło stać? - zastanowił się Njangu.

- Nie słyszałam wszystkiego, bo musiałam odebrać rozmowę. Ale gdy skończyłam, Liskeard mówił coś o ciałach. „Ciała, masa ciał". Nie wiem. Przypuszczam, że pękł. Zastanawiające. Nigdy nie słyszałam, aby Angara nazywał go tchórzem czy jakoś podobnie.

- Tak - mruknął Njangu. - Zastanawiające. Pójdę coś zjeść i zajrzę później.

Wrócił na korytarz, ale cały czas zastanawiał się, co złamało Liskearda i czy każdy ma taką granicę wytrzymałości. Widział już ludzi po walce, ludzi płaczących, roztrzęsionych albo tępo wpatrzonych przed siebie. Niektórzy ciężko przeżyli coś strasznego, jak krwawą śmierć kumpla z oddziału czy kogoś z rodziny, z innymi nie działo się nic szczególnego. A w każdym razie nic takiego, co ktoś poza nimi by dostrzegł. Część wracała do oddziału po paru minutach spędzonych w izbie chorych, inni nie wracali wcale.

Njangu miał nadzieję, że jemu nigdy się to nie zdarzy. Już wolałby zginąć, a w każdym razie tak mu się wydawało.

- Wszyscy należycie do klanu Tvema? - spytał Jon Hedley. Przed nim stało osiemnastu musthów, wszyscy w kombinezonach bojowych, ustawieni w typowe dla obcych odwrócone V. Pośrodku tkwił musth, który przedstawił się Jaansmie jako Rlet. Miał straszny akcent, ale twierdził, że i tak mówi basikiem lepiej od pozostałych i podobno jest najlepszym pilotem z całej grupy.

- Większość z nass jest z klanu Tvema - odparł Rlet. - Niektórzy jednak pochodzą z innych, ale ussłyszeli o śmierci Tvema i też zapragnęli zemssty. Albo... jak nazywa się u wass taki sstan, kiedy krew płynie szybciej i szuka się żywszych doznań?

- Pobudzenie zmysłów - mruknął Hedley, omal nie przeciągając „s".

- Właśnie. W naszych ssektorach nie dzieje się obecnie wiele. Chcemy więc się zaciągnąć.

- Przeszliście wyszkolenie na aksaiach?

- Wszysscy. Wszysscy mamy sstopień eksspert albo sstarszego lotnika.

- Chętnie bym was ucałował - rzucił Hedley. - Powodzenia. Przy okazji poszukajcie gościa imieniem Alikhan. Jest ostatnio dość samotny. I witam w Grupie. Gdy tylko stary będzie wolny, poproszę was o złożenie przysięgi.

- Przysięgi?

- To taki nasz zwyczaj. Konieczne, abyśmy mogli dać wam nasze aksaie.

- Kwatera główna - powiedział Garvin, odbierając połączenie. - Mówi haut Jaansma.

Dopiero po chwili poznał Darod Montagne.

- Dzień dobry, sir - powiedziała. - Dzwonię w raczej mało oficjalnej sprawie, sir.

- Aha... Gratuluję awansu. Przeczytałem o tym w rozkazie dziennym, ale nie miałem kiedy zadzwonić. Przepraszam, ale mamy tu straszny bałagan. Możesz wypić na mój rachunek, bo obawiam się, że w najbliższym czasie się nie wyrwę. - Garvinowi przeszło przez głowę, że chyba zaczyna gadać głupoty. - Ale... mogę w czymś w pomóc?

- Dlatego dzwonię, sir. Już pan pomógł. Od czasu, gdy polecieliśmy na Kurę, zdarzyło się wiele... dobrych rzeczy. W każdym razie dla mnie. I chciałam tylko podziękować, że dał mi pan szansę.

- Nic nie zrobiłem - powiedział Garvin.

- Poza tym, że chyba tylko dzięki panu żyję.

- Cóż... ja zaś chyba nieco się rozruszałem. To zawsze działa w obie strony. Jak każde działanie w zespole.

Darod uśmiechnęła się.

- Wiesz, trochę dziwnie mi teraz mówić do ciebie „sir" zamiast po imieniu albo „szefie". Ale rozumiem, że nie jesteś już w zwiadzie.

- Wszystko się zmienia.

- Tak jest zawsze, prawda? Zobaczymy, co jeszcze przyniesie przyszłość. Ale przepraszam, że zawracam głowę. Zabieram czas. Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

- Proszę... Darod.

Znowu się uśmiechnęła.

- I jeszcze jedno... Garvinie. Aż tak pijana nie byłam.

Ekran pociemniał.

Doprawdy niezwykłe, pomyślał Garvin. Pewnie powinienem zwrócić się do Lir. Ale i tak chyba jeszcze skomplikuje mi to życie. Tylko dlaczego wcale mnie to nie martwi?

„Przyjęcie u Jasith" przeszło do historii Cumbre i Grupy. Jasith nigdy nie zwierzyła się nikomu, ile kosztowała ją cała impreza, ale szacunki wahały się między milionem a trzema milionami kredytów.

Z grupy zjawiło się „tylko" około czterech tysięcy siedmiuset ludzi, bo połowa przebywała w kosmosie albo na innych planetach układu, a jedna czwarta składu, zgodnie z wymogami ustalonymi przez Angarę, pełniła normalną służbę. Inni jeszcze okazali się odporni na podobne pokusy albo mieli własne pomysły, jak spędzić wieczór. Oczywiście z latami opowieści o przyjęciu obrastały coraz bardziej w legendę i liczba gości wyraźnie rosła.

Jasith opróżniła na tę okazję jedno z lądowisk Mellusin Mining, łącznie cały kilometr kwadratowy. W każdym z rogów ustawiono po niszczycielu klasy Kelly, a między nosami wspartych na statecznikach jednostek rozwieszono wspomagany antygrawitacyjnie olbrzymi dach przypominający monstrualną pajęczynę. W rzeczywistości były to połączone klamrami wstęgi kopalnianych powłok filtrujących.

Pośrodku pola urządzono wystawę sprzętu: aksai, velv, wynt, grierson i zhukov. Uśmiechnięci żołnierze zachęcali do ich oglądania. Niektórzy współczuli im tej pracy, aż jedna z dziewczyn w mundurze stwierdziła: „Jesteście głąby. Dzięki temu mam dość numerów chłopaków na najbliższe tysiąc lat".

Tło muzyczne zapewniała powszechnie znana i szanowana Orkiestra Symfoniczna Seya. Transportowce dowoziły żołnierzy z obozu Mahan i innych garnizonów w całym układzie. Wszyscy byli oczywiście w mundurach wyjściowych. Zaproszeni cywile zjawiali się w strojach wieczorowych albo w tym, co kto miał najlepszego. Parkowali pojazdy w pobliżu i mieszali się z tłumem, który był tak liczny, jakby Jasith na wzór ojca zaprosiła całą planetę.

Loy Kuoro też dostał zaproszenie. Chciał je zignorować, obawiając się, że zrobi z siebie jeszcze większego błazna, ale i tak nie wytrzymał. Zjawił się z zaciśniętymi zębami na godzinę przed końcem. „Matin" poinformował o przyjęciu, ale nie na pierwszym miejscu.

Były też oczywiście długie stoły z najrozmaitszymi potrawami i do woli lżejszych napitków. Nikt nie wyszedł głodny ani całkiem trzeźwy.

Njangu Yoshitaro pomógł wyjść Maev Stiofan, a Jon Hedley wyłączył silnik i pobiegł otworzyć drzwi Ann Heiser.

Cała czwórka przystanęła na chwilę, podziwiając misterny dach.

- W nocy jak głośne szumi ucztowanie! - zacytował nagle Njangu. - W stolicę Belgii ściągnęła biesiada / Walecznych mężów i nadobne panie. / Z lamp na ich lica blask smugami pada.

Pozostali spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Nie wiedziałem, że lubisz Byrona - powiedział Hedley. - Do diabła, nie myślałem, że na całym Cumbre jest ktoś, kto o nim słyszał.

- Czytałem to kiedyś w dzieciństwie. Chodziło o noc przed jakąś bitwą... - odpowiedział nieco zakłopotany Njangu.

- Mądry jesteś - powiedziała Maev, wyraźnie pod wrażeniem.

- Cały ja - zaśmiał się Njangu. - Po uszy w mądrościach.

Dant Angara tańczył ze swoją niewysoką, wesołą i przyjaźnie nastawioną do świata żoną. Ci, którzy próbowali do niego podejść, byli powstrzymywani przez adiutantów i możliwie jak najuprzejmiej informowani, że dant jest tu prywatnie i chce spędzić mile trochę czasu z kimś bliskim.

Niedaleko tańczyli też Maev i Njangu.

- Nie przesadzasz? - spytał Yoshitaro. - Lariksańskich zabójców chyba tu nie zaproszono.

- Ale akurat wypada moja zmiana - powiedziała Maev. - Zapominasz, że sypiasz z żołnierzem?

Njangu roześmiał się. Maev odpowiedziała uśmiechem.

- Ale T'laan jest cały czas w pobliżu, możemy więc w każdej chwili pójść coś zjeść i wypić.

- Może za moment. Całkiem mi tu dobrze.

- To zamknij się i tańcz.

- Tak jest, proszę pani - powiedział Njangu.

Lord Byron, Wędrówki Childe Harolda, w przekładzie Jana Kasprowicza i Józefa Paszkowskiego.

Maev położyła głowę na jego ramieniu.

- Szczęśliwa? - spytał po chwili.

- Jasne. Wiesz, o czym myślałam? Jak to będzie po wojnie.

Njangu skrzywił się lekko.

- W takich sprawach jestem trochę przesądny.

- Nie trzeba. Złego diabli nie biorą. Szczególnie gdy złe działa zgodnie z prawem - dodała z przekąsem.

- Dzięki. A co chodzi ci po głowie na... na później?

- Nigdy nie wiem, co mnie ruszy. Innych tym bardziej - powiedziała tonem przeprosin.

- Witaj w klubie. Masa nas tutaj.

- Zastanawiałam się, czy może... mogłabym pójść na studia. Na psychologię, może socjologię.

- Nie wiem, czy mi się to podoba - mruknął Njangu. - Tak się wykształcisz, że cały czas będziesz krok przede mną.

Maev roześmiała się dźwięcznie.

- Ależ tak jest cały czas. Dopiero teraz to zauważyłeś?

- Co myślisz o dzieciach? - spytał Hedley, siadając wraz z Ann do stołu. Kelner w bieli spytał, czy chcą coś do picia, i odszedł z zamówieniem.

- Konkretniej, Jon - powiedziała Heiser. - Masz na myśli dzieci z rożna, dzieci jako studentów, towarzystwo do rozmów czy jako naukowców?

- Myślałem o takich dzieciach, co się je ma.

- Aha. To oryginalne pytanie. Czy zadałeś je z jakiegoś szczególnego powodu?

- No... nie całkiem. Jestem po prostu ciekaw.

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł.

- Chyba wybrałem złą chwilę - mruknął Hedley.

- Też mi się tak wydaje - zgodziła się Heiser. - Ale skoro cię to męczy, sprecyzujmy, o czym mowa. Chodzi ci o własne, twoje dzieci?

- W zasadzie tak.

- W zasadzie? Czyżbyś podzielał wiarę w niepokalane poczęcie?

- Ann, daj spokój, dobrze? Nigdy nie myślałem, że zadam komuś takie pytanie, a tu...

- Tak, Jonie Hedley - powiedziała całkiem poważnie Ann Heiser. - Czekałam na to pytanie. Odpowiedź brzmi: tak.

- A co to oznacza? - spytała Jasith, oglądając bransoletkę, którą dostała od Garvina, całą gładką poza jednym zdobieniem.

- To podobizna lariksańskiego okrętu - powiedział Garvin. - Odtworzona tak wiernie, jak jubiler potrafił to zrobić. - Takiego jak ten, który zestrzeliłaś. Widzisz, jest tu miejsce na więcej.

- Hm... Jasith Mellusin, as sił powietrznych Legionu. Jak z romansu.

- I owszem.

- Dlaczego?

- Chciałem, żebyś wiedziała, jak wielkie wrażenie zrobiło na mnie to, czego dokonałaś. I to, jaka jesteś.

- Więc mnie pocałuj, Garvinie Jaansma. Też robisz na mnie wrażenie.

Garvin pocałował ją. Po dłuższej chwili oderwali się od siebie. Akurat w porę, aby Jaansma mógł dostrzec Darod Montagne przetańcowującą obok z jakimś wysokim centem. Garvin znał go chyba z widzenia.

Oderwał od nich spojrzenie i znowu pocałował Jasith.

- I na domiar wszystkiego jeszcze namiętny - powiedziała.

- Mam nadzieję.

- Może chciałbyś ze mną zatańczyć? - Jasith zachichotała. - Bo jeszcze chwila, a pękną ci spodnie.

- To nieustające ryzyko. Szczególnie gdy z tobą tańczę.

- No to może lepiej poszukajmy jakiegoś ciemnego kąta.

- To naprawdę coś - powiedział Danfin Froude, złożywszy gratulacje Heiser i Hedleyowi. - I wyszło praktycznie: nie będziesz musiała zmieniać monogramów na pościeli, Ann.

Pani fizyk roześmiała się.

- Mężczyźni są tacy romantyczni, prawda, Ho?

- Istotnie, bywają - powiedziała Ho Kang. - Ale czy praktyczność to wadi.?

- Danfin, lepiej od razu się jej oświadcz - powiedział Hedley. - Nie sądzę, abyś kiedyś znalazł kogoś lepszego.

Kang nieco się zarumieniła.

- Po prawdzie noszę się z tym zamiarem, ale nigdy nie myślałem, aby robić to przy świadkach.

- Dobrze, już się zbieramy, szkoda muzyki - powiedział Hedley. - To chyba jest zaraźliwe - dodał półgłosem i złapawszy Heiser za rękę, poprowadził ją na parkiet.

- Mówiłeś poważnie? - spytała Ho.

- Nigdy nie byłem bardziej serio - odparł Froude i wyciągnął z kieszeni jakieś pudełeczko. Otworzył je. Blask świateł zagrał na szlifach całkiem sporego diamentu.

- Och. Ty naprawdę nie żartowałeś. - Dotknęła swoich długich czarnych włosów i spojrzała na swoją szczupłą sylwetkę. - Nigdy nie sądziłam, że ktoś...

- Daj spokój - powiedział Froude, biorąc ją w ramiona i całując.

- Chyba nie mam większego wyboru, co? - powiedziała chwilę potem Ho. - Nie, żebym chciała czegokolwiek innego...

Inni też nawiązali tego wieczoru rozmaite stosunki, chociaż z reguły nie były one tak oficjalne i raczej tymczasowe.

Angara patrzył na wymykające się pary i myślał, że następnego dnia będzie musiał albo sfałszować raport, albo napisać prawdę o najgorszym poranku w historii Grupy.

- I co zrobisz, kochanie? - spytała jego żona.

Angara pomyślał, że chyba myślał głośno, ale jednak nie.

- Czasem przeraża mnie, jak to po latach wspólnego życia zna się drugą osobę tak dobrze, że z góry wie się, co pomyśli - mruknął. - Sądzę, że Grupa pobije jutro rekord, jeśli chodzi o czyste toalety.

- Nie możesz raz przymknąć oka?

- Oczywiście, że nie - powiedział Angara.

- Oczywiście, że nie - powtórzyła jak echo jego żona.

Darod Montagna tańczyła aż do końca, często zmieniając partnerów, a potem sama wróciła na kwaterę. Wcale nie była z tego powodu nieszczęśliwa.

Tydzień później żołnierze Grupy zaokrętowali i wyruszyli na ostateczną konfrontację z Redruthem.

24

Larix

Pierwsza fala wymiotła lariksańskie jednostki z przestrzeni kosmicznej. Cumbrianie nie podejmowali zbędnego ryzyka i nie silili się na heroizm. Każdy niszczyciel wroga atakowały co najmniej trzy mniejsze niszczyciele Cumbre naprowadzane przez któregoś z Kane'ów.

Velvy ogarnęły wskazane im patrolowce. Użyto też aksaiów działających w kluczach po co najmniej cztery maszyny. Ich zadaniem była likwidacja jednostek pomocniczych.

Samotni myśliwi w rodzaju Dilla i Alikhana wściekali się oczywiście na takie rozkazy, ale cel został osiągnięty: straty własne były minimalne.

Jednostki Lariksa zostały zepchnięte na planety układu, obecnie tak samo izolowane jedna od drugiej jak Larix od Kury.

Wtedy w przestrzeni pojawiły się transportowce z eskortą. Na ich pokładach piechota czyściła broń, ostrzyła noże, no i oczywiście nadstawiała uszu na rodzące się nie wiadomo gdzie pogłoski.

Według niektórych przeciwnik zamierzał się poddać i miało nie być żadnej inwazji.

Inne głosiły, że Larix dysponuje tajną bronią i to dlatego dopuścił ich tak blisko własnych planet. Flota może zostać w każdej chwili zniszczona.

Poza tym: owszem, będzie inwazja, i to krwawa, gdyż wszystkie ukryte do tej pory okręty Lariksa wylecą zaraz z tajnych baz i unicestwią lądujących, zanim postawią nogę na ziemi.

Największym jednak powodzeniem cieszyła się wersja, wedle której cała inwazja miała być zwykłym spacerem. Uzasadniono to tym, że podczas próby inwazji Cumbre Lariksanie nie walczyli wcale jak lwy.

Większość oficerów też uważała, że będzie to szybka wojna, po której nastąpi szereg awansów i wszyscy wrócą do domu.

Garvin, Njangu i Maev za każdym razem jasno mówili, co myślą o takich bzdurach. Na Cumbre D przeciwnik nie popisał się, bo nie był u siebie i nie widział sensu tej napaści. Broniąc własnych domów, zachowa się zupełnie inaczej.

Większość nie brała ich słów poważnie. Jakoś nie liczono się z tym, że wspomniana trójka należała do naprawdę skromnej gromadki, która miała okazję osobiście poznać Lariksan. Akcje „dobrze poinformowanych źródeł" stały wyżej. Zwłaszcza jeśli się nie wnikało, co to właściwie za źródła.

Ku swojemu rozczarowaniu Garvin odkrył, że caud Fitzgerald myśli podobnie jak większość.

- Widzieliśmy przecież, jak kiepsko są wyszkoleni - powiedziała. - Starczy kilka mocnych uderzeń i zaczną wywieszać białe flagi.

Dant Angara i Hedley pozostali przy swoim sceptycyzmie.

Zaczął się etap trzeci. Niewielkie eskadry zaatakowały trzy mniej ważne planety układu, niszcząc wszystko, co wpadło im w oko w powietrzu i na lądowiskach.

Jednak główne uderzenie było skierowane na Larix. Kolejne naloty pustoszyły lądowiska. Każda maszyna dostrzeżona w powietrzu czy na ziemi była zaraz niszczona, zresztą razem z lotniskami, wieżami kontrolnymi, zapleczem technicznym i zakładami przemysłowymi oraz stoczniami. Straty Cumbre zaczęły rosnąć. Miejscowa obrona przeciwlotnicza była całkiem dobrze wyszkolona i dysponowała nowoczesnym uzbrojeniem, w tym wyrzutniami pocisków przypominających fury, tyle że zdalnie naprowadzanymi, sprzężonymi z radarem automatycznymi działami kalibru 100 milimetrów i sprzężonymi działkami do rażenia nisko lecących celów. Te ostatnie mogły się wymieniać namiarami celów.

W drugiej kolejności atak zwrócił się ku budynkom rządowym, instalacjom ogólnowojskowym, środkom transportu publicznego, statkom nawodnym i sieci energetycznej. Wcale nie tak rzadko zdarzało się przy tym, że poza właściwym celem pociski spadały też na okolicę, w tym i na domy zwykłych ludzi. Ginąć zaczęli również cywile.

Wciąż twierdzono jednak, że gdy w końcu dojdzie do lądowania, reszta okaże się spacerkiem. Nie będzie nawet do kogo strzelać i zostanie tylko zaganiać do niewoli zdemoralizowanych żołnierzy przeciwnika.

Dill, Boursier i Alikhan, którzy pamiętali, jak bardzo nieskuteczne okazało się lotnictwo wobec rozproszonych oddziałów piechoty na Cumbre, woleli na razie się nie odzywać.

Zauważyli niemniej, jak zmyślnie Lariksanie rozmieścili pozostałe im jeszcze okręty. Każdy magazyn, park czy oznakowany jak należy szpital mógł być w gruncie rzeczy zamaskowaną kryjówką. No i nikt nie wiedział, gdzie się podziewają ocalałe krążowniki.

Krajobraz Prime nabrał cech księżycowego. Sieć komunikacyjna była poprzerywana, w miastach co rusz ziały pustką połacie ruin. Jednak nie był to krajobraz cichy. Piloci Cumbre nie zdołali do końca zdusić ognia przeciwlotniczego i często któregoś z nich zestrzeliwano.

Do akcji wprowadzono griersony i zhukovy. Zasypały przeciwnika bombami i rakietami, ale go nie zniszczyły.

Sztab nieustannie aktualizował zestawienia, badał zdjęcia powietrzne i wyniki nasłuchu łączności przeciwnika. Angara przeniósł swój proporzec na zmodyfikowany desantowiec Bastogne. Wiedział, że powinien dowodzić z orbity, skąd miałby najlepszy ogląd sytuacji, ale był starym piechociarzem i wzdragał się wysyłać żołnierzy tam, gdzie jego samego nie było.

Następnego dnia obwieścił, że już pora, aby pierwsza fala desantu wylądowała na Prime.

25

Prime

Celidon przeszedł przez tuzin posterunków straży. Wijący się korytarz prowadził do stanowiska dowodzenia, które Redruth przemyślnie ulokował nie pod pałacem, ale prawie pół kilometra obok niego.

Jest sprytny, ale nie dość, pomyślał Celidon. Wprawdzie odsunięcie centrali od pałacu mogło uchronić dyktatora przed pogrzebaniem pod ruinami w razie ataku atomowego, ale nijak nie pomagało uporać się z innymi problemami. Celidon poruszał się ostatnio na pokładzie ayeshy z czterema maszynami osłony, które w razie potrzeby miały wziąć na siebie ogień przeciwnika, ale i tak nie był to zbyt bezpieczny sposób przemieszczania się. Zaraz po opuszczeniu bunkra Celidona, zbudowanego obok jednego z największych lotnisk, ledwie uniknęli pary patrolujących velvow, a ledwie najemnik wysiadł, na maszyny jego zespołu zapolował samotny aksai.. Celidon schodził coraz niżej. Mijał sale z kompami, kolejne pomieszczenia sztabu, a nawet kwatery mieszkalne i bary.

Dwóch gwardzistów pod bronią wpuściło go do gabinetu Redrutha. Pozostali tam razem z nim w postawie na baczność, z dłońmi na kaburach.

Gabinet, przestronne pomieszczenie o stalowych ścianach i drewnianej podłodze, zawieszony był wielkimi ekranami i mapami. Nad stołem przesuwały się hologramy. Poza tym było ciemno, tylko tu i ówdzie jarzyły się jakieś lampki. Na podłodze obok strażników widniała ciemna plama.

Redruth siedział za biurkiem i wpatrywał się w ekran. Celidon podszedł do niego i zasalutował z kamienną twarzą. Był bardzo dumny z tego, że nawet w najtrudniejszej sytuacji zawsze potrafi zachować spokój. Teraz było to tym cenniejsze, że dyktator wyglądał fatalnie. Jego twarz była poorana zmarszczkami, chociaż jeszcze przed miesiącem wyglądał całkiem młodo.

Nagle Celidon ujrzał swoje odbicie w jednym z ekranów i spostrzegł, że wcale nie wygląda lepiej.

- Witaj, leiterze - powiedział Redruth, nie oddając salutu. - Wezwałem cię, bo wiem w końcu, jak pokonać Cumbryjczyków i wyrzucić ich z naszego układu. - Drgnęła mu powieka. Raz, potem drugi. - Proszę. Plan jest na ekranie. Przyjrzyj mu się uważnie, bo chcę, żebyś to ty poprowadził żołnierzy do boju.

Celidon zauważył, że nawet tutaj, w sercu swojego królestwa, Redruth nosi broń boczną. Nigdy wcześniej się to nie zdarzało.

Białowłosy najemnik spojrzał na ekran i raz jeszcze podziękował losowi za opanowanie.

- I jak?

Celidon spróbował ogródkami:

- W ostatnich meldunkach doniesiono, że Heifet i Qaaf zostały uszkodzone podczas bombardowań i nie są zdolne do lotu, zatem nie będą mogły wziąć udziału w tej akcji. - Nie dodał, że uwzględnione w rozkazach flotylle niszczycieli od dłuższego czasu są już tylko wspomnieniem.

Redruth jakby wcale go nie usłyszał.

- I jak? - spytał ostrzejszym tonem.

Celidon spojrzał na dyktatora i ujrzał źrenice rozszerzone jak w ataku gorączki.

- Mam być szczery, sir?

- Jak zawsze!

- To jest... - zastanowił się, jak to powiedzieć - ...nie najszczęśliwszy pomysł. Nasze krążowniki nie mają wsparcia koniecznego dla dokonania tak śmiałego uderzenia. Podziwiam jego rozmach, ale obawiam się, że w tej chwili będzie to samobójczy rajd. Myślę, że...

- Dość! - odezwał się Redruth, podnosząc głos niemal do krzyku. - Jesteś taki jak inni. Bez wizji, bez tej odwagi, która cechuje wielkich, odróżniając ich od maluczkich. Nic, tylko byście myśleli! Rozważałem ten plan od chwili, gdy Cumbrianie wtargnęli do układu. Nie życzę sobie, abyś kwestionował jego sens. To nie twoja rola, Celidon! Masz wykonywać rozkazy, moje rozkazy, i to tak dokładnie i skutecznie, jak tego chcę. Miałem o tobie lepsze zdanie. Zawsze mnie wspierałeś i podziwiałeś mój geniusz. Teraz jak cała reszta wahasz się i drżysz ze strachu. Ale trudno. Może zbyt wiele od ciebie oczekiwałem. W tej sytuacji wydaję ci rozkaz: masz natychmiast wcielić mój plan w życie. Nadałem mu kryptonim Gwiazda Przewodniczka, bo jak dobra gwiazda jaśniejąca nad horyzontem poprowadzi moją armię i mój lud do zwycięstwa. Nawet samotne uderzenia mogą przeważyć losy wojny, jeśli są dziełem wizjonerskiego i genialnego umysłu. Gwiazda Przewodniczka będzie taką właśnie akcją! - Głos Redrutha znowu urósł prawie do krzyku. - Rozkazuję ci więc działać! Czeka nas ostateczne zwycięstwo! Czy to zrozumiałe, leiterze Celidon?

- Oczywiście, panie protektorze - odparł najemnik spokojnym głosem.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Obawiałem się przez chwilę, że zawiedziesz mnie jak... jak inni. Plan został przygotowany aż do najdrobniejszych szczegółów. Wykonaj go, nim upłynie doba, a potem zameldujesz o zdziesiątkowaniu wroga!

Celidon wziął dysk z planem, zasalutował sprężyście, wykonał w tył zwrot i pomaszerował do drzwi. Wartownicy zasalutowali i pospiesznie otworzyli drzwi.

Wychodząc, zerknął jeszcze w lewo.

Teraz już wiedział, skąd się wzięła ta plama na podłodze.

Przez głowę przebiegła mu myśl, że protektor zwariował, jednak zaraz szybko ją odepchnął.

26

Osiem monstrualnych krążowników liniowych wyłoniło się ze swoich legowisk. Analitycy Grupy szukali ich od chwili, gdy flota inwazyjna weszła do układu, ale Redruth i jego eksperci od kamuflażu okazali się naprawdę przebiegli. Okręty zostały ukryte w tunelach wydrążonych pod miastami, w powiększonych górskich jaskiniach albo pod powierzchnią jezior. Próbowano tropić kompleksy kwater ich załóg i zaplecza technicznego, ale te porozmieszczano w zwykłych domach (gdy chodziło o miasta) albo pod ziemią (w pozostałych wypadkach). Zresztą okręty zostały przed przebazowaniem w pełni wyposażone i sprawdzone, nie trzeba więc było wiele przy nich robić.

Niczym antyczne potwory wzniosły się w powietrze, budząc wszelkie możliwe alarmy.

Dwa nigdy nie wyszły poza atmosferę. Jeden został trafiony bezpośrednią salwą z wszystkich wyrzutni dwóch niszczycieli i natychmiast eksplodował, drugiego wypatrzył samotny aksai, którego pilot bardzo wziął sobie do serca otrzymane rozkazy. Na pełnej szybkości wbił się w kadłub krążownika tuż pod mostkiem. Wyćwiczona załoga mogłaby zapewne uratować okręt, ale na pokładzie byli tylko ludzie wstępnie przyuczeni do wykonywania określonych obowiązków i brakło im doświadczenia bojowego. Krążownik wymknął się spod kontroli i spadł korkociągiem na centrum miasta, gdzie eksplodował.

Sześć wyszło w przestrzeń. Zgodnie z rozkazem Redrutha miały się skupić na niszczeniu głównego celu - transportowców. Flota wojenna przeciwnika była celem drugorzędnym.

Desantowce w szyku schodkowym czekały na orbicie geosynchronicznej nad wyznaczonymi obszarami.

Ponieważ Larix utracił panowanie w kosmosie, niemal wszystkie jednostki Cumbre znajdowały się albo w atmosferze, albo na jej granicy, gdzie czekały na sygnał, aby udzielić wsparcia lądującym oddziałom. Niektóre zostały nawet przesunięte na inne planety układu, gdzie miały służyć jako statki zaopatrzeniowe.

Pomiędzy krążownikami a flotą inwazyjną znajdowała się tylko jedna rozproszona formacja niszczycieli. Większość ich dowódców wiedziała, co zrobić, i zaatakowała. Jeden krążownik stracił napęd, drugi też miał poważne uszkodzenia. Niszczyciele jednak oberwały jeszcze gorzej i zostały odrzucone, a pięć sprawnych lewiatanów ruszyło dalej. Ich oficerowie ogniowi zaczęli już wybierać cele.

Poza nimi na placu boju pozostała tylko cumbryjska grupa bezpośredniej osłony transportowców. I jeden niszczyciel naprowadzania.

Alt Ho Kang spojrzała na ekran ukazujący szarżujące krążowniki. Zameldowała o tym odległym zgrupowaniom floty i usłyszała, że na razie musi sobie radzić sama i nic nie da się zrobić. Poza jednym.

Włączyła mikrofon. Mimo dławiącej guli w gardle starała się mówić jak najspokojniej:

- Uwaga, Owczarki. Mówi Vann Matka. Macie wroga na ekranach. Atakować. Powtarzam, atakować.

Nie czekając na potwierdzenie odbioru, połączyła się z mostkiem Al Maouna.

- Kurs na okręty przeciwnika. Cała naprzód.

Oficer wachtowy zawahał się i spojrzał na kapitana. Ten skinął głową. Oficer wydał rozkazy.

Osiem małych jednostek z Al Maounem na przedzie zaatakowało pięć potężnych krążowników liniowych.

- Uwaga, Owczarki - odezwała się Ho. - Strzelać, gdy wróg będzie w zasięgu. Utrzymywać pozycję w szyku. - Znowu połączyła się z mostkiem. Dajcie kapitana... Sir, mówi Ho Kang. Sądzę, że największe szansę będziemy mieli na orbicie Yad, trzy, cztery, pięć, kierunek Melm, cztery, cztery, jeden.

- Ustawi nas to nad krążownikami?

- Zgadza się. Może potem uda nam się odejść szerokim łukiem. Sugerowałabym ogień salwami... jeśli tylko będzie można. Byle im utrudnić zadanie.

Kapitan uśmiechnął się smutno.

- Przynajmniej ich nastraszymy, co?

Kang też się uśmiechnęła i nic nie mówiąc, zakończyła połączenie. Spojrzała na wielki ekran. Z niższych orbit podchodziły ku nim flotylle cumbryiskich niszczycieli.

Za daleko i za późno, pomyślała.

Leiter na mostku prowadzącego krążownika też spojrzał na ekran.

To absurd, pomyślał. Te blaszanki przeciwko nam? Odważni głupcy.

Nagle coś go zaniepokoiło.

Może mają jeszcze coś, czego nie wykryliśmy? Jakąś nową broń w rodzaju tej nadprzestrzennej?

- Jesteśmy w zasięgu, sir - powiedział oficer ogniowy.

Leiter jednak jeszcze się wahał.

Ho Kang dojrzała ogniki na nosach dwóch prowadzących niszczycieli. Po chwili pozostałe też otworzyły ogień.

- Mamy odpalenia - rozległo się na mostku krążownika.

- Przeciwdziałanie - rozkazał wachtowy i antyrakiety pomknęły na spotkanie goddardów.

- Sir? - spytał oficer ogniowy.
- Strzelać - rozkazał leiter.

Krążowniki kolejno odpaliły salwy.
- Mamy cztery... nie, pięć namierzających nas pocisków - zameldował technik Al Maouna. - Antyrakiety wystrzelone. Naprowadzam.
Minął jakiś milion lat.
- Dwa... trzy pociski zniszczone. Druga salwa antyrakiet wystrzelona. Naprowadzam.
Ho spojrzała na ekran. Nie musiała sprawdzać oznaczeń kodowych, aby rozpoznać coraz bliższe pociski przeciwnika. Przez moment ogarnął ją dojmujący żal, że nigdy nie wyjdzie za mąż, nie będzie miała dzieci, nigdy nie pójdzie na studia, nie dożyje swojego życia...
Dwa pociski uderzyły w Al Maouna w tym samym czasie. Lekko opancerzony niszczyciel zniknął, jakby nigdy go nie było.

Po chwili rozpadł się jeszcze jeden niszczyciel Cumbre. Ale pozostałe pięć nadal strzelało.
Coś jest nie tak, bardzo nie tak, pomyślał leiter. Nikt nie jest tak głupi.
Chyba że... oczekują, że będziemy atakować jak teraz i wpadniemy prosto w pułapkę.
- Kapitanie, chcę zmienić plan walki - powiedział.
- Tak jest, sir - odparł kapitan, którego też trawiły wątpliwości.
- Zmienić kurs tak, abyśmy wyszli „nad" te transportowce. W ten sposób Prime będzie kowadłem, a my młotem, który je zmiażdży. Przekazać na pozostałe okręty, aby powtórzyły nasz manewr.
- Tak jest. - Kapitan skinął na nawigatora, który szybko wyliczył nową trajektorię i przekazał dane na inne krążowniki.

Ledwie zakończyli pierwszy skok, niszczyciele Cumbre zaatakowały ich z „góry" i z „lewej".
Wypluwając deszcz antyrakiet, krążowniki zapomniały o pozostałych Owczarkach, które skorzystały z okazji. Dwa z nich wystrzeliły salwy w skrajne okręty. Jeden goddard przedarł się do celu i ugodził krążownik bezpośrednio w napęd nadprzestrzenny. Olbrzym wypadł z szyku prosto pod wyrzutnie nadciągających niszczycieli i wybuchł
Układy naprowadzające kolejnego wysiadły przeciążone zbyt wielką liczbą celów dla antyrakiet. Nic dziwnego - brakowało mu lekkich jednostek osłony. Został błyskawicznie zdruzgotany, ale załoga miała szczęście. Ci, którzy przeżyli utratę powietrza, zostali później podjęci z wraku przez patrolowce.
Kapitanowie pozostałej czwórki pojęli, że wobec takiej liczby nieprzyjaciół nie mają najmniejszej szansy dotrzeć do transportowców. Obawiali się wprawdzie gniewu Redrutha, ale dyktator był daleko, a Cumbryjczycy tuż obok.
Kolejny krążownik został zniszczony już w jonosferze Prime. Dostał cztery pociski i cały w ogniu i dymie runął na zbocze góry. Kolejny eksplodował zupełnie niespodziewanie, a później nikt się nie przyznał do trafienia giganta.
Trzeci musiał zostać uszkodzony, gdyż z trudem wylądował przymusowo na terenie zniszczonej kopalni. Piloci skierowanych tam aksaiów ujrzeli uciekającą w panice załogę. Chwilę później krążownik został dosłownie rozstrzelany.
Ostatniemu udało się wylądować na głównym lotnisku Aguru, gdzie został od razu zamaskowany. Załogę aresztowano i uwięziono. Wszyscy oficerowie zostali rozstrzelani za tchórzostwo, resztę tylko zdziesiątkowano.
Zanim ostatnia ofiara padła na ziemię, plując krwią, aksaie wypatrzyły ukryty pod sieciami maskującymi krążownik i obróciły go w złom.

Protektor Redruth przyglądał się egzekucjom, a powieka drżała mu coraz bardziej.

Celidon chodził tam i z powrotem po małym gabinecie w środku własnego bunkra. Jego sztabowcy tylko patrzyli na szefa, bojąc się zapytać, co poszło źle podczas spotkania z protektorem.

Najemnik zastanawiał się nad tym, jakie mu zostały możliwości. Nie było ich wiele, szczególnie że wcześniej okazał się dość rozsądny, aby nie pchać się na pokład flagowego krążownika.

W zasadzie zrobić mógł już tylko jedno. Bardzo mu się to nie podobało, ale przynajmniej było logiczne. I niemal na pewno gwarantowało przeżycie.

Nagle pojaśniał. Przeżycie i być może szansę zemsty w przyszłości.

27

Nie rozbudowana jeszcze do etatowego stanu Druga Brygada została wyznaczona do zajęcia pomniejszych miast na Prime. Hedleyowi wcale się to nie podobało, ale musiał ustąpić przed logiczną argumentacją. Inne planety Lariksa w ogóle zostały na razie pominięte. Zakładano, że potem będzie czas martwić się o pomniejsze cele. O ile ich garnizony same o siebie nie zadbają i nie skapitulują.

Pierwsza Brygada miała wziąć Agur. Dant Angara sądził, że upadek stolicy i uwięzienie albo zabicie przywódców reżimu - jeśli szczęście dopisze, także protektora - może skłonić resztę leiterów, by poprosili o pokój.

Transportowce ruszyły się z orbity. Do stolicy prowadziło osiem głównych szos i tyle też wyznaczono miejsc lądowania.

Lądujące statki zostały ostrzelane, ale straty były zdumiewająco niskie, głównie dlatego, że Grupa nie wybrała na punkty przyziemienia obiektów, które aż się o to prosiły, w rodzaju boisk, placów, lotnisk czy parków. Maszyny wyrzucały piechotę na dachach wielkich magazynów, szerokich alejach czy pośrodku rozległych kompleksów biurowo-handlowych, gdzie czasem mieściły się nawet dwa albo trzy desantowce. Dzięki temu udało się też względnie spokojnie zebrać piechotę na ziemi.

Gdy kolumny ruszyły w głąb miasta, żołnierze zaczęli szemrać, że to chyba prawda z tym spacerkiem. Kilometr dalej przekonali się, jak bardzo się mylili.

Lariksanie zaczęli pojawiać się jakby znikąd. Uderzali mocno i bezlitośnie. Cumbrianom zostało walczyć równie twardo.

Tubylców jednak nie ubywało. Czasem okopywali się prowizorycznie i walczyli do ostatniego, czasem się poddawali. Niekiedy po pierwszym ataku rozpraszali się i byli wybijani pojedynczo.

Do wieczora Grupa posunęła się tylko o kilkaset metrów.

W nocy strzały nie ucichły. Czasem powodem był ogień nieprzyjaciela, częściej jednak żołnierze strzelali do cieni. Podoficerowie dostawali piany na ustach, doszło nawet do kilku rękoczynów. Jednak atmosfera paniki nie ustąpiła aż do świtu.

Rano wszyscy prócz tych na najbardziej wysuniętych placówkach dostali racje żywnościowe i ruszyli w głąb miasta.

Lariksański patrol został zaatakowany przez kompanię piechoty i natychmiast poszedł w rozsypkę. Kompania podjęła pościg.

Gdy znalazła się na jakimś placu, dostała się pod silny ogień z trzech stron. Żołnierze spróbowali się wycofać, ale zostali przyparci do domów.

Wezwano pomoc. Kilkadziesiąt sekund później nad placem pojawiły się trzy zhukovy. Lecąc tuż nad dachami, zasypały okoliczne budynki pociskami kalibru 150 milimetrów. Potem zaczęło się polowanie na krążących wśród ruin ludzi.

Z kłębów kurzu wyskoczyła rakieta, która wbiła się w nos jednej z maszyn. Ta próbowała się wznieść, ale dostała drugą rakietę w brzuch, zatoczyła się, wyrównała i twardo wylądowała. Z rozbitego nosa buchnęły płomienie.

Tylna rampa opadła i jakiś żołnierz wykuśtykał ze środka. Został ścięty serią.

Tuzin Lariksan rzucił się w kierunku maszyny z granatami w rękach.

Osłona stanowiska dowodzenia odsunęła się i jazgotliwy karabin maszynowy zmasakrował biegnącą drużynę. Chwilę później wojska Cumbre skorzystały z wiszącego wciąż w powietrzu kurzu i wyparły Lariksan z placu.

Jakaś kobieta podeszła do dymiącego wciąż wraku zhukova i zajrzała do przedziału załogi.

- Do diabła! - zawołała. - Tu jeszcze ktoś żyje!

Ponad dziesięciu Lariksan wyszło z bunkra z białymi flagami na kijach. Alt i jej dwaj przyboczni ruszyli ku nim, tamci jednak padli nagle na ziemię, odsłaniając innych, z blasterami. Oficer i jej dwaj podwładni zginęli na miejscu.

Ludzie z jej plutonu jęknęli, podeszli bliżej i otworzyli ogień. Po jakimś czasie bunkier przestał odpowiadać i jego załoga ponownie spróbowała się poddać. Tym razem naprawdę.

Gdy tylko wyszli na zewnątrz, Cumbrianie bez pardonu ich zastrzelili. Do końca kampanii ten pluton w ogóle nie brał jeńców.

Prowadząca mały pododdział rozpoznawczy Monique Lir ujrzała wrak aksaia, który wpadł na ścianę budynku. Zygzakami zbliżyli się do rumowiska. Osłona kabiny była otwarta, z kokpitu zwieszało się ciało mustha.

Jednak pilot nie zginął w wypadku. Został podziurawiony oddanymi z bliska strzałami z blasterów. Na dodatek pocięto go jeszcze nożami.

Lir spojrzała na resztę swojej drużyny, ale nic nie powiedziała. Nie musiała.

Mahim miała ręce czerwone po łokcie, jej fartuch operacyjny cały przesiąkł krwią.

- Weźcie go - powiedziała, naciągając prześcieradło na twarz leżącego. - Odszedł.

Sanitariusze porwali nosze. Mahim miała chwilę, aby się przeciągnąć i coś wypić. Żałowała, że nie jest już zwykłym żołnierzem w kompanii zwiadu. Wtedy nigdy nie miała więcej niż dwóch rannych naraz.

Przed nią położono kolejnego rannego. Sądząc po stroju, był to lotnik. Ogniotrwały kombinezon został już rozcięty.

Niedobrze, pomyślała. Rozległa rana klatki piersiowej z uszkodzeniem płuc. Ktoś zatkał ją kompresem. Chociaż tyle. Krwawienie wewnętrzne. Poważne. Chyba nie wyjdzie z tego.

Spojrzała na twarz rannego. Ku swojemu zaskoczeniu poznała go, gdy mężczyzna otworzył oczy.

- Jill - szepnął Rad Dref, niegdyś pilot griersona z kompanii zwiadu. - Czy ja już umarłem?

- Nie umarłeś - odparła Mahim.

- Dobrze. Widziałem tych Lariksan... nie chciałem, żeby mnie dopadli. Wdrapałem się do stanowiska strzelca. Potem ktoś mnie wyciągnął. I dobrze, bo wolę już umrzeć tutaj niż tam. Nawet bardzo nie boli, jak nie próbuję oddychać. - Dref uśmiechnął się lekko. - W mojej torbie jest list... dopilnuj, żeby moi go dostali, dobrze?

Mahim pochyliła się nad rannym.

- Do cholery, co będziesz mi tu tchórzyć? Żadnego umierania!

Dref znowu się uśmiechnął.

- Oddychaj, draniu - warknęła Mahim. - Każdy głupi potrafi umrzeć. Oddychaj, mówię, bo zacznę grzebać ci w środku.

Uśmiech zniknął. Dref wciągnął powietrze i skrzywił się niemiłosiernie.

- Boli.

- I dobrze, że boli - powiedziała Mahim. - To znaczy, że ciągle żyjesz. Jeszcze raz.

Dref wciągnął powietrze.

- Respirator! - zawołała Mahim. - Tutaj, szybko! Oddychaj, dupku!

Powietrze znowu wypełniło płuca.

Mahim szybko podłączyła sensory i pompy, wprowadziła rurkę przez rozcięcie w piersi do płuc.

- Cały czas oddychaj - rozkazała. - Ta skrzynka nieco ci pomoże. Oddychaj, bo słowo daję, podrę twój list do mamusi i nikt nigdy nie dowie się, gdzie zginąłeś!

Pierś Drefa poruszyła się raz i drugi.

- Dalej, sukinsynu! Stać cię na więcej! Oddychaj!

Nim minął rok, Rad Dref znowu latał na zhukovach.

Przemykając pod ścianą, żołnierz usłyszał dobiegający zza drzwi hałas. Otworzył je kopniakiem i cisnął do środka granat. Huknęło. Chwilę potem usłyszał kwilenie niemowlęcia. I płacz drugiego, starszego dziecka.

Żołnierz zebrał się w sobie i zajrzał tam. Po chwili zwymiotował i wezwał pomoc medyczną.

- Przecież wiesz, że pałac Redrutha to prawdziwy houm - powiedziała Maev.

Njangu niezbyt kojarzył, co to takiego houm, ale domyślił się z kontekstu.

- Nie znam go całego - dodała dziewczyna. - Protektor nawet gwardii na tyle nie ufał. Jednak sądzę, że ostatnia kryjówka Redrutha nie mieści się wcale tam, gdzie oczekujecie, czyli w piwnicach. Niemniej jest tam jakieś przejście, którego strzegliśmy. Nie wiem, dokąd prowadzi, przechodzić nim mogli jedynie adiutanci Redrutha, niektórzy leitorowie, kilku wyższych dowódców. Ja nie.

- Pamiętasz, gdzie są te drzwi?

- Jasne.

- No to nie daj się zabić, póki nie dotrzemy do pałacu - powiedział Njangu. - Jeśli wyjdzie tak, jak się domyślamy, może być ciekawie.

- Nie lubię otwartej przestrzeni - szepnęła Monique Lir do Darod Montagni i wyjrzała z leju po bombie. Przed nimi wznosił się zdobny gmach otoczony pustym placem, na którym pyszniły się kiedyś trawniki. - Gdyby jakaś wąska uliczka...

- Dobra, tym razem ja poprowadzę.

- Takiego - warknęła Lir. - Ja biorę drugi pluton, a ty wspieraj mnie ogniem.

- Dobra. Ruszaj.

Monique nieco się uniosła.

- Drugi pluton! Ruszać tyłki! Idziemy!

Czterdziestu ocalałych żołnierzy z drugiego plutonu przykucnęło tak niechętnie, jakby niebo miało zaraz zwalić im się na głowy. Po chwili pobiegli szukać następnego ukrycia.

Darod sprawdziła swój snajperski blaster.

- Pierwszy pluton! Za nimi!

Reszta kompanii zwiadu pobiegła zygzakami za drugim plutonem. Zdyszana Darod przypadła obok Lir za powalonym drzewem.

- Dlaczego, u diabła, pchnęli nas do tej roboty? - spytała.

- Bo kończy im się mięso armatnie. Zdarza się w każdej wojnie. Zawsze zaczynamy jako elita, ale potem wychodzi inaczej i dostajemy w dupę.

- Dzięki za lekcję historii - mruknęła Montagna. - Ale tu jest jakoś za łatwo. Mam wrażenie, że...

Wkoło upadła pierwsza salwa artyleryjska. Za nią druga i kolejne. Montagna wtuliła się w ziemię, najchętniej wpełzłaby cała pod hełm. Nagle zdało się jej, że usłyszała świst nadlatującego z ponaddźwiękową szybkością pocisku. Tego przeznaczonego dla niej.

Pocisk uderzył i eksplodował dziesięć metrów od nich, po drugiej stronie pnia. Podmuch odrzucił obie kobiety o kilkanaście metrów.

Montagna zorientowała się ze zdumieniem, że ciągle żyje. Uniosła głowę i otworzyła oko. Obraz był zamazany. Otarła krew z twarzy. Monique Lir leżała nieruchomo parę kroków dalej.

- Sukinsyny - mruknęła Darod. Zawsze uważała Lir za nieśmiertelną.

Sama zaczęła nabierać przekonania, że nie jest chyba zbyt paskudnie poszkodowana. Spojrzała po sobie. Plamiasty mundur miała do pasa we krwi. Zaczęła się obmacywać. Piersi były na miejscu. Twarz... bolała, ale nie znalazła żadnych nowych otworów. Zwykłe draśnięcia od odłamków.

Obok niej rozpłaszczyła się tweg Huran.

- Przejmujesz kompanię - powiedziała jej Montagna. - Jak mocno oberwaliśmy?

- Tak sobie. Troje się nie rusza, wliczając szefową. Może czterech rannych.

- Zdobądź dla mnie tę budę. Ranni niech wspierają ogniem.

- Ale...

- Sanitariusze zjawią się, gdy się zjawią - warknęła Montagna. - Znasz rozkazy. Ruszaj!

- Tak jest.

Montagna czuła, że nie jest z nią najlepiej. Istniało ryzyko wstrząsu. Poszukała w torbie pojemniczka ze strzykawką i wpakowała sobie połowę zawartości w nogę. Potem przetoczyła się na brzuch. Słyszała, jak Huran wydaje rozkazy.

Niedaleko leżał jej blaster. Przyciągnęła go za pas. Broń wyglądała na nie uszkodzoną. Montagna przetoczyła się w zagłębienie terenu, skrzywiła się z bólu i zerknęła przez celownik na wznoszący się przed nią budynek.

- Nic, całkiem nic, nikogo - mruczała pod nosem. - Chociaż tam, na ziemi, jest ktoś... ale za nisko jak na obserwatora. Wyżej... Przeklęte posągi, ciekawe, co to był za urząd. O, mam cię, draniu - dodała, widząc błysk w jednym z górnych okien wieży. To musiał być obserwator, który korygował ogień artylerii.

- Huran! - krzyknęła.

- Tak?!

- Wszyscy na ziemię! Chyba mam gościa, który zrobił nam kuku!

- Teraz zobaczmy... dystans dwieście siedemdziesiąt metrów... Trzymaj miękko, dobrze oprzyj kolbę, palec na języku spustowym... Och, nie wiedziałam, że mi tam odłamek utkwił. Potem będziesz boleć. Co tak się tam błyszczy? Chyba luneta. Oho, ma z pół metra długości. No, bądź grzeczny, pokaż się... Jeszcze trochę...

Blaster szczęknął. Darod nakierowała celownik z powrotem na okno, przełączyła celownik na auto. Broń wypluła sześć pocisków. Odblask zniknął.

- Czysto! - zawołała z wysiłkiem i padła na swoją broń. Gdzieś z daleka dobiegły ją krzyki sugerujące, że kompania zwiadu zaatakowała.

Polezę tu sobie tylko chwilę i zaraz pójdę walczyć, pomyślała. Jasne, że pójdę... Poczuła kolejną falę bólu.

Ktoś jęknął obok. Darod uniosła lekko głowę. Lir nie leżała już nieruchomo. Próbowała się poruszyć.

Z przodu huknęły strzały. Zwiadowcy wdarli się do budynku.

Wycie turbiny oznajmiło pojawienie się griersona. Opadła rampa i wybiegli jacyś ludzie. Sądząc po tym, co trzymali w rękach, musieli być ze służb medycznych. Niemal od początku walk poniechano oznaczania sanitariuszy i ich pojazdów, gdyż Lariksanie szczególnie chętnie brali ich na cel.

Jedna z sanitariuszek przyklęknęła przy Darod.

- Ale oberwałaś - powiedziała.

- Dzięki za pocieszenie. Gdzie twoja troska o pacjenta?

- Została na tyłach - rzuciła sanitariuszka, otwierając torbę.

- Mogę chwilę poczekać - powiedziała Darod. - I tak jestem na prochach. Najpierw zajmijcie się moją mamuśką, tam leży. Szacunek wobec wieku trzeba stawiać wyżej urody i tak dalej...

- Pieprz się z takim gadaniem - jęknęła słabo Lir i Darod wiedziała już, że wszystko będzie dobrze.

Angara spojrzał ponuro na ekran. Ledwie Grupa przedarła się przez przedmieścia, a już miała 25 procent strat.

- Nie podoba mi się to - mruknął. - Wcale mi się to nie podoba.

- Słucham, sir? - spytał przez uprzejmość Erik Penwyth.

- Daj mi cauda Hedleya na szyfrowym.

- Sir. - Erik skinął głową na jednego z wiecznie sterczących w pobliżu łącznościowców, poczekał chwilę i podał przełożonemu słuchawki z mikrofonem.

- Hancock Sześć na linii.

Angara wziął słuchawki.

- Jon, musisz wysłać mi swoje rezerwy. Potem ściągnij Drugą Brygadę. Niech jak najciszej zerwą kontakt. Twoje cele będą musiały poczekać. Najpierw skończymy tutaj.

28

- Czy rozmawiam z osobą, która przedstawiała się jako Ab Yohns?

Njangu włączył mikrofon.

- Tak.

- Spytam dla weryfikacji - powiedział z chłodnym zainteresowaniem Celidon. - Co lubię jeść?

- Ledwie przypieczoną wołowinę i surowe warzywa.

- A co pijam?

- Wodę z lodem.

- Możliwe, że jest pan tym, za kogo się podaje. Jak się pan naprawdę nazywa?

- Nie przez radio - powiedział Njangu. - Poza tym panu nie powiem tego chyba nigdy.

Rozległ się śmiech.

- Bez wątpienia jest pan tym podwójnym agentem, który nas oszukał. Będę zatem zwracał się do pana tak samo jak dotąd. Muszę się streszczać, Yohns. Mam powody sądzić, że Redruth zwariował. Zamierza pociągnąć nas wszystkich za sobą w otchłań. Jestem najemnikiem, więc nie chcę paść ofiarą jego obsesji.

- Więc chce się pan poddać?

- Tak. Jestem może zarozumiały, ale uważam, że beze mnie cała ta machina będzie działać o wiele gorzej i szybciej dopniecie swego.

Njangu pokiwał głową. Celidon był najlepszym chyba taktykiem przeciwnika, nawet jeśli miał niewielkie pojęcie o strategii.

- Niechętnie, ale się zgadzam - powiedział.

- Jeśli przejdę do was i zgodzę się współpracować z pańskimi przełożonymi, podając również dyslokację pozostałych oddziałów protektora i położenie jego kryjówki, będę oczekiwał w zamian, że oszczędzicie mi przykrości, jakie zdarzają się czasem przegranym po wojnie.

- Ma pan na myśli oskarżenia o zbrodnie wojenne?

- Właśnie. Co więcej, po pewnym czasie chciałbym otrzymać również pewną nagrodę za przysługę. Może jakąś posiadłość albo, co lepiej, zgromadzone przeze mnie na Lariksie i Kurze bogactwa. Po cichu oczywiście. Nie chciałbym klepać biedy.

Njangu spojrzał na Angarę. Dant przygryzł wargi, ale niechętnie pokiwał głową.

- Zgoda - powiedział Njangu, chociaż wcale nie miał na to ochoty.

- Dobrze. Szczegóły omówimy później, gdy będę już bezpieczny. Koniec końców wszyscy walczyliśmy kiedyś po tej samej stronie - stwierdził Celidon. - Z czasem może będziecie skłonni skorzystać z moich usług. Ale to i tak w dalekiej przyszłości. Na razie słuchajcie. Będę chciał przekroczyć obszar walk w miejscu o koordynatach pięć, sześć, osiem, osiem łamane przez dziewięć, osiem, jeden, jeden. Dzisiaj, dokładnie o szesnastej trzydzieści. Będę w samotnej ayeshy, po przejściu na pozycje Lariksan zacznę mrugać światłami lądowania w porządku żółte, niebieskie, żółte.

- Przyjęte - powiedział Njangu, patrząc na swojego dowódcę.

- Polecimy mu na spotkanie - powiedział Angara. - W dwóch velvach i dwóch aksaiach. Wszystkie będą powtarzać jego sygnał i będą uzbrojone, gotowe do otwarcia ognia. Jeśli pojawią się jakiekolwiek problemy albo się okaże, że nie gra czysto, nie zawahają się zareagować. Rany, jak ja czasem nienawidzę tej roboty.

Njangu powtórzył instrukcję Angary.

- Nie będziemy do pana strzelać - dodał od siebie. - Przylecę w prowadzącej maszynie i spotkam się z panem na ziemi.

- Dobrze - odparł Celidon. - Spodziewam się owocnej współpracy. Bez odbioru.

Połączenie zostało zakończone.

- Mam nadzieję, że po wszystkim nie będzie pan naciskał na dotrzymanie słowa? - spytał Njangu. - Wypadki chodzą po ludziach. Poza tym ten drań uważa, że jest lepszy ode mnie, i chętnie spotkałbym się z nim za zamkniętymi drzwiami.

- Nie kuś, Yoshitaro - powiedział zmęczonym głosem Angara. - Chciałbym. Ale nie Będzie, jak powiedziałem. Ale weź dywizjon niszczycieli jako wsparcie. Przypuszczam, że przechodzenie na drugą stronę może czasem wejść w nawyk.

Celidon opuścił bunkier dowodzenia tunelem, który wiódł do ukrytego hangaru, w którym stał jego transporter.

Czuł, że krew żywiej mu krąży. Nie zamierzał czekać tutaj na ostatni akt katastrofy. Nie zdarzyło mu się jeszcze trwać zbyt długo po stronie przegranych.

G'langer, służący mu wiernie od pięciu lat pilot, czekał już w maszynie.

Zasalutował na powitanie. Celidon oddał salut.

- To szczególna misja - powiedział. - Otrzymałem od protektora rozkaz, aby przekroczyć nasze linie i rozpocząć negocjacje. Najeźdźcy chcą rozejmu i mam uzyskać najlepsze możliwe warunki. W trosce o morale naszych wojsk misja jest tajna, wiemy o niej tylko ty i ja, no i oczywiście protektor.

Coś błysnęło w oczach G'langera.

- To wielki zaszczyt dla pana, sir.

- Mam nadzieję - powiedział skromnie Celidon. - Potem ten straszny czas się skończy i przyjdzie pora odbudowy.

- Tak, sir. - G'langer odsunął się, pozwalając najemnikowi zająć miejsce w kabinie.

- Sir? - powiedział nagle.

W jego głosie było coś, co zaniepokoiło Celidona, który odwrócił głowę. Ujrzał, że pilot mierzy do niego z pistoletu.

- W imieniu gwardii - powiedział z pasją G'langer i strzelił najemnikowi cztery razy w pierś, zanim ten zdołał wydobyć własną broń.

- Tak giną zdrajcy - powiedział mężczyzna, którego Celidon znał jako G'langera, i sięgnął po mikrofon, aby powiadomić swoich przełożonych o tym, co się wydarzyło.

Njangu przez godzinę krążył w podanym przez najemnika rejonie, aż w końcu zameldował Angarze, że nic z tego.

Ciekawe, co się stało, pomyślał, wracając do bazy. Czy ten drań się rozmyślił, czy może pechowo spadł ze schodów? Ech, pięknie by było...

29

Darod Montagna usłyszała dobiegające z sąsiedniej sali gniewne krzyki Lir i zastanowiła się przelotnie, co za głupiec śmiał urazić godność pierwszej damy zwiadu. Po chwili zrobiło się ciszej, aż całkiem się uspokoiło.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Wejść! - powiedziała Darod, której wyraźnie brakowało towarzystwa. Chętnie powitałaby nawet pielęgniarkę z kolejnym zastrzykiem.

Do pokoju wszedł Garvin Jaansma. Nosił zwykły mundur z uprzężą bojową, pod pachą trzymał cienką skórzaną teczkę.

- Dobry wieczór, sir - powiedziała Montagna.

- Cześć, Darod. Dlaczego jeszcze cię tu trzymają? Myślałem, że dostałaś tylko trochę odłamków w twarz i pierś.

- A tak. Ale mówią, że chcą mnie jeszcze trochę zrekonstruować.

- Dlaczego? Wyglądasz normalnie.

- Owszem. W zasadzie. Ale tu i ówdzie... dostałam implanty. - Skrzywiła się. - Dziwnie tak mieć kawałek siebie, który jest skądinąd. Mówią, że za jakiś miesiąc przestanę czuć różnicę i nawet nie będę umiała odróżnić, co jest co. Chciałabym im wierzyć, ale na razie mam wrażenie, że nadsztukowali mi twarz plastikiem. - Znowu się skrzywiła. - Nieprzyjemne.

- Na pewno - powiedział Garvin. - Kiedy więc cię wypisują? Zwiad potrzebuje dowódcy. Monique poleży jeszcze z miesiąc, potem czeka ją drugie tyle psychoterapii.

- Pewnie uda mi się uciec za jakieś trzy, cztery dni. A skoro o tym mowa, na co tak cholerowała szefowa?

Teraz Garvin się skrzywił.

- Dostałem w tym tygodniu rozkaz, aby odwiedzić wszystkich naszych ślepych i kulawych, do tego mam rozdać medale. Monique przyznano Srebrny Krzyż i kolejne odznaczenie za odniesione rany. Gdy o tym usłyszała, zaczęła mnie wyzywać od skurwysynów i dodała, że nie zasłużyła na żaden pieprzony medal, bo oberwała, a ktoś tak głupi, żeby oberwać, powinien zostać wywalony z armii, a nie odznaczony. Dodała też, że w tym szpitalu leżał również jakiś ranny Lariksanin, a oficer z Drugiej Brygady, który dostał to samo zadanie co ja, też dał mu jakiś medal. Nie wierzę jej.

- Ja też nie - mruknęła Darod. - Mam wrażenie, że Monique sobie z tym poradzi.

- Tak - zgodził się Garvin. - Znasz Lir.

- Znam. I dzięki, że zajrzał pan też do mnie, szefie.

- Ostatnim razem byliśmy po imieniu, prawda?

- Owszem - powiedziała Montagna. - Ale nie wiem, czy nie byłam odrobinę... zbyt śmiała.

- Wciąż możesz mi mówić Garvin.

- Dobra. To siadaj. - Wskazała na krzesło. - Co myślisz o tym szpitalu?

- Nieco za sterylnie tutaj.

- Podobno należał do akademii oficerskiej gwardii protektora - powiedziała Darod. - Jestem pewna, że wcale mi nie żal, że go stracili. Dwa razy do nich podchodziliśmy. Zimne dranie. Ale w końcu okazali się zbyt głupi do czegokolwiek więcej niż naciskanie spustu.

- Rozumiem. Szacujemy, że załatwiliśmy już połowę całej tej gwardii.

- Chyba chętnie zostanę tutaj, aż załatwicie pozostałych. Dla kobiety kontakt z tymi idiotami może się okazać zbyt niebezpieczny. Ale dlaczego nie siadasz, jak prosiłam?

- Cóż, jestem tu służbowo - powiedział Garvin, otwierając teczkę. - Jak powiedziałem, mam obchód medalowy. A ty powinnaś na razie tylko leżeć i zdrowieć. Na bardziej oficjalne uroczystości przyjdzie pora, gdy wrócimy do obozu Mahan. - Wyjął małe pudełko, a potem kartkę papieru. - Alt Darod Montagna, zastępca dowódcy kompanii zwiadu Pierwszej Brygady, zostaje niniejszym odznaczona Gwiazdą Męstwa...

Montagna pociągnęła nosem.

- ...za działanie wykraczające ponad jej zwykłe obowiązki oraz czyny dokonane w różnym czasie, obejmujące między innymi samodzielne zniszczenie dwóch stanowisk obronnych, zabicie trzynastu i wzięcie do niewoli dwudziestu siedmiu nieprzyjaciół, a po zranieniu udzielanie moralnego wsparcia swoim ludziom podczas ataku na pozycje wroga po tym, jak jej dowódca również została ranna. Co więcej, odznaczona wstrzymała ostrzał swojego oddziału, usuwając obserwatora artyleryjskiego przeciwnika, który korygował przytłaczający żołnierzy ogień. Jej odwaga została zauważona i doceniona. W imieniu Konfederacji, dant Grig Angara. Przestań płakać, kobieto.

- Pró... próbuję - powiedziała Darod Montagna, ocierając oczy prześcieradłem.

Garvin podał jej pudełko i usiadł obok.

- Teraz jestem już zwykłym gościem. Miło cię zobaczyć, panno Montagna.

- Miło mi, że jest jeszcze kogo oglądać - powiedziała Darod, zerkając na medal w pudełku. - Dziękuję... Garvin. To miłe.

- Nie mnie dziękuj. To nie ja byłem tak głupi, aby pchać się w pobliże tego pocisku.

- Głupia ja - zgodziła się Montagna.

Z jakiegoś powodu Garvin ujął jej dłoń.

Siedzieli tak długo w ciszy, zupełnie spokojni, i jakoś wcale nie chcieli rozmawiać.

Bastion miał być niezdobyty. Chroniły go trzy ciężko opancerzone wieże artyleryjskie, których pola ostrzału zazębiały się. Atakując jedną, wystawiało się na ostrzał z dwóch pozostałych. Świadczyło o tym kilkanaście leżących wciąż na przedpolu ciał. Legion nie zdołał ich ściągnąć nawet w nocy.

Wieże były połączone pod ziemią całym systemem korytarzy z kwaterami mieszkalnymi, małym centrum dowodzenia, komorami amunicyjnymi i kuchnią. Był też tunel prowadzący aż do pałacu, ale został zablokowany, a artylerzystom powiedziano, że nie mogą ani się wycofać, ani poddać.

Coś ruszyło ku wieżom od strony pozycji Legionu. Potem pojawiły się jeszcze trzy podobne obiekty. Wszystkie mniejsze niż człowiek. Pełzły powoli, a lariksańskie czujniki długo nie reagowały. Zmieniło się to dopiero, gdy intruzi zbliżyli się na pięćdziesiąt metrów do dział.

- Dobra - powiedziała Tanya Felder, obecnie dowodząca jako tweg oddziałem dziesięciu robotów bojowych. - Dalej, maluchy. Dokładnie pod ich nosem. - Podobnie jak trzech innych operatorów, tkwiła w przypominającym trumnę module sterującym umieszczonym na wysuniętym posterunku kilkaset metrów od bastionu. Obok czuwała drużyna zwiadu, na wypadek gdyby Lariksanie coś zwąchali i nabrali ochoty na zaatakowanie operatorów.

Felder prowadziła teraz Śmieciarza IV. Wojna była nie mniej okrutna dla robotów jak dla ludzi. Ostrożnie przesunęła maszynkę dalej. Wieża była już tylko o kilka metrów.

Nagle coś pisnęło.

- Wykryli nas - usłyszała od drugiej operatorki.

Jedna z wież obróciła się i jej działo wystrzeliło.

- Chybili - zachichotała operator.

Działo znów wypaliło.

- Cholera - mruknęła dziewczyna. - Po moim maleństwie. - Wyczołgała się z modułu sterowniczego i zamrugała.

Jej robot leżał gąsienicami do góry i lekko dymił.

Felder nie zwracała na niego uwagi. Podprowadziła Śmieciarza do „swojej" wieży i znalazła osłonę w niewielkim leju po pocisku.

Ktoś musiał w końcu dostrzec robota, bo wieża obróciła się tam i nazad, szukając celu, ale Śmieciarz znajdował się już poniżej pola zasięgu czujników.

Jeden ze szczypcowatych manipulatorów został wyposażony w szybkoobrotowe wiertło. Teraz dotknął barbety tuż pod pierścieniem uszczelniającym. Rozległo się kilkusekundowe zawodzenie i manipulator się cofnął.

- Jestem w środku - powiedziała Felder.

- Jestem blisko - powiedział inny operator. - Ech. Zauważyli mnie. Kryję się, chyba nie dam rady się ruszyć.

- Jestem u celu - odezwał się trzeci głos. - Uruchamiam wiertło.

Inny manipulator ostrożnie wsunął w otwór mały wężyk.

Felder przełączyła funkcje i do wieży popłynął bezwonny gaz. Odczekała niecierpliwie, aż Śmieciarz opróżni cały zbiornik, i sięgnęła kleszczami po małą tubkę. Detonator.

- Przebiłam się - usłyszała w słuchawkach. - Pompuję.

Na ekranie zapalił się napis PUSTY.

- Jestem sucha - powiedziała jedna z operatorek.

- Teraz wynośmy się stąd - powiedziała Felder, nie wiadomo dlaczego szeptem. - Przełączyła mikrofon. - Assegai Arty Trzy, tutaj Sybilla Rossum Sześć. Można odpalać w dowolnej chwili.

Zamaskowane tuż za liniami zhukovy otworzyły pokrywy i posłały po dwadzieścia pocisków tuż przed wieże.

Roboty zdążyły do tego czasu schować macki i wycofać się do głębokiego leju. Chwilę potem Lariksanie odpowiedzieli ogniem.

- Jestem bezpieczny - oznajmił operator ostatniego Śmieciarza.

- Wysadzamy zamek - powiedziała Felder, nacisnęła sensor detonatora, który nadał sygnał równocześnie do wszystkich trzech detonatorów.

Te eksplodowały, zapalając gaz. Płomień wdarł się w głąb barbet, przeniknął do kwater i jadalni. Ogarnięci płomieniami w mgnieniu oka obracali się w popiół. Chwilę potem ustąpiły wypaczone od gorąca włazy komór amunicyjnych. Wszystkie trzy wieże wyleciały w powietrze, a ich szczątki rozsypały się po całej okolicy.

- No to mamy je z głowy - stwierdził dowodzący kompanią piechoty tweg. - Chodźmy sprawdzić, czy nie trzeba tam jeszcze kogoś odstrzelić.

Grupa zaatakowała. Jeden z piechociarzy, przebiegając obok robota, poklepał go po pancerzu.

Wokół Njangu Yoshitara i jego dwóch łącznościowców rozerwały się cztery rakiety. Wracali pieszo do kwatery głównej Pierwszej Brygady po tym, jak Njangu uparł się na własne oczy zobaczyć pozycje, które Grupa miała zaatakować następnego dnia.

Podmuch cisnął nim na zniszczoną wystawę sklepową. Wylądował pośród zakurzonych bel materiału. W uszach dzwoniło mu niemiłosiernie. Pomyślał, że ogłuchł.

Jakoś się pozbierał i wstał. Obok drzwi zobaczył swój połamany blaster. Minął go i wykuśtykał na ulicę. Chodnik kołysał się pod nim jak pokład statku podczas sztormu.

Po drugiej stronie ulicy stała jakaś kobieta w mundurze. Patrzyła na niego przerażona.

Yoshitaro miał na sobie fragmenty tkanki mózgowej, wnętrzności i masę krwi jednego z łącznościowców, który musiał się znaleźć między nim a eksplodującym pociskiem. Rozejrzał się spokojnie, szukając drugiego żołnierza, i zobaczył jego pozbawiony rąk i nóg tułów nadziany wraz z głową na połamaną podstawę lampy.

Zaczął się trząść i nie mógł tego opanować. Coś w nim rosło, domagając się, aby wykrzyczał całe przerażenie i uciekł jak najszybciej od tego koszmaru.

Zrobił kilka kroków. Najpierw powoli. Potem szybciej.

Miał wrażenie, że tuż przed nim otworzyła się jakaś czarna otchłań, która czeka, aż rzuci się w nią i będzie leciał i leciał w dół, zapominając o wszystkim, krwi, śmierci i obowiązkach, które miał wobec wszystkich tych nieszczęśników wkoło, chociaż był lichym, najlichszym robakiem.

Otchłań... nie, to jednak nie była otchłań. To był potwór. Czarny, bezkształtny. Próbował zagarnąć Njangu. Trzeba uciekać, ratować się...

Jednak nogi go nie słuchały. Upadł. Poczuł pod policzkiem szorstki kamień brukowy. I przypomniał sobie coś. Coś na temat mila Liskearda, z którego kiedyś był pistolet, a później...

Ktoś odwrócił go na plecy i wziął w ramiona. Njangu chciał krzyczeć. Krzyczeć i krzyczeć, po wieczność. Aż wykrzyczy całą tę krwawą wizję.

Otworzył usta i nagle nie było już ani otchłani, ani potwora. Ujrzał tylko przerażoną kobietę w stopniu szturmowca, która powtarzała:

- Sir? Sir? Jak pan się czuje, sir?

Jak ryba kilka razy otworzył i zamknął usta.

Oparł dłonie na chodniku, podparł się i usiadł.

- Sir, nie jest pan ranny? Nie widzę żadnych obrażeń, sir.

Njangu wziął dwa głębokie oddechy, podciągnął nogi i wstał. Zaraz omal nie upadł, kobieta go podtrzymała i niewiele brakowało, aby oboje się wywrócili.

- Już dobrze - wymamrotał.

- Było naprawdę blisko, sir - powiedziała szturmowiec. - Chyba jest pan trochę w szoku. Może lepiej się pan położy? Wezwę pomoc medyczną.

Njangu pokręcił głową. Wiedział, że jeśli się położy, będzie po nim, bo otchłań otworzy się powtórnie.

Miałem szczęście, pomyślał. To było tylko ślepe szczęście. Gdyby nikogo nie było obok... I gdybym nie słyszał o Liskeardzie...

Zadrżał. Wiedział, że od dzisiaj będzie współczuł głęboko każdemu, kto załamie się w walce.

Dam radę, dasz radę, wszyscy damy radę, pomyślał. Może tak to jest, że czasem możemy znieść bardzo wiele, a potem nagle łamiemy się jak słomki. Może...

- Już dobrze - powiedział. - Ale czy mogłaby pani pójść ze mną do kwatery głównej? Chyba znam kogoś, kto ma tam butelkę, i chciałbym postawić pani całkiem nielegalnego drinka.

Oddziały Grupy połączyły się wreszcie. Centrum miasta, w tym sztab obrońców i pałac Redrutha, znalazło się w okrążeniu.

Jednak Lariksanie nie mieli ochoty kapitulować. Angara uruchomił zespół wojny psychologicznej, który nadawał dla przeciwnika pracowicie przygotowane audycje, jednak tylko garstka w nie uwierzyła i chciała się poddać. Co najmniej połowa została zastrzelona

podczas próby przejścia na stronę Cumbre przez gwardzistów, których Redruth wychował na strażników swojej armii.

Inni specjaliści próbowali nawiązać kontakt z samym dyktatorem. Chcieli zaproponować rozmowy pokojowe.

Jednak nie doczekali się odpowiedzi.

- Ten drań uważa, że jak ktoś chce rozmawiać, to znaczy, że jest słaby - zauważył Hedley. Zapewne miał rację. - Będziemy zatem musieli złapać go po prostu za gardło.

Njangu nigdy nie powiedział Garvinowi o tej chwili, gdy był bliski załamania. Jednak z jakiegoś powodu wspomniał o tym Maev Stiofan. Skorzystał z okazji, gdy oboje mieli akurat godzinę wolnego między jedną a drugą służbą.

Patrzył na nią uważnie, czy nie dostrzeże śladu kpiny albo niedowierzania. Jednak nic takiego nie zauważył.

- Wiesz, chyba coś podobnego zdarzyło się mojemu ojcu - powiedziała, gdy skończył. - Jego brygada ładowała jakieś chemikalia i nagle doszło do eksplozji. Musiało być naprawdę ciężko, bo tylko paru z brygady przeżyło. Matka była w szpitalu i wróciła bardzo smutna, chociaż ojciec nie był ranny, nie miał nic złamanego. Kompania go potem przeniosła, i nas też. Umieścili go chyba w jakimś ośrodku. Jakiś miesiąc później został wypisany jako zdrowy i przydzielono go do innej pracy. Nigdy nie chciał rozmawiać o tamtym dniu, ale zawsze już był trochę inny. Jakby cichszy. I jakby nawet niższy.

Jasne, że był inny, pomyślał Njangu. Ten czarny potwór zabrał część niego ze sobą. I to nigdy już nie wróciło.

Zadrżał.

- Nie jestem tak głupia, aby ci radzić, żebyś o tym zapomniał - powiedziała łagodnie Maev. - Ale z czasem będzie lepiej. Poza tym wojna jeszcze się nie skończyła i być może wszyscy zginiemy, nie ma więc co martwić się na zapas, czy nie wyjdziemy z niej psychicznie okaleczeni. Chodź. Oboje potrzebujemy prysznica, a znam pewne zakłady chemiczne, w których możemy znaleźć coś podobnego. Mają komorę dekontaminacyjną. Poza tym słyszałam o opuszczonym hotelu, gdzie jest jedno nie postrzelane łóżko. Wiem już, czym zablokujemy drzwi...

Jego ayesha została zestrzelona już jakiś czas temu. Spadając, przebiła biurowiec prawie na wylot. Jak dawno temu to było? Miesiąc? Tydzień? Nie wiedział. Leżał we własnych nieczystościach i smrodzie gnijącej rany.

Nie miał co jeść, ale i tak nic by nie przełknął.

Kilka razy padał deszcz, wtedy zlizywał wodę ściekającą przez dziurę po pocisku.

Domyślał się, że maszyna spadła między liniami, bo po pierwszym dniu nie widział już swoich. Próbował ich przywołać, ale był zbyt słaby.

Potem przez długi czas nie widział już nikogo.

Tracił przytomność, odzyskiwał ją i znowu tracił. Nie było to nieprzyjemne, jednak wolał wiedzieć, co dzieje się wkoło.

Któregoś dnia usłyszał jakieś głosy, zobaczył innych żołnierzy. Wroga. Nie byli to jednak ci, na których czekał, siedział więc cicho. Minął dzień i kolejna noc.

Zerkając przez popękane szkło kopułki, ujrzał zbliżających się ludzi.

Oczy zaszły mu mgłą, ale pozbył się jej, mrugając.

Było ich ośmiu, może dziesięciu. Nie dość. Ale potem dostrzegł jednego z radiostacją na plecach i drugiego, który trzymał się zawsze w środku grupy. Chyba dowódcę. Niósł coś, co wyglądało na mapnik.

To będzie to.

Ruszył koło obracające wieżyczkę. Bardzo powoli i ostrożnie wycelował działko w oficera. Nie mógł chybić.

Sięgnął do dźwigni ręcznego odpalania, ale ręka zwisła bezwładnie, bez siły. Zacisnął usta w bezgłośnej modlitwie i spróbował raz jeszcze. Centymetr po centymetrze...

Sięgniesz, masz dość siły, powtarzał sobie. Potem będziesz mógł umrzeć. Ale najpierw sięgnij.

- Dobrze - powiedział haut Pol Trygve, wskazując na mapnik. - Jesteśmy już prawie w pałacu. Jak tylko się ściemni, zajmiemy nowe pozycje i przygotujemy się na jutro. Wsparcie rakietowe dajcie tutaj, będą mieli dobrą osłonę i punkt obserwacyjny. Dwie kompanie piechoty tutaj i tutaj, a...

Działko we wraku ayeshy ożyło nagle i wypluło kilka pocisków kalibru dwadzieścia milimetrów. Dwa trafiły Trygvego, zabijając go na miejscu. Inne ścięły jego łącznościowca i dowódcę Sekcji III Drugiego Pułku.

Garvin Jaansma zjawił się tam niedawno ze świeżymi oficerami mającymi uzupełnić straty. Ujrzał miotane konwulsjami ciało Trygvego i padł na ziemię.

Odruchowo poszukał celu, chociaż wiedział, skąd strzelano. Inni żołnierze otworzyli ogień i biegli zakosami w kierunku wraku. Posypały się granaty, w końcu zjawił się ktoś z wyrzutnią pocisków pepanc i wpakował jeden w burtę ayeshy. Potem wrzucono do środka jeszcze parę granatów i zapadła cisza.

Garvin podniósł się. Wziął mikrofon od ocalałego łącznościowca, który stał pośród trupów niczym posąg.

- Połącz ze sztabem Pierwszej Brygady - rzucił.

- Hę?

- Dalej, człowieku! Ruszaj się!

- A, tak. Chciałem powiedzieć, tak jest, sir. - Pokręcił coś przy radiostacji. - Już jest, sir.

- Lanca, tutaj Lanca Siedem - powiedział Garvin do mikrofonu.

- Lanca Siedem, tu Lanca. Słuchamy.

- Lanca, jestem u...

- Nasz aktualny kryptonim to Cztery Aleg Jeden, sir - podpowiedział przytomny już całkiem operator.

- ...Cztery Aleg Jeden. Pilum Sześć nie żyje. Keld Ind Alf. Potrzebne rozkazy.

Z drugiej strony dobiegło westchnienie, chyba zaskoczenia. Przez chwilę panowała cisza.

- Lanca Siedem, mówi Lanca Sześć.

Caud Fitzgerald.

- Wiadomość zrozumiana, Siedem. Czy masz rozeznanie w sytuacji Pilum i jego rozkazach?

Garvin zastanowił się, ale nagle stwierdził, że jak najbardziej. Wiedział.

- Tak. Byłem na odprawie.

- Kontynuuj zatem działania. Od teraz do odwołania twój sygnał to Pilum Sześć. Mówi Lanca Sześć. Bez odbioru.

Garvin został dowódcą Drugiego Pułku, prawie tysiąca ludzi pod bronią. Rzucił mikrofon operatorowi.

- Dobra. Ty jesteś... Jensk, prawda? Trzymaj się mnie. Jesteś teraz moim głosem. Zwołaj dowódców kompanii do mojego wozu. Przygotujemy się do zdobycia tej pozycji.

- Pamiętasz, co powiedziałaś mi jakiś koszmarny czas temu? - spytał Njangu. - To o korytarzu prowadzącym gdzieś w dół, do nory Redrutha?

- Jasne.

- Zorganizowałem kilka rozpoznawczych lotów nad pałacem. Szczęśliwie nikt nie zginął. Zobacz, co mamy.

Maev spojrzała na barwny hologram.

- Tutaj są nasze linie, tutaj oni - powiedział Njangu. - Tutaj pałac.

- Umiem czytać projekcje nie gorzej niż ty. Może nawet lepiej, więc dzięki za pomoc. - Pokazała palcem dwa miejsca w pobliżu pałacu.

- Tu jest pusto, ale za ciepło. Zapewne z podziemi wychodzą wyloty przewodów wentylacyjnych. Na przykład z jakiegoś schronu. Możliwe, że bardzo dużego. Centrum dowodzenia. Albo tylko składu broni.

- Nie musisz zgadywać - odparł Yoshitaro. - Spójrz na to. Tutaj masz kolejny obraz w podczerwieni. Zrobiony z griersona wiszącego na wysokim pułapie. Właściwie to cała seria ujęć robionych co dziesięć minut. Zauważ teraz, że we wskazanych przez ciebie miejscach emisja maleje i rośnie regularnie. Gdyby to był zwykły schron, trzeba by uznać, że wszyscy tam gotują w tym samym czasie i tak dalej. Sądzę zatem, że są to wyloty jednego wielkiego systemu wentylacyjnego.

- Chyba masz rację. Wydaje mi się, że gdybyśmy dostali zgodę i wsparcie, moglibyśmy przyjrzeć się temu bliżej.

- Dobry pomysł, ogólnie rzecz biorąc. Ale nie podoba mi się to „moglibyśmy". Myślę, że to zbyt niebezpieczna wyprawa.

Maev przyjrzała mu się uważnie.

- Ale ty idziesz?

- Oczywiście.

- Zatem powodzenia.

Njangu chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Dobra. Spróbuję poruszyć parę trybów.

Njangu poprowadził dwa ataki jako dowódca pułku. Poniósł stosunkowo niewielkie straty. Za każdym razem zyskiwali do kilkuset metrów terenu.

Za pierwszym razem trochę się bał, za drugim był już dość pewny siebie. Nikt go nie beształ, wychodziło więc na to, że radzi sobie nie najgorzej.

Inne pułki też atakowały na swoich odcinkach i pierścień wkoło Redrutha zacieśniał się. Budynek po budynku, kwartał po kwartale, zdobywali coraz więcej miasta.

Posiekane pociskami iglice pałacu Redrutha wznosiły się już prawie nad nimi, ale śmierć czyhała w każdym oknie, każdej szczelinie. Nawet w całkiem niewinnie wyglądających przybudówkach.

Ściągnięte pospiesznie z Cumbre D uzupełnienia włączono do zaprawionych w bojach jednostek. Nowi ginęli, często zanim jeszcze zrozumieli, jak to jest na wojnie.

- Puk, puk - powiedział Njangu, zaglądając do zagrzebanej częściowo w rumowisku betonowej rury. Obecnie było to wejście do kwatery Garvina. Jaansma oderwał wzrok od planu pałacu i zobaczył wpełzającego Yoshitara. Za nim pojawiła się Stiofan.

- Zaproponowałbym aperitif, ale trochę mało tu miejsca. Przepraszam, innym razem.

- Gratuluję awansu - powiedział Njangu.

- Cóż, taka robota - mruknął Garvin, starając się nie zdradzić, jaki jest z tego dumny. Przyłożył dłonie do ust i krzyknął. Z przepustu wyjrzał niezwykle brudny alt.

- Czego trzeba, szefie?

- Valento, co to za porządki? Gdzie jest kawa dla moich gości?

- Jasne, szefie. Przepraszam. Nie widziałem, jak przyszli.

- Co za leń - mruknął Garvin. - Gdyby nie był tak dobry w zabijaniu, pewnie zrobiłbym z nim coś drastycznego.

Njangu spojrzał na ściągniętą twarz Garvina. Dostrzegł ślady wyczerpania, ale postanowił o tym nie wspominać.

- A właśnie, skoro o tym mowa. Kiedy wrócisz do sztabu? My, prości oficerowie liniowi, potrzebujemy twojego światłego przewodnictwa.

- Angara chyba chce mnie tu zatrzymać - odparł Njangu. - Sam go prosiłem, żeby przeniósł mnie gdzieś, gdzie można się wyprostować, ale bez skutku. Fitzgerald też nie jest szczęśliwa z tego powodu.

- Cholera - mruknął Garvin. - Jutro o brzasku mamy atakować, a ja nie mam nawet mglistego pojęcia, co właściwie zrobić. Cały czas obowiązują proste rozkazy w rodzaju „dołóż im".

- Koniec końców po to właśnie tu jesteśmy - odpowiedział Njangu. - Ale twoje rozkazy uległy zmianie.

- I Fitzgerald nie wspomniała mi o tym ani słowem? O co chodzi? To jakaś wyjątkowa tajemnica, że aż sam musiałeś z tym przyjść? Wpadłeś na kolejny genialny pomysł, Njangu?

- Po prawdzie tak - powiedział Yoshitaro. - Ale więcej w tym zasługi Maev. Angara zaakceptował pomysł, a Fitzgerald powiedziała, że mamy wyjść z twojego sektora. Siadaj i daj mi mapę, to ci pokażę, jak pomożemy ci wygrać tę wojnę.

Gdy zapadła ciemność, Garvin przesunął cztery kompanie pod same linie przeciwnika.

Pałac był już naprawdę blisko.

Dobre miejsce, aby zginąć, pomyślał. Ale z Njangu i je - go ludźmi tak łatwo nas szlag nie trafi.

Poszli we czworo: Njangu, Maev, tweg Cafalo i szturmowiec Fleam. Njangu chętnie wziąłby innych, ale jego ludzie albo nie żyli, albo byli ranni. Lub w innych oddziałach.

Włożyli pochłaniające światło kombinezony, które nie powinny również dawać odbicia w podczerwieni i na radarze, poczernili twarze. Wzięli ze sobą po kilka batoników energetycznych i manierki. Z broni wyposażyli się w pistolety, noże i antyczne samostrzały. Fleam wziął też krótką pałkę, którą nazwał całkiem poważnie najlepszą bronią na nocne patrole.

Były dwie godziny do świtu, gdy wypełzli przed własne linie. Wybrali miejsce, w którym od paru dni nic się nie działo. Po cichu podeszli pod stanowiska przeciwnika.

Przeciwnik nie spał, ale był tak samo jak oni zmęczony. Nikt nie okrzyknął ich zatem i nie musieli też nikogo zabijać.

Poszli dalej, mijając wieżyczki strzelnicze, bunkry ze sterczącymi ze szczelin lufami i stanowiska działek. Nie natknęli się na nikogo, wszyscy siedzieli pod ziemią. Każde wysunięcie głowy byłoby w taką noc proszeniem się o śmierć.

Zwykły patrol albo nocny atak zaraz by wszystkich obudził, ale nikt nie oczekiwał kilku przemieszczających się bezszelestnie zwiadowców.

Dotarli do ruin pałacu. Njangu przypomniał sobie obietnicę na temat zburzenia tego architektonicznego koszmaru. Nie sądził jednak, że dokona tego osobiście.

Ukryty za pękniętym posągiem wartownik dostrzegł, że coś się porusza, i złożył się do strzału. Nóż Yoshitara znalazł drogę do gardła mężczyzny, który umarł bez jęku. Odciągnęli ciało za stertę gruzu i poszli dalej.

Jeśli im się uda, na pewno nie będą tędy wracać. Jeśli nie... to już nie będzie ważne.

Podeszli do wielkiej głównej bramy. Wrota zostały zniszczone podczas nalotów, tapiserie poczerniały od dymu, a płaskorzeźby na ścianach zostały poszatkowane odłamkami.

Maev poprowadziła ich długim korytarzem ku miejscu, z którego dolatywały jakieś głosy. Drzwi były lekko uchylone, ze środka padała na korytarz smuga światła.

Dziewczyna pokazała na migi, aby padli na ziemię, i przeczołgała się obok pomieszczenia. Zrobili to samo.

Dalej po bokach otwierały się mniejsze korytarze. Niektóre zawalone, inne wciąż wykorzystywane. Maev prowadziła ich coraz głębiej w labirynt pałacu. Jak dotąd nie zostali zauważeni. Dwa razy zatrzymywali się, gdy gubiła drogę. Wracali wtedy i szukali właściwego zakrętu.

Znowu coś błysnęło.

Maev ujęła Njangu za rękę i skinęła głową. To tutaj powinien się zaczynać interesujący ich tunel. Wyciągnęła pistolet, inni zrobili to samo.

Uprzedziła, że przy drzwiach będzie zapewne tylko dwóch strażników.

Njangu uniósł jeden palec... drugi... i trzeci. Cała czwórka wyskoczyła zza rogu z uniesioną bronią.

Sześciu wartowników spojrzało na nich ze zdumieniem. Dopiero po chwili unieśli blastery. Rozległy się cztery przytłumione stęknięcia i cztery ciała upadły na podłogę z małymi dziurkami w czołach, tuż pod okapami hełmów. Njangu skoczył, kopnięciem wytrącił piątemu wartownikowi broń z ręki i chlasnął go nożem przez gardło. Ostrze sięgnęło aż do kręgosłupa w tym samym czasie, gdy Fleam roztrzaskał pałką czaszkę szóstego przeciwnika.

Zostawili stos ciał na miejscu. Jeśli ktoś je odkryje, na pewno usłyszą hałas. Gdyby zostawili pustą wartownię, mogłoby dojść do cichego pościgu.

Njangu sprawdził czas. Utrzymywali dobre tempo. Teraz zostało tylko złapać kogoś i tak długo dłubać jemu czyjej pod paznokciami, aż powie, gdzie jest kwatera Redrutha. Potem, gdy zacznie się już atak Garvina, będą mogli porwać albo po prostu zabić protektora.

Wyjść miało jednak jeszcze inaczej.

30

Atak poprzedziła nawała artyleryjska. Kolejne salwy spadały coraz bliżej pałacu, potem cofnęły się ku pierwszej linii. W drugiej kolejności nad pozycjami przeciwnika pojawiły się velvy, aksaie i zhukovy rażące pociskami każdy cel, który pokazał się na ekranie.

Pałacowe grunty zostały tak dokładnie przeorane, że żaden rolnik nie powiedziałby złego słowa.

Lariksanie utrzymali jednak pozycje, wiedząc, że próba ucieczki czy nawet wyjścia na otwarty teren oznaczałaby podczas takiego ostrzału pewną śmierć. Czekali na atak piechoty przeciwnika, ciemnych postaci przesuwających się powoli wśród dymów.

Gdy artyleria skończyła ostrzał pałacu i maszyny odleciały, kompania Garvina ruszyła do ataku.

Nie udało się ustalić, kto wystrzelił jedną z ostatnich rakiet, musiała jednak trafić w jakiś czuły punkt. Eksplozja zakołysała ziemią, a dym wzniósł się ponad najwyższe wieże pałacu. Garvinowi zdawało się przez chwilę, że ktoś odpalił taktyczny ładunek nuklearny, ale jednak nie. To było coś całkiem konwencjonalnego, zapewne średniej wielkości skład amunicji.

Eksplozja odsłoniła goły beton, który wcześniej był przykryty metrami ziemi.

Pierwszy żołnierz, który dotarł do leja, ujrzał pęknięte sklepienie jakiegoś zrujnowanego pomieszczenia i otwarte drzwi.

- Mamy wejście! - zawołał.

Jego sierżant przekazał to dowódcy i piechota rzuciła się do otworu. Grupa dostała się do centrum dowodzenia protektora Redrutha.

Gdy Njangu i reszta usłyszeli, że zaczął się atak, otworzyli drzwi korytarza i ruszyli w dół. Im dalej szli, tym głośniejsze były odgłosy eksplozji.

Nagle wielka detonacja zakołysała tunelem, rzucając ich na ziemię. Posypał się pył i Njangu pomyślał, że strop się wali. W końcu pozbierali się nieco ogłuszeni. Ponieważ nie musieli się już obawiać, że narobią hałasu, wyciągnęli pistolety i pobiegli dalej.

Usłyszeli krzyki i zobaczyli dwóch nieco otyłych mężczyzn, zapewne techników, biegnących w ich stronę. Tamci nie widzieli w ogóle zwiadowców, oglądali się ciągle do tyłu, jakby ktoś ich ścigał. Nagle ujrzeli kogoś przed sobą. Jeden krzyknął przerażony, drugi próbował sięgnąć po mały pistolet. Obaj zostali zastrzeleni.

Ktoś niewidoczny w pyle strzelił do nich. Njangu i reszta schronili się w niszy w ścianie i odpowiedzieli ogniem.

Protektor Redruth słyszał krzyki, eksplozje granatów i pocisków wystrzelonych z blasterów.

- Ty - powiedział do najstarszego ze swoich adiutantów. - Weź resztę moich gwardzistów i odeprzyj przeciwnika! Zbierz też cały personel, jaki spotkasz.

- Tak jest, sir.

Wzywając swoich ludzi, oficer pobiegł po stalowych schodach.

Redruth zastanowił się. Zapewne jego żołnierze okażą męstwo i zniszczą napastników. Albo i nie. On jednak nie miał zamiaru zostać więźniem, aby pokazywali go potem jak zwierzę w cyrku.

Nie chciał też ginąć w tej dziurze niczym szczur. Jego przeznaczenie było nierozerwalnie splecione z przeznaczeniem Lariksa i Kury. Jeśli on zginie, zginie też jego imperium.

Musi zatem uciec, aby walczyć dalej.

Podszedł do ściany i nacisnął ukryty przełącznik. Odsunął się kawał ściany, ukazując małą kabinę windy. Redruth wszedł do środka i nacisnął najwyższy sensor.

Zamknęły się drzwi i winda z sykiem ruszyła do góry. Minęła koszary gwardii, kantyny, sale konferencyjne i pomieszczenia analityków, bez których nie może się obejść żadna nowoczesna armia.

Zatrzymała się. Drzwi otworzyły się, ukazując korytarz o ścianach z gołego betonu.

Był kilka minut marszu od centrum pałacu. Jego ludzie myśleli, że został już opuszczony, że uległ zniszczeniu, ale były tu jeszcze przejścia i tunele, które znał tylko on. Prowadziły na skraj miasta, do ukrytych hangarów, gdzie czekały ślizgacze. Gwarancja ucieczki i nowego początku.

Tak, to dopiero początek, pomyślał Redruth.

Usłyszał strzały przed sobą. Między nim a pałacem. Na drodze do wolności.

Znalazł się w pułapce.

Zawsze był dumny ze swego pragmatyzmu. Skoro nie ma drogi na zewnątrz...

Zobaczył głęboką wnękę i wszedł do niej. Wyjął pistolet, sprawdził komorę nabojową. Przy okazji obejrzał broń, po raz pierwszy zauważając misterne zdobienia i żłobkowanie rękojeści.

Dotąd strzelał z niej tylko raz, na strzelnicy. Zaraz potem, gdy ją dostał od... tak, od Celidona, niech będzie przeklęty. Nie, dwa razy. Wczoraj znowu wystrzelił, gdy ten głupiec odmówił wykonania jego rozkazu.

Zwolnił bezpiecznik i uniósł pistolet.

Njangu usłyszał pojedynczy strzał. Przykucnął i zaczekał na ciąg dalszy.

Nic jednak się nie działo.

Daleko z przodu toczyła się regularna bitwa.

- Zobaczmy, czy się tam nie przydamy - powiedział i ruszyli przed siebie.

Fleam dostrzegł wystającą z wnęki dłoń. Wskazał na nią i znowu padli na podłogę.

Ręka jednak się nie poruszyła.

Maev wstała i zajrzała do wnęki.

Protektor Alena Redruth leżał w kałuży własnej krwi. Albo ręka mu drgnęła, albo rozmyślił się w ostatniej chwili, bo jeszcze żył, mimo że odstrzelił sobie żuchwę i część twarzy.

Oczy miał otwarte i pełne bólu. Spojrzał na Maev i chyba ją poznał.

Dziewczyna uniosła broń.

- Niczego nie potrafisz zrobić porządnie, żałosny draniu?

Ściągnęła język spustowy, wywalając w piersi Redrutha dziurę wielkości pięści.

Potem odwróciła się do pozostałych.

Njangu wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak ułatwić sprawy - powiedział bez śladu wyrzutu.

- Prawdę mówiąc, w ogóle nie sądziłem, że wyjdziemy z tego żywi - powiedział Garvin.

Njangu zastanowił się nad ciętą ripostą, ale zmienił zamiar.

- I tak ponuro wyszło - stwierdził.

Spojrzał na szeregi żołnierzy Drugiego Pułku czekających na transportowce.

- Grupa naprawdę oberwała.

Garvin przytaknął. Słyszał, że obie brygady, ponad piętnaście tysięcy ludzi, straciły łącznie siedem tysięcy poległych i rannych. Kompania zwiadu stopniała do niecałych sześćdziesięciu żołnierzy.

- Potrwa jakiś czas, nim ją odbudujemy - powiedział.

- Jesteś pewny, że chcemy? O ile myślałeś o nas dwóch, a nie o jakichś abstrakcyjnych „nas".

- A mamy wybór? - spytał Garvin.

- Myślę, że mamy dość kredytów, aby się wykupić. Chyba że podoba ci się rola najmłodszego cauda w historii.

Caud Fitzgerald, za zgodą Angary, zatwierdziła mianowanie Jaansmy na dowódcę Drugiego Pułku. I on, i dant Angara pozwolili też, aczkolwiek niechętnie, aby Njangu opuścił sztab brygady i został zastępcą Garvina.

Wszyscy pozostali dowódcy pułków też zostali awansowani do stopnia cauda. Angara uważał, że ten stopień lepiej pasuje do ponoszonej na tym stanowisku odpowiedzialności.

- Rozważ różne możliwości - powiedział Njangu. - Dzięki Jasith mógłbyś opływać w luksusy. Albo nawet pójść do pracy. Eks-caud pasowałby chyba na figuranta w jakiejś kompanii wydobywczej?

Jaansma zastanowił się. Jak by to brzmiało: Garvin Mellusin. Potem pomyślał o Darod. Czy coś jeszcze z tego będzie? Czy chcę, aby było?

- Mało zabawna perspektywa - stwierdził.

- Zaczynam się zastanawiać, czy ty w ogóle umiesz się bawić - mruknął Njangu. - Ale dobra. Spróbujmy czegoś innego. Zwalniamy się i przybywamy tutaj jako część nowego rządu, aby zmienić te roboty z powrotem w ludzi. Na pewno znajdziemy masę rzeczy wartych zrabowania. Celidon wspominał coś o majątku ukrytym na Kurze. Moglibyśmy go poszukać. Froude zapowiedział już, że zorganizuje ekspedycję badawczą, która sprawdziłaby, co to były właściwie te łoniaki.

- Biedak - powiedział Garvin. - I on, i Ho Kang... - Zawiesił głos.

- Tak - westchnął Njangu. - Wielu rzeczy szkoda. Ale wracając do sprawy wzbogacenia się dzięki tym tępakom. To by nie było takie złe. Gubernator Jaansma i szara eminencja Yoshitaro. - Potem jednak pomyślał o Brythe, Pyder, Enidzie i Karig, które gdzieś tu najpewniej były. - Nie, to też nie byłoby zabawne - uznał, zanim Garvin zdążył wyrazić opinię.

Jaansma pokiwał głową i spojrzał w kierunku portu kosmicznego.

- Mam nadzieję, że nigdy już nie będę musiał oglądać Lariksa ani Kury - powiedział zdecydowanie. - Ciekawe, dlaczego nie poczęstowaliśmy ich po prostu atomówkami. Darowalibyśmy sobie ten bałagan.

- No wiesz, chciałbyś wyjść na krwawego barbarzyńcę? Ale, ale... Zdajesz sobie sprawę, że kończą nam się opcje?

- Njangu, czy ciebie naprawdę nie interesuje, co właściwie stało się z Konfederacją? - spytał Garvin.

Nad lądowiskiem pojawiła się formacja transportowców.

- Ad-prem! - krzyknął Garvin.

Starszy podoficer pułku podbiegł do nich ile sił w nogach i stanął na baczność.

- Sir!

- Zbierz ludzi i przekaż dowódcom kompanii, aby zaczęli załadunek.

Podobne rozkazy zostały wydane w pozostałych jednostkach czekających na polach wokół Aguru.

- Sir!

Po lądowisku poniosły się krzyki, ziemia zadrżała pod lądującymi transportowcami.

- I co? - przypomniał Garvin. - Co sądzisz o Konfederacji?

- Chcesz zmienić temat, tak? - spytał Njangu. Poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Najpierw wynieśmy się stąd, a jak wrócimy do domu, na pewno znajdzie się jakiś frajer gotów postawić nam drinka. Wtedy zastanowimy się nad tym, co się stało z Konfederacją.